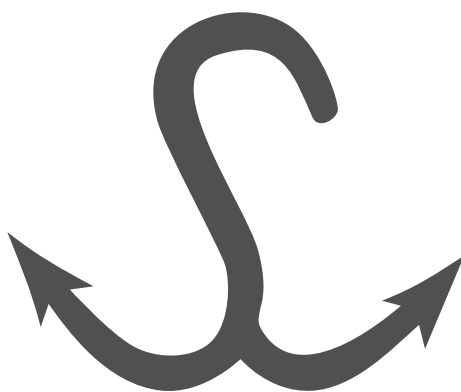


Ludzie od Kornela

Artur Adamski

Ludzie od Kornela



Ludzie od Kornela

AUTOR
Artur Adamski

REDAKCJA
Grażyna Adamska

OKŁADKA
Jerzy Kanikuła

SKŁAD
Artur Waszkielewicz

WYDAWCA



Fundacja
Pomorska Inicjatywa Historyczna

ISBN 978-83-62631-21-6

Publikacja została wydana z okazji 40 rocznicy powstania Solidarności Walczącej organizowanej przy współpracy Stowarzyszenia Solidarność Walcząca, Fundacji Wizja Rozwoju, Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz dzięki dofinansowaniu obchodów 40 lecia SW przez Totalizator Sportowy oraz Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego – w ramach Funduszu Patriotycznego.



Gdynia – Wrocław – Warszawa 2022

Spis treści

WSTĘP	9
ODCZYTAĆ DZIEDZICTWO KORNELA	15
ISTOTA DZIEDZICTWA KORNELA MORAWIECKIEGO	21
KORNEL I JEGO LUDZIE	25
POLSKA DZISIAJ I POLSKA NASZYCH MARZEŃ	41
KRZYSZTOF BIEŻUŃSKI	47
WŁADIMIR BUKOWSKI 1942 – 2019	51
ROBERT CHMIELARCZYK	55
JANINA DZIUBAŃSKA	63
KORNEL – SIŁA SPOKOJNEGO UPORU	69
GRZEGORZ EBERHARDT 1950 – 2014	75
ANTONI FERENC 1946 – 2008	79
MACIEJ FRANKIEWICZ 1958 – 2009	87
JERZY GRZEBIELUCH 1931 – 2021	91
KORNEL CZYLI NIEPODLEGŁOŚĆ	93
KRZYSZTOF GULBINOWICZ 1956 – 2009	101
ARTUR HOLKA 1963 – 2022	105
MIKOŁAJ IWANOW	109
RENATA JASIŃSKA 1953 – 2019	117
KORNEL – FENOMEN PRZYWÓDZTWA	123
KONSPIRACYJNY ARCHIPELAG RODZINY JERZMAŃSKICH	127
JOLANTA PIĄTEK	131
ANDRZEJ KISIELEWICZ	135
ANDRZEJ KOŁODZIEJ	143
KORNEL MORAWIECKI – JEDEN Z NAS	149
IWONA KONDRATOWICZ	155
JANUSZ KRUSIŃSKI 1953 – 2008	163
ROMUALD LAZAROWICZ 1953 – 2019	183
ROMUALD LAZAROWICZ – NA ZAWSZE W NASZEJ PAMIĘCI	189
KORNEL MORAWIECKI I TOŻSAMOŚĆ WROCŁAWIA	197
ADAM ŁOTOCKI 1952 – 2021	199
MATEUSZ MORAWIECKI	203
MAREK PETRUSEWICZ 1934 – 1992	209
TADEUSZ PIĄTEK	217

KORNEL MORAWIECKI O PROSTYCH LUDZIACH	225
JERZY PIETRASZKO 1954 – 2020	229
JACEK PODLEJSKI 1953 – 2020	233
PIOTR RZEWUSKI 1956 – 2022	235
BARBARA SARAPUK 1940 – 2015 KRÓLOWA PODZIEMNEGO DRUKU	239
KORNEL MORAWIECKI WRESZCIE KAWALEREM ORŁA BIAŁEGO	245
WŁODZIMIERZ STRZEMIŃSKI 1951 – 2017	251
CEZARY SZARUGIEWICZ	255
GRAŻYNA ŚLĘZAK-ADAMSKA	261
JERZY TARGALSKI – PRZYJACIEL I POLEMISTA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ	267
O SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ NAJKRÓCEJ, JAK SIĘ DA	271
OD NIEJ ZACZĘŁA SIĘ SOLIDARNOŚĆ	275
ROLAND WINCIOREK 1920 – 2001	283
ANTONI WÓJTOWICZ 1954 – 2020	291
EDWARD WÓLTAŃSKI	295
SIEJMY A COŚ WYROŚNIE	299
ROMAN ZWIERCAN	303
KRZYSZTOF ZWIERZ	311
MARIANNA ŻABIŃSKA 1939 – 2021	319
HENRYK ŻELAŃSKIEWICZ 1955 – 2021	323
Z OBOWIĄZKU SŁUŻENIA OJCZYŹNIE NA EMERYTURĘ NIE PRZECHODZI SIĘ NIGDY	325
NIE BYLI UBEKAMI, WIĘC SIĘ NIE NADAJĄ, CZYLI LUDZIE SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ W ZMAGANIACH Z UBEKISTANEM	329
ZASZCZYT, NA KTÓRY MUSZĘ ZASŁUGIWAĆ	331
LISTA WAŻNIEJSZYCH DOKONAŃ FUNDACJI POMORSKA INICJATYWA HISTORYCZNA	337



WSTĘP

„Ludzie od Kornela” – tak nas nazywano, tak sami mówiliśmy o sobie. I tak wielu z nas nadal mówi o sobie dzisiaj. W pojęciu tym zawierają się nie tylko formalni członkowie Solidarności Walczącej, ale też znacznie liczniejsze grono bliższych i dalszych współpracowników oraz działających bez rzeczywistego kontaktu z organizacją, ale identyfikujących się z jej celami, w największej mierze nakreślonymi przez jej niekwestionowanego lidera – Kornela Morawieckiego.

Jakże różnorodny był ten archipelag ludzi rozsypanych nie tylko po całej Polsce, ale aktywnych też poza jej granicami! Tworzyć się on zaczął jeszcze przed Sierpniem 1980, początkowo głównie w akademickich środowiskach Wrocławia. Szybko jednak pączkować zaczął nawet w odległych od niego miastach i wioskach. Bywało, że pojedynczy „ludzie od Kornela” a także całe ich „wyspy” wyłaniały się z polskiego „morza” i podejmowały efektywną działalność nie tracąc czasu, który trzeba by poświęcić na żmudne, o ile nie beznaziejne próby nawiązywania kontaktu. Sam przewodniczący Solidarności Walczącej spotykał czasem takich właśnie konspiratorów, bywało że legitymujących się sporym podziemnym dorobkiem, za który niejednokrotnie płacili pobytami w więzieniach. Jednym z takich był Stefan Bucholc, którego Kornel Morawicki poznał w czasie podróży po Stanach Zjednoczonych w 1994 roku. Mieszkający w mieście Portland trafił do USA jako emigrant polityczny w połowie lat osiemdziesiątych po tym, jak został aresztowany za drukowanie pism organizacji, z którą nie miał kontaktu. Przeszedł brutalne śledztwo, dostał wyrok. Na pytanie o to, z kim mieli kontakt, tacy jak Bucholc odpowiadali, że z nikim, bo swą aktywność rozpoczęli po tym, jak dotarli do nich wydawnictwa Solidarności Walczącej. A zachęcały one do działania, instruowały zarówno w zakresie zasad konspiracji, jak i technik poligrafii. Do samego końca lat osiemdziesiątych niezliczone ilości kopert z takimi właśnie publikacjami organizacja nieustannie rozsyłała na spisywane głównie z książek telefonicznych adresy soły-

sów, parafii, remiz straży pożarnej, szkół, bibliotek, kół gospodyń wiejskich czy spółdzielni rolniczych. Zwyczajem wielu działaczy Solidarności Walczącej było też zabieranie w każdą podróż czy to na nadmorskie wakacje czy wesele któregoś z członków rodziny, wielkich plików podziemnych gazetek. Bez względu na to, czy środkiem transportu był wtedy mały fiat, rower czy tylko własne nogi przemieszczanie się po kraju było okazją do tego, by podziemne gazetki zostawiać na przystankach autobusowych, stacjach kolejowych, w przydrożnych kapliczkach czy kruchtach kościołów. Nierzadko bywało, że tak rozsiane ziarno przynosiło plon stukrotny. Z rozmowy z jednym z takich działaczy, których do aktywności zainspirowały gazetki otrzymywane taką właśnie drogą, Kornel Morawiecki dowiedział się o pewnego rodzaju „wyższości” tego rodzaju „bezkontaktowych ogniw konspiracyj”, jaką np. właśnie ten rozmówca Kornela stanowił. Mówił on: „Utożsamiałem się z waszym programem, na podstawie instrukcji z waszych publikacji uruchomiłem druk swoich pisemek, upowszechniających tę waszą ideę, która stała mi się tak bliska. A kiedy w końcu znalazłem się w łapach Służby Bezpieczeństwa to choćby uciekała się ona do nie wiem jakich metod wydobywania ze mnie zeznań to żadnego działacza podziemia przenigdy bym nie wsypał. Z prostej przyczyny: żadnego nie znałem.” Przewodniczącego organizacji opowieść ta szczerze rozbawiła, zarazem jednak całkiem serio stwierdził, że człowiek, który przeszedł taką drogę, powinien być uważany za pełnoprawnego członka Solidarności Walczącej.

Oczywiście niewspółmiernie częściej przynależność do najpoważniejszej ze struktur solidarnościowego podziemia polegała na osobistym kontakcie ludzi doskonale się znających, ręczących za siebie, spełniających szereg kryteriów, permanentnie doskonalących swój konspiracyjny kunszt, realizujących aktywności bardzo wymierne. Choć rzecz jasna zarówno role odgrywane w podziemiu, jak i rozmiary zaangażowania poszczególnych ludzi bywały bardzo różne. W swoich wspomnieniach Kornel Morawiecki mówił, że potencjał różnych grup czy oddziałów organizacji jej przywódcze gremia oceniały nie ilością skupionych w nich ludzi, ale rozmiarem efektów pracy, jaką permanentnie są oni w stanie wykonywać. O wiele więcej dać z siebie przecież może ktoś ścigany listem gończym i tym samym zmuszony do ukrywania się, mogący więc całe dni poświęcać np. na drukowanie. A od ojca wielodzietnej rodziny, celem jej utrzymania zmuszonego do harówki na dwóch etatach, nie sposób oczekiwać zaangażowania o podobnej skali. Zarazem jednak ogromnie doceniać trzeba to, że pomimo tak trudnej sytuacji życiowej ktoś taki w ogóle

świadczy podziemiu jakieś usługi, poświęca jakikolwiek czas, podejmuje ryzyko. I takich właśnie „ludzi od Kornela” było bardzo wielu. Po latach zwykle nie są skłonni do opowiadania o swojej podziemnej przeszłości, bo jak często twierdzą – „robili bardzo niewiele i w ogóle nie ma o czym mówić”. Kornel Morawiecki zawsze uważał inaczej. Doceniał każdy, nawet pozornie nieduży wkład we wspólną walkę. Doskonale wiedział, jak wiele znaczyło choćby to, że drukarz miał sąsiada, u którego mógł przechowywać „sito” i kilka słoików z chemikaliami. Setki razy przecież bywało tak, że dzięki takiej niby drobnej pomocy ktoś unikał więzienia.

Mój pogląd jest w tej sprawie identyczny z tym, jaki reprezentował Kornel. Być może wynika to z tego, że w 1983 roku zdarzył mi się pewien znamienny dzień. Był całkiem zwyczajny do momentu, w którym nagle dowiedziałem się o aresztowaniu kilku moich współpracowników. W pierwszym odruchu wypełniłem plecak wszystkim, co ewidentnie służyć mogło tylko do sitodruku (było to jakiś czas po kursie, prowadzonym przez niezapomnianego Bohdana Błażewicza) i po trwającym jakiś czas krążeniu po mieście, celem zmniejszenia ryzyka „ciągnięcia ogona”, dotarłem do pierwszej osoby, którą zamierzałem poprosić o przechowanie ryzykownego bagażu. Osobę tę od lat znałem jako śmiało głoszącą poglądy bardzo mi bliskie, ale najprawdopodobniej niezaangażowaną w żadną działalność. Tej skali przerażenia, jaka wymalowała się na twarzy tego człowieka, gdy poprosiłem go o przysługę, polegającą na przechowaniu plecaka, długo nie będzie mi dane zapomnieć. Podobnie jak rozmiarów mojego rozczerowania i ze zdumieniem oglądanych objawów ulgi, gdy odwracając się na pięcie mówiłem mu: „Zapomnij. Nie było sprawy”. Tego, jak powszechna i jak wielka była wtedy skala strachu tego samego wieczora doświadczyłem jeszcze raz, gdy autobus dowiózł mnie do kolegi, od przedszkola znanego mi jako antykomunistyczny radykał, przy którym ja zawsze byłem „malutkim Miki”. Scenariusz powtórzył się bowiem identyczny: przerażenie, pospieszne szukanie sposobu, jakim by można odmówić i niemal słyszalny grzmot spadającego z serca głazu, będącego reakcją na moje: „Żartowałem. Cześć. Zapomnij”. Zbiegając po schodach dane mi było jeszcze zobaczyć, jak stary znajomy, zresztą sportowiec wyczynowy, niemal mdleje w akcie trudu zamykania drzwi swojego mieszkania. Tamten dzień uzmysłowił mi, że ludzi, na których można liczyć, wcale nie ma tak wielu. Tym bardziej wtedy doceniłem słowa „Pewnie! Dawaj!”, jakie jakąś godzinę później usłyszałem od mojej koleżanki, dzięki której wrócić do domu mogłem już bez plecaka. A potem, w opar-

ciu o te odrobiny orientacji w tym, co się zdarzyło, jakoś zdołałem myślami ogarnąć sytuację i nawet na kilka chwil zasnąć, choć dopiero nad ranem.

Z dzisiejszej perspektywy trochę mi się śmiać chce z tego mojego bieganie z plecakiem po mieście ówczesnego pamiętnego dla mnie dnia. A dokładniej ze sposobu myślenia, który mnie wtedy napędzał. Wśród rzeczy, które pośpiesznie wtedy z domu wyniosłem, nie było niczego cennego. Najwięcej warte były paczki diapozytywów, z których jedna była jeszcze nietknięta. Resztę stanowiło parę metrów tkaniny szyfonowej, słoiki z chemikaliami do sporządzania światłoczułej emulsji, może ze sto gazetek, trochę broszur i książek. Pewnie nie byłoby ryzykiem nadmiernej straty upchnięcie tego wszystkiego choćby i w jakimś kącie labiryntu piwnicznych korytarzy bloku, w którym mieszkalem. Jednak wieść o tym, że esbecja wygarnęła kilkoro ludzi z naszej organizacji, rozumiałem jako skuteczne zadanie podziemi tak dotkliwego ciosu, po którym każdy zestaw, z którego da się sklecić warsztat drukarski, może być na wagę złota. Stąd moje gorączkowe peregrynacje i moja wdzięczność dla Ciebie, Beato, że bez ceregieli wtedy ten mój bagaż wzięłaś, tą jedną decyzją oddalając ode mnie połowę wypełniającego mnie wówczas lęku, ofiarowując cenny dar względnego poczucia bezpieczeństwa.

Każdy, kto doświadczył podobnego przeżycia na pewno docenia rolę ludzi, którzy nie byli w pierwszym ani drugim czy nawet trzecim szeregu tamtej walki. Doceni ich tym bardziej, jeśli równocześnie spotykał się ze sparaliżowanymi strachem, niezdolnymi uczynić czegokolwiek, odmawiającymi pomocy. Kornel doceniał wkład wszystkich wspierających podziemie. We wdzięcznej pamięci miał bezlik cichych, często bezimiennych bohaterów. Pamiętam jego wypowiedź na promocji któregoś z tomów „Encyklopedii Solidarności”. Mówił wtedy: „Zamiast obszernych, wyczerpujących biogramów niewielkiej liczby działaczy piszcie krótsze, ale przypominające udział jak najliczniejszych. Jeśli byłoby to możliwe – wszystkich!” Podobny pogląd przyświecał konstruowaniu niniejszej książki. Mam nadzieję pierwszej z serii kolejnych.

Niniejszy zbiór składa się zarówno z materiałów powstałych w ostatnim czasie, jak też spisanych już ponad dwadzieścia lat temu. Najstarszej daty jest wspomnienie o Rolandzie Winciorku, napisane w dniu, w którym dowiedziałem się o jego śmierci. Było ono jednym z pierwszych tekstów, opublikowanych na portalu, zakładanym wówczas przez nieodżałowanej pamięci Romka Lazarowicza. Solidarność Walcząca była wtedy zjawiskiem wymazywanym z kart historii, marginalizowanym, zakłamywanym i okradanym z dorobku.

Miejsc, w których możliwe było opublikowanie wspomnień o naszych ludziach, było wówczas bardzo niewiele. W latach dziewięćdziesiątych zamieszczałem je tam, gdzie było to możliwe. Głównie na łamach prasy lokalnej, w gazetkach gminnych, niszowych, parafialnych. Część tych tekstów nie trafiała wtedy jeszcze na żadne nośniki elektroniczne. Wystukiwane na tradycyjnej maszynie do pisania wklejane były jeszcze w tradycyjne makiety, stąd trudno mi je dzisiaj odnaleźć. Mam nadzieję, że w końcu mi się to uda, dając początek kolejnej podobnej publikacji. W niniejszej książce znalazły się zarówno materiały nigdy wcześniej niepublikowane, jak też zamieszczone już wcześniej w miesięczniku „Sieci Historia”, „Gazecie Polskiej” czy „Gazecie Obywatelskiej”. Wiele z nich, w stosunku do pierwowzoru, została poszerzona, czasem skorygowana. Niedokończony, nieautoryzowany wywiad z Januszem Krusińskim spisałem z nagrania – zapisu spotkań, jakie miały miejsce w ostatnich tygodniach jego życia. Celowym zamysłem jest zawarcie w jednym tomie zarówno materiałów dotyczących postaci bardzo znanych, o dorobku ogromnym, jak też osób działających na obrzeżach organizacji czy w strukturach stanowiących „odleglesze fraktale” Solidarności Walczącej”. Staram się też przywołać osoby wspierające konspiratorów choćby przechowywaniem ich drukarskiego sprzętu czy kolejnych partii wydruku. Bez takich jak oni skala sukcesów konspiracji byłaby przecież mniejsza a liczba jej działaczy trafiających do aresztów i więziennych cel – większa.

Mam nadzieję, że niniejszy tom „Ludzi od Kornela” jest pierwszym, po którym pojawią się „Ludzie od Kornela” z numerami 2, 3 i następnymi. Jeśli Bóg pozwoli – będę więc pisał kolejne. Absolutnie nie zastrzegam sobie żadnych praw do niniejszego tytułu! Z radością powitam kolejnych autorów, spisujących historię ludzi z Solidarności Walczącej. Każdy też z zawartych w niniejszej publikacji tekstów jest zaledwie przyczynkiem do opowieści o ludziach, w których o nich mowa. Podziemny dorobek większości z nich to temat na oddzielną książkę dużych rozmiarów, często nie jedną. W związku więc z tym, że artykuły czy wywiady dotyczą tylko niektórych wątków czy epizodów działalności, w następnych tomach „Ludzi od Kornela” powinny się pojawiać nie tylko kolejne postacie, ale także dalszy ciąg opowieści związanych z bohaterami niniejszego, pierwszego zbioru.

W książce tej zamieszczam też kilka wypowiedzi na temat samego Kornela Morawieckiego, wygłoszonych czy opublikowanych w różnych kontekstach i przy różnych okazjach. Nie sposób przecież pominąć tę osobę, od któ-

rej książka ta wzięła połowę swojego tytułu. A zarazem tę, która w życiu każdej, o której w niej mowa, odegrała wielką, często zasadniczą wręcz rolę.

Słowa serdecznej podziękii kieruję pod adresem wszystkich, którzy przyczynili się do wydania tej książki. Dziękuję też wszystkim, którzy dzielili się ze mną swoją wiedzą, którzy dali się namówić do rozmów, do ich spisania, korygowania. Liczę na dobroduszne wybaczenie mi wszystkich niedoskonałości mojej pracy. Wierzę, że każdą z ewentualnych merytorycznych „wpa-dek” razem przekazujemy na solidnie opisany wątek kolejnego tomu.

Artur Adamski

w kwietniu 2022



ODCZYTAĆ DZIEDZICTWO KORNELA

Z Kornelem poznawałam się tak, jak wielu – przez lata był dla mnie tajemnicą i legendą, by potem zostać przyjacielem.

Byłam nastolatką, kiedy zaczął się formować zorganizowany sprzeciw wobec komunistycznej tyranii. We wrocławskim V LO, do którego uczęszczałam, lekcje fizyki prowadził Aleksander Gleichgewicht. To, że zupełnie niespodziewanie, z dnia na dzień zniknął z naszej szkoły dopiero po jakimś czasie skojarzyliśmy wtedy z pojawianiem się jego nazwiska na łamach krążących z rąk do rąk plików bibulastych kartek. Złożona z nich broszura przypominała studenckie skrypty, ale nazywała się „Biuletyn Dolnośląski” i zawierała artykuły, z jakimi nie spotkałam się wcześniej nigdy. Jeden do złudzenia przypominał mi rozmowę mojego ojca z jego bratem, kiedy bawiliśmy w jego domu w Krakowie. Wspominając siedzieli pod obrazem Wojciecha Kossaka, przedstawiającym pościg ułanów za bolszewikami, w panice gubiącymi czerwoną flagę (u krakowskich krewnych dzieło to przetrwało Hitlera, Stalina, dziś należy do jednego z moich kuzynów). Przywoływali opowieści swojego ojca a mojego dziadka, który mówić miał o czym, bo na wojnę z bolszewikami poszedł wiosną 1919 a wrócił z niej dopiero po Bitwie Niemeńskiej. Z pisaną formą tej ojczystej a zarazem mojej rodzinnej historii po raz pierwszy spotkałam się czytając „Biuletyn Dolnośląski”. Redaktorem publikującym tak ważne i bliskie mi treści był Kornel Morawiecki.

Mieszkałam tuż przy Gabiszyńskiej, czyli niemal we wrocławskim oku cyklonu wydarzeń lat osiemdziesiątych. W sierpniu 1980 specjalne wydanie „Biuletynu” pojawiało się w klatkach schodowych i na murach. Rok później artykuły Morawieckiego czytać można było z wielkich afiszy plakatowej gazety „Nasze Słowo”. Równocześnie głośno było o redaktorze „Biuletynu” jako głównym sprawcy „Posłania do ludzi pracy Europy Wschodniej”, aresztowanym i stawianym przed sądem za rosyjskojęzyczne gazetki, „podważające so-

jusz z ZSRR”. Po wprowadzeniu stanu wojennego dość szybko okazało się, że jest najważniejszą postacią podziemia. Permanentnie zaciekle poszukiwany ciągle był obecny na łamach bezliku niezależnych wydawnictw a także na falach Radia Solidarność Walcząca. Co jakiś czas jego głos usłyszeć też można było w audycjach Wolnej Europy. I jakże spokojny i rozsądny to był głos. Na pytanie: „Jak długo będzie się pan ukrywał?” odpowiadał „Tak długo, aż mnie aresztują. W końcu to przecież raczej nastąpi”. A jednak nie następowało przez całe lata, choć na ulicach spotkać można było obławy, zmobilizowane wiadomością o prawdopodobnym przebywaniu poszukiwanego w danym kwartale miasta. Co jakiś czas tłumy demonstrantów skandowały jego nazwisko, które wraz z fotografią pojawiało się też w zamieszczanych w reżimowej prasie listach gończych. Kolejne lata bycia nieuchwytnym budowały złudzenie, że „jego to chyba nie złapią nigdy”. Tym większym szokiem była wiadomość, że siepacze z SB w końcu go dopadli. O tym, jak wielką był wtedy legendą świadczyć może ilość opowieści o jego zatrzymaniu, które wówczas zaczęły krążyć. Wg jednej bezpieka miała mieć jakiś niepewny trop, w związku z którym otoczyła całe osiedle i przetrząsała setki mieszkań. Wersja, wg której aresztowany zaprzeczał, jakoby był Morawieckim, jeszcze kilka tygodni później znalazła swój wyraz w „Bożonarodzeniowej Szopce Wrocławskiej”. Jej publikowany w drugim obiegu tekst zawierał słowa: „Jak tu się domagać Kornela uwolnienia, jeśli on sam do siebie się nie przyznaje?” Wiosną 1988 wybuchły strajki, do których dołączyli też studenci. W pękającej w szwach Sali Nehringa wielką satysfakcją było dla mnie jednogłośnie przyjęcie jednego z żądań naszego protestu – prawo deportowanych właśnie Kornela Morawieckiego i Andrzeja Kołodzieja do powrotu do ojczyzny. Reżim się na to nie zgodził – przy próbie powrotu powtórnie wypchnął Kornela za granicę z paszportem, który po jej przekroczeniu tracił swoją ważność. Tak prawa do życia w swojej ojczyźnie pozbawiano człowieka, który zrobił dla niej tyle, co mało kto. Tym większą sensacją był jego nielegalny powrót. Kto wtedy tego nie przeżywał ten nie zrozumie, jak było to wówczas niezwykle. Lecz tym więcej potem zadawano sobie trudu, by tę jakże szlachetną legendę zniszczyć.

Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego, osobistego zetknięcia z tym człowiekiem – legendą, choć nie polegało ono jeszcze na moim bezpośrednim z nim spotkaniu. Nadal się ukrywał, kiedy krótko przed ślubem mój narzeczony powiedział do mnie: „Właśnie dostaliśmy pierwszy ślubny prezent. Od Solidarności Walczącej. Wczoraj, z życzeniami, wręczył mi go Kornel Morawiec-

ki”. Częścią tego prezentu była książka z dedykacją, w której Kornel zwracał się do mnie po imieniu. Powiedzieć, że byłam bezbrzeżnie zdumiona, to nic nie powiedzieć. Największa z legend podziemia obdarowuje nas w związku z naszym wejściem na nową drogę życia! Na pytanie o moje imię w dedykacji Artur odpowiedział: „Nie pytał o nie. On naprawdę jest jak Aleksander Macedoński, który znał imiona wszystkich swoich żołnierzy”.

U schyłku lat osiemdziesiątych zaczęły się jednak dzieła rzeczy, które postrzegałam jako szczyty kuriozalnych nonsensów. Ciskających dotąd kalumnie w Kornela Urbanów i Kiszczałów zastąpili ludzie formalnie związani z opozycją i Solidarnością. Ilość krążących w wielu środowiskach pomówień miała skalę nie pozostawiającą złudzeń, że na pełny regulator uruchomione zostały stare ubeckie metody zwalczania przeciwników. Dały one o sobie znać w czasie pierwszego jawnego wrocławskiego spotkania z Kornelem a jeszcze bardziej podczas zbierania podpisów pod jego kandydaturą przed wyborami w 1990 roku. Na tej samej uczelni, której studenci kilkanaście miesięcy wcześniej tak jednoznacznie solidaryzowali się z więzionym i skazywanym na banicję Kornelem, teraz prośba o podpis pod jego kandydaturą często kończyła się awanturą. Podpisy najlepiej było zbierać w salach przed wykładami. I za każdym razem prędzej czy później pojawiał się ktoś reagujący demonstracyjną agresją. Wśród miotanych obelg najczęściej powtarzały się frazy z propagandy niegdysiejszych rzekomych przyjaciół, którzy po obdarowaniu przez komunistów dostępem do mediów zarzucali Kornelowi „skumanie się” z bezpieczeńką, dążenie do rozlewu krwi, żądze władzy, stawianie oporu „konstruktywnej odbudowie kraju”. Bolesne było to zderzanie się z furią tak krzywdzących nonsensów. Stokroć bardziej bolesna była świadomość, jak straszną krzywdą są one dla Kornela. Pojawiać się też wtedy zaczęły publikacje o zmaganiach z reżimem w latach osiemdziesiątych. Nad nie jedną z nich siedzieliśmy nie wierząc własnym oczom, że tak prędko można przystąpić do tak bezczelnego zakłamywania historii. Artur, siedząc nad kolejnymi „historycznymi opracowaniami”, całkowicie pomijającymi Kornela i jego organizację, albo ich zasługi przypisującymi całkiem komu innemu kręcił głową i powtarzał: „Coś takiego można napisać, w głowie się nie mieści...” Mieszkaliśmy w Obornikach Śl. i korzystając z możliwości darmowego dysponowania salą ośrodka kultury od 1990 roku organizowaliśmy częste spotkania z Kornelem, który przybywał także w towarzystwie Wojciecha Ziemińskiego, Stanisława Srokowskiego, Antoniego Lenkiewicza i innych zacnych postaci. Republika Okrągłego Sto-

tu panowała już wtedy nad wszystkim a jednak nasze spotkania nie odbywały się bez incydentów. Nie było dość nawet tego, że doszczętnie spłonął pęgowski dom Morawieckich.

Kiedy bliżej poznałam Kornela przestałam się dziwić jego skierowanej do mnie dedykacji. Przekonałam się, jak szczerze interesował się losem ludzi. Był organicznie niezdolny do obojętności, stąd i w cuchnącym, agresywnym menelu zawsze widział człowieka, któremu trzeba pomóc. Kiedy dowiedział się, że wraz z naszym synkiem najbliższe miesiące spędzę w Centrum Zdrowia Dziecka, natychmiast zaczął szukać kogoś, kto mógłby nam służyć jakimś wsparciem. Skontaktował nas wtedy z Tomkiem Dangelem, doktorem medycyny, człowiekiem absolutnie wyjątkowym. W którejś z naszych rozmów Tomek powiedział coś, co było jakby wyjęte z moich myśli, tyle że wyrażone konkretnym zdaniem: „Kornel to ktoś dalece więcej, niż działacz czy polityk. On potrafiłby oddać życie za jakiegoś nieznanego sobie człowieka a zarazem ogarnia sprawę dalece większą od uwolnienia świata z pułapek totalitaryzmu”. Wiele razy dane mi było przekonać się o trafności tego spostrzeżenia. Być może to umysł fizyka – teoretyka owocował dystansem do tego czasu i przestrzeni, w których dane nam było zaistnieć. I choć o wielu sprawach mówił, że „to bzdury” paradoksalnie okazywało się, że wg Kornela wszystko, nad czym się trudzimy, ma doniosłą wartość. Był rzecznikiem spójnego światopoglądu, ale nie był niewolnikiem żadnej doktryny. W jego widzeniu świata codzienność miała odniesienia do wieczności, ale każdy z elementów tego świata poddawał nieustannej rewizji. Stąd w dyskusjach rodziły się pomysły, z których godzinami razem się naśmiewaliśmy, bo tak wydawały się szalone, a potem wracaliśmy do ich poważnej analizy. Tak było np. z pomysłem Kornela, by w wyborach każdy miał nie jeden głos, ale kilka i tym samym mógł nimi obdzielić paru kandydatów. Kornel zastrzegał się, że nie jest to żadna jego propozycja, lecz jedynie rodzaj „głośnego myślenia”. Innym przyczynkiem do rozważań była sprawa równości wyborów. Bo być może najbardziej doświadczeni czy zasłużeni jednak takich głosów powinni mieć więcej? Celem tego rodzaju polemik było teoretyczne poszukiwanie jak najbardziej sprawiedliwych i pożytecznych rozwiązań ustrojowych. A tym, o co w takich dysputach chodziło najbardziej, było uświadamianie sobie możliwości tworzenia rozwiązań lepszych od dotąd istniejących. W XVIII wieku to przecież Polska uchwaliła pierwszą nowoczesną konstytucję (amerykańska w ogóle nie powinna być tu brana pod uwagę, bo przecież nawet nie wykluczała niewolnictwa). Jeśli chodzi o sys-

tem republikański czy podmiotowość człowieka – Polska nie uczyła się od nikogo, bo wyprzedzała wszystkich. Czy więc dziś też nie może proponować własnych rozwiązań zamiast naśladować pochodzące z krajów o niewspółmiernie krótszej tradycji prawa, wolności i demokracji?

W dyskusjach z Kornelem często pojawiał się argument: „Może to i dobre, ale przecież nikt tego nie robi.” Zwykle odpowiadał wtedy: „Jeśli nikt tego nie próbował to dlaczego my nie możemy być pierwsi?” Choćby ten jeden okrucieństwo Kornelowego sposobu myślenia warto mieć w pamięci, bo nie raz okazał się on kluczem do urzeczywistniania tego, co wydawało się być nierealne.

Grażyna Adamska



ISTOTA DZIEDZICTWA KORNELA MORAWIECKIEGO

ROZMOWA PORTALU SOLIDARYZM.EU Z ARTUREM ADAMSKIM

Czy da się oddzielić życie prywatne Kornela od polityki?

Zacznijmy od etymologii słowa „polityka”. Znaczy ono: „służba sprawom publicznym”. I przypomnijmy, że dla starożytnych słowo „idiota” oznaczało osobę, która polityką się nie interesowała. Kornel – oczywiście się interesował. A politykę uważał za realizację służby publicznej. I zaczął się nią zajmować w latach głębokiego PRL-u. A zajmował się nią razem z całą swoją rodziną. W jego pierwszych aktywnościach wspierali go ojciec i teść. W tworzeniu „Biuletynu Dolnośląskiego” brała udział żona – Jadwiga. Jednym z pierwszych drukarzy Kornela była jego córka Anna. Zaczynała długo przed Sierpniem 1980, mając kilkanaście lat. A od wprowadzenia stanu wojennego z jednej z drukarni nie wychodziła w ogóle przez prawie cztery miesiące. Bo oni w tej drukarni pracowali 24 godziny na dobę, gospodarze domu donosili im jedzenie, kurierzy dostarczali papier i farbę, odbierali wydruk. Mateusz Morawiecki przy druku pracował już mając zaledwie 12 lat. Zajmował się wtedy rozkładaniem i suszeniem świeżo zadrukowanych kartek, potem ich składaniem w broszury. Tak wyglądało życie rodziny Kornela Morawieckiego. Życie z polityką, ale tą polityką rozumianą właśnie jako – służba publiczna. Wszyscy członkowie tej rodziny służyli Polsce i jak wiemy – robią to do dzisiaj.

Ale to taka służba jak na wojnie?

Można powiedzieć, że Kornel narażał swoją rodzinę, narażał swoje dzieci. Ale Kornel był synem żołnierza Armii Krajowej, w jego rodzinie było wielu żołnierzy AK, w tym warszawskich powstańców. I taka charakterystyczna opowieść z tego powstania się nasuwa o takiej sytuacji, która miała wtedy miejsce w setkach rodzin. Jedyne dziecko mówi rodzicom: „Idę walczyć”. To dziec-

ko jest jedynym, największym skarbem rodziców. I oni odpowiadają: „Jesteś dla nas wszystkim. Ale nie wychowywaliśmy ciebie dla siebie. Wychowywaliśmy ciebie także dla Polski”. Kornel też nie wychowywał swoich dzieci tylko dla siebie.

Co udało się osiągnąć Kornelowi?

Kornel stworzył największą niepodległościową organizację ostatnich dziesięcioleci PRL-u. Sam powtarzał wiele razy: „Nie udało nam się osiągnąć wszystkich naszych celów. Jednak na tym doczesnym świecie sytuacje, stanu idealne nigdy nie występują. Chodzi więc tu tylko o to, by ze wszystkich sił do tych stanów idealnych zawsze jak najbardziej się zbliżyć. I tu sporo osiągnęliśmy. Zbudowaliśmy świat, któremu ciągle daleko do ideału, ale jest to lepszy świat od tego, z którym mieliśmy do czynienia na początku naszej drogi”. Kornel, wraz z organizacją, którą budował i której przewodził, popchnął Polskę w bardzo dobrym kierunku. Z im większego dystansu na tę historię spoglądamy – tym większym okazuje się być to dokonanie. Jego Solidarność Walcząca naprawdę mocno przyczyniła się do erozji sowieckiego systemu. I nie tylko w Polsce, bo po latach o roli tej przypominają władze Czech, Węgier i nawet Tatarzy Krymscy.

Testament Kornela?

Myślę, że on się zawiera w jego mowie sejmowej, jaką jako Marszałek Senior Sejmu RP wygłosił otwierając nową kadencję parlamentu w listopadzie 2015. Mówił o tym, że skończyć trzeba z panoszącym się łajdactwem, prywatą, niesprawiedliwością. W tym zakresie większość sejmowa, do której należał Kornel, wiele osiągnęła. Cokolwiek by powiedzieć o rządzących od roku 2015 – stanowią oni jakoś diametralnie inną od tych, którzy rządili przed nimi. Mówił Kornel o sądownictwie, które nietknięte jakąkolwiek reformą czy weryfikacją przeniesione zostało z PRL-u do Polski nam współczesnej. Podkreślał, że trudno się dziwić tym, że ta skamielina w kolejnych dziesięcioleciach uniemożliwiała sprawiedliwe osądzenie któregośkolwiek z komunistycznych zbrodniarzy a rabunek nieruchomości przyklepywała nie kończącą się serią orzeczeń wołających o pomstę do nieba. Mówił też o potrzebie nowej Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Obecna – jest przecież tylko „stalinowską konstytucją PRL-u z roku 1952 po niezbyt gruntownym liftingu”. Kornel mówił wtedy, że naród, który stworzył kiedyś dzieła tak wielkie, jak Konstytucja Trzeciego Maja, musi mieć konstytucja na swoją miarę. Obecna – taką absolutnie nie jest. Jaka

powinna być? Na pewno prosta, krótka, jasna dla obywateli, nie dająca możliwości różnych interpretacji. Nie będąca pożywką dla różnych patologii. Do jej stworzenia potrzebna jest jednak sejmowa większość, której dziś nie ma.

Czy każdy z Kornela bierze co innego?

Kornel był zwolennikiem solidaryzmu. To była jego idea, jego najbardziej dalekosiężny cel. Ustrój pełnej wolności, w którym ludzie różnych warstw czy klas społecznych nie strzegą egoistycznie swych przywilejów, lecz współpracują i wspomagają siebie, pomimo wszystkich przeciwności. Podobnie brzmią tu ewangeliczne słowa „jedni drugich brzemiona noście”. Oczywiście, że to jest bardzo ambitny ideał. Może go nie osiągniemy, może się tylko do niego – zbliżymy. Ale – nie jest on utopią. Wolność i solidarność – są do pogodzenia.

„Solidaryzm”, październik 2020



KORNEL I JEGO LUDZIE

Bez mała półwiecze tzw. Polski Ludowej w dużej mierze przypominało czasy XIX – wiecznej narodowej niewoli. Z różnych składało się ono okresów. Pierwsze powojenne lata były czymś na kształt Powstania Styczniowego, rzadko zapuszczającego się w ulice miast, lecz kipiącego w lasach i wioskach, w następujących po sobie latach gasnącego za sprawą terroru wszechpotężnych okupantów. Mrok stalinowskiej opresji przenikał się z próbami działania, mogącymi przywodzić na myśl zamierzenia niegdysiejszych pozytywistów. Bo przecież kraj podnieść było trzeba z ruin, choćby i we współpracy z obcymi, narzucającymi swój jakże odpychający porządek. Tak w połowie lat pięćdziesiątych doczekano się pierwszego oddechu wolności, w jakiś sposób podobnego do czasów niegdysiejszego Królestwa Kongresowego czy galicyjskiej autonomii.

Urodzony dokładnie w 150 rocznicę Konstytucji Majowej Kornel Morawiecki dorastał właśnie w tych realiach, tak trudnych do ogarnięcia żyjącym wówczas po przeciwnej stronie Żelaznej Kurtyny czy żyjącym tutaj, lecz urodzonym po przeciwnej stronie amorficznej cezury dziejów, przez którą Polska przebrnęła na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Było to dorastanie na zgłiszczach, wśród tych, którzy w piekle niedawno minionej wojny niejednokrotnie postradali ręce, nogi a jeszcze częściej rozum, nadzieję na lepszą przyszłość, wiarę w sens jakichkolwiek ludzkich zmagających.

Miał niespełna cztery lata, kiedy ojciec zabrał go na spacer po lewobrzeżnej części polskiej stolicy. Była wiosna roku 1945. Okolice kamienicy na

Pradze, w której mieszkał wraz z rodzicami, w większości wojnę przetrwały bez zniszczeń. Natomiast nad przeciwnym brzegiem Wisły panorama miasta przypominała miazgę o barwach cegły przemieszanej z szarym piachem. Od kilku dni do tej robiącej upiorne wrażenie krainy dostać się można było pontonowym mostem, rozpiętym przez saperów krótko po zniknięciu z lustra wody pędzących po niej peletonów białej kry. Przeciwny brzeg witał ciszą, nieprzyjemnym zapachem i nadlatującym wraz z wiatrem pyłem, wdzierającym się do oczu, nosa i gardła. Po dłuższej chwili zaczęli brnąć przez zwaliny gruzów, między wypalonymi ścianami niegdysiejszych kamienic. Ojciec, kojarzący się mu z mocą i bezpieczeństwem, rzeczywiście jego dziecięcą dłoń ścisnął z siłą niemal zadającą ból. Równocześnie wyglądał jednak tak, jak nigdy wcześniej. Dziecku trudno byłoby to wrażenie nazwać, ale dezorientacja i bezradność rodzica zaczynała budzić w nim lęk. Prawdziwy niepokój ogarnął go wtedy, gdy po dotarciu do placu otoczonego zwalami gruzu ojciec zostawił go niemal na jego środku, by samemu wspinać się na sterty pogrucho-tanych cegieł, zmieszanych z kawałkami drewna i okruchami tynków. Po dotarciu na ich szczyt rozglądał się wokół a następnie, nie przywiązując wagi do uszczerbku, jaki to oznaczało dla stanu odzieży, zbiegał w dół, powodując lawiny tłuczywa i unosząc gęste chmury kurzu. Wiele razy powtarzał przy tym to same zdanie: „Boże, nie wiem, gdzie jestem...” Robił wrażenie zrezygnowanego, gdy w końcu powiedział: „Chodźmy, Kornelku...” Dłuższą chwilę później zanurzali się w obustronnie zwieńczony kikutami potrzaskanych ścian wąwóz, ciągnący się między górami gruzów. Nagle jego ojciec zainteresował się ziejącą mrokiem jamą, którą dało się dostrzec poniżej jednego z ciągu gruzowych zwalisk. W ślad za ojcem schodził w ciemność wielkiej, chłodnej piwnicy. Płomienie kolejnych zapatek odkrywały wnętrza, na środku którego stał rząd czegoś przypominającego duże kamienne skrzynie. Jedyny raz w swoim życiu usłyszał wtedy stłumiony głos swojego ojca, który miał brzmienie pełne zarazem przerażenia i rozpacz: „Jezus Maria! Jesteśmy w podziemiach katedry świętego Jana! To są groby polskich królów...”

Wspomnienie tego spaceru było jednym z tych, które niósł potem w sobie przez całe życie. Uzmysławiało cenę, jaką jego ojczyźnie przychodzi czasem płacić za dążenie do podmiotowości. Dowody tak potwornej ceny widział zresztą na każdym kroku. Kiedy jego szkoła z prowizorycznych baraków przeniosła się do przedwojennego budynku, odbudowanego z niedawnych zniszczeń, każda z sal lekcyjnych zdawała się być wypełniona duchami tych, których

stłaczano w nich w latach okupacji. Miejsce to bowiem było jednym z tych, do których Niemcy zwozili przechodniów schwytanych w czasie łapanek. Tam, gdzie wcześniej i później uczono się ojczystego języka czy przyrody, oczekiwano wówczas na decyzję w sprawie dalszego losu. Zwykle zapadała po paru dniach i zasadniczo była jedną z trzech ewentualności: wyjazd do niewolniczej pracy w Rzeszy, uwięzienie w obozie koncentracyjnym albo rozstrzelanie w ulicznej egzekucji.

Każde wakacje Kornel spędzał u rodziny ojca w okolicach Kielc i Jędrzejowa. Każdy z wujków i każda z ciotek a także całe kuzynostwo w odpowiednio starszym wieku był to jeden wielki gejzer wspomnień z lat walki w leśnych oddziałach Armii Krajowej. Był jej żołnierzem także jego ojciec, ale mówił o tym niechętnie. Ryzyko ściągnięcia prześladowań na swoją rodzinę uważał za zbyt poważne. Kornel wiedział więc, że niepodległość to skarb, który jego ojczyzna musi odzyskać, ale że koszt przystąpienia do takich dążeń okazać się może zabójczo drogi. Wśród bezliku książek, jakie czytał, wrażenie największe robiła na nim Biblia a krótko po rozpoczęciu nauki w liceum – „Myśli” i „Pisma londyńskie” Simone Weil. Dzieła tej filozofki i mistyczki tak dalece wydały mu się źródłem odpowiedzi na pytania o sens ludzkich zmaganiań a nawet wskazały drogę wyjścia z sytuacji zdających się wyjścia nie mieć, że rozpoczął intensywną naukę jej ojczystego języka. Znajomość francuskiego umożliwić mu miała poznanie tych prac, które nie doczekały się jeszcze przekładu oraz pełniejsze rozumienie już przetłumaczonych. Nietypowe zainteresowania czternastolatka zwróciły też wtedy uwagę księdza katechety. Zaprosił go do uczestnictwa w zajęciach, formującego się w warunkach półkonspiracyjnych, duszpasterstwa akademickiego. Spotkał się na nich z hermeneutyką biblijną, podstawami teologii, filozofią wielkich myślicieli chrześcijaństwa. Równocześnie uwielbiał zgłębiać nauki ścisłe. Długo przed maturą został bywalcem wykładów dla studentów pierwszego roku matematyki. Kiedy jednak w roku 1958 przyszło mu wybierać kierunek studiów – zdecydował się na zdobywanie kwalifikacji lekarza. Postawił sobie bowiem pytanie: „Jako kto najbardziej się przydam?” I odpowiedź była dla niego jednoznaczna. Jego kraj roił się od schorowanych, okaleczonych, cierpiących ludzi. Wojna, mimo że zakończona już przed ponad dekadą, nadal zbierała swoje żniwo. Egzamininy wstępne na Wydział Lekarski poszły dobrze, ale nazwisko swoje znalazł po nich na liście tych, którzy zdali, ale nie zostali przyjęci z braku miejsc. Brak jednego punktu przesądził o innym kierunku kształcenia. Jeszcze w tym samym roku ubiegać się

można było o przyjęcie w poczet studentów Uniwersytetu Wrocławskiego i parę tygodni później zwycięskie egzaminy otworzyły przed nim perspektywę zostania fizykiem.

W nowym mieście od razu poczuł się jak u siebie w domu. Ruiny wrocławskie do złudzenia przypominały warszawskie. Na przekór upiornym pejzażom jego życie stawało się coraz bardziej intensywne. Pływał zarówno wpław, jak też jako sternik jachtowy, pokonywał długie górskie szlaki, wstuchiwał się w wykłady i zanurzał w lekturze dzieł z różnych dyscyplin. Jedną z pierwszych osób, jakie we Wrocławiu bliżej poznał, była pochodząca ze Stanisławowa Jadwiga. Zbliżyły ich poglądy na otaczającą rzeczywistość, wybór kierunków kształcenia, sposobów spędzania wolnego czasu a nawet wspólne uwielbienie dla muzyki Fryderyka Chopina. Kornel miał osiemnaście lat, kiedy zaproponował połączenie sakramentem małżeństwa. Kilkanaście miesięcy po ślubie, zawartym w niedawno dźwigniętej z ruin katedrze, przyszło na świat pierwsze z ich pięciorga dzieci. Pytany po latach o przyczyny tak szybkiego kroczenia drogą swojego życia odpowiadał, że nie tylko był pewien słuszności swych decyzji, ale też towarzyszyło mu poczucie kruchości życia. Być może otaczająca go sceneria świata stratowanego wojennym kataklizmem jakby podpowiadała mu, że wszystkiego w swoim życiu powinien dokonać szybko. Ilość czasu, jaki miało się mieć przed sobą, zdawała się bowiem być nad wyraz niewiadoma. Wrażenie to pogłębiało się wraz z ze studiami, uświadamiającymi siłę zniszczenia, drzemającą w intensywnie rozbudowywanych arsenałach nuklearnych. Równocześnie proza życia polegała na zamieszkiwaniu wraz z rodziną w małym lokalu jednej z kamienic – ostańców Śródmieścia.

Wydarzenia roku 1968 zastały go jako doktoranta, cieszącego się w Instytucie Fizyki uznaniem i sympatią zarówno studentów, jak i kadry naukowej. Kiedy wrocławskie uczelnie przyłączyły się do protestów, w przeciwieństwie do stolicy nie mających związku z rozgrywkami frakcji komunistycznej nomenklatury, lecz powszechnie rozumianymi jako walka o wolność, znalazł się w samym centrum tego ruchu. Za rzecz szczególnie dla niego istotną uznał stworzenie choć namiastki środków przekazu. Wobec braku innych możliwości tekst informacji o wydarzeniach pisał na arkuszach brystolu, fotografował i powielał metodą, jaką wywołuje się zdjęcia. Tą samą w kolejnych miesiącach kopiował rozrzucając potem w czasie pierwszomajowego pochodu i krążące po mieście żądania zaprzestania represji. Dosięgły one setek uczestników strajków i demonstracji. W świecie nauki największym obrońcą prześladowanych

okazał się być prof. Alfred Jahn, jako rektor Uniwersytetu Wrocławskiego niezlomnie sprzeciwiający się żądaniom wyciągania konsekwencji wobec studentów i pracowników jego uczelni.

O inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację Kornel dowiedział się w czasie pobytu w podwrocławskim Wilczynie Leśnym. Mieszkając tam rodzinę znał od dzieciństwa jako zaangażowaną w Armię Krajową podobnie, jak Morawieccy. Pomysł protestu zrodził się natychmiast i już pierwszą noc hańby ludowego wojska Kornel wraz z osiemnastoletnim Wojtkiem Winciorkiem wypełnił malowaniem dziesiątek wielkich napisów wzdłuż łączącego Oborniki Śląskie z Wrocławiem odcinka jednej z najruchliwszych linii kolejowych w Polsce. Praska Wiosna upadła podobnie, jak polski Marzec, ale wydarzenia te przynosiły owoce choćby w postaci doświadczeń, zdobywanych przez ludzi takich, jak Kornel. W 1969 roku żałobne klepsydry, poświęcone Janowi Palachowi, powielał już nie metodą fotograficzną, ale na ramce wyposażonej w matrycę białkowe. W sprawie zmasakrowania robotników Wybrzeża wypowiadał się już nie tylko hasłami na murach czy fotografiami z tekstem, ale dużym nakładem pism ulotnych, powielanych coraz bardziej efektywnymi technikami małej poligrafii. Jeszcze ważniejsze okazywało się stałe poszerzanie kręgu przyjaciół – współpracowników, z którymi na kolejnych etapach podejmować będzie można aktywności o stale rosnącej skali.

Potrzeba działania na rzecz ojczyzny nie zwalniała z obowiązku zaspokojenia tak elementarnej potrzeby rodziny, jaką jest dom. Trzydziestometrowe lokum to przecież nad wyraz mało dla małżeństwa z czworgiem dzieci i teściem. Obiecującą naukową przyszłość fizyka zamienił więc na pracę wykładowcy matematyki na Politechnice, obiecującej przydział służbowego mieszkania. Wiarę w dotrzymanie tej zapowiedzi miał umiarkowaną. Jak się okazało słusznie, gdyż oczekiwanie na klucze do tegoż lokalu trwało dziesięć lat. Nie spodziewając się, by trwać to miało krócej, sytuację swojej rodziny postarał się poprawić innym sposobem. Skorzystał z nadarzającej się okazji zakupu kawałka ziemi, położonego nieopodal wioski Pęgów, pod lasem, około dwudziestu kilometrów na północ od Wrocławia. Z kupowanych za grosze stropowych belek z wyburzanych ruder powoli składał dom, mający służyć pobytom sobotnio-niedzielnym i wakacyjnym. Miejsce to, które szybko stało się istną mekką bezliku bliższych i dalszych znajomych, zwane być zaczęło „Kornelówką”. Drewniany dom z czasem nadawał się do zamieszkiwania całorocznego a dzięki wspólnemu trudowi rodziny, pomocy przyjaciół wrocławskich

i nowych, pochodzących z okolicznych miejscowości, otoczony został sadem, ogrodem, pszczelą pasieką, polem pszenicy. Nade wszystko „Kornelówka” stała się ośrodkiem spotkań, często całonocnych debat przy ognisku lub kominiku, w czasie których o swoim losie opowiadali chłopci z Zajączkowa czy Wilczyńska a rozwój sytuacji politycznej czy gospodarczej przewidzieć próbowali profesorowie uniwersytetu. To w tym gronie na początku 1979 roku zrodził się pomysł wspólnego wyruszenia na trasę pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny, by w jak największej liczbie miejsc odwiedzanych przez papieża pojawiać się z wielkim transparentem „Wiara i Niepodległość”. Grupa ta, złożona z naukowców, rolników, młodzieży i obywatela USA zatrudnionego kontraktowo na politechnice, pojawiła się na warszawskim Placu Zwycięstwa, by potem pociągnąć za sobą tłum na ulicach stolicy. W Częstochowie odpierać musiała nagły atak Służby Bezpieczeństwa i wymykać się z zorganizowanej przez nią obławy. W Krakowie, w którym wielkiego rodaka żegnały tłumy wyjątkowo liczne, spotkała się z grupami niosącymi transparenty o podobnej treści.

W tym samym roku Jan Waszkiewicz zaczął wydawanie „Biuletynu Dolnośląskiego”. Drukarze i kolporterzy tego ukazującego się poza zasięgiem cenzury miesięcznika natychmiast stali się celem permanentnych represji. Powierzenie dalszego losu periodyku ręką Kornela całkowicie odmieniło jego los. Przede wszystkim nowy redaktor naczelny stwierdził, że niezależny ruch wydawniczy tak długo będzie padał ofiarą komunistycznych prześladowców, jak długo proporcje sił reżimu do liczebności opozycjonistów będą tak niekorzystne, jak to wyglądało u schyłku lat siedemdziesiątych. Powtarzał, że jedyną szansą wolnego słowa jest odwrócenie sytuacji, w której na jednego jego drukarza przypada stu jego wrogów. Kolejnym przyjaciółom mówił: „Potrzebujemy nie setek, ale tysiący drukarzy drugiego obiegu. A najlepiej, by możliwością drukowania dysponował każdy”. Zamyśl ten szybko zaczął przynosić owoce – pojawili się konspiracyjni nauczyciele druku, skutkiem czego zespoły małej poligrafii wyrastać zaczęły wśród kolegów z uczelni, studentów, rolników z Pęgowa i okolic, robotników, artystów czy hipisów, którzy własne gazetki redagowali i powielali we Wrocławiu już w roku 1973. Za najlepszą z technik poligraficznych Kornel uznał sitodruk. Wymagał on wysokich umiejętności, ale wręcz żadnego trudnodostępnego sprzętu. Wszystkie niezbędne materiały można było sporządzić z surowców, do których nawet w PRL-u dostęp miał każdy. Sztuka starannego sporządzania światłoczułej emulsji, nasączenia nią odpowiednio naciągniętej szyfonowej tkaniny, naświetlania przez ściśle okre-

śloną liczbę minut dawała owoce w jakości druku wielokroć lepszej od powielaczowej i tysiącach stron, możliwych do powielenia przez jedną osobę w ciągu jednego dnia. Nie była przy tym dotkliwą stratą konfiskata całego drukarskiego sprzętu, który kosztem rządu kilku złotych w ciągu kilku godzin w całości mógł być odtworzony. Równie istotne okazały się żelazne zasady konspiracji, wpajane przez Kornela kolejnym ekipom drukarzy. Praca nad kilkudziesięciostro-nicową broszurą o kilkutyśiecznym nakładzie zwykle zajmowała paru ludziom parę dni. Normą stało się wchodzenie takiej ekipy do wskazanego mieszkania, którego drzwi otworzyć było wolno dopiero po to, by po wykonanym zadaniu lokal ten opuścić. Każde wyjście osoby w danej kamienicy czy bloku nieznanej oznaczało bowiem ryzyko wzbudzenia zainteresowania sąsiadów. Na czas pracy drukarze zawsze musieli więc mieć zgromadzoną dostateczną ilość jedzenia, napojów czy papierosów. Nie zapominano też o słodyczach czy tabletkach od bólu głowy. Długo trzymano się zasady, by w jednym miejscu drukować tylko raz. Kolejne bowiem nietypowe hałasy, zapachy, kolejni nieznajomi widywani przez sąsiadów to generowanie zbędnego ryzyka. Te i inne rygory przyniosły skutek m.in. w takiej postaci, że ani wprowadzenie stanu wojennego ani inne fale represji nie zdołały zakłócić wydawania „Biuletynu”, ukazującego się od tej pory z regularnością szwajcarskiego zegarka przez jedenaście lat. Pismo rozwijało się też pomimo trudności innego rodzaju. Jego wydawanie wymagało ponoszenia oczywistych kosztów, stąd przez parę miesięcy korzystano z przeznaczonego dla niezależnych wydawnictw funduszu, znajdującego się w dyspozycji Komitetu Obrony Robotników. W grudniu 1979 Kornel przybył na jego spotkanie z propozycją, by zajął on stanowisko w sprawie agresji Związku Sowieckiego na Afganistan. Wielkich nadziei na wydanie przez KOR jakiegokolwiek oświadczenia nie miał. Kilka miesięcy wcześniej w sprawie pielgrzymki ojca świętego usłyszał przecież od tych ludzi pełne lekceważenia oceny, że „przyjedzie, pojedzie, no i co z tego?” Tym razem nie tylko dowiedział się, że żadnego stanowiska w sprawie Afganistanu nie będzie, ale też, że KOR nie życzy sobie, by wydawał je też ktokolwiek inny. Kornel jednak uważał, że Polacy mają wręcz obowiązek w sprawie tej się wypowiadać, czemu dał wyraz na łamach „Biuletynu” w styczniu 1980. Odpowiedzią KOR-u było natychmiastowe wstrzymanie wszelkiej pomocy dla dolnośląskiego periodyku, co jak się okazało, wyszło mu na dobre. Konieczność samofinansowania zmusiła redakcję do podniesienia ceny, ale równocześnie wprowadziła ona system prowizji za kolportaż. Zasada ta przyniosła duży wzrost sprzedaży a zwiększone wpływy pozwoliły powiększać zarówno objętość, jak i nakład pisma. Doświadczenie

to okazało się zbawienne także w połowie 1982 roku, kiedy to nowa organizacja, tworzona pod kierownictwem Kornela, została odcięta od wszelkich środków Solidarności.

„Biuletyn Dolnośląski” udostępniał swe łamy różnym opiniom, skupił nie tylko świetne pióra, ale też doskonałych organizatorów i istnych tytanów pracy podziemnej. W sierpniu 1980 jego numer specjalny, zawierający listę gdańskich postulatów i apel o przyłączenie się do protestu zainicjowanego na Wybrzeżu, kolportowany był w rekordowych ilościach egzemplarzy. Sam Kornel był wtedy poszukiwany przez SB i w znanym sobie miejscu zajmował się powielaniem swojego pisma aż do dnia, w którym dołączyć mógł do generalnego strajku, jaki ogarnął także Dolny Śląsk. Jego późniejsze zaangażowanie w NSZZ Solidarność nie oznaczało mniejszej troski o „Biuletyn”. Przeciwnie – szesnastym miesiącu posierpniowej wolności wykorzystał do rozbudowy kadrowej, lokalowej i sprzętowej bazy swego pisma. Rozwijała się ona bardzo dynamicznie przy ciągłym zachowaniu najściślejszych zasad konspiracyj. Doniosłą rolę odegrało ono w czasie I Zjazdu Delegatów, kiedy to na jego łamach Kornel umieścił treść przywiezionego przez Mikołaja Iwanowa z Moskwy „Pośłania do Zjazdu”, którego autorami byli działający w ukryciu związkowcy rosyjscy. Kierujące obradami prezydium słyszeć nie chciało o propozycji oficjalnego odczytania listu. Jego treść uczestnicy zjazdu poznali jednak z łam „Biuletynu”, w czego efekcie tłumnie nie tylko zażądali upublicznienia głosu rosyjskich przyjaciół, ale też wyrażającej polską solidarność odpowiedzi. Miała ona postać „Pośłania do ludzi pracy Europy wschodniej”. W czasie zjazdu Kornel zaczął też współtworzyć komisję o nazwie „Związek wobec zagrożeń”, w imieniu której natychmiast informował przywódcze gremia Solidarności o czynionych przez reżim przygotowaniach do walnej rozprawy z ruchem działającym na rzecz podmiotowości Polski i Polaków. Wiedzę o tym zagrożeniu czerpał od niegdysiejszego pływackiego mistrza świata, Marka Petrusewicza. Przyjaciela tego Kornel z trudem powstrzymywał przed zaangażowaniem się w ruch Solidarności. Uważał bowiem, że jako działacz wojskowego klubu sportowego, od wielu lat mającego bliskie relacje z wysokimi szarżami kadry oficerskiej, może on być bezcennym źródłem wiedzy o planach aparatu przemocy. Jesienią 1981 niepokojące informacje napływające od Petrusewicza poważnie potraktowano jedynie we Wrocławiu, gdzie Solidarność wypłaciła z banku i ukryła wszystkie posiadane pieniądze, pozwalając zarazem Kornelowi poukrywać, wraz z zapasami papieru, także cały zapasowy sprzęt poligraficzny. Przygotowania, czynione

na wypadek otwartej konfrontacji z reżimem, zakłóciło aresztowanie Kornela pod zagrożonym nawet karą śmierci zarzutem podważania sojuszu ze Związkiem Sowieckim. Tak właśnie zinterpretowane zostały redagowane przez szefa „Biuletynu” rosyjskojęzyczne gazetki, w których stacjonujących w Polsce żołnierzy Armii Radzieckiej informował on, że ruch Solidarności urzeczywistnia zasadę „za naszą i waszą wolność”, działając w interesie wszystkich narodów zniewolonych komunizmem. Szczęśliwie liczyć wówczas można było na Solidarność, pod naciskiem której Kornel został zwolniony z aresztu, zyskując prawo odpowiadania przed sądem z wolnej stopy. Proces ruszył zresztą niemal natychmiast a kolejna jego odsłona miała mieć miejsce 15 grudnia 1981. Już parę tygodni wcześniej Kornel dzielił się ze swoimi współpracownikami obawą zbliżania się frontalnego ataku, w związku z którym należy unikać nocowania w miejscach zamieszkania, przygotować sobie miejsca ukrywania się i być gotowym do działania w realiach masowych brutalnych prześladowań.

Owocem trzeźwej oceny sytuacji było to, że po wprowadzeniu stanu wojennego środowisko Kornela natychmiast zafunkcjonowało jako podziemna organizacja zdecydowanie najlepiej przygotowana do działania w zaistniałych warunkach. W związku z uwięzieniem redakcji „Z Dnia na Dzień”, głównego pisma Solidarności Polski południowo – zachodniej, Kornel sformował nową redakcję z Romkiem Lazarowiczem, współpracownikiem z „Biuletynu”, na jej czele. Powielanie pierwszego „wojennego” numeru ruszyło już 13 grudnia 1981 w tajnej drukarni Wieśka Moszczaka. Kolejne numery wychodziły ze stale wzrastającej liczby tajnych punktów poligrafii, przy ciągle wzrastającym nakładzie, co dwa dni. Skutkiem tego pismo to, pod względem osiągniętej numeracji, stało się krajowym rekordzistą drugiego obiegu. Obok niego kierowana przez Kornela drukarsko-kolportażowa siatka Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność Dolny Śląsk wydawać zaczęła kolejne gazetki, co razem składało się na dysponujący ogromnym zasięgiem obieg niezależnej informacji, upowszechnianej pomimo obowiązywania prawa wojennego. Łączność ogniom społecznego oporu zapewniali nie tylko kurierzy, ale też środki techniczne. Sąsiadujące ze sobą tajne drukarnie łączyły czasem kable polowych aparatów telefonicznych. Dzięki temu treść wpisywana w matryce jednej z drukarni mogła się pojawiać równocześnie na matrycach przygotowywanych w kolejnej. Wprowadzenie stanu wojennego nakładało na krótkofalowców oddanie w depozyt sprzętu radiowego. Nie wszyscy jednak do tego zarządzenia w pełni się zastosowali, co umożliwiło komunikowanie

się struktur konspiracji krótkimi zaszyfrowanymi emisjami sygnału radiowego. Okazało się też, że teoretycznie nieczynny już satelita telekomunikacyjny Oscar-7 mógł być wykorzystywany jako niemożliwy do zablokowania kanał komunikujący najdalej od siebie położone jednostki. Już w pierwszych dniach stanu wojennego zaczęła też działać konspiracyjna komórka, zwana później kontrwywiadem. Początkowo opierała się na podsłuchu częstotliwości radiowych za pomocą przyniesionych Kornelowi przez Tadeusza Świerczewskiego krótkofalówek, wymontowanych z wycofanych z użytkowania karettek pogotowia. Jan Pawłowski, z którym przez dekadę Kornel dzielił ten sam pokój w Instytucie Matematyki, rozwinął ją do rozmiarów agencji nagrywającej i analizującej wszystkie komunikaty radiowe komunistycznych organów walki ze społeczeństwem, jakie o każdej porze dnia i nocy pojawiały się na terenie Wrocławia i okolic. Ich przechwytywanie w niezliczonej ilości przypadków umożliwiało wyprzedzenie działań Służby Bezpieczeństwa, co najczęściej oznaczało uchronienie kogoś przed aresztowaniem.

Dynamiczny rozwój przeróżnych form podziemnej działalności, wystających w strukturach kierowanych przez Kornela, był owocem jego życiowej drogi, w czasie której pożytkował czerpaną z doświadczeń wiedzę o praktyce konspiracji w kolejnych niezależnych aktywnościach, angażujących co raz to nowych ludzi. Byli wśród nich przedstawiciele przeróżnych środowisk, ale rolę największą odgrywali młodzi naukowcy dziedzin technicznych i ścisłych. Kreatywne umysły, w PRL-owskich realiach często blokowane barierami urzędniczymi lub nieprzystawalnością proponowanych innowacji do standardów ociążałej, centralnie sterowanej gospodarki, w podziemiu znajdowały przestrzeń do najśmielszych eksperymentów i realizacji pomysłów mogących uchodzić za szalone. Sprzyjała temu fundamentalna zasada Kornela, który pytającym o to, czym mają się zajmować w podziemiu odpowiadał: „Rób to, od czego upadnie komunizm”. Zawierająca się w tych słowach zasada wolności wyboru w istocie oznaczała, że każdy decydujący się na ryzyko ściganej przez reżim działalności sam wybierał formy walki odpowiadające jego możliwościom i kompetencjom. Tym samym każdy określał też rozmiar czasu, jaki sprawie mógł poświęcać, co ograniczało ewentualność wzajemnych pretensji między współpracownikami. Zasada taka sprawiała też, że w samodzielnie wybieranych formach działalności ludzie najtrafniej się odnajdywali. Wy-sportowani poszukiwacze mocnych wrażeń tworzyli Grupy Wykonawcze, specjalizujące się w akcjach ulotkowych, malowaniu napisów na murach, rozwie-

szaniu transparentów czy tzw. „gadał”, czyli głośników emitujących audycje nad ulicznym tłumem. Miłośnicy militariów czy sztuk walki formowali oddziały, których celem było stawianie czynnego oporu w czasie tłumionych przez ZOMO demonstracji. Grupa elektroników zaproponowała zbudowanie pirackiej rozgłośni radiowej. Pierwsze próbne emisje miały miejsce już w grudniu 1981, po czym rozważano podłączanie aparatury do sieci trakcji tramwajowej, mającej służyć jako wielka antena nadawcza. Osoby z zacięciem dziennikarskim, pragnące dyskusji o kształtach drogi do niepodległości i ładzie przyszłej wolnej Polski, analitycy biegli w ekonomii czy politologii – tworzyli własne pisma, służące prezentacji często bardzo zróżnicowanych poglądów. Następstwem tego było wydawanie przez podziemny krąg Kornela zarówno periodyków prezentujących poglądy narodowe, propagujących idee solidaryzmu, jak też postulujące tak dalece liberalny program gospodarczy, jak np. miesięcznik „Replika”. Wielorakość poglądów w środowisku budowanym przez Kornela nigdy nie okazała się być zarzewiem podziałów. Wolności dyskusji towarzyszyła natomiast powszechna zgoda z celami tak zasadniczymi, jak całkowita likwidacja wszystkich znamion komunizmu i pełna niepodległość Polski.

Równolegle z rozwojem kierowanych przez Kornela struktur konspiracji narastał konflikt z władzami zepchniętego do podziemia związku Solidarność, którym w sensie głównie symbolicznym struktury te podlegały. Pierwsza różnica zdań dotyczyła scentralizowanego przywództwa narodu uwikłanego w wojnę polsko-jaruzelską. Kornel uważał za konieczne powołanie czegoś w rodzaju Rządu Narodowego z czasów Powstania Styczniowego, stąd w utworzonym przez Eugeniusza Szumiejkę Ogólnopolskim Komitecie Oporu widział szansę koordynowania walki w skali całego kraju. Inicjatywa ta, najgrubszymi obelgami obrzucona przez Zbigniewa Bujaka, doczekała się kontynuacji w postaci Tymczasowej Komisji Koordynacyjnej dopiero po kilku miesiącach, kiedy reżim zdołał już zapanować nad sytuacją a społeczeństwo pogrążało się w beznadziei. Pogłębiały ją forsowane przez niektórych liderów związkowych formy protestu wymyślone jakby na zamówienie aparatu represji. Jedną z nich były piętnastominutowe strajki, pozwalające władzom wyselekcjonować, zwolnić z pracy, objąć nadzorem potencjalnych prowodyrów. Na Dolnym Śląsku kroplą, która przelała czarę goryczy, był sprzeciw formalnego przewodniczącego Regionalnego Komitetu Strajkowego wobec organizowanych na 1 i 3 maja w całym kraju manifestacji ulicznych. Sprzeciw Frasińskiego dla wrocławian zakończył się wstydem, z jakim przyglądali się w tych

dniach relacjom z miast wstrząsanych wielotysięcznymi demonstracjami. Po-wszechna świadomość zdezerterowania z pola bitwy podkopała autorytet li-dera RKS-u a krąg skupiony wokół Kornela tego rodzaju ustępowanie pola przeciwnikowi uznał za zapowiedź dążenia do zawarcia ugody z reżimem. Majowe spotkania przywództwa dolnośląskiej Solidarności obawy te jedynie umocniły, w efekcie czego 1 czerwca 1982 ogłoszone zostało utworzenie Po-rozumienia Solidarność Walcząca. W otwierającym jego działalność oświad-czeniu Kornel stwierdził, że uznaje ono przywódczą rolę Solidarności, ale za-strzega sobie prawo do krytyki i własnej inicjatywy a organizacja, na czele której staje, działać będzie aż do wywalczenia przez Polskę pełnej niepodle-głości i likwidacji imperialnego tworu państwowego, funkcjonującego pod nazwą Związek Sowiecki. Wszystkim związanym z wydawniczo-kolportażo-wą strukturą RKS-u pozostawił wolny wybór swojej dalszej działalności, któ-rą mogło być pozostanie w związku, któremu na Dolnym Śląsku formalnie przewodniczył Frasyński, wstąpienie do Solidarności Walczącej albo łącze-nie ze sobą obydwu tych aktywności. Niemal wszyscy, których nazywano już „ludźmi od Kornela”, wybrali dla siebie jeden z dwóch ostatnich wari-an-tów niniejszej propozycji. 13 czerwca 1982 na ulice Wrocławia wyszła pierw-sza manifestacja, zorganizowana przez formację postrzeganą od tego czasu jako awangarda antykomunizmu. Zaatakowany pochód przeobraził się w za-ciekłe rozruchy, które do późnych godzin nocnych ogarnęły dużą część mia-sta. Zabarykadowanie kilku ulic doprowadziło do sytuacji, w której Plac Pe-reca wraz z okolicami przez dłuższy czas wydawał się być wyłączony spod ju-rydykcji totalitarnego państwa. W pamięci wielu uczestników tych wyda-rzeń utrwaliło się wrażenie odniesienia terytorialnie i czasowo bardzo ogra-niczonej, lecz jednak rzeczywistej przewagi nad reżimem. Z oczywistą świa-domością przesady zawartej w tym określeniu o wydarzeniach pamiętnego dnia zaczęto mówić jako o „pierwszym powstaniu wrocławskim”. W całym kraju odbiło się ono głośnym echem i otworzyło ciąg permanentnych zma-gań ulicznych, które przygaśły dopiero w połowie lat osiemdziesiątych. Do największej z cyklu demonstracji doszło 31 sierpnia 1982, kiedy to dziesiątki tysięcy wrocławian wypełniły ulice kilku dzielnic miasta. Ataki sił milicyjnych paraliżowały setki kolczatek, rzucanych pod koła pojazdów i emisja zakłó-ceń utrudniających łączność radiową. Cogodzinne relacje z wydarzeń usły-szeć natomiast było można z audycji Radia Solidarność Walcząca, włączają-cego się w eter trzeciego programu państwowej radiofonii.

Śmiała oferta programowa, połączona z imponującą skalą dokonań, uruchomiła proces przypominający akcję scaleniową, która 40 lat wcześniej doprowadziła do utworzenia Armii Krajowej. Do Solidarności Walczącej włączały się formacje o sporym już dorobku, takie jak Narodowa Organizacja Wyzwoleńcza „Lechia”. Struktury identyfikujące się z programem ludzi Kornela wyraść zaczęły w kolejnych miastach i regionach Polski. Procesu tego nie zatrzymały nawet takie fale represji, jak uwięzienie w roku 1984 ponad stu działaczy Solidarności Walczącej, z których blisko czterdziestu reżim zdecydował się postawić przed sądem. Nie okazały się być przeszkodą dla rozwoju organizacji niedostatki finansowe. Środki na działalność pozyskiwano ze sprzedaży pełniących „cegiełek” znaczków, banknotów czy kalendarzy. W kilku krajach Zachodu powstały też zagraniczne przedstawicielstwa, organizujące przemysł głównie unikatowych podzespołów do elektronicznych urządzeń, służących walce z reżimem. Do kraju trafiały po wlotowaniu w wielkorozmiarową aparaturę, sprowadzaną dla potrzeb szpitali. Zanim jednak zaczęła ona pełnić właściwą sobie rolę – elektrycy Solidarności Walczącej wylutowywali z niej to, co było przeznaczone dla nich. Część tego „odzysku” służyła do konstruowania całych sieci nadajników radiowych, umożliwiających nadawanie audycji z kilku punktów równocześnie. Wielość źródeł sygnału utrudniała zadanie radiopelengacji, zarazem zwiększając zasięg odbioru. Wielkie pelengacyjne anteny, trudem służb reżimu wznoszone na dachach najwyższych budynków miasta, wyglądały jak wielka demonstracja bezradności władz niezdolnych do stłumienia wolności słowa, szerzącej się na falach eteru.

Charakterystyczną dla Solidarności Walczącej była historia wykorzystywania dla swych celów radioodbiornika „Julia”, produkowanego w warszawskich zakładach Kasprzaka. Ze schematem tego nowoczesnego na owe czasy radia do ukrywającego się Kornela zwróciło się paru z licznych działających w jego organizacji elektroników. Wskazali oni na możliwość drobnych modyfikacji, które radioodbiornik ten przekształcałyby w profesjonalny skaner, automatycznie przeczesujący wszystkie częstotliwości, wykorzystywane przez służby reżimu. Po zakupie partii tych radioodbiorników i uzupełnieniu ich zawartości o odpowiednio dolutowane elementy przemycane z Zachodu, „Julie” mogły służyć zarówno do słuchania audycji, jak i do podsłuchiwania radiowych rozmów służb reżimu. Tę drugą funkcję uruchamiano wciśnięciem dwóch odpowiednich klawiszy. Parę egzemplarzy tak udoskonalonych „Julii” Solidarność Walcząca podarowała konspiratorom działającym w struk-

turze Regionalnego Komitetu Strajkowego. Wręczając ten prezent z wielką mocą podkreślano konieczność przedstawienia odbiornika na tryb standardowy zawsze, gdy w mieszkaniu miał się pojawić ktokolwiek niezwiązany z konspiracją. Niestety, jedna ze współpracowniczek Władysława Frasyniuka nie dopełniła tej prostej czynności w czasie pukania do drzwi jej mieszkania. A okazało się, że przyszła właśnie do niej na rewizję ekipa z SB. Po chwili z radioodbiornika z włączoną funkcją podsłuchowego skanera usłyszała ona głos swojego przełożonego. Tym sposobem służby reżimu dowiedziały się o skali radiowego sposobu pozyskiwania wiedzy o ich działaniach. Zmusiło je do szyfrowania swoich komunikatów a kontrwywiad Solidarności Walczącej – do ich rozszyfrowywania.

Kiedy po latach niegdysiejszych konspiratorów pytano, czym było dla nich podziemie, często odpowiadali, że w kolejnych latach coraz większym oceanem poświęcanego czasu i coraz większym mozołem. Pomimo tego Solidarność Walcząca nie tylko trwała przez kolejne lata, ale jej działalność owocowała licznymi innowacjami zarówno w spektakularnych działaniach politycznych, jak i w rzemiośle konspiry. Jako pierwsza w kręgach opozycji rozpoczęła ona kolportaż serwisów informacyjnych na komputerowych dyskietkach. Uruchomiła niemal seryjną produkcję składanych sitodrukowych ramek, które po rozłożeniu uchodzić mogły za kilka niewinnych rurek i śrubek, możliwych do zmieszczenia w rękawie marynarki. Zakupione przez Politechnikę Wrocławską kserografy z funkcją kopiowania nie tylko na papierze, ale i plastiku, natychmiast wykorzystane zostały do produkcji diapozytywów, służących drukowi podziemnych wydawnictw. Te i inne rozwiązania sprawiły, że pomimo znużenia konspiratorów trudem trwającej długie lata działalności ich organizacja nadal zaskakiwała dynamiką i nowymi formami swej aktywności. Coraz bardziej spędzała też sen z powiek sternikom aparatu kontroli nad społeczeństwem. Nazywany pierwszym milicjantem PRL-u gen. Czesław Kiszczak w roku 1985 doszedł do przekonania, że długotrwała nieuchwytność Kornela Morawieckiego musi mieć przyczynę w spenetrowaniu przez jego ludzi wrocławskich organów Służby Bezpieczeństwa. Zarządzony przegląd kadr spowodował wydalenie dziesiątek funkcjonariuszy, wśród których nie było jednak nikogo ze współpracowników podziemia. Kolejnym krokiem była zgoda na nieograniczoną działalność operacyjną enerdowskiej STASI na terenie zachodniej Polski. Równocześnie Kiszczak wydał bezprecedensową decyzję użycia wszystkich sił i środków w celu rozbicia Solidarności Walczącej oraz ujęcia jej prze-

wodniczącego. Szef PRL-owskiego MSW do Wrocławia skierował oddział specjalny, mający zakaz kontaktu z wrocławską SB. Za bazę lokalową służyć jej miał m.in. jeden z hoteli. Kontrwywiad Solidarności Walczącej szybko zorientował się, że w mieście operować zaczęły nowe jednostki, słabo znające jego topografię. Zarówno określenie ich liczebności, jak i ustalenie przyjętych strategii utrudniane było minimalizowaniem przez nowych w mieście esbeków ich łączności radiowej. Jak się później okazało plan specjalnego oddziału Kiszczaka był prosty. Po ustaleniu listy kilkudziesięciu miejsc, co do których zachodziło podejrzenie, że kiedyś przebywać w nich mógł Kornel Morawiecki, każde z nich poddano ścisłej, całodobowej i permanentnej obserwacji. Zaangażowanie wielkich środków operacyjnych oraz cierpliwość dziesiątek ludzi Kiszczaka zostały wynagrodzone po upływie około roku. 9 listopada 1987 wieczorem Kornel Morawiecki siedł na konspiracyjne spotkanie, mające mieć miejsce w jednym z bloków przy ul. Zielińskiego. Wiedział, że parę lat wcześniej miejsce to było obserwowane przez SB. Nie docenił jednak skali zorganizowanej przeciw niemu operacji. Minęło ledwie kilka minut, gdy okolica wypełniła się pojazdami służb specjalnych. Po blisko sześciu latach nieprzerwanej obławy bezpieczeństwa dopadła wreszcie najintensywniej poszukiwanego w całym kraju człowieka. Jeszcze przed świtem, przykuty do wnętrza wojskowego śmigłowca, przemierzał drogę do warszawskiej centrali komunistycznego aparatu represji.

Aresztowanie Kornela dla członków jego organizacji było ciosem o charakterze emocjonalnym, ale w najmniejszym stopniu nie zakłócającym działania jakiegokolwiek ze struktur. W wywiadach, których udzielał podziemnej prasie, wielokrotnie powtarzał, że ukrywał się będzie tak długo, aż zostanie aresztowany. Podkreślał, że mimo iż termin tego zdarzenia ze wszystkich sił starał się będzie opóźnić, to jednak nieuchronnie kiedyś fakt ten nastąpi. Organizację swą budował więc w sposób umożliwiający jej sprawne funkcjonowanie także wtedy, gdy osoby przewodniczącego zabraknie. Solidarność Walcząca działała więc nie zwalniając obrotów, lecz przyszłość Polski rozstrzygać się zaczęła drogą porozumienia, zawieranego przez reżim z częścią kręgów opozycyjnych i znacznie liczniejszymi gremiami, którym za opozycyjne udało się uchodzić. Przyjęty model ustrojowej transformacji daleki był od celów, stawianych sobie przez Solidarność Walczącą, w republice okrągłego stołu zepchniętej na margines życia publicznego, skazanej na zapomnienie, odzieranej z dorobku a nierzadko także wyszydzanej i szkalowanej. Sam jej przewodniczący, który

po latach uchodzenia przed pościgiem zaznał też więzienia i banicji, do końca życia nie ustawał w trudzie wyprowadzenia Polski z nieprawych dróg, na jakie wepchnięto ją układami dalekimi od przyzwoitości. Zarazem jednak powtarzał, że doczesny świat, na którym żyjemy, nie zna stanów idealnych. Stąd nie żałuje lat poświęconych stoczonej walce, gdyż przyczyniły się one do zaprowadzenia realiów nieco lepszych od tych, w których Polska tkwiła w dekadach PRL-u. Za bezcenne uważał natomiast to, że ta pozytywna przemiana nie wiązała się z ceną, jaką jego kraj zapłacił w latach jego dzieciństwa. U progu lat dziewięćdziesiątych żaden ojciec nie musiał spacerować ze swoim dzieckiem po gruzach ojczyzny. Jeśli nawet Polska ostatnich dekad nie zawsze była krajem prawdziwego prawa i wolności to jednak nie stała się morzem ruin i otchłanią cierpienia. Pomimo wielorakich uwarunkowań i potężnych blokad tamujących jej rozwój ojczyzna stanęła przed szansą, o jakiej próżno marzyć mogły wcześniejsze pokolenia. „Nie jest to jeszcze Polska naszych marzeń, ale warto było zadać sobie trud, przybliżający ją do tego stanu” – tak najczęściej brzmiała konkluzja, jaką lata konspiracyjnej walki podsumowywał zarówno Kornel, jak i większość ludzi z jego organizacji.

„Nowy Napis” nr 11, Instytut Literatury, Warszawa – Kraków 2021



POLSKA DZISIAJ I POLSKA NASZYCH MARZEŃ

Z ARTUREM ADAMSKIM ROZMAWIA MATEUSZ JERZYŃSKI

MJ : Czym jest dla ciebie patriotyzm?

AA : Patriotyzm to szczególny rodzaj uczucia i potrzeba służenia zbiorowości, do której się przynależy. Jest uczuciem szczególnym, bo dotyczącym w większości ludzi, których się nie zna i nigdy nie pozna a także tych, których na co dzień się nie lubi i nawet tych, z którymi jest się w jakimś konflikcie. Patriotyzm wyrasta bowiem na pozytywnym stosunku emocjonalnym, na poczuciu więzi także z minionymi pokoleniami. Jesteśmy spadkobiercami wielkiego dziedzictwa, które jest nasze w całości – z bezmiarem powodów do dumy, ale i z tym co w przeszłości było mniej udane. Mamy też świadomość tego, że nasz trud ma służyć naszym następcom. To, co odziedziczyliśmy po przodkach, zobowiązani jesteśmy im przekazać nie tylko bez uszczerbku, ale z dodatkowym wkładem naszego pokolenia. Będąc patriotami mamy też potrzebę służenia tym, którzy są naszymi adversarzami. Przeciwnicy polityczni nas politycznie zwalczają, czasem realizują program, który oceniamy jako szkodliwy. Jednak oni też należą do tej samej zbiorowości. Tak, jak i sąsiedzi, z którymi o coś się kłócimy. Są dziedzicami tej samej niegdysiejszej Polski i przodkami tej samej Polski przyszłej. Płyniemy tą samą łódką. Możemy się spierać o jej kurs, o sposób jej napędzania. Nie sposób jednak zapomnieć, że jesteśmy z tej samej łódki. Stoimy na tym samym pokładzie. Patriotyzm jest więc walorem budującym i zbliżającym.

MJ : A co z płynącymi na innych łódkach?

AA : Najgorzej, kiedy znajdują się one na kursach kolizyjnych. Jednak mapa polityczna świata, która nie zmienia się aż tak często, jest dowodem na możliwość bezpiecznego pomieszczenia się bardzo wielu (skoro jesteśmy

przy tej metaforze) łódek. Z wieloma możemy współpracować, wiele może nas ubogacać tym, co oryginalnego na każdej stworzono. Możemy się z innymi rozumieć i współpracować dla obopólnego dobra. Od dzieciństwa mieszkam na Dolnym Śląsku i jedną z takich melodii, towarzyszących mi od dziecka, jest sygnał wywoławczy rozgłośni radiowej, działającej w czeskiej Pradze. Jest nim fragment symfonii Bedricha Smetany „Wełtawa”. Trudno mi to zwerbalizować, ale za sprawą tego pięknego, uruchamiającego wyobraźnię utworu mam silne poczucie, że ja w jakiś sposób lepiej rozumiem naród naszych południowych sąsiadów. Ich jakże odmienny od naszego los, ich narodową odmienność, tradycję, ich historię. Historię nie zawsze dla nas sympatyczną, ale za sprawą tego wyrazu czeskiego patriotyzmu, jakim bez wątpienia jest „Wełtawa”, buduje się zrozumienie i sympatię dla innych zbiorowości. Zdrowy patriotyzm zawsze jest dobry! I dla członków naszej zbiorowości i dla zbiorowości innych.

MJ : Niektóre zbiorowości miewają jednak tendencje o charakterze imperialnym, z którymi trudno o zgodność.

AA : W XIX w. Carl von Clausewitz ujął w słowa myśl, realizowaną od niepamiętnych czasów. Stwierdził ni mniej, ni więcej, że „słabość zachęca do agresji”. Nikt boleśniej niż my przez wieki nie odczuwał praktykowania tej upornej zasady. Wynika stąd dla Polski ciągle aktualny wniosek, że w tym miejscu Europy, które zajmujemy, nie ma miejsca dla państwa słabego. W tym miejscu, w którym przyszło nam żyć, prędzej czy później słabego zmiążdży albo któryś z sąsiadów albo jakaś większa zawierucha. Nie bądźmy jednak fatalistami. Zwróćmy uwagę na to, że w całych swoich dziejach, liczących już blisko jedenaście stuleci, Polska nigdy nie została pokonana przez żadnego ze swoich sąsiadów, jeśli działał on w pojedynkę. Cesarstwo Niemieckie nie dało rady Polsce Chrobrego. A kiedy znalazło sojusznika na Wschodzie – dotkliwie obezwładnił i on i Niemcy. Za Mieszka II zgmiotły Polskę zewnętrzne najazdy połączone ze zdradą wewnętrzną. Krzyżacy wydarli Polskę Pomorze i szarpali nas dalej, ale w czasie Wielkiej Wojny z lat 1409 – 1411 woleli wspomóc się atakiem na Polskę od południa, co też im nie wyszło, bo oni przegrali pod Grunwaldem i Koronowem a Zbigniew Luksemburski w granice Polski wszedł, ale wolał się wycofać. Podobnych historii był cały szereg. Nasi przodkowie byli orzechem bardzo trudnym do zgryzienia. I może nauczyli tym sposobem naszych wrogów, że Polskę pokonać można tylko atakiem dużej koalicji, co najmniej z dwóch stron. Tym bardziej Polska musi być silna. Nie mamy innego wyjścia.

MJ : Jak stać się państwem silnym?

AA : Są trzy zasadnicze sposoby: silną demografią, bronią nuklearną lub silną gospodarką. O demografii pisał prof. Jerzy Łojek stwierdzając, że gdyby Polska była zbiorowością trzykrotnie liczniejszą to nigdy by nie doszło do rozbiorów i w ślad za tym także do pierwszej i drugiej wojny światowej. Władze mogą wspierać demografię i w przypadku takiej zapaści, jaką mamy w Polsce, na pewno powinny robić wszystko, co możliwe. Najwięcej jednak zależy od decyzji obywateli. I ogólnie prawidłowość jest taka, że rodziny wierzące w Boga zwykle mają więcej dzieci. Broń nuklearna, póki co, skutecznie odstrasza wszystkich agresorów. Doktryna obronna Francji polega na posiadaniu środków odwetu na atomowych okrętach podwodnych, obecnych w różnych częściach świata. I brzmi prosto: „Kto nas zaatakuję – ten nie istnieje”. Pytanie retoryczne: jeśli Ukraina nie zrezygnowałaby z posiadania własnego arsenału, który zamieniała na podpisane w Budapeszcie gwarancje integralności, to czy dzisiaj jej integralność byłaby zagrożona? Najbardziej dostępnym sposobem wzmocnienia naszego państwa jest rozwój gospodarczy. Trzeba stworzyć warunki do uruchomienia maksymalnego gospodarczego potencjału polskich obywateli. Ogromne szanse daje nam rozwój infrastruktury. Nasze porty każdy nowy kawałek dobrej drogi odnotowują skokowym wzrostem przeładunków, czyli i zysków. Podobne korzyści przyniesie Centralny Port Komunikacyjny. Dobra infrastruktura przynosi wzrost bezpieczeństwa i inwestycje.

MJ : Inwestycje zagraniczne?

AA : Pod pojęciem obcego kapitału kryją się zjawiska bardzo się od siebie różniące. Poznaliśmy ten kapitał w dużej mierze od strony „inwestycji likwidacyjnych”. Czasem kupowano polski zakład, by zlikwidować konkurencję. Często – by naszą produkcję zastąpić dystrybucją cudzej produkcji. Rządzący Polską beztrwosko wyzbyli się wielkiej części naszych „sreber rodowych”. To, co mieliśmy najcenniejszego nie raz szło za grosze w cudze ręce a rzadko się w nich rozwijało zgodnie z polskim interesem. Całkiem czym innym są jednak „inwestycje na zielonej łące”. Czyli powstające od zera tam, gdzie nie ma nic a brakuje miejsc pracy. Rzecz jasna – zawsze najlepiej mieć wszystko we własnych rękach. Choć czasem też nie do końca. Zagraniczny udziałowiec może być źródłem technologii, nowej kultury organizacyjnej, może otwierać drogę do zamkniętych dla nas rynków. Przez ćwierć wieku takich zagranicznych inwestorów mieliśmy niestety jak na lekarstwo. Od kilku lat Polska ściąga jednak przede wszystkim właśnie takich. Cokolwiek by nie powiedzieć o niemieckim

kapitale to nasi pracownicy, zatrudnieni w fabryce Volkswagena, dobrze zarabiają, awansują, są zadowoleni z warunków pracy. Nie zajmują się tylko wkręcaniem śrubek. Zabiegają o to, by nową fabrykę silników do tych samochodów zbudowano w Polsce. Ten obcy kapitał, który pojawia się za rządów Mateusza Morawieckiego to jest całkowicie inny świat w porównaniu z tym, co i na jakich warunkach przychodziło do Polski wcześniej.

Może więc kluczem do sukcesu jest brak kompleksów?

Polska nie ma absolutnie żadnych powodów do jakichkolwiek kompleksów. Jakąś niepojętą brednią, muszącą wynikać z absolutnie zerowej wiedzy o świecie i jego historii są majaki o jakichś „młodych demokracjach”, do których wg krańcowych ignorantów jakoby Polska miałyby się zaliczać. Przecież te wszystkie niemieckie, belgijskie, holenderskie, austriackie, luksemburskie demokracje w porównaniu z polską nie mają wręcz żadnej tradycji demokratycznej. To jest u nich, w porównaniu z Polską, całkowita nowość. We Francji jeszcze w latach czterdziestych kobiety nie miały prawa głosu a w niektórych kantonach Szwajcarii jeszcze w latach osiemdziesiątych. Pod względem tradycji państwa, parlamentaryzmu, demokracji i prawa eurodeputowani zdecydowanej większości krajów Unii Europejskiej Polakom mogliby co najwyżej buty czyścić. Bo jeszcze w XVIII wieku większość ich państw była po prostu własnością monarchów. A w Polsce w XII wieku Kazimierz Sprawiedliwy wprowadził prawo zakazujące odebrania chłopu czegokolwiek, nawet jeśli wymagałyby tego działania wojenne. Wyjątkiem miało być tylko zagrożenie obecnymi już w pobliżu wojskami, ale nie wojskami żadnego z innych księząt dzielnicowych, lecz wyłącznie całkowicie zewnętrznymi. Czyli np. mongolskimi, przed którymi obrona wymagałaby mobilizacji wszystkich sił. W tym samym stuleciu mistrz Wincenty zwany kadłubkiem, jako pierwszy w Europie od czasów antycznego Rzymu posługiwał się pojęciem państwa jako dobra wspólnego. A nawet pojęciem obywatela – nieistniejącym w żadnym innym kraju Europy przez jeszcze parę dobrych stuleci. Ten sposób myślenia w jakiejś Francji, o innych krajach Europy nawet nie wspominając, zaczął się upowszechniać pół tysiąca lat później. A u nas był standardem parlamentu, działającego od XV wieku. Ten parlament co prawda reprezentował wtedy dziesięć procent populacji, ale to było i tak więcej, niż reprezentowały parlamenty innych krajów Europy, powstające nie w XV, ale w XIX wieku. Jak w ogóle można porównywać polską tradycję państwową np. z niemiecką? Tylko mózgi upośledzone naziźmem mogą roić o jakiejś „wyższej niemieckiej kulturze prawnej”. Stek skraj-

nie zakłamanych propagandowych kocopałów – niczego więcej nie ma w bredniach tego rodzaju.

Ale twierdzą, że to oni wyzwolili Europę, burząc Mur Berliński.

Gdyby nie polska Solidarność nie tylko Mur Berliński miałby się świetnie, ale Niemcy z zachodu nadal kryliby się za Linią Tretnera a bogatsza część tych ze wschodniej jej strony nadal jeździłaby plastikowymi samochodzikami. W dużej części zresztą głównie do swoich oficerów ze Stasi i z powrotem, bo przecież ci rzekomo dzielni obalacze Muru Berlińskiego z komunistycznymi służbami specjalnymi współpracowali tak masowo i tak gorliwie, jak żadna inna społeczność demoludów.

Czym dla ciebie była działalność w Solidarności Walczącej?

Oceanem czasu, który został na nią poświęcony, ale stokroć bardziej – największym zaszczytem, jaki zdarzył się w moim życiu. Wtedy też czułem się doceniony, potrzebny, choć te uczucia często tonęły w mozołe, w zmęczeniu, czasem też w takim zmaganiu się ze zwątpieniem. Bo w połowie lat osiemdziesiątych to jednak do śmiechu nam za bardzo nie było. Cóż – bywało nawet dość beznadziejnie. Nie znam jednak żadnego innego miejsca, żadnego innego środowiska, w którym byłoby tak wielu wspaniałych ludzi. Solidarność Walcząca to absolutny fenomen. Czułem się bardzo zaszczycony przynależnością do tego grona już w tamtych czasach a z perspektywy lat oceniam ten zaszczyt jako jeszcze większy.

Wywiad dla mediów społecznościowych z września 2019



KRZYSZTOF BIEŻUŃSKI

Niewielu ma do opowiedzenia tak dużo, jak Krzysztof Bieżuński, ale każdy działacz konspiracji powinien wziąć z niego przykład i spisać swoje wspomnienia z uczestnictwa w wydarzeniach lat osiemdziesiątych.

Autor „Zdarzeń” w swojej książce nie pisze przed wszystkim o sobie. Najwięcej – o swoich współpracownikach, podkreślając ich zasługi, często bardzo precyzyjnie opisując ich konkretne dokonania. Ze swojej pamięci stara się wygrzebać także znanych z ledwie dziś pamiętanych pseudonimów, ludzi z którymi nie widział się od blisko czterdziestu lat. Uciekając się do trybu przypuszczającego odtwarza wtedy ich wygląd (zawsze w tonie serdecznym: „kobieta o szlachetnych rysach”, „piękna dziewczyna”, „sympatyczny facet” itp.). Niektóre postacie stara się umieścić w strukturze organizacji pisząc np., że „to był ktoś chyba od Tośka” lub „o ile się nie mylę kolporter Zosi”. Osoby, o których z powodu zasad konspiracyjnych wiedział jeszcze mniej, próbuje czasem „umieścić adresowo” jako np. „dzielną matkę czworga dzieci, zdaje się że mieszkającą na Szczepinie” czy „chyba naukowiec, ale nie wiem, czy z Politechniki”. To, jak bardzo w swojej opowieści Krzysiek stara się upamiętnić wszystkich, jest wręcz uderzające. On po prostu uważa, że wdzięczna pamięć należy się każdemu. Znamienne jest też to, jak pisze o tych, którzy nie wytrzymali esbeckich przesłuchań. Przywołuje np. postać działacza konspiracji młodzieżowej, o którym w połowie lat osiemdziesiątych słyszał chyba cały podziemny Wrocław. Bieżuński nie wymienia jego nazwiska a opisując nieszczerść, spowodowane wydobytymi z niego zeznaniami sprawę zamyka pisząc jedynie, że młody człowiek działał, mając na celu niepodległość ojczyzny, lecz zderzenie ze Służbą Bezpieczeństwa niestety go złamało. Fakty – zostają stwierdzone, ale zamiast potępienia w opowieści jest współczucie dla młodzieńca, którego przerosła konfrontacja z siepaczkami reżimu. Całkowicie kim innym są dla Bieżuńskiego

zdeklarowani zdrajcy, których proceder nie polegał na pęknięciu w śledztwie, lecz gorliwym pełnieniu roli wilków w owczych skórach i na koniec nagrodzeni najwyższymi stanowiskami w pookrągłostołowym „PRL – u bis”.

Bezcenne jest też to, że w swych „Zdarzeniach” Krzysiek utrwalił nie-spisane wcześniej świadectwa przedstawicieli poprzedniego pokolenia. Jedno dotyczy jego matki, w czasie okupacji wywiezionej do Szczecina. Któregoś upalnego dnia po skończonej pracy pozwoliła sobie wejść do wody tamtejszego zalewu, za co o mały włos nie została zatłuczona w wyniku spontanicznego gniewu przypadkowych, cywilnych Niemców. Bo zgodnie z powszechnym wśród nich przekonaniem Polacy stworzeni byli tylko do zaharowywania się na śmierć w służbie niemieckich panów. Stąd i kąpiel osoby polskiej narodowości w jakiegokolwiek wodzie podważa ład świata uświęcony niemieckim prawem. Inna przytoczona przez Biezuńskiego historia jest opowieścią o wojennym losie ojca Barbary Sarapuk. Związana jest ona z niesłychaną wręcz kreatywnością Niemców w procederze terroryzowania polskich społeczności. Zgodnie z niemieckim rozporządzeniem każdy przedwojenny policjant, który odmówiłby służby w tzw. granatowej policji Generalnego Gubernatorstwa, wydawał na siebie wyrok śmierci a swoją rodzinę skazywał na osadzenie w obozie koncentracyjnym. Normą też było branie zakładników z każdej rodziny danej wioski. Byli oni rozstrzeliwani nie tylko w przypadku jakiegokolwiek aktu sabotażu czy niesubordynacji, ale też wtedy, gdy na niemieckie żądanie w wyznaczonym terminie nie została schwytana i przekazana Niemcom jakaś poszukiwana przez nich osoba. Bez znajomości świadectw takich, jakie w swej książce zawarł Biezuński, o realiach niemieckiego okupowania Polski nie wie się nic.

W dekadzie lat osiemdziesiątych autor „Zdarzeń” wielokrotnie trafiał na pierwszą linię starć najbardziej dramatycznych. Nigdy nie było to dziełem przypadku, ale w swoich wspomnieniach najdalszy jest od przypisywania sobie jakichkolwiek cech heroicznych. Wręcz przeciwnie – przywołując wydarzenia grudnia 1981, które zastały go w roli górnika odpracowującego rok służby wojskowej, pisze o swoim strachu przed spodziewanym szturmem ZOMO. Dopiero co w kopalni „Wujek” z zimną krwią zamordowano wtedy dziewięciu i ciężko zraniono dwudziestu sześciu. Jak Biezuński twierdzi – niespodziewanie dla niego samego inni uczestnicy strajku nagle zaczęli widzieć w nim jednego z najbardziej zdeterminowanych. Wszystko więc, co działo się z nim potem, miało być konsekwencją tego, co Krzysiek nazywa „przypadkiem”. Stwierdza,

że „jeśli już tak się zdarzyło to po prostu nie mogłem ich zawieść”. Czyż jednak może być mowa o przypadkowych zdarzeniach, jeśli mamy do czynienia z biografią utkaną z kolejnych faz coraz bardziej permanentnej walki z komunistycznym zniewoleniem?

W 1982 roku Biezuński wrócił do Wrocławia, gdzie od razu wpadł w wir konspiracyjnych aktywności. Skończyło się to najpierw utratą pracy a potem koniecznością ukrywania się, co przełożyło się na podziemne drukarstwo dzień w dzień, często niemal po 24 godziny na dobę, z przerwami jedynie na sen. Został wtedy najbliższym współpracownikiem Barbary Sarapuk, legendarnej królowej podziemnego druku, która dała początek dziesiątkom, o ile nie setkom przeróżnych bezdebitowych inicjatyw wydawniczych. Dla mnie, uczestnika jednego z organizowanych przez Solidarność Walczącą, niezliczonych kursów konspiracyjnego drukarstwa, duża część opowieści Biezuńskiego jest odkryciem. Jak setki innych na kursach tych otrzymywałem mnóstwo szczegółowych instrukcji, dotyczących głównie sitodruku. Jednak dopiero swoimi wspomnieniami Krzysiek uświadomił mi, że przekazywana nam wiedza nie pochodziła z żadnych podręczników. Instrukcje, które one zawierały, odnosiły się przecież do materiałów w realiach PRL-u najściślej kontrolowanych, czyli – niedostępnych. To więc właśnie tacy, jak Barbara Sarapuk, Krzysztof Biezuński, Bohdan Błazewicz i inni, których dużą część wymienia on w swojej książce, metodą nie kończących się eksperymentów wypracowywali sposoby zastępowania np. zawartości emulsji światłoczułej tymi składnikami, jakie wówczas można było zdobyć. Podobnie rzecz się miała z rurkowymi ramkami, nowatorskim rodzajem zawiasów, fartuchami zszywanymi z szyfonem za pomocą wędkarskich żytek a nie dratwy itd. itp. Droga żmudnych prób i błędów a przede wszystkim tysięcy godzin spędzonych nad drukarską ramką ktoś te wszystkie metody musiał wynaleźć, wy-pra-cować! A tacy, jak ja, uczestnicy szkoleń dla młodzieżowego podziemia z roku 1983 czy lat późniejszych, przychodziliśmy „na gotowe!” Któż z nas się domyślał wtedy, że notując kolejne kroki tajników poligrafii poznajemy nie treść jakichś podręczników, ale jak najbardziej oryginalne wynalazki, okupione ogromem mrówczej roboty niezmiernie pracowitych i niesłychanie kreatywnych podziemnych drukarzy Solidarności Walczącej!

Jako też człowiek, który „od zawsze” o swoim mieście stara się czytać absolutnie wszystko, co o nim napisano, dodam jeszcze jedno. Otóż stwierdzam, że „Zdarzenia, czyli o tym, w czym uczestniczyłem w latach 1980 do 1990

– moja dekada a inaczej droga do uczestnictwa i pracy w Solidarności Walczącej” to jedna z najważniejszych książek, jakie dotąd o Wrocławiu napisano. Miasto to jest bowiem jednym z bohaterów tej książki. A w taki sposób, w jaki przedstawił je Krzysztof Biezuński, nie napisał o nim wcześniej nikt. Wrocław jest w tej opowieści archipelagiem małych mieszkań, w których w najgłębszej tajemnicy toczy się uparta, podziemna walka o wolność. To system tętniących pulsem wolności miejsc, w których póki nie zostaną one wykryte przez jej wrogów, można się przed nimi ukryć. I gdzie szukający schronienia zostaje otoczony troskliwą opieką, gdzie nawet przez wiele tygodni będzie mógł nocować, gdzie ubodzy często ludzie zawsze podzielą się z nim jedzeniem a w razie potrzeby sprowadzą medyczną pomoc. W opowieści Biezuńskiego Wrocław to też siatka setek ulic i tajnych przejść, poruszając się którymi zawsze trzeba zachowywać czujność, którymi należy nie chodzić, lecz się nimi przemykać i czasem uchodzić pogoni. Usiana jest ona stałymi i mobilnymi punktami obserwacji, prowadzonej przez antypolskich siepaczy i ma też spory kwartał wypełniony wielkimi ponurymi budowlami, kiedyś służącymi gestapowcom a potem ubekom. Autor w mieście tym widzi jednak przede wszystkim piękno – urok zawsze radującej go przyrody i jeszcze bardziej cieszących jego serce pięknych ludzi, których w nim spotyka.

Krzysztof Biezuński „Zyzol” w latach osiemdziesiątych narażał wszystko, co posiadał, włącznie ze swoim młodym życiem, by wykonywać dosłownie tytaniczną pracę mającą służyć sprawie wolności ojczyzny. A po latach obdarował nas świadectwem wielu polskich losów i polskich dokonań, o jakich nawet śnić się nie mogło mieszkańcom innych krain.

„Obywatelska” styczeń 2022



WŁADIMIR BUKOWSKI 1942 – 2019

Władimir Bukowski był potomkiem patriotów rosyjskich i patriotów polskich. Deklarował tożsamość rosyjską, ale nigdy nie odżegnywał się od swoich także polskich korzeni. Tym bardziej, że jego pradziadek, powstaniec listopadowy, walczył pod hasłem „Za wolność waszą i naszą”. Prawdopodobnym autorem tego zawołania był w XIX wieku Joachim Lelewel. Wysztytło je na sztandarach, które warszawscy demonstranci w styczniu roku 1831 nieśli ulicami polskiej stolicy, upominając się o wolność walczących o swą wolność Rosjan. Słowa „Za wolność waszą i naszą” wskazywały na wspólnotę losu narodów, zniewolonych tym samym samodzierżawiem. Były jak dłoń, wyciągnięta do zgody i braterstwa. Były więc jak dłoń Władimira Bukowskiego – Rosjanina, który kochając swoją ojczyznę, całe swe życie poświęcił sprawie wolności. Wolności Rosjan, wolności Polaków, wolności każdego narodu i każdego człowieka, którego prawa były gwałcone.

Władimir był wielkim przyjacielem Polski i zarazem – sumieniem Rosji. W czasach, w których imperialne zapędy i jakże liczne krzywdy oddalały od siebie nasze narody, on był najpierwszym dowodem na to, że między naszymi zbiorowościami możliwe jest nie tylko pełne zrozumienie, ale też prawdziwa bliskość, szczerza przyjaźń, obopólnie korzystna współpraca.

Przyjaźń, współpraca, szacunek dla wspólnych wartości, dostrzeganie wspólnoty celów – owocowały w sposób bardzo wymierny. Władimir Bukowski był członkiem rzeczywistym organizacji Solidarność Walcząca. To na łamach podziemnych wydawnictw Solidarności Walczącej ukazała się znakomi-

ta część jego świetnej publicystyki i zdumiewających swą przenikliwością politycznych analiz. Solidarność Walcząca drukowała i rozpowszechniała jego bardzo ważne książki: „I powraca wiatr”, „Listy rosyjskiego podróżnika” czy „Pacyfiści kontra pokój”. Dla zrozumienia mechanizmów, rządzących współczesnym nam światem, są to lektury bezcenne.

Władimir Bukowski był bowiem nie tylko gotowym na każde poświęcenie nieustraszoną bojownikiem, nie tylko niemożliwym do złamania więzieniem, osadzonym za kratami karcerów, za drutami obozów czy murami szpitali psychiatrycznych, zaprzęgnięty do służby totalitarnej władzy. Dziedzictwem Władimira są także bezcenne prace literackie, analityczne i dokumentacyjne. Do tych ostatnich należy „Moskiewski proces” – owoc charakterystycznej dla niego skutecznej brawury. Wiele razy Władimir dał się bowiem poznać jako autor dokonań teoretycznie niemożliwych. Jednym z nich było wydobywanie z najtajniejszych posowieckich archiwów mnóstwa dokumentów, pozwalających na prześledzenie i właściwe zrozumienie szeregu najdonioślejszych faktów z najnowszej historii Polski. Podobnego dokonania nie miał w swym dorobku nikt przed nim i pomimo, że od tego czynu minęło już 27 lat – nikt po nim.

Na zawsze pozostaną w mojej pamięci spotkania z Władimirem i rozmowy z nim. W czasie pierwszej miałem 22 lata. Długą konwersacją czułem się wtedy wyróżniony a to, co mówił, było dla mnie wówczas bardzo zaskakujące. Jechaliśmy jednym samochodem z Wrocławia do Warszawy, wtedy taka podróż trwała kilka godzin. Ostrzegał wówczas Polskę przed skutkami triumfu nad komunizmem, który jego zdaniem w dużej mierze mógł się okazać sukcesem pozornym. Uważał, że do zachodzących przemian elity komunistycznego reżimu są przygotowane niewspółmiernie lepiej od społeczeństwa i jego przedstawicieli. Przewidywał, że cały ciężar ustrojowej transformacji spadnie na szerokie rzesze obywateli a rzeczywistym beneficjentem przemian okaże się być błyskawicznie przepoczwarzona w kapitalistycznych milionerów kasta partyjnej nomenklatury, której bezkarność zapewni nietknięte jakąkolwiek reformą postkomunistyczne sądownictwo. Przestrzegał też przed nadmiernymi nadziejami, pokładanymi przez nas w państwach Zachodu. Twierdził, że niczego nie dostaniemy za darmo a wszystko, co będzie nazywane pomocą, większą korzyść oznaczało będzie dla tych, co dają a nie tych, którzy przyjmują. Wiele razy przychodziło mi potem przekonywać się do trafności jego przewidywań.

Do ostatnich swych dni był też Władimir mądrym głosem przestrogi. Zawsze widział bowiem więcej, niż potrafili widzieć inni. Wskazywał na pojawiające się w Europie i świecie nowe źródła zagrożeń. Ostrzegał przed nowymi fałszywymi ścieżkami, przed drogami wiodącymi na manowce. Chyba nikt równie mądrze i poważnie jak on nie traktował przestrogi, przez Alberta Camusa wyrażonej na kartach „Dżumy”. Podzielając sceptycyzm wielkiego francuskiego pisarza wskazywał, że zło jest na naszym świecie niestety zjawiskiem permanentnym. Stąd ludzkość zawsze musi mieć świadomość funkcjonowania w realiach, których część stanowią kolejne „uśpione bakcyle dżumy”.

Składając wielki hołd człowiekowi, któremu zawdzięczamy tak ogromnie wiele, miejmy też więc zawsze w pamięci to, co pragnął nam przekazać. Pragnął by nasz świat był światem szczęśliwych, wolnych ludzi. Nigdy nie miał złudzeń, że cel ten będzie do osiągnięcia łatwy. Przeciwnie – podkreślał konieczność wielkich wysiłków i niezbędnej wielkiej ofiarności. Najlepszym a zarazem najbardziej twórczym wyrazem pamięci o naszym wielkim przyjacielu, o człowieku któremu tak ogromnie wiele zawdzięczamy, będzie więc nasza niezłomna pamięć o jego bezprecedensowym dorobku, o wielkim, niezrównanym dziele jego życia.

„Obywatelska”, wrzesień 2019



ROBERT CHMIELARCZYK

Działalność opozycyjną rozpocząłeś w dość młodym wieku.

Da się chyba tak zakwalifikować część aktywności, podejmowanych wraz z Radkiem Hejnowiczem i kilkoma innymi kolegami jeszcze kiedy byliśmy uczniami szkoły podstawowej. Mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych, mieliśmy wtedy nie więcej, niż dwanaście lat, zaczęliśmy tworzyć coś w rodzaju grupy samokształceniowej. W domowych księgozbiorach niektórych z nas były przedwojenne książki takie, jak np. „Lenin” Ossendowskiego czy wielotomowa encyklopedia, wydana w latach trzydziestych, z której wyłaniał się całkowicie inny obraz Rosji Sowieckiej, komunizmu i tych, których w PRL-u kazano uważać za bohaterów. Czytaliśmy, słuchaliśmy zagranicznych rozgłośni, dyskutowaliśmy. Grupa nasza w pewien sposób się sformalizowała w wyniku dość zabawnego zdarzenia. Należeliśmy do szkolnego koła PTTK, uczestniczyliśmy w rajdach górskich i nasze szkolne koło dostało do prowadzenia gablotkę, w której mieliśmy zamieszczać materiały o różnych krajach. Wywieszaliśmy więc w niej informacje np. właśnie o Związku Sowieckim, ale treścią bliższą przedwojennej encyklopedii i Wolnej Europie, niż obowiązującej propagandzie. Oczywiście nie szliśmy w tym „na całość”, tak trochę łagodzilśmy te teksty. Wiedzieliśmy, że jeśli zamieścimy w tej gazetce coś o sowieckich zbrodniach to się ta nasza działalność szybko skończy. Po jakimś czasie jednak okazało się, że to co ukrywaliśmy „między wierszami” to i tak było za wiele. Nasze szkolne koło PTTK zostało rozwiązane, gablotkę nam zabrali, wykluczono nas z rajdów po Sudetach. Ta decyzja, mająca charakter wykluczająco-likwidacyjny, de facto uformowała nas na coś w rodzaju organizacji. No bo nadal stanowiliśmy grupę, która się spotykała, nadal jeździła w góry, ale już bez żadnego opiekuna, no i mieliśmy teraz takie poczucie, że zostaliśmy w pewien sposób „zdelegalizowani”. Czyli, że byliśmy jakąś taką małą quasi – organizacją, zepchniętą do działalności poza systemem. No to – działaliśmy. W nocy przed 1 maja zdjęliśmy flagi, wywieszone na naszej szkole i powiesiliśmy je w nocy przed 3 maja.

Podobnie udekorowaliśmy szkołę przed 11 listopada. To były wtedy święta zakazane, milicja wlepiła mandaty za wywieszenie flagi 3 maja czy 11 listopada. Domalowywanie korony na godłach państwowych, głównie tych wiszących w salach lekcyjnych, stało się dość często praktykowanym zwyczajem. No i jakoś w 1979 zaczęliśmy wykonywać pierwsze większe hasła na murach. Pamiętam, że na początek dość ostrożnie. W miejscach nocami niemal bezludnych, za to w dzień dość ruchliwych – obok mostu na Bartoszowicach, na garażach przy jednej z głównych alei Parku Szczytnickiego. Miały przypomnieć o zbrodni katyńskiej, żądać opuszczenia Polski przez Sowietów. W tym czasie docierały już do nas wydawnictwa ukazujące się poza zasięgiem cenzury – „Biuletyn Dolnośląski” czy „Podaj Dalej” wrocławskiego Studenckiego Komitetu Solidarności, na początku roku 1980 ulotki wzywające do bojkotu wyborów. To, że ktoś coś takiego w Polsce robił, było dla nas bardzo inspirujące. Też chcieliśmy robić coś takiego.

Tymczasem nadszedł Sierpień 1980, co otworzyło nowe możliwości.

Niezależny ruch związkowy szybko osiągnął taką skalę, że komuniści nie byli w stanie nad nim zapanować. Równocześnie rozkwitło mnóstwo innych inicjatyw. Już jesienią 1980 aresztowali przywódców Konfederacji Polski Niepodległej, ale ich organizacja działała w wielu miejscach i w zasadzie jawnie. Chłoniliśmy te owoce wolności – chodziliśmy na spotkania, wykłady, uroczystości, które przed Sierpniem nie byłyby możliwe, albo skończyłyby się aresztowaniami. Czytaliśmy niezależną literaturę, ciągle zakazaną, ale dostępną w obfitości, o jakiej krótko wcześniej trudno było marzyć. Włączyliśmy się też w działania, mające na celu utworzenie niezależnej organizacji młodzieży szkół średnich. Powstawały takie, ale ich rozwój napotykał na całe mnóstwo przeszkód. We Wrocławiu powstał np. Związek Młodzieży Pracującej „Robotnik”, ale sądy odmawiały jego rejestracji. Nam najbliższe było do Uczniowskiego Komitetu Odnowy Społecznej, który już w 1980 zaczął wydawać pismo „Quo vadis?”, potem także „Ukosem”. W niektórych szkołach ta działalność była możliwa, zaczęły się np. wykłady dla licealistów z filozofii, prowadzone przez naukowców z Papieskiego Fakultetu Teologicznego. Generalnie jednak władze robiły wszystko, by nie dopuścić do powstania jakiegoś „uczniowskiego NZS-u”. Wielu z nas miało jednak rodzeństwo, różnych kuzynów czy kolegów na studiach, więc te niezależne gazetki studenckie takie, jak „No więc” czy „Woda Na Młyn” do nas płynęły i były w szkołach kolportowane. Mieszkałem w tej części Wrocławia, w której było wiele domów akademickich i skąd blisko było

do kilku uczelni, można było więc być nie tylko świadkiem, ale także uczestnikiem tego, co się na nich działo. Wiosną 1981 wielkim wydarzeniem był wielotysięczny marsz w obronie więźniów politycznych i oczywiście nie mogło nas na nim zabraknąć. Jesienią na wielką skalę ruszyła walka o dostęp Solidarności i NZS-u do środków masowego przekazu. Rozklejaliśmy plakaty, kolportowaliśmy różne pisma. Mimo więc, że między Sierpniem a grudniem 1981 młodzież szkolna tak za bardzo się nie zorganizowała, to jeśli ktoś chciał, to miał w czym uczestniczyć. Zgromadziliśmy też wtedy sporo książek drugiego obiegu i wydawanych na emigracji. Ta biblioteka służyła potem długo, korzystało z niej wielu czytelników.

Stan wojenny zastał jednak młodzież szkolną bez jakichkolwiek struktur, mogących dać początek takiej konspiracji, jaką podjęli członkowie Solidarności czy NZS-u.

W przypadku aktywnych studentów czy związkowców też do podziemia zeszła tylko ich część. A nasze młodzieżowe środowisko coś robiło jeszcze przed Sierpniem, chciało działać dalej a jakoś już było zorganizowane i miało pewne kontakty. Oczywiście – w nowych warunkach nie na wszystkie można było liczyć. Większość najbardziej aktywnych siedziała w więzieniach, wielu nie zamierzało kontynuować dużo bardziej teraz ryzykownej aktywności. Pierwsze tygodnie upłynęły nam na uczestnictwie w tym, co się działo pod strajkującymi zakładami pracy. Zaraz po tym, jak dowiedziałem się o wprowadzeniu stanu wojennego, rankiem 13 grudnia, poszedłem do kościoła. Nie tylko na mszę, ale też w nadziei na jakieś informacje. Spotkałem wielu znajomych, ale za dużo się nie dowiedziałem, przeważała dezorientacja. Następnego dnia przed protestującymi uczelniami i zakładami pracy można było dostać pierwsze wojenne gazetki. „Z Dnia na Dzień” a potem inne docierały do nas dość regularnie, ale w małych ilościach. Spotykaliśmy się w grupie kilkuosobowej, zastanawialiśmy się, co robić. Mini – plakaty czy ulotki wykonywaliśmy bardzo prymitywnymi metodami. Wytworzył się w naszym gronie taki jakby mały klub słuchaczy zagranicznych rozgłośni, które były wtedy wyjątkowo skutecznie zagłuszane, ale my znajdowaliśmy na to sposoby. Wynalazkami były np. anteny o różnych kształtach, nieźle były takie jakby sieci, pokrywające sporą część dachu. Wyjątkowo dobrze dawało się też słuchać takim archaicznym radioodbiornikiem „Pionier”. Wymienialiśmy się wieściami, podawanymi przez Wolną Europę, Głos Waszyngtonu, BBC czy Radio France Internationale. No i napisy na murach, rozklejanie naszych plakacików w bra-

mach. W naszej części miasta byliśmy już zorientowani w takich kwestiach, jak przynajmniej niektóre lokale operacyjne SB. Jeden z nich działał przy ul. Partyzantów, kilka bram od mieszkania Radka Hejnowicza. W związku z tym, że internowani zostali ojcowie ludzi z naszego kręgu, Jasia Lindnera czy Roberta Puczki, liczyliśmy się z jakimś operowaniem esbecji także w naszych okolicach. I powoli dojrzewaliśmy do stworzenia rzeczywistej podziemnej organizacji. Naszym człowiekiem, który miał wtedy chyba najwięcej takich możliwości, był Marek Szwad „Mamut”. On jako pierwszy z nas został studentem, miał kontakty w NZS – ie i formującym się wtedy Akademickim Ruchu Oporu. Ktoś miał dostęp do starej maszyny do pisania z niezarejestrowaną czcionką. 3 maja 1982 tymi skromnymi środkami, jakie mieliśmy, ogłosiliśmy powstanie Polskiej Niezależnej Organizacji Młodzieżowej. Mieliśmy treść roty swojego zaprzysiężenia, kilkunastopunktowy zarys programu. Za jeden z pierwszych celów przyjęliśmy wydawanie swojej gazetki, ale za najważniejsze w tym momencie uznaliśmy działania podtrzymujące w społeczeństwie ducha oporu. Ducha, który od grudnia 1981 mocno przygał. Uznaliśmy, że dobrze służyć temu będzie możliwie jak największa ilość plakatów z napisem „Solidarność” na murach miasta. I to przede wszystkim wtedy robiliśmy. Pierwszą inicjatywą, podjętą na terenie szkół, było wezwanie do cichych przerw i czarnego stroju trzynastego dnia każdego miesiąca.

PNOM szukał kontaktu z tym, co wtedy było nazywane „dorosłym podziemiem” i zarazem starał się trzymać zasad bardzo solidnej konspiracji.

Staraliśmy się wytworzyć wrażenie, że ta organizacja w ogóle nie jest z Wrocławia. Podejmowaliśmy nawet działania, mające wprowadzić esbecję w błąd i spowodować, że będzie sobie nas szukała np. w Warszawie. W gazetce, którą wydawaliśmy z dużym trudem, w ogóle nie podawaliśmy nazwy miasta, w którym się ukazywała i dbaliśmy też o to, by nie można było się tego domyślić z jej treści. Kontakty, jakie nawiązywaliśmy z tym, co wśród konspiracyjnej młodzieży nazywano wtedy dorosłym podziemiem, wiązały się z wydarzeniami wyglądającymi naprawdę groźnie. W czerwcu 1982 zelektryzowała nas wiadomość o powstaniu organizacji Solidarność Walcząca. Byliśmy pod wrażeniem pierwszych jej publikacji programowych, błyskawicznego osiągnięcia bardzo dużej skali jej działalności, od początku uczestniczyliśmy w organizowanych przez nią demonstracjach. Solidarność Walcząca była wtedy wielkim zastrzykiem nadziei na dużą, twardą i konsekwentną walkę niepodległość. Jednym z pierwszych kontaktów, jakie nawiązaliśmy, byli ludzie ze struktury „Kotwica”, działa-

jącej w Żegludze Śródlądowej. W podziemiu była ona kojarzona z Solidarnością Walczącą, choć po latach nie jest to takie jednoznaczne. A w konspiracji te powiązania były jeszcze mniej czytelne. Więcej powiedzieliby ci, którzy już niestety nie żyją, np. Marek Szwad „Mamut”. Od „Kotwicy” dostawaliśmy jakąś pomoc w postaci wydawnictw, papieru, różnych rzeczy do poligrafii, którą bardzo chcieliśmy budować. Potem jednak nadeszły z tej „Kotwicy” straszne informacje. Po pierwszej śmiertelnej ofierze miała być druga a następnie ucieczka kolejnych członków tej organizacji z barki odbywającej rejs drogami wodnymi Europy zachodniej. Do tego wiosną 1983 zaskoczyło nas aresztowanie Marka Szwada „Mamuta”. W wyniku przeprowadzonej u niego rewizji wyniesiono zresztą także materiały twojego autorstwa. Ta wpadka to był dla nas duży wstrząs, „Mamut” odgrywał dla nas bardzo znaczącą rolę. Znow zaczęły się wtedy kłopoty z wydawaniem naszego pisma „Młódzież”. No i zdarzyło się to właśnie wtedy, kiedy ogłosiliśmy, że budowane przez nas podziemne wydawnictwo będzie nosiło imię Grzegorza Przemyka, zamordowanego dokładnie w tamtych dniach. Przyczyny wpadki „Mamuta” kojarzyliśmy z jego kontaktami na uczelni, bo miał też sporo wspólnego z ARO i NZS-em.

Wydawnictwo im. Grzegorza Przemyka powstawało przy dużej pomocy Solidarności Walczącej.

Szkolenie drukarskie prowadził dla nas działacz SW, o którym dopiero w latach dziewięćdziesiątych dowiedzieliśmy się, że nazywał się Bohdan Błażewicz. Dostaliśmy sporo materiałów niezbędnych do uruchomienia sitodruku: zapas tkaniny szyfonowej, paczki światłoczułych błon rentgenowskich, chemikalia takie, jak polialkohol winylu itd. Najszybciej z tym drukiem ruszył Waldek Kras, bliski współpracownik PNOM-u, który z powodzeniem zaczął wydawać młodzieżowe pismo „Impuls”. Pozbieraliśmy się po wpadce „Mamuta” i mieliśmy właśnie „rozwinąć skrzydła”, kiedy dotknęły nas kolejne represje.

Czyli głośna wtedy sprawa zatrzymania pięciorga działaczy PNOM-u. Materiały filmowe na ten temat wyemitowała wtedy reżimowa telewizja, pisała „Trybuna Ludu”, „Gazeta Robotnicza”, „Żołnierz Wolności”, organizację w jednym ze swych przemówień wymieniał minister spraw wewnętrznych Czesław Kiszczak. Byłeś wtedy jednym z zatrzymanych i SB zarzucało ci przynależność do Solidarności Walczącej.

W czasie rewizji u trojga z tej piątki nie znaleziono dostatecznie dużo materiałów dowodowych. U mnie też przede wszystkim pojedyncze egzem-

plarze podziemnych wydawnictw. Trzymaliśmy się wtedy zasady, by w miarę możliwości wszystko, co najbardziej obciążające, trzymać w różnych skrytkach, poza mieszkaniem. Te budynki na Sępolnie, w jakich większość z nas mieszkała, miały duże, dostępne wszystkim lokatorom strychy i piwnice. Dawało to spore możliwości, skutkiem czego tylko dwie osoby z tych pięciu zatrzymanych stanęły potem przed sądem. Ja z tych pytań, które mi na SB zadawano zrozumiałem, że ten zarzut przynależności do Solidarności Walczącej był przez nich wykorzystywany jako swego rodzaju straszak.

Chcieli ci przez to powiedzieć, że zakwalifikują cię jako członka organizacji, za przynależność do której grożą sankcje dużo poważniejsze?

Solidarność Walcząca to nie był tylko związek zawodowy czy organizacja uczniowska. Po pierwsze stawiała sobie za cel zniszczenie całego systemu komunistycznego a po drugie skalą i formami swej działalności była najpoważniejszym przeciwnikiem reżimu. Do tego jeszcze właśnie w tym czasie żniwo zbierała największa wyspa w całej historii SW. PNOM – u raczej nie da się zaliczyć do jednego z odgałęzień Solidarności Walczącej, choć współpraca oczywiście była. Jeśli nie liczyć „Kotwicy” to były jakieś kontakty z Andrzejem Wawrzeniem z MPK, choć one „się zawiesiły” w związku z kolejną falą represji. Wszyscy bardzo sympatyzowaliśmy wtedy z organizacją Morawieckiego a niektórzy z nas wręcz się z nią utożsamiali. Przede wszystkim jednak pamiętać trzeba, że w tamtym czasie ogromna część podziemnych inicjatyw funkcjonowała i rozwijała się dzięki wsparciu Solidarności Walczącej. Od lata 1982 rozpowszechnialiśmy wydawnictwa tej organizacji, więc dałoby się nas zakwalifikować jako jedną z odnóg jej sieci kolportażowej. A w następnych latach niektórzy z nas zostali jej zaprzysiężonymi członkami.

W 1984 PNOM znów dotknęły aresztowania. Największe konsekwencje poniósł wtedy Waldek Kras. Ty włączałeś się już wtedy w podziemny NZS.

De facto oznaczało to coraz bliższe związki z Solidarnością Walczącą. NZS Uniwersytetu Wrocławskiego działał przede wszystkim dzięki podziemnej poligrafii, przez szereg najtrudniejszych lat prowadzonej przez bardzo aktywnego działacza SW, Gienia Dedeszo – Wiercińskiego. Wkład organizacji Kornela Morawieckiego także w tę historię był więc zasadniczy. A potem jeszcze pojawiła się na uczelni Akcja Studencka Solidarności Walczącej wraz z pismami takimi, jak „Kontra”. W związku z upowszechnianiem się w opozycji postaw coraz bardziej ugodowych antykomunistom i niepodległościowcom trudno się

było nie identyfikować z Solidarnością Walczącą. Tym bardziej, że tych kontaktów i obszarów współpracy było coraz więcej.

Współpracowałeś m.in. z Romkiem Lazarowiczem, który bardzo ciepło to wspominał. Pozostaje tylko żałować, że nie młodzieżowa organizacja, którą współtworzyłeś, nie miała wcześniej właśnie takich kontaktów. Trudno przecież nie kojarzyć kolejnych dotyczących PNOM represji z tym, że ojciec jednego z działaczy tej organizacji okazał się być bardzo aktywnym tajnym współpracownikiem SB. Dziś już wiemy, że Tadeusz Puczek, przez którego dom przewijała się wielka część wrocławskiej opozycji, bo i on sam uchodził za wybitnego opozycjonistę, więźnia sumienia, już w 1956 roku został zarejestrowany jako TW Bolek. W archiwach IPN zachowała się olbrzymia ilość sporządzonych przez niego raportów, donosów.

Z jego synem znaliśmy się od dzieciństwa. I rzeczywiście Tadeusz Puczek przez wiele lat chodził w glorii bohatera. U niego zbierały się liczne gremia opozycji, m.in. Rada Jedności, skupiająca przedstawicieli różnych działających we Wrocławiu środowisk – KOR-owskiego, KPN-owskiego czy Ruchu Wolnych Demokratów. Jego styl życia był taki właśnie jakby opozycyjny – patriotyczna galanteria, gorliwy katolicyzm, uczestnictwo we wszystkich możliwych narodowych uroczystościach, spotkaniach, wykładach. Dom – pełen narodowej symboliki, portrety Piłsudskiego, orły w koronie itd. Dawaliśmy się na to nabrać, no ale my byliśmy wtedy nastolatkami. Z nie mniejszym skutkiem on wodził jednak za nos intelektualistów, tuzów nauki. I tu też przyznać trzeba rację Solidarności Walczącej. W rzeczywistości zdominowanej przez służby wyspecjalizowane w kontrolowaniu społeczeństwa, dysponujące bardzo profesjonalną agenturą, poważną opozycją mogła być tylko poważna, kadrowa konspiracja. Taka, jaką była Solidarność Walcząca.



JANINA DZIUBAŃSKA

W 1979 roku, kiedy nosiłaś jeszcze sympatyczne nazwisko Marchewka, rozpoczęłaś studia na Politechnice Wrocławskiej, na której wykładowcą analizy matematycznej był Kornel Morawiecki.

Kornel był prawdziwą ikoną uczelni. To znaczy on absolutnie nic nie robił na pokaz, np. ubierał się całkiem zwyczajnie, no może nieco bardziej na ludzi, niż większość. Ale emanował jakąś taką serdecznością i miał nadzwyczaj empatyczny stosunek do ludzi. Potrafił zorientować się, że ktoś miał jakieś kłopoty. Pytał i wielu się przed nim otwierało. Czasem był w stanie pomóc, czasem nie, ale zawsze się starał i wszyscy byli pewni jego szczerzej życzliwości. Nie zamykał się też w ramach swojej dziedziny. Zawsze potrafił jakoś dodać, że ta matematyka, że to całe studiowanie ma służyć czemuś więcej, niż tylko bytowi pojedynczych ludzi czy pojedynczych rodzin. Na mnóstwo sposobów przekazywał, że korzyść z tego powinny mieć też następne pokolenia, no i oczywiście ojczyzna. Zachęcał do zainteresowania sprawami publicznymi, do interesowania się Polską, jej sytuacją. Nieustannie dawał dowody tego, że sam tę służbę ojczyźnie i innym ludziom traktuje bardzo serio. Słynął jako ten, który matematyki potrafi nauczyć absolutnie każdego. Tłumy do niego przychodziły na konsultacje, więc o zmieszczeniu się ich w przeznaczonych na nie godzinach nie było mowy. W efekcie na uczenie tych ludzi stale poświęcał mnóstwo prywatnego już czasu. I nawet ostatniego głębia traktował tak, że mógł się czuć jak dobry znajomy a przy powitaniu czy pożegnaniu jak składający listy uwierzytelniające ambasador. Każdemu studentowi ścisłał dłoń, każdej studentce się kłaniał i całował w rękę. I jakby Wersal więc w tym był i taka praca jakby z przyjacielem w tym była. Różni byli nasi wykładowcy, czasem prawdziwi dżentelmeni, czasem niezłe oryginały. Ale Kornel był jedyny w swoim rodzaju.

O doktorze Morawieckim krążyły różne anegdoty...

Tak. Tylko i wyłącznie bardzo sympatyczne a ze swoich kontaktów z nim wiedziałam, że wszystkie muszą być prawdziwe. Był rewelacyjnym wykładowcą, czasem trochę roztargnionym i potem studenci się zastanawiali np. nad tym, o czym on myślał dziś przy goleniu. Bo ogolił się tylko z jednej strony. Na własne oczy widziałam, jak szukał kiedyś indeksu, należącego zresztą do mojego chłopaka. Kiedy już przeszukał wszystkie zakamarki swojego pokoju to zaczął przetrząsać swój archaiczny pojazd marki syrena, co w pewnym momencie polegało na tym, że prawie cały zanurzył się w jej wielkim bagażniku. Przez chwilę tylko nogi było widać i wtedy dał się słyszeć triumfalny okrzyk: „Jest! Tu się schował!” Ta jego syrenka to zresztą oddzielny rozdział. Niektórzy uważali, że większość części, z których się składa, to różne udoskonalenia, dzięki którym ten pojazd w stanie śmierci technicznej nadal się porusza. Psuł się bez przerwy a Kornel bez cienia irytacji naprawiał go tym, co znalazł na ulicy. Podnosił maskę i patrzył, co tam się tym razem stało, w najbliższej okolicy znajdował jakiś kawałek drutu, sznurka, patyka. Wkładał to w ustalone przez siebie miejsce, skutkiem czego silnik znów dawał się uruchomić. I beztrząsco jechał sobie dalej. I tak tym gruchotem on podobno potrafił rodzinę nad morze na wczasy zawieźć, przywieźć z powrotem i uważać, że to w sumie całkiem niezły samochód. Przypuszczam, że czy by miał mercedesa czy tego „sajrensa” to nie robiłoby mu to wielkiej różnicy. Bo przecież jedno i drugie jedzie prawie tak samo.

To też była chyba jakaś lekcja dla studentów Politechniki?

Jak najbardziej. On nie był specjalistą od techniki, on był fizykiem – teoretykiem. Ale tę teoretyczną fizykę potrafił zastosować do praktycznych rzeczy. Znał zasady działania, więc potrafił techniczne urządzenia naprawić. Inspirował swoją kreatywnością, zaradnością. Swoim przykładem udowodniał, że zrobić można wszystko. Wszystkiego się nauczyć, pokonywać wszystkie trudności, działać w każdych warunkach. Innym razem zobaczyliśmy, że w samym niemal środku kampusu Politechniki, na takim dzikim trawniku, bo obok zaczęli coś budować, chodził sobie koń skubiący trawę. Nikt nie miał wątpliwości, kto mógł sprawić, że koń pojawił się w środku miasta. Zastanawiano się tylko nad tym, czy doktor Morawiecki przyjechał siedząc na nim, czy też na wozie zaprzęgowym. Wiadome wszystkim było, że nasz wykładowca ma czworo dzieci i gdzieś pod lasem ma drewniany dom i całkiem spore gospodarstwo rolne. I że dom ten własnymi rękami zbudował a nie mając żadnych kwalifikacji rolniczych ten rodem warszawia-

nin w wielkim mieście wychowany potrafił poradzić sobie z uprawianiem ziemi, z hodowlą pszczół i Bóg wie czym jeszcze.

Od pewnego momentu znany był też jako wydawca „Biuletynu Dolnośląskiego”.

Widywaliśmy go, jak pakunki z broszurami nosił do swojego miejsca pracy. Był nim taki baraczek, który miał być tymczasowy, ale budowa kolejnego gmachu uczelni się odwlekła, więc wraz z paroma innymi naukowcami Kornel urzędował tam chyba z dziesięć lat. Zaufani pracownicy i studenci brali od niego ten „Biuletyn” już w 1979 roku, wtedy jeszcze zwykle po parę egzemplarzy. Chyba zaraz po Sierpniu 1980 pomyśleliśmy, że spróbujemy wziąć większą ilość. Już nie pamiętam dokładnie, ale Kornel praktykował taki kolportaż z bodaj dziesięcioprocentową prowizją. Jeśli się sprzedawało dziesięć egzemplarzy to jeden egzemplarz miało się za darmo. Przy większych ilościach ta prowizja była chyba ustalona na piętnaście procent. I здаje się, że zaraz po Sierpniu 1980 wraz z Mackiem pomyśleliśmy, że spróbujemy wziąć więcej, trzydzieści czy pięćdziesiąt. U Kornela na Politechnice odliczyliśmy taką ilość, Maciek te wszystkie broszurki wziął pod pachę i tak z tym wszystkim na wierzchu wsiedliśmy do tramwaju. Zastanawiałam się, czy my damy radę wszystkie je sprzedać, kiedy jakiś pasażer tego samego tramwaju nagle zapytał: „A co pan tu ma?” Na co Maciek: „Najnowszy „Biuletyn Dolnośląski”. Po 20 złotych sztuka. Życzy pan sobie?” I od razu pojawili się inni, też chcący kupić. Ktoś z tyłu pyta „A co tu sprzedają?” i też idzie do nas. Sprzedajemy i widzę, że Maciek prawie nic już nie ma i zaczęłam się obawiać, że nie dowiedzimy do domu ani jednej broszurki. I że sama nie będę mogła jej przeczytać. Od tego czasu rozpowszechnialiśmy wydawnictwa drugiego obiegu na całkiem inną skalę.

Duże było w PRL-u zapotrzebowanie na to, co nie było ocenzone. Kornel był jednym z tych, którzy tego dostarczali...

On przeszedł przez wszystkie etapy upowszechniania wolnego słowa – od malowania na murach i robienia ulotek metodą fotograficzną przez naukę druku po kierowanie największą siecią dystrybucji podziemnej prasy. Każdy szczegół tego rzemiosła znał od podszewki. Pamiętam, jak w czasie strajku na Politechnice paru studentów drukowało na ramce sitodrukowej i szło im to jakoś marnie. Zastanawiali się, co robią nie tak. Obok akurat przechodził Kornel i wystarczyło mu spojrzeć, by stwierdzić: „Sito macie za słabo naciągnięte”. No

to oni zdjęli, naciągnęli mocniej, przymontowali do ramki i od razu ten druk im zaczął wychodzić znakomicie.

Czas stanu wojennego w Twoim przypadku zbiegł się z początkiem macierzyństwa. Czasy bardzo ciężkie, troje dzieci a Ty brałaś sobie jeszcze na głowę podziemną robotę.

Nie sposób było się z tymi tak dla nas ważnymi sprawami rozstać. Tym bardziej wtedy, gdy naszą wolność oni deptali już całkowicie otwarcie. Zналиśmy mnóstwo ludzi z najbliższego otoczenia Kornela, Maciek bardzo szybko do niego dotarł. Mieszkaliśmy w centrum miasta, po sąsiedzku z bazą samochodową i magazynami milicji, więc trochę tak jakby, że „pod latarnią najciemniej”. A dziecięcy wózek, do tego z większą liczbą dzieci, był sposobem na transport bibuły i innych rzeczy. Nasze maluchy wychowywały się więc jeżdżąc w wózkach wożących nielegalną literaturę. Bardzo często spały na paczkach z gazetkami, od których oddzielał ich materacyk. Nasz blok był w środku miasta, miejsce ruchliwe, obok dworzec, duży węzeł przesiadkowy, łatwo zniknąć w tłumie. Przewalało się więc przez nasze małe lokum mnóstwo i przeróżnych rzeczy dla poligrafii i pakunków z drukami, rozjeżdżającymi się w różne strony. I bywało u nas sporo ludzi, przyjeżdżających z innych miast.

Bałaś się?

Najgroźniej było w czasie tej największej wyspy, która się zaczęła na przełomie 1983 i 1984 roku. Pamiętam taki długi czas hiobowych wieści, które zdawały się nie mieć końca. Nie było tygodnia, żeby kogoś ze znajomych nie wygarnęli. Czasem dzień po dniu – rewizje w dziesiątkach mieszkań i kolejne zatrzymania. Mieli kolejnych ludzi, którzy dopiero co u nas bywali. Przez areszty przewinęło się wtedy grubo ponad stu naszych ludzi, trzydzieści cztery czekały w celach na proces. To był taki czas, że bezpieki spodziewaliśmy się u nas w każdej chwili. Nie było to łatwe, bo dzieci malutkie, najgorszy okres na siedzenie w więzieniu. A potem, kiedy okazało się, że nasze mieszkanie jest jednym z tych bardziej bezpiecznych, to ta ilość rzeczy, które przez nie przechodziły, była jeszcze większa. Bywało, że się z nimi ledwie mieściliśmy.

Aż do czasu „wyładunku w rejonie Matysiaków”?

Mówisz o pierwszej informacji prawdopodobnie na nasz temat, jaką wyłowiliśmy z raportów nasłuchu radiowego. Te karteczki, przygotowywane i kolportowane przez kontrwywiad Solidarności Walczącej, trafiały do

nas od lat. Część zapisanych na nich esbeckich komunikatów była rozszyfrowana a część pozostawała niejasna. I wtedy Jaś Pawłowski i jego ludzie zapisywali dokładnie te słowa, jakimi posługiwali się esbecy. Pisali to w nadziei na to, że ktoś z adresatów tych raportów z czymś to skojarzy, jakoś to zrozumie. I którymś razem zastanowiło nas zdanie: „Wyładunek w rejonie Matysiaków”. Wyładunek – to jasne, obserwowali przekazywanie większej ilości jakichś rzeczy, ale co to za „Matysiakowie”? I zdaliśmy sobie sprawę, że „Matysiakami” wielu wrocławian nazywa izbę wytrzeźwień przy ul. Sokolniczej. Nasz blok był jednym z dwóch budynków mieszkalnych, położonych najbliżej tego miejsca. Sprawdziliśmy datę i godzinę. Rzeczywiście sporo się wtedy dokładnie wtedy do nas wносиło. Zaraz potem SB zatrzymała mojego męża Maćka, ale oni wtedy pozamykali na 48 godzin sporo ludzi z naszego kręgu. A dom po tej informacji od kontrwywiadu mieliśmy już dyskretnie, ale skutecznie „wyczyszczony”. W czasie przesłuchań temat tej obserwacji się nie pojawiał, stąd do dzisiaj nie ma pełnej jasności, czy to na pewno o nas wtedy chodziło. Maciek dość szybko po tym zatrzymaniu i przesłuchaniach doszedł do wniosku, że wszystko jest w porządku. Wszystko więc wróciło do dawnego rytmu. Czyli znów ciągle było u nas pełno bibuły i ludzi z podziemia. No i nawet nie tylko, bo także dostawy przemycanej elektroniki, w tym słynnych skanerów podsłuchowych, także przechodziły przez nasze mieszkanie.

Jak postrzegałaś te przemiany, zaczynające się w 1988 roku?

Już dwa lata wcześniej widać było w kraju takie tendencje odwilżowe, jesienią 1986 wprowadzili te zmiany w kodeksie, skutkiem których za kolportaż czy nawet druk zasądzali drakońskie grzywny, z zamianą na trzymiesięczny areszt, rzadko orzekając większe wyroki więzienia. Równocześnie jednak za ulotkę znaną w samochodzie oni ten samochód, jako przedmiot służący popełnieniu przestępstwa, konfiskowali. I tych samochodów, często za byle co, nazabierali wtedy dużo. Równocześnie jednak część opozycji podejmowała różne formy jawnej działalności i nie spotykały jej za to większe represje. Trochę to mi się zaczęło wyjaśniać wiosną 1987. Od jakiegoś czasu coraz więcej się słyszało, że różnym ludziom bezpieczeństwa składa propozycje, ale nie takie, jak wcześniej, dotyczące współpracy agenturalnej. Oni zaczęli roztaczać wizję jakichś dużych przemian, jakieś mającej Polskę czekać demokratyzacji. I nagle jakoś chyba w kwietniu 1987 SB dokonała kilkudziesięciu rewizji w mieszkaniach ludzi z Solidarności Walczącej. Wtedy odebrałam to tak, że „teraz oni jednych głaszczą a drugich bezwzględnie zwalczają”. Czego dalszym ciągiem

było aresztowanie Kornela Morawieckiego, Andrzeja Kołodzieja i kolejne uderzenia w naszą organizację. Kiedy już ruszyła ta kampania przed wyborami kontraktowymi, w którą zaangażowała się cała masa znajomych, my z Maćkiem przyglądaliśmy się temu jednak z jakimiś nadziejami. Zdecydowaliśmy, że nie głosujemy, ale zarazem chcieliśmy przy tych wyborach pomóc, żeby wyszły jak najlepiej. No a potem niestety z tygodnia na tydzień wszystko stawało się dla nas coraz bardziej jasne. Kiedy ta tzw. Jesień Narodów ruszyła przez kolejne kraje „demoludów” odnieść można było wrażenie, że być może realizowany jest jakiś scenariusz o skali wręcz kontynentalnej. Mimo wszystko wiązaliśmy z tym nadzieje, choć towarzyszyło temu to upokorzenie, że Polska, liderka przemian, nagle znalazła się w ich ogonie. Czesi od razu za prezydenta mieli Vaclawa Havla a my – Jaruzelskiego. A potem przekonywaliśmy się, że to dopiero początek jakże gorzkich rozczarowań. Komunistyczne sądownictwo – nietknięte. Służby – tylko nazwą się zmieniły. Cenzura na pełnych obrotach działała jeszcze prawie przez rok po wyborach z czerwca 1989. Niby komunizm się skończył, ale najlepiej na tym wyszli komuniści. Wszystkie ciężary zwalone zostały na tych, którym dotąd zawsze było najgorzej. Zwolnieni z pracy w stanie wojennym za strajki, za działalność, nadal do pracy nie mogli wrócić. Tak było choćby z Tośkiem Ferencem. Nawet Kornel, kiedy już wyszedł z podziemia, bardzo długo nie mógł wrócić na Politechnikę. Wierzyć się w to nie chciało, ale tak było. Odpowiedzią na każdy głos niezadowolenia było zawsze: „Jesteście złogiem po PRL-u, jesteście homo sovieticus”. Taka była odpowiedź na najbardziej ewidentne krzywdy. Tyle mieli do powiedzenia milionom zwalnianych z pracy z dnia na dzień ci, którzy na tych krzywdzonych ludziach wyniesieni zostali do władzy, zaszczytów, pieniędzy.

Lata osiemdziesiąte oceniasz jednak jako czas na swój sposób piękny.

Był to czas trudny, żyło się ciężko, ale panował duch takiego braterstwa i przekonania, że solidarnie będziemy mogli wiele zmienić. Potem przyszedł czas rozczarowań do wielu ludzi, szok rozstania ze złudzeniami. Jedynie ludzie tacy, jak ci z Solidarności Walczącej nie byli rozczarowaniem. I dlatego może lata działalności tej organizacji tak dobrze wspominam. Bo byłam wśród wspinających, najlepszych w Polsce ludzi.



KORNEL – SIŁA SPOKOJNEGO UPORU

Trochę już powiedziano o historycznych zasługach Kornela Morawieckiego. Warto więc także przyjrzeć się cechom jego osobowości, dzięki którym dokonania te stały się możliwe.

Wydawałoby się, że w jakiejś mierze zbudowany był ze sprzeczności. Bezkompromisowy radykał a zarazem przywódca, potrafiący w swej organizacji „godzić ogień z wodą”. Jego Solidarność Walcząca aż kipiała od narowistych charakterów. Po latach okazało się też, jak różne były poglądy jej członków. Solidaryści, syndykaliści, liberałowie, konserwatyści... Mnóstwo ludzi z fantazją, wielkimi ambicjami, trudnymi do poskromienia skłonnościami do chodzenia własnymi drogami. Katalogi pomysłów na formy działania, różne wizje przyszłej Polski, zażarte dyskusje i spory. Co sprawiało, że całe to barwne towarzystwo nie ulegało dezintegracji? Nie rozpadło się przez kilka ciężkich lat, pomimo atomizacyjnych działań reżimu, użycia przeciw niemu „wszystkich sił i środków” (cytat z Koszczaka), zwalczania także przez część podobno też opozycyjnych „elit”, apelujących oszczerczo do Amnesty International: „Nie wstawiajcie się za nimi, to terroryści!” Czemu zawdzięczać należy to, że pomimo wielu po temu przyczyn, organizacja Kornela Morawieckiego nie rozpadła się? Odpowiedź zawiera się w pytaniu. Nie rozpadła się właśnie dlatego, że była to – jego organizacja. Ten „bezkompromisowy radykał” miał nadzwyczajną zdolność godzenia, zbliżania i skupiania ludzi na tym, co naprawdę ważne.

„TO SĄ BZDURY” CZYLI SZTUKA „ODDZIELANIA ZIARNA OD PLEW”

„To głupstwa” – te słowa były jednymi z częściej się pojawiających w czasie dyskusji z Kornelem. Jedną z cech jego myślenia i działania było bowiem bardzo umiejętne oddzielania spraw ważnych od pozbawionych znaczenia. W jego życiu zawsze roiło się multum aktywności: praca dydaktyczna i działalność polityczna, pszczelarstwo i drukarstwo, rolnictwo i budownictwo... Pomimo tego natłoku nigdy nie zapominał o tym, co istotne. Doskonale odróżniał

sprawy ważne od pozbawionych znaczenia. Wykluczało to też wszelką małostkowość czy pamiętliwość. Owocowało także tym, że najbardziej zaciekle spory, toczące się w jego środowisku, nie oddalały ludzi od siebie. Sprzeczności stawały się czynnikiem napędzającym i twórczym a nie oddalającym. Kornelowa sztuka odróżniania spraw ważnych od drugorzędnych sprawiała, że o tych najbardziej istotnych nigdy nie zapomniano. Z nim „nigdy nie traciło się azymutu”. Były sprawy, za które bez wahania oddałby życie i drobiazgi, do których nie przywiązywał wagi. Dlatego można było toczyć z nim spory, eskalacją zbliżające się do awantury i pomimo istnienia tak wielkich sprzeczności pozostawać z nim w serdecznej bliskości, żywiąc uczucia obopólnej przyjaźni. Taka zasada sprawiała, że nikt nie obawiał się mówić mu tego, co myśli. A że był doskonałym, uważnym, empatycznym słuchaczem – wypowiadano się przed nim szczerze i bez obaw. W latach ukrywania się i działania w głębokiej konspiracji spotykał się i rozmawiał z blisko dwoma tysiącami ludzi podziemia. Sam jego sposób myślenia i rozmawiania stanowił czynnik sprawiający, że pomimo moliwnych trudów i permanentnych zagrożeń ludzie nadal chcieli aktywnie pracować w organizacji, którą kierował.

WOLNOŚĆ, KTÓRA WYŁĄCZNIE BUDUJE

W czasach działania Solidarności Walczącej mówiono o niej: „organizacja kadrowa”. Pogląd, wg którego składać się ona miała ze specjalistów konspiracyjnego rzemiosła, wyrażały wcale nie przychylne SW „elity” opozycji de facto koncesjonowanej oraz oficerowie Biura Studiów MSW, definiujący Solidarność Walczącą jako „konspirację o charakterze ofensywnym”. Można by stąd wywnioskować, że organizacja Kornela Morawieckiego była formacją karzą niczym pruska piechota, ślepo wykonująca nawet straceńcze rozkazy. Nic bardziej mylnego!

W ankietach, wypełnianych dzisiaj przez wstępujących do niektórych stowarzyszeń, znajdują się pytania o to, co nowy członek może i chciałby wnieść, na jakich aktywnościach się skupić, w jakim stopniu – jest w stanie się zaangażować. Kornel należał do prekursorów takiego modelu prowadzenia ludziom. Do ludzi proszących o zadania mówił: „rób to, od czego upadnie komunizm”. Czyli – sam określ, w czym jesteś najlepszy, co masz do zaoferowania, jaka twoja aktywność będzie ciebie napędzać i w której będziesz najbardziej efektywny. Ten sposób gwarantował optymalne wykorzystywanie ludzkich potencjałów. Umożliwiał pożytkowanie pomocy ludzi, którzy będąc obciążonymi pracą i wieloma obowiązkami rodzinnymi, dysponowali tyl-

ko odrobiną wolnego czasu. W większym czy mniejszym stopniu – przydać się mógł każdy. Sprzyjał temu też szeroki katalog form działalności. Dawana przez organizację Morawieckiego wolność wyboru czyniła z niej miejsce, w którym ludzie realizowali swoje pasje. Lubisz pisać? Zakładaj gazetkę. Kręci cię ryzyko? Dołącz do Grup Wykonawczych. Masz zdolności plastyczne? Nasza Poczta i inne struktury – potrzebują grafików. Niezapomniany Janusz Krusiński, radio-wiec Solidarności Walczącej w swoim wspomnieniu pisał: „Radio to sztuka – potrzebuje artysty”. W organizacji Kornela Morawieckiego każdy mógł być artystą. Twórcą wielkiego dzieła, wydobywającego naszą część świata z komunistycznego zniewolenia.

POTĘGA WŁASNEGO PRZYKŁADU

Kornel Morawiecki nie zaistniał w opozycji drogą „wskoczenia na beczke”, w momencie gdy emocje wielu tysięcy osiągnęły poziom, skutkujący podjęciem ryzyka strajku. Nie został też przez nikogo oddelegowany do zarządzania jakąś grupą ludzi. Kornel przeszedł całą drogę „od szeregowca do generała”. Pierwsze napisy na murach wykonywał sam, hasła ciągnące się wzdłuż torów kolejowych od Wrocławia do Obornik – w towarzystwie jednego lub dwóch przyjaciół. Jego pierwsze ulotki powstawały wtedy, kiedy nie miał jeszcze pojęcia o druku – miały postać odbitek fotograficznych. Kolejne umiejętności poznawał w oparciu o podręczniki, metodami prób i błędów. Kiedy organizował zespoły drukarskie – znał każdy detal ich rzemiosła. Wychowany przez krąg ludzi, dla których konspiracja była treścią życia i czytany w lekturach, których tematem była walka podziemna, miał merytoryczne podstawy do tworzenia systemu działalności, gwarantującego relatywnie bardzo wysoki poziom bezpieczeństwa. Ludzie, z którymi podjął współpracę, dotąd nękani częstymi represjami, szybko dostrzegli kompetencje swojego lidera – owoce ich trudu były coraz większe a prześladowcy coraz bardziej bezradni. Tym sposobem umacniało się przekonanie, wg którego Kornel to ktoś, kto wie, co robi a związani z nim ludzie to elitarna kadra konspiracyj.

W czasie obowiązywania prawa wojennego powołał do życia organizację, swym programem wychodzącą poza cele taktyczne. Na takich, ograniczonych do wypuszczenia więźniów i zgodzie na dalszą działalność Solidarności, ograniczała się wtedy zdecydowana większość opozycji. On cele te popierał, ale wskazał takie o skali strategicznej: całkowite odsunięcie od władzy sowieckich marionetek, pełna niepodległość, likwidacja w Europie porządku pojałtańskiego. Pod celami tymi, sankcjonowanymi wówczas karą śmierci, podpi-

sał się własnym imieniem i nazwiskiem. Przy czym takie „nadstawienie karku” nie wynikało ze złudzeń o swojej doskonałości czy niezniszczalności. W nie jednym, publikowanym w podziemiu wywiadzie, na pytanie o to, jak długo będzie się ukrywał, odpowiadał: „Aż mnie aresztują”. Miał pełną świadomość rozmiarów czasu i trudu, koniecznych do osiągnięcia założonych celów i otwarcie deklarował gotowość poniesienia wiążących się z tym konsekwencji. Jasne tego wyartykułowanie było zarazem informacją dla każdego, decydującego się na przystąpienie do jego organizacji – „poprzeczka” ryzyka była ustawiona na bardzo konkretnej wysokości. Stopień zagrożenia, wiążący się z działalnością w jego organizacji był tematem spotkań z jego ludźmi. Sam ich pytał: „Jak uważacie, co powinniśmy zrobić w sytuacji, gdyby zaczęli nas zabijać?” Ja na pytanie takie odpowiedziałem pytaniem: „Myślisz, że będą?” I usłyszałem: „Myślę, że raczej nie, ale wykluczyć tego się nie da”. Działamy więc bez trwogi, ale ze świadomością tego, na co się zdecydowaliśmy.

WAŻNA JAKOŚĆ PRACY A NIE ZASOBY, JAKIMI SIĘ DYSPONUJE

Po wprowadzeniu stanu wojennego, z miesiąca na miesiąc, nie tylko w codziennych, szeptanych rozmowach bardzo wielu Polaków, ale i na antenie Wolnej Europy, Głosu Ameryki, BBC i innych zagranicznych rozgłośni pojawiały się poglądy, często mające charakter jednoznacznej informacji: solidarnościowe podziemie najpotężniejsze jest we Wrocławiu. Dowodem na to był najszybszy i najbardziej dynamiczny rozwój prasy, ukazującej się poza zasięgiem cenzury. Najczęściej fakt ten kojarzono z uratowaniem przez dolnośląską Solidarność niemal całych zasobów finansowych – wypłaceniem 80 milionów zł, po wybuchu wojny polsko-Jaruzelskiej mogących służyć zepchniętemu do podziemia związkowi. Już jednak po kilku miesiącach dolnośląscy liderzy związku, jeden po drugim, zaczęli wpadać w ręce bezpieki, przy czym kuriozalne okoliczności zatrzymania Józefa Piniora wiązały się z utratą wielkiej części uratowanych wcześniej zasobów. Wielu wówczas zrozumiało, że potęga dolnośląskiego podziemia nie miała wiele wspólnego z uratowanymi pieniędzmi. Budowali je bowiem przede wszystkim ci, którzy dostępu do nich nie mieli.

Pomoc materialna, organizowana przez przyjaciół Solidarności Walczącej, była bezcenna, ale siłą rzeczy stanowiła promile wsparcia, płynącego do kierownictwa NSZZ Solidarność. Stąd większość wydawnictw organizacji Kornela Morawieckiego musiała być sprzedawana a nie rozdawana za darmo. Przynosiło to jednak pozytywne efekty. Jeśli ktoś musiał się rozliczać z kolportowanej bibuły – to nie rozrzucał jej byle gdzie, ale kierował ją do konkretnych

odbiorców. A jeśli ktoś poświęcał na gazetkę choć symboliczną kwotę – to tę gazetkę czytał. Podnosiło to zarazem jakość dystrybucji, jak i skuteczność przekazu. Organizacja Morawieckiego (przynajmniej w dużej mierze) musiała się samofinansować. Jakże wymowne jest to, że jej członkowie sami zaczęli ją nazywać: „firma”.

Solidarność Walcząca to nie pierwszy w historii przypadek, w którym niedostatek zasobów stanowi czynnik rozwoju. Antyczna Fenicja była psem wybrzeża, ubogim w gleby, rośliny i minerały. A to jednak mieszkańcy tej właśnie krainy, wielokrotnie uboższej od wszystkich swych sąsiadów, stworzyli najlepszą flotę, zostali mistrzami wytopu szkła, zbudowali archipeląg swoich kolonii. Podobnie Morawiecki – nie dysponował nawet namiastką pieniędzy, znajdujących się w dyspozycji innych działaczy opozycji. A to jednak radiofonia jego organizacji stanowiła wielokrotność wszystkich innych inicjatyw radiowych, to Solidarność Walcząca uruchomiła też takie formy działalności, o których innym nawet się nie śniło.

Spotykając się z ludźmi swej organizacji Kornel pytał o nastroje, o to „jak długo jeszcze dadzą radę”. Byłem świadkiem tego, jak jeden z działaczy odpowiedział wtedy, że jego współpracownicy są zmęczeni, tracą nadzieję na jakieś skutki ich pracy i ogólnie „mają dość”. Zakończył obawą, że wkrótce może da radę drukować jedynie 200 gazetek tygodniowo. Kornel odpowiedział na to spokojnie: „No to będziemy robić 200”. Był to jasny wyraz konsekwencji działania i wierności swym przekonaniom. Nie tylko ze słów, ale przede wszystkim z postawy przewodniczącego Solidarności Walczącej wynikało, że nawet, jeśli mielibyśmy matematycznie udowodnioną pewność, że nasza sprawa nie zwycięży za naszego życia, to powinniśmy na jej rzecz pracować i pozostać jej wiernymi.

Postać Kornela Morawieckiego to przykład doniosłej roli, jaką w nawet najtrudniejszych warunkach odegrać może wybitna jednostka, łącząca w sobie duży potencjał intelektualny, nieustanną aktywność, potęgę charakteru, wielką empatię i niezłomną wierność szczytnym celom.

„Obywatelska”, styczeń 2020



GRZEGORZ EBERHARDT 1950 – 2014

Nazwisko miał po ojcu – rodowitym Austriaku, Polaku z wyboru. W roku wybijania się naszej ojczyzny na niepodległość dwudziestoletni Marian Eberhardt zaciągnął się do wojska, wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej a następnie Trzecim Powstaniu Śląskim. Potem ukończył studia filozoficzne i prowadząc działalność gospodarczą doszedł do dużego majątku. Wszystko zabrała wojna, w czasie której został żołnierzem AK. Rządzący z sowieckiego nadania komunistyczny reżim ludzi z taką przeszłością w najlepszym razie spychał na społeczny margines. Pomimo posiadania unikatowych talentów i kwalifikacji Marian Eberhardt przez wiele lat zmuszony był do utrzymywania rodziny głównie z udzielania korepetycji.

BIEDNIE, ALE W ZGODZIE Z SUMIENIEM

Grzegorz urodził się w Warszawie w roku 1950. Pomimo chwywania się różnych zajęć i ciągłego dorabiania rodzice nie mieli materialnych podstaw stabilizacji. Przyjście na świat dziecka uznali jednak za wielkie szczęście. Od najmłodszych lat dużo troski poświęcali wykształceniu małego Grzesia, który dorastał w ciągłym kontakcie z literaturą, historią, poznawał różne nauki i poglądy na świat. Rodzice nie zdecydowali jednak o wyznaniu, jakie towarzyszyć miało wychowywaniu ich dziecka. Ojciec był ewangelikiem a matka (Dioniza z domu Kisiel) katoliczką. Sporów religijnych nie prowadzili, ale swojemu synowi starali się wytłumaczyć, na czym polegają różnice między chrześcijaństwem Kościoła powszechnego a protestantyzmem. Kiedy Grzegorz miał siedem lat oświadczył rodzicom, że postanowił być rzymskim katolikiem. Dekla-

racji tej pozostał wierny do końca życia. Gorliwym praktykom religijnym towarzyszyło studiowanie Biblii, lektura prac teologicznych i dzieł ojców Kościoła.

Miał kilkanaście lat, kiedy w prasie katolickiej zaczął publikować artykuły, ujawniające już załążki tych cech, z których Grzegorz zasłynie w latach dojrzałych. Czyli – gruntowną znajomość tematu, wierność prawdzie i odwagę stawiania oryginalnych a zarazem bardzo trafnych wniosków. W czasie studiów w szkole filmowej podziw wzbudziła jego wręcz niebywała umiejętność konstruowania fascynujących narracji, złożonych z rzetelnie eksponowanych faktów. Jego studenckie etiudy zwróciły uwagę największych znawców gatunku w kraju i za granicą. Mistrzowie kinowego dokumentu widzieli w nim bezprecedensową indywidualność, artystyczny talent największego formatu, zapowiedź otwarcia nowych horyzontów sztuki filmowej. Wszystko wskazywało na to, że Grzegorz ma przed sobą karierę i to formatu światowego.

ODMOWA WSPÓŁPRACY ZA CENĘ PRZEKREŚLENIA WŁASNEGO ŻYCIA

Pomimo zniszczenia, w okresie sprawowania władzy przez rząd Mazowieckiego, ogromnej części archiwów SB, znamy dziś przerażającą skalę współpracy z antyniepodległościowym aparatem represji środowisk artystycznych, naukowych czy medialnych. Profesurę wielu uczelni w połowie stanowili agenci SB. Szpiclami bezpieki była większość dziennikarzy mediów elektronicznych, niemal wszyscy redaktorzy naczelni i korespondenci zagraniczni. Dodatkowy etat w charakterze donosiciela bezpieki był głównym czynnikiem sprawczym całego mnóstwa karier naukowych, artystycznych, dziennikarskich. Oddając się na służbę siepaczy strzegących sowieckich interesów można było wykończyć najzdolniejszych konkurentów ze sceny czy z instytutu, zarazem zarabiając dodatkowe pieniądze, otrzymując ekspresowy przydział mieszkania czy samochodu, przywileje posiadania paszportu, dostępu do deficytowych dóbr, intrygujących podróży służbowych, udziału w prestiżowych konferencjach, produkcjach, wysokonakładowych i dobrze płatnych publikacjach itd. itd... Środowisko filmowe było jednym z tych, w którym SB chciało mieć agenturę wyjątkowo liczną. Za cel postawiło sobie więc także zwerbowanie Grzegorza Eberhardta, zapowiadającego się na luminarza sztuki filmowej, stojącego przed perspektywą posiadania znaczącej pozycji w kręgach ludzi sztuki, częstej obecności za granicą, licznych kontaktów w artystycznych środowiskach Zachodu. Standardem werbowania było znalezienie jakiegoś „haka” na osobę, którą zamierzano pozyskać do współpracy. Grzegorz związany był w tym czasie z kręgami polskich hipisów, w dużej mierze zajmujących się działalnością artystyczną i podej-

mujących inicjatywy o charakterze opozycyjnym. SB zatrzymała więc Grzegorza pod pretekstem jego kontaktu z osobami palącymi marihuanę. Ubecy spodziewali się, że groźba wyciągnięcia konsekwencji z takiego tytułu zaowocuje zgodą na współpracę. Na odmowę reagowali wysuwaniem zarzutów coraz większego kalibru i preparowaniem dowodów rzekomego produkowania i dystrybuowania narkotyków. Grzegorz odmawiał współpracy nawet wtedy, gdy uświadomiono mu konsekwencje, jakimi mogło być nawet 10 lat pozbawienia wolności. Nie zmienił zdania w czasie rozmów z prokuratorem ani stając przed sądem. W efekcie zamiast rozstawić polską kinematografię trafił do więzienia z zapewnieniem, że spędzi w nim dużą część życia a kamery filmowej nie zobaczy już nigdy.

Z WIĘZIENIA DO PODZIEMIA

Lata spędzane w celi przerwała amnestia. Szansa kręcenia filmów pojawiła się jednak dopiero po Sierpniu 1980. Uczestniczył w tworzeniu dokumentów tamtego czasu, odgrywał kluczową rolę w przygotowaniach do uruchomienia Filmowej Kroniki Solidarności. Plany te przerwał stan wojenny. Grzegorz natychmiast włączył się w działalność podziemia jako drukarz i redaktor kilku pism, m.in. „Tygodnika Wojennego”. W podziemnym wydawnictwie „Los” był organizatorem i szefem poligrafii. Obdarowany nadzwyczajnym zmysłem technicznym (wcześniej własnoręcznie wykonał wszystkie meble swojego mieszkania oraz wiele pomysłowych, użytecznych urządzeń) konstruował miniaturową maszynę offsetową o ogromnej wydajności. Udoskonalona posłużyła do uruchomienia druku wyjątkowego periodyku – „Przeglądu Wiadomości Agencyjnych”. Działając w konspiracji warszawskiej zorientował się, że część stołecznej opozycji utrzymuje kontakt z reżimem, dąży do wyeliminowania niepodporządkowanych jej kręgów podziemia oraz dojścia do władzy drogą ugody z komunistami. Tego rodzaju kierowanie się interesami kastowymi, kosztem narodowych, było Grzegorzowi organicznie obce i spowodowało jego włączenie się w działalność Solidarności Walczącej. Przeciw grabieży polskiego majątku, bezkarności i uprzywilejowaniu funkcjonariuszy reżimu protestował także po roku 1989. W efekcie nie miał szans pracy w mediach czy kinematografii. Wraz z żoną utrzymywał się z dorywczych prac, publikował w niszowych wydawnictwach. Rozpoczął też żmudną działalność, polegającą na weryfikowaniu naukowych publikacji dotyczących np. rzekomego udziału Polaków w zbrodniach, dokonanych na Żydach. Morze czasu spędził w archiwach, w których analizował źródła, na których opierać się mieli autorzy antypolskich kalumnii. Owocem tej mrówczej pracy były artykuły doszczętnie dementujące całe serie antypolskich oszczerstw. Książki ta-

kie, jak „Puenty” czy „Świat jednak jest normalny” to przykłady warsztatowego mistrzostwa, arcy – rzetelności polegającej na opieraniu każdego wniosku na gruntownej analizie absolutnie wszystkich źródeł. A wnioski te często są porażające – oznaczają, że wiele przekonań, upowszechnionych w III RP to cynicznie spreparowane kłamstwa a wiele postaci wylansowanych na tzw. „autoryte-ty” w ogóle nie jest tymi, za kogo się podają.

PRZERWANE DZIEŁO

12 lat temu jednym tchem pochłonąłem wydaną przez Helenkę i Romka Lazarowiczów genialną biografię Józefa Mackiewicza. Byłem pod tak ogromnym wrażeniem erudycji i świetnego pióra, że o pracy tej natychmiast rozpi-sałem się na łamach „Opcji”. Dosłownie w tym samym czasie tygodnik „Solidarność” zamieścił entuzjastyczną recenzję wywiadu – rzeki z Kornel Morawieckim. „W tym samym tygodniu ty napisałeś o mojej książce a ja o twojej. Czy ktokolwiek uwierzy, że się nie umówiliśmy?” – pytał potem Grzegorz z uśmiechem niedowierzania. Za konieczne uważał spisywanie świadectw lu-dzi z organizacji. Przekonywał, że zarówno Kornel Morawiecki, jak i Solidar-ność Walcząca koniecznie muszą się doczekać dzieła ogromnego, w szczegó-łach opisującego niezwyklej działalność wyjątkowych ludzi, którzy na przekór okolicznościom dla pokonania totalitarnej opresji dokonali niezmiernie wie-le. Grzegorz pracował nad książkami o Stefanie Korbońskim i rzeźbiarzu Szu-kalskim. Przez długi czas mailowo wymienialiśmy informacje, pomysły, opinie. Mail, który odczytałem rankiem 10 września 2014 raził mnie jak grom z ja-snego nieba. Napisała go już jego żona a brzmiał: „Grzegorz już nie odpisze. Umarł wczoraj wieczorem”.

Przyczyną nagłej śmierci był atak serca. Parę dni później na pogrzeb do podwarszawskiego Legionowa wiozłem z Wrocławia sztandar Solidarności Walczącej. Przyjaciele ze stołecznej SW ceremonii nadali nadzwyczajną oprawę. Zmarłego żegnało duże grono aktywnych patriotów – państwowców, tak jak Grzegorz gorzko doświadczonych w PRL-u a w pookrągłostołowej Polsce zepchniętych na margines.

Odszedł przedwcześnie, w trakcie realizacji ważnych twórczych planów. Swoimi życiowymi wyborami pozostawił jednak po sobie wzorzec niezłomnej uczciwości a dziełami – najwyższych standardów rzetelnego dochodzenia do prawdy.

„Obywatelska”, grudzień 2020



ANTONI FERENC 1946 – 2008

Uczestnika wycieczki młodych Amerykanów po krajach Europy spytano, co największe wrażenie zrobiło na nim w Polsce. Znający cuda architektury Francji, Włoch, Hiszpanii zamyślił się i odpowiedział: „Chyba nic...”. Po chwili jednak ożywił się i z podziwem w głosie dodał: „Ale historię to Polska ma absolutnie nadzwyczajną, niezrównaną!”

Żaden kraj nie utracił równie wielkiej części swego materialnego dziedzictwa. W dawnej Polsce mieliśmy jedne z największych zbiorów klejnotów (jako strategiczny zasób państwa gromadził je np. Zygmunt August), ogromne kolekcje malarstwa (ta Władysława IV była m.in. drugą największą pod względem ilości obrazów Rubensa) a księgozbiór braci Załuskich nie miał równych pod względem liczby inkunabułów, skarbów grafiki czy kartografii. Niezliczone wojny i rabunki unicestwiły nie mające nigdzie swych odpowiedników rezydencje w rodzaju Krzyżtoporu. Z tysięcy dworów, owych skarbców sztuki i narodowych pamiątek, nie pozostał nam kamień na kamieniu. Polskie muzea wyglądają więc dziś blado, w szczególności na tle galerii państw, które nie tylko miały przywilej odwiecznego gromadzenia własnych zasobów, ale też bezkarnego grabienia cudzych. Nasze zachowane materialne dziedzictwo to tylko okruchy tego, co powstawało w minionych wiekach. Tym bardziej powinniśmy o nie dbać, ale też tym bardziej powinniśmy otaczać swą troską pamięć o historycznych dokonaniach Polski i Polaków. Ocalałymi zabytkami nie przyćmimy Luwru czy pereł Toskanii. Natomiast niezwykłość polskich losów a nade wszystko wkład pokoleń naszych rodaków w ocalenie europejskiej cywilizacji i budowę świata wolnych ludzi to wielki powód do narodowej dumy i walor mogący budzić fascynację każdego, kto dorobek ten zechce poznać.

ZAPLANOWANA MARGINALIZACJA POLSKICH DOKONAŃ

Narodzona w roku 1980 Solidarność była jednym z największych, najbardziej oryginalnych i fascynujących ruchów społecznych ostatniego półwiecza. I to w skali całego świata. Skupiała uwagę mieszkańców wszystkich kontynentów jako uruchamiająca wielkie pokłady humanizmu propozycja budowy ładu opartego na głębszych, bardziej empatycznych relacjach międzyludzkich. Tych unikatowych osiągnięć nie zdołał zgruchotać PRL-owski aparat przemocy. Jego zniszczenie okazało się możliwe dopiero w po połączeniu sił komunistów i często bliskich im biografiami kręgów niestety działających w łonie samej Solidarności. Stąd też ładu, wypoczwarczający się od roku 1989 w zasadniczej mierze okazał się jej zaprzeczeniem. Od 30 lat większość uczniów polskich szkół w ogóle nie spotyka się na lekcjach historii z wydarzeniami, związanymi z Solidarnością. W całym procesie edukacji gros naszych dzieci i młodzieży w ogóle nie poznaje historii najnowszej. Okrojony wymiar godzin skutkuje tym, że często już II wojna światowa nie mieści się w realizowanej części programu. Proceder ten ma zbyt wielką skalę i trwa zbyt długo, by nie mieć wrażenia, że jest działaniem zamierzonym.

W interesie postkomunistycznych „elit” III RP nie leży upowszechnianie wiedzy o tym, z jakich kręgów one się wywodzą, komu zawdzięczają swoją pozycję. Tak, jak żadnym biznesem nie jest dla nich prawda o zbrodniach UB i walce żołnierzy wyklętych, tak nie jest też nim przypominanie o dokonaniach i bohaterach Solidarności. Tym samym więc sposobem, jakim przywiezieni z Moskwy poprzednicy elit Ubekistanu niczym króliki z kapelusza powyciągali „bohaterów” w rodzaju generała Waltera czy partyzanta Moczara, takim ich następcy wyczarowali swoich. A ludzi rzeczywistych ogromnych zasług zepchnięto na margines i skazano na zapomnienie. Naszą powinnością wobec tych szlachetnych postaci, którym tak wiele zawdzięczamy, jest pamięć o nich. Jest ona też obowiązkiem wobec polskiej historii. Apeluję więc o spisywanie dziejów ludzi zasłużonych w walce o (używając słów roty przysięgi Solidarności Walczącej) uwolnienie od komunizmu ludzi i narodów. Dziś chciałbym przypomnieć jedną z nich.

ŻELAZNY CHARAKTER A ZARAZEM UOSOBIENIE CIEPŁA I DOBROCI

Z opisaniem działalności Tośka Ferenca problem mam taki, że w czasach podziemia obowiązywała zasada „im mniej informacji tym lepiej” a po wyjściu z konspiracyj wspominać nie chciał. Uważał, że do zrobienia w Polsce jest jeszcze ogromnie dużo, stąd jeszcze nie pora na utrwalanie historycznych relacji. Wszystko, co mogę o nim opowiedzieć, ma więc jedynie charakter przyczyn-

karski. Mam nadzieję, że wśród czytelników znajdą się mogący tę opowieść skorygować i rozwinąć.

Urodził się w 1946 roku w Bytomiu, w wieku 16 lat ukończył szkołę zawodową w Łławie, uzyskując kwalifikacje elektryka. Naukę kontynuował w technikum gastronomicznym we Wrocławiu, kilka lat pracował jako kucharz, barman, kelner. W 1972 powrócił do pierwszego zawodu i pracował we wrocławskim Hutmenie, bazie PKS-u, Fabryce Dywanów w Kowarach a od 1978 w Budopolu. Wtedy też zaczął kolportować wydawnictwa drugiego obiegu – „Robotnika”, „Podaj Dalej”, „Biuletyn Dolnośląski”. W czasie pracy na budowie eksportowej w Czechosłowacji jego rozmowy z kolegami na temat ustroju zostały przez kierownictwo uznane za niebezpieczne – zerwano z nim umowę i nakazano powrót do kraju. Krótco potem zaczął się polski Sierpień, w czasie którego Tosiek robił, co mógł, by solidarnościowe strajki rozpoczęły się także we Wrocławiu. Po ich zwycięstwie zaangażował się w budowanie struktur NSZZ Solidarność w przedsiębiorstwie Budopol. Przez 16 miesięcy obowiązki męża i ojca łączył nie tylko z pracą zawodową, ale i wielką społeczną aktywnością na rzecz solidarnego społeczeństwa, budującego narodową wolność i ład oparty na fundamencie prawdziwych wartości. Organizował wykłady o chrześcijańskim etosie pracy, upowszechniał publikacje o godzeniu efektywności produkcji z podmiotowością skupionych na niej ludzi. W budowie silnego związku zawodowego widział znaczący krok w kierunku zrzućenia komunistycznego jarzma oraz niepodległości ojczyzny. Po wprowadzeniu stanu wojennego uważał, że nie należy biernie poddawać się przemocy. Organizując strajk w swoim zakładzie opowiadał się za użyciem do budowy barykad także butli z acetylenem. Stłumienie protestu oznaczało dla Tośka wieloletni czas nękania represjami. Jak się okazało „wilczy bilet”, z jakim w grudniu 1981 został zwolniony z pracy, w stosunku do niego obowiązywał nie tylko w PRL-u, ale i w III RP. Niemal do końca życia rodzinę utrzymywał z różnych dorywczych zajęć. Znany już dobrze bezpiece i często przez nią nękaną nie tylko nie zrezygnował z niepodległościowej działalności – stała się ona główną treścią jego życia. Zaczął od malowa napisów na murach, ale od początku dążył do stworzenia organizacji, mogącej podejmować różnorakie działania na dużą skalę.

OD ZAPOMNIANEJ „LECHII” DO SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Jeszcze przed pierwszymi „wojennymi” Świątami Bożego Narodzenia Tosiek doprowadził do stworzenia załączka konspiracyjnej struktury, której nazwa świadczyła o stawianiu sobie przez nią celów o wiele dalszych od związ-

kowych. Narodowa Organizacja Wyzwoleńcza „Lechia” brała udział w druku i kolportażu prasy Regionalnego Komitetu Strajkowego, ale za zadanie naczelne wyznaczyła sobie gruntowne zmiany ustrojowe i niepodległość. Wiosną 1982 zaczęła wydawać pismo „Goniec Polski” (ukazało się 15 numerów), z entuzjazmem przyjęła powstanie Porozumienia Solidarność Walcząca. Dążąc do konsolidacji antykomunistycznego podziemia parę miesięcy później „Lechia” w całości weszła w skład organizacji Kornela Morawieckiego, wchłaniającej wówczas także inne konspiracyjne inicjatywy.

Tosiek był znany ze swej aktywności w działającym przy kościele św. Klementa Dworzaka Duszpasterstwie Ludzi Pracy i w innych środowiskach, którym schronienia i wsparcia udzielali księża, np. u salezjanów z kościoła Chrystusa Króla. Dzięki tym kontaktom powstawały kolejne kiluosobowe komórki Solidarności Walczącej. Ich członków kierował na kursy druku, prowadzone przez Barbarę Sarapuk, choć zespoły te realizowały zadania nie ograniczające się do poligrafii.

Konspirowanie osoby znanej i permanentnie represjonowanej przez SB było trudne. Często rozmiar prowadzonej przez służby obserwacji uniemożliwiał spotkania ze współpracownikami. Wiele więc Tosiek załatwiał za pośrednictwem dublerów a bycie śledzonym powodowało, że nie musiał unikać uczestnictwa w demonstracjach (które dla wielu zaangażowanych w konspirę było wykluczone). Bywał w ich trakcie zatrzymywany, bity, przebywał w aresztach. Rewizje wywracały mieszkanie do góry nogami, liczne działania nękające miały na celu budowanie wrażenia, że siepacze reżimu czają się na każdym kroku. W czasie jednego z przesłuchań Tosiek doszedł jednak do wniosku, że metody bezpieki w jakiejś mierze mogą być przeciw skuteczne. Kiedy bowiem w milczeniu wysłuchiwał tyrady oficera SB doszedł do wniosku, że funkcjonariusze uważają go za osobę krańcowo zdeterminowaną, ze strony której liczyć się muszą z każdą ewentualnością. Krótco potem sprawdził praktyczną moc tej opinii, swymi krzepkimi rękami chwytając w bramie jednego z śledzących go ubeków. Trzymany przez Tośka nie mógł sięgnąć po broń a był przerażony tak krańcowo, że wyglądał na żegnającego się z życiem. Usłyszał wtedy od Tośka: „Wy też bywacie sami, więc pamiętajcie o tym, gdybyście komuś chcieli zrobić krzywdę”. Skuteczne też okazywało się wyprowadzanie śledzących w pole dzięki zamianie ubrań z osobami o podobnej posturze. Tą metodą Tosiek mieszał szyki bezpieki np. współdziałając z też śledzonym Andrzejem Zarachem.

W roku 1984 Ferenc został aresztowany w ramach największej wyspy w całej historii Solidarności Walczącej. Był jedną z ponad stu osób, przeciw którym toczyło się śledztwo. Po paru miesiącach uwięzienia zostało ono jednak umorzone w wyniku amnestii, ogłoszonej z okazji 40 rocznicy PRL-u.

ETYCZNY ŁAD POLSKI Z JEGO MARZEŃ

Jednym z ogniw Solidarności Walczącej, w których działał Tosiek, był zespół złożony z Maćka Dziubańskiego, Krzyśka Zwierza, Andrzeja Sztylera i mnie. Niemalą rolę w naszych zadaniach odgrywały też żona Maćka Janina oraz Krzyśka – Teresa. Nasza grupa drukowała część nakładu „Solidarności Walczącej”, utrzymywała łączność kurierską z Trójmiastem i okresowo z Górnym Śląskiem, do celów transportowych dysponowała też jednym z organizacyjnych samochodów – starym, tanim, „zajechanym jak cygańskie skrzypce” dużym fiatem, który jednak moi koledzy potrafili utrzymywać w doskonałej technicznej sprawności. Z natury rzeczy nasze spotkania po ustaleniu spraw, związanych z działalnością, kończyły się rozmowami o rozwoju wydarzeń. Tosiek miał wtedy okazję obszerniejszego wyrażenia przekonań, którym krócej dawał wyraz bardzo często. Jego wypowiedzi nie były projekcjami marzeń o kształcie Polski, który kiedyś wywalczymy. Uważał, że tę ojczyznę przyszłości budujemy już teraz, w archipelagu kilkuosobowych grupek tworzących podziemie. Podkreślał, że jeśli przyszła Polaka ma być lepsza od tej rządzonej przez komunistów, to maksymalnie wysoką jakość musi mieć wszystko, co w konspiracji robimy. A nade wszystko jakość najwyższą musi mieć moralność nas samych. „Jeśli by było inaczej to całe to nasze podziemie nie miałoby sensu” – powtarzał Tosiek. Uważał, że niedostateczna troska o rodzinę i innych ludzi, za których bierze się odpowiedzialność, wysiłek zbyt mały lub nieefektywny – to jak „budowanie drugiej komuny”. Do kategorii tej zaliczał najdrobniejsze przejawy nieuczciwości, nierzetelności czy nadużywanie alkoholu. Przy każdej też okazji przygotowywał nas na twarde zderzenie z siepaczami reżimu. Jedne z często powtarzanych zdań brzmiały: „Możesz się w ich łapach znaleźć w każdej chwili. Musisz znać swoje słabe strony i być przygotowanym na to, że oni ich będą szukać, znajdą je i potrafią wykorzystać. Bycie członkiem Solidarności Walczącej oznacza gotowość na poniesienie bardzo daleko idących konsekwencji. Jakielkolwiek złamanie się – nie może wchodzić w grę.” Tosiek wiedział, że część opozycji prowadzi tajne rozmowy z reżimem. Mówił o tym: „To, że dla kogoś ważniejsza jest prywatna, że ktoś decyduje się być zdrajcą – w najmniejszym stopniu nie zwalnia nas z wierności zasadom”.

WŚRÓD SKAZANYCH NA ZAPOMNIENIE

Do lat dziewięćdziesiątych jego życie wypełniała tytaniczna praca konspiracyjna, której towarzyszyły ciągle represje. Początek ustrojowej transformacji obserwował z wielką goryczą. Padł mur berliński, w Pradze prezydentem został Havel a w Polsce nadal działała cenzura, płonęły archiwa, esbekom przyznawano bizantyjskie uposażenia, nie miała końca bezczelna i bezkarna grabież narodowego majątku. Tosiek, któremu od grudnia 1981 konsekwentnie odmawiano zatrudnienia, próbował powrócić do pracy w miejscu, z którego go zwolniono. Nadal okazywało się to niemożliwe. Pozostawała praca dorywcza, potem prowadził działalność gospodarczą, polegającą na remontach mieszkań. Nie tracił wiary w możliwość wejścia Polski na drogę rozwoju sprawiedliwego, na ocalenie wartości, które zbudowały Solidarność. Działał w Partii Wolności, stanowiącej jawną kontynuację Solidarności Walczącej, w środowiskach związanych z Kościołem i lokalnym samorządzie najniższego szczebla. Z własnymi propozycjami reform i informacjami o szerzących się patologiach starał się dotrzeć do radia i gazet. W III RP obowiązywał jednak nieformalny quasi – monopol środków masowego przekazu. Media elektroniczne i wielkonakładowa prasa głosiły, że reprezentują wszystkie nurty ideowe a każdy ma takie same prawo głoszenia swych racji. W rzeczywistości środowiska, do których należał Tosiek, dysponowały środkami podobnymi do używanych przez konspirację w stanie wojennym. W późnych latach dziewięćdziesiątych coraz większą część swego życia wiązał z Kościołem. Wielu jego przyjaciół interpretowało to jako poszukiwanie takiego miejsca w swojej ojczyźnie, w którym nie dominuje większość opowiadająca się za TW Bolkiem lub TW Olkiem. Szukał pól twórczej aktywności, na których nie musiałby się przyglądać kolejnym wykwitom nikczemności władz. Tosiek regularnie też spotykał się z grobem wspierających się przyjaciół z Solidarności Walczącej. Po długich staraniach, w 66 roku życia została mu wreszcie przyznana zasłużona emerytura. Skutkiem lat przymusowego pozostawania bez pracy była w najniższej ustawowej wysokości, ale stanowiła wreszcie podstawę minimalnej stabilizacji. Tosiek zmarł jednak krótko po jej uzyskaniu 22 kwietnia 2008.

Ojczyzna to nie tylko jej dzień dzisiejszy i jej przyszłość, ale też dziedzictwo poprzedzających nas pokoleń. Narodowa historia musi być nauczana i upowszechniana z uwzględnieniem jak najszerzego wachlarza doświadczeń jednostek i zbiorowości. Jeśli dane pokolenie nie jest usatysfakcjonowane współczesnym mu obrazem społeczeństwa czy jego elit – musi ono znać

dokonania generacji minionych. A było wśród nich bez liku postaci wspaniałych, bez reszty oddających swe życie ojczyźnie. Jednym z takich Polaków, szlachetnych i bohaterskich a zarazem niezmiernie sympatycznych, ciepłych, mogących inspirować, służyć za wzór – był Tosiek Ferenc.

„Obywatelska” maj 2019



MACIEJ FRANKIEWICZ 1958 – 2009

Maciej Frankiewicz urodził się w 1958 w Poznaniu. W 1980, jako student politechniki, był jednym z założycieli wielkopolskich struktur Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Wspominający go mówią czasem, że w robił wrażenie nieco nieporadnego. Trudno jednak o wniosek bardziej fałszywy. Dowodem na to jest całe jego życie a czas otwarty wprowadzeniem stanu wojennego – w szczególności. Maciej był dwukrotnie internowany. Nawet jednak w więziennych celach okazywał się być tytanem aktywności, w anormalnych warunkach organizującym życie kulturalne i sportowe, podejmującym akcje protestujące, kreślącym plany doprowadzenia Polski do fundamentalnych przemian.

W latach osiemdziesiątych był jednym z najbardziej prześladowanych ludzi w Polsce. SB dbała o to, by stale towarzyszyła mu „obstawa” śledzących go tajniaków, wyposażonych w samochody i nowoczesny sprzęt. Zadanie ułatwiała im postura Frankiewicza – człowiekowi o blisko dwumetrowym wzroście nie jest łatwo ukryć się w tłumie. A jednak rosły konspirator bardzo często potrafił swoich „opiekunów” wyprowadzić w pole. Któryś razem zorientował się, że „zgubił” prawie wszystkich i podąży za nim już tylko jeden esbek. W tramwaju podszedł do niego i spytał „jedziemy sobie razem?” „Ano jedziemy” – odpowiedział funkcjonariusz. Kiedy śledzony wysiadł przy parku spytał „to pewnie teraz pospacerujemy?” Szpicel odpowiedział, że owszem, będzie towarzyszył spacerowi Frankiewicza. W parku Maciek trzeci raz podszedł i spytał „to może pobiegamy?” „Możemy pobiegać” – zgodził się tajniak. Nie uwzględnił jednak, że śledzony przez niego jest świetnym sportowcem, potrafiącym pokonywać dystanse maratońskie. Chwilę później zdyszany ubek

mógł jedynie się przyglądać, jak poznański konspirator w szybkim tempie zniknął za zakrętem parkowej alei.

Już w 1982 okazało się, że Maciej Frankiewicz w działalności podziemnej potrafi dokonywać rzeczy niezwykłych. By stworzyć sieć drukarni nie wahał się wykradać powielaczy z państwowych przedsiębiorstw. Potem, w analogiczny sposób, zdobywał dla nich papier i materiały poligraficzne. W 1983 założył w Poznaniu oddział organizacji Solidarność Walcząca, który wkrótce okazał się jednym z funkcjonujących najsprawniej i najdynamiczniej. Rostły nakłady kolejnych podziemnych gazetek, na ulicach rozsypywane były ulotki, działało podziemne radio.

Służba Bezpieczeństwa wielokrotnie zatrzymywała Frankiewicza, więziła przez 48 godzin, przesłuchiwała, przeprowadzała rozmowy ostrzegawcze, na różne sposoby starała się go zastraszyć. Trzykrotnie został wydany nakaz aresztowania, w wyniku czego Maciej trafiał do więzienia. Dwa razy udało mu się przechytryć strażników i wydostać się na wolność. Któryś razem esbecy dopadli go tak nagle, że nie zdążył zniszczyć małej karteczki z adresem jednego z współpracowników. W czasie przesłuchania ręce miał skute kajdankami na plecach. Cały czas miał wtedy na celu tylko jedno – uwolnić dłonie i zniszczyć tę fatalną, mogącą komuś zaszkodzić karteczkę. W czasie rozmowy z esbekami zaskoczył ich zgodą na podpisanie protokołu zeznań. Funkcjonariusze uwolnili więc ręce Frankiewicza, które w tym momencie potrzebne mu jednak były tylko do tego, by błyskawicznie nieszczęsną karteczkę włożyć do ust i połknąć. Spowodowało to furję – przesłuchujący takie zagranie sobie na nosie odreagowali ciężkim pobiciem zatrzymanego, który oczywiście także tym razem ani niczego nie podpisał, ani nie był źródłem jakichkolwiek informacji.

W wiele wyczynów Maćka Frankiewicza aż trudno uwierzyć. A jednak zdarzyły się naprawdę i można by z nich utkać film sensacyjny ze scenami pościgów pieszo po dachach i lasach czy małym fiatem, którym goniącym skutecznie umykał jadąc po schodach. Trudno też zliczyć wszystkie konspiracyjne aktywności Macieja Frankiewicza. Bez jego pomysłowości, ofiarności, organizacyjnego talentu, konsekwencji – bez wątpienia nie tylko poznańska i wielkopolska, ale wręcz ogólnopolska opozycja byłaby znacząco uboższa. W 1989 był przeciwnikiem porozumień zawartych przy „okrągłym stole”. Na początku lat dziewięćdziesiątych domagał się niezwłocznego uznania niepodległości krajów wyzwalających się spod dominacji Związku Sowieckiego. Za demonstrowanie na terenie radzieckiej ambasady w Poznaniu stanął przed sądem.

W 2002 został wiceprezydentem Poznania. Zajmował się przede wszystkim sprawami oświaty, sportu i kultury. W dużej mierze dzięki niemu organizowano kolonie dla dużej liczby dzieci z ubogich rodzin. Nie bez racji uważa się, że zaliczenie Poznania do miast – gospodarzy Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej jest jego zasługą. Tak, jak i wioślarskie mistrzostwa świata. Jako samorządowiec i zastępca prezydenta wielkopolskiej stolicy wykazywał bowiem tyle samo energii i uporu, jak niegdyś w działalności podziemnej. Zawsze był wiernym kibicem najlepszej wielkopolskiej drużyny futbolowej, pełnił m.in. funkcję wiceprezesa WKP Lech Poznań. Współtworzył coroczny Maraton Poznański, którego zawsze był uczestnikiem. Działalność sportową zawsze starał się łączyć z treściami propaństwowymi, patriotycznymi. Stąd jako miłośnik jazdy konnej przyczynił się do sformowania kawaleryjskiego oddziału kawalerii, kultuwującego tradycje ułanów wielkopolskich.

Kiedy się czasem dyskutuje o osobowych wzorach dla młodzieży to często przychodzi mi na myśl właśnie Maciek Frankiewicz, który w każdych czasach, nigdy się nie oszczędzając, odnajdywał najwłaściwszą dla siebie rolę i zawsze był w niej arcy – wspaniały. W czasach walki był na pierwszej jej linii, w sytuacjach najtrudniejszych uruchamiał kreatywność zdającą się nie mieć granic i dokonywał rzeczy wręcz niewiarygodnych. A w czasach budowania był tytanem znów bardzo wielorakiej pracy pozytywistycznej. Zawsze patriota, zawsze pogodny, często wesoły. W najgorszych okolicznościach optymistą, ale taki nie liczący na to, że dobra przyszłość sama spadnie z nieba, ale że własnym wysiłkiem i niezłomną wiarą samemu, na nikogo się nie oglądając trzeba ją wykuwać. Do tego jeszcze mąż, ojciec i przyjaciel, na którym zawsze polegać można było jak na Zawiszy. Po prostu – Maciek Frankiewicz.



JERZY GRZEBIELUCH 1931 – 2021

Był jednym z najważniejszych ludzi opozycji ostatnich dekad PRL-u. Jerzy Grzebieluch najbardziej był znany jako jeden z liderów NSZZ Solidarność Rolników Indywidualnych. Antykomunistyczną działalność zaczął jednak znacznie wcześniej. Pochodził z Górnego Śląsku, gdzie już w 1976 roku był prawdopodobnie najważniejszym kolporterem wydawnictw drugiego obiegu. Początkowo współpracował z Komitetem Obrony Robotników, od którego szybko jednak się zdystansował dochodząc do przekonania, że krąg ten w zbyt dużej mierze wywodził się wprost z elit nomenklaturowych. A jemu nie chodziło o reformę komunizmu, lecz jego całkowite obalenie. Zbliżył się więc do środowisk, z których wyrosła Konfederacja Polski Niepodległej, współpracowników znalazł wśród księży Kościoła katolickiego, współdziałać zaczął z Wolnymi Związkami Zawodowymi, organizowanymi przez Kazimierza Świtonía. Przez reżim komunistyczny zaczął więc być zaliczany nie do opozycjonistów – polemistów, proponujących jedynie korekty ustroju, lecz do jego najgroźniejszych wrogów. Pasma prześladowań przerwane zostało dopiero wraz ze zwycięstwem Sierpnia 1980. Od ponad roku był już wtedy wydawcą niezależnego pisma rolników „Placówka” i walce o prawa polskich chłopów poświęcał największą część swego czasu i zdrowia. Z wykształcenia był inżynierem rolnikiem, pracował na uczelniach, miał wielu przyjaciół prawników. Stanowiło to potencjał ogromnie potrzebny wiejskiej Solidarności, której komunistyczny reżim przez niemal rok odmawiał prawa do istnienia. Angażował się też w mnóstwo innych aktywności. Nie odmawiał wsparcia żadnej niezależnej inicjatywie a uważał, że Polska stoi przed historyczną szansą. W liście napisanym na jego pogrzeb i odczytanym w kościele w Zawierciu 29 maja br. premier Mateusz Morawiecki mówił o tym tak: „współdziałał z bardzo wieloma organizacjami i środowiskami, kolportował wydawnictwa bardzo różnych organizacji politycznych. Swoją działalnością nie budował więc żadnej własnej politycznej przyszłości. Chodziło mu bowiem wyłącznie o przyszłość Polski a o siebie samym myślał naj-

mniej. On w każdym, kto zmagał się z prosowieckim reżimem, widział sprzymierzeńca, któremu należy pomagać. Pamiętajmy o ludziach takiej postawy, o ludziach tak rozumiejących swą służbę ojczyźnie. Szczególnie warto o takich pamiętać w czasach, w których ambicje indywidualne czy środowiskowe generują wiele szkodzących Polsce sporów i podziałów.”

W stanie wojennym należał do internowanych łącznie przez ponad rok. W czasie buntu więźniów w Uhercach został ciężko pobity. Na wolność wyszedł z dużymi uszczerbkami zdrowia, permanentnie trafiał do szpitali. Wraz z zaprzyjaźnionymi księżmi zaczął organizować cykliczne msze św. za ojczyznę, które stały się tradycją, kontynuowaną przez dziesięciolecia. Ani na chwilę nie dawało mu spokoju SB. Jedną z prowokacji, jakie przeciw niemu spreparowano, było oskarżenie o sabotaż, polegający na wytruciu krów w jednym z PGR-ów. Zatrzymania, rewizje, aresztowania, napaści „nieznanych sprawców” były codziennością jego życia aż do roku 1989. Pomimo tego nadal współdziałał z opozycją antykomunistyczną i niepodległościową, zaangażował się w działalność Solidarności Walczącej. Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych robił wszystko, by dokonujące się zmiany oznaczały prawdziwy historyczny przełom a nie ustrojową transformację wg definicji Tomasso de Lampedusy: ”Wiele trzeba czasem zmienić tylko po to, żeby tak naprawdę wszystko zostało po staremu”. Należał do demaskatorów fikcyjnych przemian, więc w pokrągłostołowej Polsce politycznego i medialnego quasi – monopolu znalazł się na marginesie życia społecznego. Po trwającym ćwierć wieku skutecznym skazaniu na zapomnienie przypomniano o nim dopiero w ostatnich latach. Badania i kolejne publikacje IPN-u roły się od faktów jego tytanicznej działalności, dowodów ogromnych zasług, całkowitej bezinteresowności i słonej ceny, jaką zapłacił za swą postawę.

W swoim liście Mateusz Morawiecki stwierdził m.in., że „ś.p. Jerzy Grzebieluch mógłby być wzorem wierności prawdziwym wartościom, bezinteresownego oddania Polsce i jej obywatelom”. Czyż to nie charakterystyczne, że to właśnie ludzie o takich przymiotach nie mieli szans publicznego zaistnienia w realiach ustanowionych układem okrągłego stołu?

„Obywatelska”, czerwiec 2021



KORNEL CZYLI NIEPODLEGŁOŚĆ

W ostatnich dekadach PRL-u wyzwolenie spod sowieckiej dominacji było celem wyrażanym przez kilka antykomunistycznych organizacji.

Polskie Porozumienie Niepodległościowe ograniczyło jednak swoją działalność do studiów i prac programowych. Z kolei Konfederacja Polski Niepodległej była śmiałą inicjatywą, niestety w dużej mierze zniweczoną decyzjami jej liderów. Stan wojenny Leszka Moczulskiego zastał na przepustce z więzienia. W apogeum konfrontacji z reżimem i wielkiego zapotrzebowania na prawdziwych przywódców, dobrowolnie wracając do celi Moczulski wybrał los męczennika. Przyczyniło się to do osłabienia roli KPN-u w zmaganiach lat osiemdziesiątych. Decyzją na miarę przekreślenia własnego dorobku był udział Klubu Parlamentarnego KPN w obalenia pierwszego niekomunistycznego rządu i głosowanie współ z przeciwnikami lustracji.

MŁODOŚĆ NA GRUZACH

Kornel Morawiecki dorastał w Warszawie, za podjęcie walki o niepodległość w wielkiej części wymordowanej i przeobrażonej w wypaloną pustynię. Świadectwa ceny, jaką Polska płaci za pragnienie wolności, Kornel spotykał na każdym kroku. Z komunistycznym terrorem i zniewoleniem ojczyzny przez sowieckie imperium nie sposób było się pogodzić, ale trudno było o znalezienie drogi, mogącej prowadzić do zrzucenia okowów niewoli. Będąc uczniem włączył się w aktywności, formujących się w warunkach półkonspiracyjnych, duszpasterstw akademickich. Po maturze, zdanej w siedemnastym roku życia, ubiegał się o przyjęcie na Akademię Medyczną. W otchłani cierpienia, jaką była ówczesna Polska, zawód lekarza wydawał mu się najbardziej potrzebny. Los rzucił go jednak do Wrocławia, zniszczonego podobnie jak stolica, w którym ukończył Uniwersytet, obronił doktorat z fizyki, założył rodzinę i wychowywał kilkoro swoich dzieci.

W roku 1968 włączył się w akcje protestacyjne, których zarzewiem była obrona narodowej kultury, niezgoda na cenzurę i inne formy opresji. Wydarzenia Marcowe we Wrocławiu, jak i w wielu innych miastach, nie były nacechowane znanymi ze stolicy rozgrywkami nomenklaturowych frakcji „chamów” i „żydów”. Strajkom studentów Wrocławia towarzyszyły manifestacje w wielkiej mierze złożone z robotników, uczniów i osób starszego pokolenia. Dla tych ludzi celem rewolty była walka o obywatelską wolność i niepodległość Polski. To samo miał na celu Kornel Morawiecki, wchodzący wówczas na ścieżkę łamania komunistycznego monopolu medialnego powielaniem swoich pierwszych ulotnych druków. Kolejnymi akordami tej działalności była obrona relegowanych i więzionych, sprzeciw wobec interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji i zbrodni na Wybrzeżu w Grudniu 1970.

„INKUBATOR INICJATYW OPOZYCYJNYCH”

W latach siedemdziesiątych skromny kawałek ziemi pod lasem opodal podwrocławskiego Pęgowa, z powoli wznoszonym na niej drewnianym domem, stawał się mekką przyjaciół i znajomych ze środowisk zarówno naukowych, jak i chłopskich, ośrodkiem dyskusji i formowania patriotycznych inicjatyw. To tam w 1979 roku narodził się pomysł witania papieża – Polaka hasłem „Wiara i Niepodległość” we wszystkich miejscach jego spotkań z rodakami, do których tylko „grupa transparentowa” zdoła dotrzeć. Niemal w tym samym czasie, w oparciu o bywalców tego miejsca, zwanego „Kornelówką”, rozrastać się zaczęła siatka podziemnych drukarzy. Rygory konspiracji, zaczerpnięte przez Morawieckiego z AK-owskich doświadczeń własnego ojca, licznych kuzynów i wujków, przyniosły wielkie owoce. „Biuletyn Dolnośląski”, najważniejsze bezdebitowe pismo południowo-zachodniej Polski, pomimo permanentnych i kolosalnych zabiegów bezpieczeństwa, przez 11 lat ukazywało się z punktualnością szwajcarskiego zegarka. W Sierpniu 1980, wydrukowane w rekordowym nakładzie, wzywało do masowego przyłączania się do zainicjowanych na Wybrzeżu strajków. Drukarze i redaktorzy „Biudola” stali się zaczynem szeregu kolejnych inicjatyw wydawniczych. Kornel Morawiecki i jego współpracownicy swoje umiejętności z zakresu podziemnej poligrafii przekazywali innym. Zalecali stosowanie technik nie wymagających posiadania kosztownych urządzeń. Owocem tych działań był lawinowy wysyp podziemnych tytułów prasowych. W samym Wrocławiu do końca lat osiemdziesiątych pojawiło się ich blisko pół tysiąca.

NIEPODLEGŁOŚĆ NIE TYLKO DLA POLSKI

W Sierpniu 1980 Kornel Morawiecki po raz pierwszy musiał się ukrywać. W związku z wybuchem strajków SB zamykała w aresztach osoby, które mogłyby się przyczynić do eskalacji narodowego protestu. Poszukiwany przez komunistyczne służby Kornel przyczyniał się do tego najpierw drukując ulotki z informacjami o rozwoju wydarzeń i postulatami, potem wspomagając dolnośląskie centrum strajkowe na terenie wrocławskiej zajezdni przy ul. Grabiszynskiej. Natychmiast po podpisaniu Porozumień Gdańskich włączył się w budowę NSZZ Solidarność i w liczne działania, poszerzające zakres obywatelskich wolności. W stosunku do władz PRL zachowywał jednak sceptycyzm – nie tylko nie ujawnił swojej siatki tajnej poligrafii, ale dążąc do jak najlepszego jej zakonspirowania nieustannie ją rozbudowywał. Erupcję niezależnych od władz inicjatyw – związków zawodowych, studenckich, chłopskich, łamanie komunistycznej kontroli informacji – postrzegał jako szansę na zrzućenie zależności Polski od ZSRS. Zarazem uważał jednak, że wyzwolenie spod jarzma komunizmu należy się też innym krajom sowieckiego więzienia narodów. W wielkiej mierze dzięki niemu I Krajowy Zjazd NSZZ Solidarność ogłosił Pismo do Ludzi Pracy Europy Wschodniej, wskazujące mieszkańcom Europy Środkowej i Wschodniej łączącą ich z Polakami wspólnotę losu i celu. Drukował też rosyjskojęzyczne gazетки, przeznaczone dla stacjonujących w naszym kraju żołnierzy armii sowieckiej, tłumaczących istotę zachodzących w Polsce wydarzeń. Przez reżim komunistyczny zostało to poczytane jako podważanie sojuszu z ZSRS, skutkiem czego jesienią 1981 Kornel Morawiecki został aresztowany. Uwolniony został dzięki solidarnej postawie dolnośląskich związkowców, którzy zagrozili strajkiem całego regionu. W natychmiast wszczętym procesie sądowym odpowiadał z wolnej stopy. Jako członek Komisji NSZZ Solidarność Związek wobec Zagrożeń Morawiecki zalecał przygotowania do działalności w warunkach otwartej konfrontacji z reżimem. Jak się wkrótce miało okazać – nikt w Polsce nie był do tej sytuacji przygotowany równie dobrze, jak siatka kierowanych przez niego konspiratorów.

„O WYZWOLENIE Z KOMUNIZMU PRZYSIĘGAM WALCZYĆ”

Pierwszą rzeczywistą strukturą solidarnościowego podziemia, która zaczęła działalność natychmiast po wprowadzeniu stanu wojennego, była wydawniczo-kolportażowa organizacja Kornela Morawieckiego. To za jej sprawą „Z Dnia na Dzień” zaczęło się ukazywać już od 14 grudnia 1981, trzy razy w tygodniu, by stać się pod każdym względem (ilości wydanych nu-

merów, nakładu itd.) największym w Polsce podziemnym pismem lat osiemdziesiątych. Obok potęgi wydawniczej ludzie Morawieckiego uruchomili radiofonie, kontrwywiad i wielką ofertę wsparcia wszystkich walczących z sowiecką opresją. Tym sukcesom towarzyszyło jednak rozczarowanie brakiem jakiegokolwiek koncepcji walki w kręgach głównych liderów Solidarności. Storpedowane przez nich zostało m.in. dążenie do ustanowienia ośrodka koordynującego zmagania w skali całego kraju, zainicjowane przez Eugeniusza Szumiejkę w postaci Ogólnopolskiego Komitetu Oporu. Wiosną 1982 ze strony opozycji zaczęły się pojawiać deklaracje gotowości do kompromisu, zresztą całkowicie zlekceważone przez reżim. Stanowisko Morawieckiego było do tych tendencji odwrotne. Uważał, że wprowadzenie stanu wojennego przekreśla władające Polską sowieckie marionetki jako podmiot jakiegokolwiek ugody a nikczemny atak reżimu i rządy terroru wymagają postawienia jako cel całkowite obalenie panującego ustroju i pełną niepodległość. Osiągnięte to być mogło drogą rozsadzenia Związku Sowieckiego, stąd utworzona w czerwcu 1982 Solidarność Walcząca zakładała rozszerzenie swej działalności również na teren innych krajów, zniewolonych przez ZSRS. Już w 1982 roku SW zaczęła wydawać „Nazory” – biuletyn w języku czeskim. W kolejnych latach organizacja Morawieckiego rozwinęła swą działalność nie tylko na wiele regionów Polski, ale pojawiła się także na Litwie, Ukrainie, w Gruzji i innych krajach.

KONSPIRACJA O CHARAKTERZE OFENSYWNYM

Solidarność Walcząca rozwinęła się do rozmiarów największej politycznej organizacji polskiej opozycji. Nie tylko wykazała się wyjątkową odpornością na działania służb reżimu, ale też jako jedyna została przez reżim zdefiniowana jako konspiracja o charakterze ofensywnym. Biuro Studiów MSW oceniało, że organizacja Morawieckiego dysponuje możliwościami zadawania dotkliwych ciosów siłom reżimu a także – przenika jego najbardziej wrażliwe organy, działając także w łonie Służby Bezpieczeństwa. SW posiadała ogromne możliwości oddziaływania za pomocą prasy podziemnej (łącznie 147 tytułów) a jej radiofonia stanowiła wielokrotność wszystkich innych działających w kraju niezależnych stacji radiowych. Solidarność Walcząca była organizacją, wzbudzającą respekt reżimu a zarazem niewygodną dla wielu środowisk opozycji. Kornel Morawiecki i jego ludzie głośno bowiem artykułowali żądanie pełniej niepodległości i zniszczenia Związku Sowieckiego. Podnosiło to poprzeczkę narodowych celów i utrudniało zawieranie partykularnych kompromisów gremiom dążącym do ugody z reżimem. W szczególności tzw. lewicy laickiej i dysydemtom,

czyli kręgom wywodzącym się z komunistycznej nomenklatury (nieraz związanym z nią także rodzinie) i dążącym do zawarcia dilu z często de facto bliskimi im partyjnymi towarzyszami. Przeszkodą w zawarciu kompromisu, gwarantującego bezkarność i zabezpieczenie wszystkich interesów „właścicieli Polski Ludowej”, była Solidarność Walcząca – dążąca do pełnej niepodległości i sprawiedliwego ładu wolnej Polski.

PRZESZKODA NA DRODZE DO UBEKISTANU

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych coraz częściej pojawiały się informacje o potajemnym kontaktowaniu się części opozycji z reżimem komunistycznym. Na przełomie roku 1986 i 1987 oferta zawarcia porozumienia została skierowana także do Solidarności Walczącej. Przedstawiciele reżimu proponowali dołączenie do politycznych, ekonomicznych, medialnych elit przyszłej Polski w zamian za rezygnację z jedynie paru celów programowych organizacji Kornela Morawieckiego. Przede wszystkim – porzucenie wszelkich działań i kontaktów na terenie Związku Sowieckiego. Oferta ta została w całości odrzucona. Morawiecki i jego współpracownicy propozycję tę rozumieli jako część dążeń do fasadowych przemian, zasadniczo nie naruszających imperialnych interesów Związku Sowieckiego. De facto to, co reżim proponował elitom opozycji, polegało na ich dokooptowaniu do gremiów reżimowych. W efekcie późniejsze przemiany miałyby charakter w dużej mierze fikcyjny – ceną uczestnictwa w sprawowaniu władzy byłaby bezkarność komunistycznej nomenklatury, przekształcającej się w finansową elitę kraju. Kornel Morawiecki i Solidarność Walcząca wykluczali jakikolwiek swój udział w takim modelu transformacji. Nawet, jeśli miałyby to oznaczać ich odejście w polityczny niebyt. Stanowili główną przeszkodę w transakcji reżimu z częścią opozycji. Władze dążyły więc do wyeliminowania Kornela Morawieckiego i jego organizacji. Po aresztowaniu przywódcy Solidarności Walczącej w listopadzie 1987 (a wkrótce potem jego zastępcy – Andrzeja Kołodzieja) reżim rozpoczął kampanię, mającą uwięzionych skompromitować jako rzekomych liderów związku terrorystycznego a następnie wytoczyć im proces. Uzyskali w tym wsparcie liderów ugodowej opozycji, która przekonała Amnesty International do nie interweniowania w sprawie Morawieckiego i Kołodzieja. Rzekomi druhowie z opozycji – uwięzionych przedstawiali jako niegodnych zainteresowania... terrorystów! Ostatecznie komuniści wybrali wariant wyeliminowania Morawieckiego drogą podstępnej deportacji bez prawa powrotu do kraju. Kolejnym sposobem marginalizacji było udostępnienie pozyskanej części opozycji dostępu do mediów

elektronicznych oraz udzielenie jej przywileju wydawania własnych tytułów prasowych, opatrzonych logiem Solidarności. Podobny precedens miał miejsce wyłącznie między sierpniem 1980 a grudniem 1981. Zaowocowało to masowym złudzeniem, że to rzekomo cała Solidarność autoryzuje uczciwość uruchamianych przemian. Nie ulegającym temu złudzeniu aparat propagandy zazaczał obelgami (najczęściej miotana kalumnia brzmiała: „oszołom!”).

WIERNY ZASADOM I NIEPODLEGŁOŚCIOWYM CELOM

Z wygnania Morawiecki powrócił do ojczyzny nielegalnie w dniach, w których Wałęsa oficjalnie spotykał się z Kiszczakiem. Morawiecki, jak i jego organizacja, nadal był zwalczany przez SB (Sprawę Operacyjnego Rozpracowania „Ośmiornica” zawieszono dopiero w maju 1990). Od 1988 część Solidarności Walczącej działa też jawnie – za sprawą Klubu Myśli Politycznej „Wolni i Solidarni” oraz oficjalnych przedstawicieli. Także za ich pośrednictwem Morawiecki żądał ujawnienia ustaleń, zawieranych w Magdalence przez część opozycji z kierownictwem resortów siłowych i Biura Politycznego KC PZPR. Na zapowiedź kontynuacji ich obrad odpowiedział obszerną analizą pt. „Kanty okrągłego stołu”. Wskazywał na dokonujące się na kolosalną skalę uwłaszczenie nomenklatury. Doceniał ustawę Wilczka z grudnia 1988 roku, otwierającą możliwość niemal nieograniczonego prowadzenia działalności gospodarczej. Zwracał też jednak uwagę na to, że korzystają na niej przede wszystkim kręgi liderów partii komunistycznej, legalizując grabież najbardziej wartościowych przedsiębiorstw. Porozumienie, zawierane z częścią przywódców NSZZ Solidarność, stanowiło gwarancję przeprowadzania tych procesów bez otwartych protestów społeczeństwa. Już w 1989 roku Morawiecki pisał, że przyjęty model transformacji ustrojowej zagwarantował komunistom nie tylko bezkarność, ale też przeobrażenie się w finansową elitę a nieuchronna kompromitacja ugodowej frakcji Solidarności może doprowadzić do legalnego już powrotu do władzy wczorajszych „właścicieli PRL-u”. Przestrogi Morawieckiego zakrzykiwane były jednak wspólnym atakiem reżimu i bratających się z nim lewicowych gremiów niegdysiejszej opozycji.

SKAZYWANY NA ZAPOMNIENIE

W roku 1990 rosły już fortuny i kwitły polityczne kariery wczorajszych liderów Solidarności, teraz dokooptowanych do elit PRL-u, przepoczwarzającego się w III RP. W tym czasie Kornelowi Morawieckiemu odmówiono nawet powrotu do miejsca pracy, jakie musiał opuścić w związku z koniecznością ukry-

wania się po wprowadzeniu stanu wojennego. Żeby zrozumieć siłę oddziaływania ówczesnych mediów elektronicznych należy przypomnieć sobie, że Polacy mieli wówczas dostęp jedynie do dwóch kanałów państwowej telewizji. W latach, w których kierowali nimi Jerzy Urban a następnie Andrzej Drawicz, pozwolili na ich antenie wypowiadać się m.in. Konfederacji Polski Niepodległej i Januszowi Korwin-Mikkemu. Skutkiem tego KPN (pod względem rozmiaru działalności wielokrotnie mniejszy od Solidarności Walczącej), jak i stojący na czele małej partii Korwin-Mikke – znaleźli się wśród posłów na Sejm. Dla Morawieckiego i jego ludzi nadszedł natomiast długi czas zamilczania, marginalizacji, okradania z historycznego dorobku. Na łamach ciągle wydawanej prasy, mającej jednak niewielki zasięg, przewodniczący Solidarności Walczącej (od 1990 także Partii Wolności) ostrzegał przed zagrożeniami, w których pogrążyć się może Polska. Jako pierwszy opublikował ustaloną na polecenie rządu Jana Olszewskiego listę agentów wśród posłów, senatorów i ministrów. Nie ustawał w kierowanych apelach do Lecha Wałęsy, by przyznał się do swojej działalności w charakterze tajnego współpracownika SB. Zwracał uwagę na to, że nierozliczona agenturalność najważniejszych osób w państwie stanowi zagrożenie dla interesów Polski a nawet dla jej niepodległości. Wskazywał, że tzw. prywatyzacja ma charakter grabieżczy a często likwidacyjny, prowadzący do nędzy milionów bezrobotnych, demograficznej zapaści, wydrenowania narodowych zasobów i podporządkowania naszego kraju cudzym interesom.

„NIOŚĘ CIEBIE, POLSKO...”

Po kilkunastu latach gorzkich polskich rozczarowań, następstwem których było zwycięstwo postkomunistów w wyborach prezydenckich z roku 1995 i 2000 oraz parlamentarnych w 2001, coraz większa część Polaków dochodziła do wniosków zbieżnych z przewidywaniami Kornela Morawieckiego. Wraz z rozpoczęciem rzeczywistej działalności przez Instytut Pamięci Narodowej zaczęła się też przebiegać prawda o dorobku przewodniczącego Solidarności Walczącej – twórcy największej niepodległościowej organizacji lat osiemdziesiątych. Niegdyś wykpiwane cele, stawiane przez Morawieckiego, po latach okazały się racjonalne i oczywiste. Ujawniane dokumenty aparatu represji zaś dowodzą, że formy działalności Solidarności Walczącej były dla reżimu najgroźniejsze i że w wielkiej mierze to one torowały drogę do wolności. Ukoronowaniem działalności Kornela Morawieckiego było objęcie w roku 2015 godności Marszałka Seniora Sejmu RP. W przemówieniu, otwierającym VIII kadencję Sejmu przewodniczący SW przedstawił listę stojących przed Polską za-

dań, m.in. skończenia z szalejącym bezprawiem, umocnienie ciągle zagrożonego państwa i zmianę konstytucji na odpowiadającą polskiej tradycji a zarazem wyzwaniom XXI wieku. Celom tym poświęcił cztery lata sejmowej pracy, które okazały się też czterema ostatnimi latami jego życia. Doprowadzenie do ich urzeczywistnienia jest dziś zadaniem, przekazany nam w testamencie tego Ojca Współczesnej Polskiej Niepodległości.

„Obywatelska” luty 2020



KRZYSZTOF GULBINOWICZ 1956 – 2009

Kiedy w 1990 roku siedzibą wychodzącej z podziemia Solidarności Walczącej został lokal przy ul. Kotlarskiej we Wrocławiu, miejsce to stało się mekką setek konspiratorów. W tej samej organizacji działali przez wiele lat często znając się tylko z pseudonimów i utrzymując łączność za pomocą skrzynek kontaktowych. Jednym z pierwszych, których tam poznałem, był Krzysiek. Kornel Morawiecki powiedział mi wtedy o nim: „Erudyta wielkiej klasy i całkowity samouk!”

ROGATY ŻYCIORYS

W Technikum Samochodowym wytrzymał parę dni. Szkołę tę rzucił, gdyż nie był w stanie zaakceptować obowiązku chodzenia w garniturze. W 1976 zaczął pracować jako strażak, ale wiadomość o planach wysłania straży pożarnej przeciw strajkującym robotnikom skłoniła go do zrzucenia także tego uniformu. Lata spędził w Bieszczadach, gdzie szukał ucieczki od PRL-owskich realiów. W 1979 rozpoczął współpracę z Kornelem Morawieckim, szybko stając się jednym z najaktywniejszych drukarzy i publicystów „Biuletynu Dolnośląskiego”. W 1983 wyjaśniła się zbieżność nazwiska z wrocławskim metropolitą Henrykiem Gulbinowiczem. Kardynał miał zaakceptować dar dolnośląskiej Solidarności dla Jana Pawła II, przybywającego z drugą pielgrzymką do ojczyzny. Darem była rzeźba z węgla, której autorem był brat Krzysztofa. Okazało się wtedy, że rodzinne korzenie arcybiskupa i braci – artystów wywodzą się z tych samych zakątków Wileńszczyzny. Jednym z doświadczeń, do których Krzysiek wiele razy wracał w swych wspomnieniach i które opisał w jednym ze swych opowiadań, było uwięzienie przez SB w roku 1986. Przysłuchujący go oficer SB długo przekonywał go, że Polska jest w przededniu wielkich przemian i żeby uświadomili to sobie przywódcy Solidarności Walczącej. „Wczoraj pano-

wanie zapewniły nam czołgi. Na następnym etapie – zapewnią je banki. Wielu naszych wczorajszych przeciwników już wie, że więcej uzyska współpracując z nami, niż z nami walcząc. Kiedy wreszcie zrozumie to Solidarność Walcząca?” Cytowanie długiego wywodu oficera SB, który prosił o przekazanie tej oferty Kornelowi Morawieckiemu, pojawiało się zawsze, ilekroć Krzysztof uczestniczył w dyskusjach o ustrojowej transformacji z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

NIEPOWTARZALNE PISARSTWO

Krzysztof pasjami pochłaniał najbardziej wyrafinowane dzieła literackie i uwielbiał analizować najtrudniejsze z doktryn filozoficznych. Sam pisał głównie opowiadania, będące zjawiskiem osobnym, gdyż trudno wskazać prozaika o podobnym warsztacie. Kierował się zasadą Józefa Mackiewicza „tylko prawda jest ciekawa”, stąd tematy czerpał wyłącznie z ważkich faktów historycznych. Dążył do tego, by w jego utworach nie było jednego zbędnego słowa. Nie wyrażał żadnych emocji, które jego zdaniem powinny się rodzić wyłącznie jako osobiste doznanie czytelnika. Pod koniec życia miał wreszcie podstawy materialnej stabilizacji i warunki do uprawiania swej twórczości. Zaczął pisać dwa cykle opowiadań. Pierwszy miał być poświęcony przeżyciom z lat spędzonych w Bieszczadach. Drugi miał się składać w wielką opowieść o Solidarności Walczącej.

ZA PÓŹNO

W stałym i częstym kontakcie byłem z Krzyśkiem od 2003 roku. Depresja popchnęła go wtedy do próby samobójczej, więc od tego czasu telefonowałem do niego i spotykałem się z nim regularnie. Latem 2009, wraz ze Zbyszkim Jagiełłą, towarzyszyliśmy mu w cyklu badań medycznych. Lekarze mówili o wyniszczeniu organizmu latami skrajnie niezdrowego stylu życia. Terapia, którą zaakceptował, dawała jednak szansę. Równocześnie szczerze podsycailiśmy jego zapal do pracy twórczej. W październiku bardzo mnie zaniepokoił „zniknięciem z radarów” na prawie dwa tygodnie. Okazało się jednak, że był to tylko skutek zaszycia się u przyjaciół z Ziemi Milickiej, właścicieli leśniczówki leżącej poza zasięgiem telefonów komórkowych. Uśpiło to nieco moją czujność, kiedy miesiąc później przepadł znowu. Po jedenastu dniach bezskutecznego dobijania się do drzwi jego mieszkania postanowiłem je sforsować z pomocą policji i straży pożarnej. Okazało się, że nie żył od wielu dni. Najprawdopodobniej lekarska diagnoza sprzed kilku miesięcy była jednak zbyt optymi-

styczna. Umarł zapewne krótko po naszym ostatnim spotkaniu. Czuł się wówczas źle, ale wcześniej widywałem go w kondycji znacznie gorszej. Śmierć przyjąć po niego musiała jednak krótko po naszej ostatniej rozmowie. Widząc jego zwłoki przypominałem sobie jej treść, która zresztą już wcześniej mocno zaszyła się w mojej pamięci. Nigdy nie mówiło się z nim o sprawach banalnych. Ostatnie słowa, które od niego słyszałem, dotyczyły Polski. Wyjaśniał mi złożoność swojego pochodzenia. Podkreślał, że genetycznie Polakiem jest tylko w znikomej części, ale tożsamościowo uważa się za „Polaka bez reszty”. Mówił, jak wielką, niepowtarzalną sprawą jest Polska, z jak nieporównywalnych doświadczeń wynika, jak unikatową jest wartością. „Tylekroć dekapitowana, ocierająca się o ostateczną zagładę i na przekór wszystkim okolicznościom odradzająca się, niesiona przez wieki...” Twierdził, że uczestniczymy w czymś wielkim, czymś rodzącym nadzwyczajne zobowiązania i pytał, czy na pewno zdajemy sobie sprawę z wielkości tego, czego jesteśmy częścią i rozmiaru zadania, jakie przed nami stoi.

Nagłe odejście Krzysztofa na przełomie listopada i grudnia 2009 (pewnej daty śmierci nie sposób ustalić) było utratą postaci wielkich zasług w walce o niepodległość a zarazem człowieka niepowtarzalnych talentów i nadzwyczaj wartościowych refleksji.

„Obywatelska”, maj 2016



ARTUR HOLKA 1963 – 2022

Był aktywnym młodym Polakiem, marzącym o niepodległości swojej ojczyzny. Kolportował prasę podziemną, brał udział w mszach świętych w patriotycznych intencjach oraz ulicznych demonstracjach. Miał dziewiętnaście lat, gdy spotkanie z siepaczkami z ZOMO i SB przekreśliło całą jego przyszłość.

Demonstracja z 31 sierpnia 1982 poprzedzana była licznymi apelami do funkcjonariuszy milicji, by nie atakować zgromadzeń, do jakich dojeżdżało w Święto Solidarności. W drugą rocznicę podpisania Porozumień Gdańskich miało być obchodzone po raz pierwszy. Radio Solidarność Walcząca, na częstotliwościach radiowych, wykorzystywanych przez MO i SB a także dostępnych dla wszystkich, nadawało apele, by pozwolić ludziom się zgromadzić i po przejściu pochodu zapowiedzianą trasą spokojnie się rozejść. Manifestacja mogła mieć przebieg całkowicie pokojowy. Niestety – brutalny atak nastąpił natychmiast, gdy na ulicy pojawiła się większa grupa ludzi. Nie zamierzała jeszcze formować pochodu, do umówionej godziny było jeszcze dużo czasu. ZOMO jednak nie czekało. Najpierw posypały się granaty gazowe, potem ruszyły pędzące z maksymalną prędkością transportery opancerzone, armatki wodne i oddziały zomowców uzbrojone w pałki, tarcze, karabiny. Na bruk padali ciężko pobici i ranni. Wywiązały się zaciekle starcia uliczne. W ręce zomowców dostawali się coraz liczniejsi uczestnicy brutalnie rozpędzanej demonstracji.

Śmierć przynosiły nie tylko kule, ale też ciosy zadawane pałkami i milicyjnymi buciarami. Takich bestialskich uderzeń nie przeżyły tego dnia we Wrocławiu co najmniej dwie osoby. Dziesiątki trwale traciły od nich zdrowie. Artur Holka został ciężko pobity już po zatrzymaniu. W dużej części miasta trwały zaciekle starcia, w czasie których dochodziło do zatrzymywania pojazdów ze schwytanymi i prób ich odbijania. Tak było m.in. w okolicach Placu Strze-

gomskiego. W związku z trudnościami w dotarciu do komisariatów i aresztów część zatrzymanych demonstrantów ZOMO najpierw wiozło do swoich koszar, znajdujących się przy ul. Księcia Witolda. Miejsce to położone jest w środku Wrocławia i nie było przez komunistów wybrane przypadkowo. Znajduje się bowiem na wyspie Kępa Mieszczańska, która od reszty miasta odcięta jest korytami Odry i prowadzą do niej jedynie wąskie, łatwe do zablokowania mosty. Mimo bliskości kipiących starciami ulic zomowcy w miejscu tym czuć się mogli bezpiecznie. Dziesiątki widocznych z daleka, przesiadujących na wysokich kamiennych nabrzeżach, były typowym obrazkiem z Wrocławia tamtego czasu. Dość podobna była lokalizacja stojącego na podobnym nabrzeżu gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, skutkiem czego dotarcie manifestacji pod jego mury było mało prawdopodobne. 31 sierpnia 1982 zomowska twierdza na Kępie Mieszczańskiej stała się katownią zwożonych do niej demonstrantów. Witwały ich tam ścieżki zdrowia. Na każdego, kto przez nie przebiegł, czekały kolejne grupy, prześcigające się w sposobach znęcania się nad swoimi ofiarami. Niektórych rzucano na coś w rodzaju stołu. Ci, którzy na nie trafiali słyszeli czasem „Trzymaj się nóg, bo spadniesz! Lepiej obrywać pałkami, niż dostać się pod buty!” Artur Holka wspominał, że kiedy związał się powalony na ziemię zadawanym ciosom towarzyszyły krzyki: „Tłucz go w głowę!” Wszystkie instrukcje używania milicyjnych pałek wymieniają miejsca, w które wolno nimi uderzać. I najbardziej kategorycznie zakazują uderzeń właśnie w głowę. Być może z tego powodu często to w nią uderzano wyjątkowo często. Po tej „obróbce na Księcia Witolda” (pojęcie powszechnie wtedy znane w całym Wrocławiu) wielu nie było w stanie utrzymać się na nogach. Rozwożono ich wtedy po aresztach różnych komisariatów, które tego dnia pękały w szwach. Wg oficjalnych danych zatrzymano wówczas bowiem 645 uczestników manifestacji (na podstawie zeznań, donosów i identyfikacji fotograficznej represje obejmujące kolejne osoby trwały do końca 1982 roku). Jak podawała „Gazeta Robotnicza” 408 osób w krótkim czasie stanęło przed Kolegiami d.s. Wykroczeń, wymierzającymi kary do trzech miesięcy aresztu (często z możliwością zamiany na grzywnę w wysokości paru przeciętnych miesięcznych pensji). Artur Holka znalazł się wśród 48 osób, w sprawie których zomowcy postanowili wnieść oskarżenie o czynną napaść, co oznaczało proces przed sądem. Poprzedzało go śledztwo, prowadzone przez Służbę Bezpieczeństwa. Jak opowiadał sam oskarżony – zeznania wymuszane były m.in. pejcem z ołowianymi kulkami. W większym stopniu nie chodziło jednak o wydobycie obciążających siebie samego zeznań, ale o zadanie bólu, zniszczenie zdrowia. Znęcano się nad nim bowiem

bez względu na to, czy cokolwiek mówił, czy nie. W sytuacjach takich na świadków oskarżenia powoływano funkcjonariuszy ZOMO. Z ich zeznań wynikało, że „w stronę milicji leciał grad kamieni”. I zawsze, gdy pojawiały się pytania bardziej szczegółowe okazywało się, że rzucających nimi zidentyfikować nie potrafili. Skąd więc oskarżenie akurat pod adresem Artura Holki? Przypuszczać można, że stawiano je tym, którzy w wyniku pobicia przez ZOMO doznali obrażeń najcięższych. Dla oprawców było więc najlepiej, żeby ich ofiary na wolność wyszły jak najpóźniej. Dowleczony do gmachu sądu dziewiętnastolatek miał poważne urazy głowy, organów wewnętrznych i kręgosłupa. Ból sprawiało mu samo poruszanie się czy mówienie. Z nieskładnych oskarżeń zomowców wynikało, że rzucać miał nie tylko kamieniami, ale też butelkami z benzyną. Dopytywani o szczegóły tej drugiej czynności twierdzili, że „rzucił i nie trafił”. Kuriozalne opowieści milicyjnych pałkarzy, którym trudno było przypisać rangę dowodu, przerwane zostały orzeczeniem wyroku dziewięciu miesięcy więzienia. Po wyprowadzeniu skazanego okazało się, że rozprawa była tylko krótką przerwą w gehennie. Skutki dalszego brutalnego traktowania były tragiczne – przede wszystkim paraliż od pasa w dół i niedowład rąk. Warunkowe zwolnienie tylko nieznacznie skróciło pobyt za murami, które Artur Holka opuszczał na noszach. Przed dwudziestoletnim wówczas człowiekiem otwierało się niemal czterdziestolecie cierpienia spędzonego w łóżku lub w wózku inwalidzkim. A także w nędzy, bo przez niemal cały ten czas był on na utrzymaniu swojej matki, dysponującej bardzo skromnymi wynagrodzeniami a potem nader niską emeryturą. Pani Regina okazała się zresztą osobą wręcz świętą, bez reszty oddaną cierpiącemu synowi. Koszty opieki nad obłożnie chorym pochłaniały większość posiadanych przez nią pieniędzy. Na pomoc liczyć można było głównie ze strony tych, którzy sami mieli najmniej. NSZZ Solidarność zakupiła np. dobrej jakości wózek inwalidzki. Tzw. „przełom” z roku 1989 dla takich, jak Artur Holka i jemu podobni nie oznaczał niczego dobrego. Dla beneficjentów „narodowego pojednania” ludzie tacy byli wyrzutem sumienia, który najlepiej zepchnąć na margines, ukryć, skazać na zapomnienie. Pookrągłostołowe media zaroily się od „bohaterów”, wyczarowywanych jak króliki w kapeluszu prestidigitatora i „moralnych autorytetów” wygłaszających mentorskie oracje o konieczności przebaczenia i „wspólnej odpowiedzialności za to, co wydarzyło się w czasach PRL-u”. Namaszczeni w Magdalenkach i przy okrągłych stołach na „największych bojowników, którzy ponieśli największe ofiary”, co oznaczało też, że w III RP doskonale ustawieni, z sejmowych mównic i tam swoich gazet ogłaszali „rozgrzeszenie w imieniu wszystkich, którzy zmagali się z ludowy-

mi władzami”. Ci, którzy w ramach ustrojowej transformacji obłowili się najbardziej, również w imieniu wszystkich głosili, że „nikt z prawdziwych przeciwników komunizmu nie chce dla siebie nic, bo przecież nikt z nich nie walczył o to, by cokolwiek dostać”. Taki był moralny kształt pookrągłostołowej Polski – dla siepaczy z SB nie tylko całkowita bezkarność, ale i bizantyjskie emerytury, przyznawane im w bardzo młodym wieku. Dla ich ofiar – często najprawdziwsze dno nędzy. A ratunkiem przed głodem prowadzone przez Kościół jadłodajnie dla bezdomnych.

W 1993 roku sprawa skazania Artura Holki znów trafiła do sądu, który uniewinnił go od zarzutów, jakie postawiono mu dziewięć lat wcześniej. Nie wiązało się z tym jednak ani finansowe zadośćuczynienie ani przyznanie środków do życia. Wszystkim, na co mógł liczyć, była renta socjalna, jeszcze kilka lat temu wynosząca ledwie pięćset złotych. Wnioski do rządu o przyznanie renty specjalnej były odrzucane. Przyznana została dopiero wtedy, kiedy premierem został Mateusz Morawiecki.

Artur Holka umarł 17 kwietnia 2022. Jego historię znali nieliczni. Bardzo to niesprawiedliwe, bo życiorysów w latach osiemdziesiątych podobnie złamanych jest o wiele więcej. Reżim Jaruzelskiego stosował metody terroru minimalizujące liczbę ofiar śmiertelnych. Nie z dobrego serca, ale wyciągając wniosek z tego, że światową opinię publiczną najbardziej elektryzują liczby zabitych a zamordowanym prędzej czy później trzeba stawiać pomniki. W przeciwieństwie do nich o tych, którym kaci odebrali sto procent zdrowia, o nastolatkach, którym zafundowano kalectwo do końca życia większość nigdy nie usłyszy a ich nazwisk nie wykuwa się też w pamiątkowych tablicach. Pamiętajmy o takich ludziach, bo ofiara, jaką złożyli w walce o wolną Polskę była wielka a najczęściej – jest zapomniana.



MIKOŁAJ IWANOW

Urodziłeś się w 1948 roku w Brześciu, studia historyczne ukończyłeś w ZSRS a we Wrocławiu znalazłeś się na samym początku lat osiemdziesiątych, w związku z pracą naukową. Taka droga musiała owocować ciekawymi doświadczeniami.

Brześć leży tuż za obecną granicą a przed wojną to był niemal sam środek II Rzeczypospolitej. Mimo, że od 1939 roku ginęło mnóstwo tamtejszych ludzi, mimo masowych wojennych deportacji i powojennych przesiedleń Polaków było i jest tam ciągle mnóstwo. Od urodzenia język polski słyszałem chyba codziennie, nigdy więc nie był mi obcy. I trudno, żeby polskość mogła być mi obca w miejscu, w którym ona kwitła przez kilkaset lat. Była tam bezwzględnie zwalczana, ale ciągle była tam obecna. Teoretycznie PRL to była część tego samego sowieckiego imperium, do którego należała i Rosja i Białoruś. Jednak kiedy po raz pierwszy znalazłem się po drugiej stronie Bugu to bardzo długo nie mogłem wyjść ze zdumienia. Zaskakiwało mnie niemal wszystko. Bo wszystko tu było inaczej, niż w Związku Sowieckim. I te powody do zdumienia zdawały się nie mieć końca.

PRL i ZSRS to były inne światy?

Całkowicie inne! Pierwsza sprawa – no niby tu też rządzą ci sami, trzy miliony ludzi do partii należą, ale gdzie tych prawdziwych polskich komunistów można zobaczyć? No może w telewizji, tych z KC. Ale ci wszyscy inni, nawet dość wysokiego szczebla, często do kościoła chodzili, dzieci swoje chrzcili. W ZSRS to było nie do pomyślenia. Tam jak ktoś się deklarował jako komuniści to w ten komunizm, w jego wszystkie doktryny wierzył niezłomnie. W Lenina jak w Pana Boga. A tu w Polsce widzę, że tu są jacyś komuniści udawani, nawet się nie kryją z robienia wielkich rodzinnych uroczystości, kiedy ich dzieci do pierwszej komunii idą. Nikt ich z tego nie rozlicza, z partii ani stanowisk za to nie usuwa. W porównaniu ze Związkiem Sowieckim PRL był dla mnie krajem, w którym prawie wszystko wolno. Ludzie powszechnie robili to, cze-

go w ZSRS prawie nikt by nie robił. A jakby robił to bardzo by się z tym ukrywał, bo przecież każdy wie, jakie mogą na niego spaść kary. A tu w Polsce ludzie potrafili otwarcie psioczyć na władze, na ulicy, przy obcych! Wszyscy narzekali na zaopatrzenie w sklepach a ja w tych sklepach widzę produkty tak pięknie zapakowane, alkohole w takich butelkach eleganckich, kolorowych. I to nie było tylko do oglądania, to można było kupić! Kiedy pierwszy raz zobaczyłem schab to myślałem, że to nie jest mięso, ale jakiś gatunek ryby. W Związku Sowieckim mięso to był zawsze jakiś kawał w dużej mierze złożony z grubej skóry i tłuszczu. W ogóle nie wiedziałem, że mięso może tak pięknie wyglądać.

Przyjechałeś do Polski już jednak będąc przeciwnikiem komunizmu.

Tak, ale w Związku Sowieckim z takimi poglądami trzeba się było bardzo ukrywać. Gdybym nie był tam bardzo ostrożny to nigdy by mi nie pozwolili przyjechać do Polski. Wysłaliby mnie raczej w dokładnie przeciwnym kierunku. Mój ojciec był jednym z tych dozgonnie wierzących w komunizm. W czasie wojny, którą przeżył cudem, jego mężnej walce towarzyszyły okrzyki „Za rodzinu, za Stalina!” I nigdy się z tymi uczuciami nie rozstał, jak bardzo wielu w ZSRS. Spieranie się z nim było bezcelowe. Ja chłonałem te opowieści mówione półgłosem, w dużej mierze przez polskich przyjaciół, których miałem tam od dziecka. To były ogromne obszary historii całkowicie zakazanej, skazanej na zapomnienie. A wiedziałem, że te różne opowieści muszą być prawdziwe, bo przecież wiadomo było, że straszliwe zbrodnie komunizmu to nie wymysł. W Moskwie spotykałem też Rosjan, głównie studentów i młodych pracowników naukowych, którzy byli przeciwnikami komunizmu. W tych kręgach krążył samizdat – zakazana przez cenzurę literatura w postaci maszynopisów. Takie publikacje oczywiście nie mogły mieć dużego nakładu. Kiedy w Polsce dowiedziałem się, że tutejszy samizdat ukazuje się w setkach a nawet tysiącach egzemplarzy, długo trudno mi w to było uwierzyć. Ale kiedy zobaczyłem, w ilu miejscach dostępny był „Biuletyn Dolnośląski” doszedłem do wniosku, że to chyba jednak prawda. Z punktu widzenia człowieka żyjącego dotąd w Związku Sowieckim to było niestychane. Zdumiewające, zachwycające i fascynujące. Taka wolność!

Nie wyciągnąłeś chyba stąd jednak wniosku, że wolność w PRL-u jest taka, że wręcz nie ma tu o co walczyć?

Taki naiwny to ja nie byłem. Już przed przyjazdem do Polski wiedziałem, że komunistyczne zniewolenie nie jest w niej tak totalne, jak w Sowietach. Na Kremlu zawsze wiedzieli, że jeśli by się Polakom odebrało tyle wolności, co in-

nym narodom w sowieckim imperium, to Polacy by tego nie wytrzymali. Jak by po sowiecku zaczęto walczyć z religią i odbierać chłopom ziemię to Polacy „poszliby na całego” i nie licząc się z ofiarami wywołaliby takie powstanie, że komuniści by nie wiedzieli, w którą stronę uciekać. Nawet Stalin to wiedział i nie forsował ostatecznej rozprawy z Kościołem czy całkowitej kolektywizacji, zachował polski hymn, polskie symbole narodowe. Nawet on wiedział, że nie opłaci mu się w Polsce terror w całkowicie sowieckim stylu. Skutkiem tego ta przestrzeń wolności była w Polsce większa. Dla mnie uderzające było to, że jest ona aż tak duża. Ale że istnieje jakaś nieprzekraczalna granica tej wolności – to było dla mnie oczywiste. Wiedziałem, że działają w PRL-u służby, które tej granicy pilnują. Nie tak widoczne i nie tak liczne, jak w Sowietach, ale są. No i że jest w Polsce KGB. Jeśli jest ono we wszystkich krajach Zachodu, jeśli nawet w Waszyngtonie potrafi grasować, to jak może go nie być w Polsce? Dziesięciolecia spędzone w Związku Sowieckim dawały mi tę pewność i nauczyły ostrożności, o której nigdy nie zapomniałem.

Ale do Kornela Morawieckiego poszedłem.

„Z duszą na ramieniu”, z oczami dookoła głowy, ale poszedłem. To też był dla mnie fenomen, że można było pójść do człowieka, który wydawał pismo ukazujące się pomimo zakazu cenzury. Niestychanie byłem ciekaw, co to jest za człowiek? No i obawiałem się tego, jak zareaguje na przyjście kogoś takiego, jak ja. No bo jak ze Związku Sowieckiego to może to przecież budzić uzasadnione podejrzenia. To pierwsze spotkanie z Kornelem było dla mnie niesamowitym zaskoczeniem. Bo kogo ja się spodziewałem zobaczyć? Czy ja wiem? Chyba jakiegoś zatwardziałego zakapiora? Zapieklęgo, nieprzejednanego, nieufnego. Jakoś chyba tak? A tu wchodzę do tego jego pokoiku na Politechnice i widzę sympatycznego, szczuplutkiego, wyluzowanego młodego faceta, który siedzi sobie i kaszę je. Przedstawiliśmy się sobie, on lekko zaskoczony, wyraźnie się zainteresował słysząc, skąd jestem. Prosi, żebym siadał i częstuje mnie tą kaszą. Ledwie wszedłem a już kaszę razem jemy! Zanim wszedłem to się zastanawiałem, jak i o czym będziemy rozmawiać, o ile on w ogóle zechce ze mną rozmawiać, ale to on zaczął mnie o wiele rzeczy pytać i słuchał z taką wielką uwagą. Spodziewałem się dużej rezerwy, wielkiej wręcz nieufności a poczułem z jego taką dużą otwartość, szczerą empatię.

Może było to wynikiem tego, że „dobrze Ci z oczu patrzyło”. Przede wszystkim jednak Kornel musiał szybko dojść do wniosku, że jeśli miałoby się u nie-

go pojawić KGB to raczej nie w postaci mówiącego „lekko z rosyjska” człowieka, który dopiero co przyjechał z ZSRS.

Pewnie tak, ale to, jak szybko weszliśmy w tak bliskie relacje, było niesamowite. Prawie od razu gadaliśmy ze sobą jak starzy znajomi. To też było niezwykle, że ten wielki działacz opozycji nie wygłaszał mi swoich manifestów. On przede wszystkim chciał, żebym to ja mówił. W czasie kolejnych spotkań czasem coś skomentował, ale przede wszystkim z wielką uwagą słuchał, pytał i dopytywał.

Co Kornela najbardziej interesowało?

Wszystko, co dotyczyło sytuacji za wschodnią granicą. Jak żyją ludzie, jak tam funkcjonują Polacy, sposób myślenia ludzi w Związku Sowieckim, różnice między republikami. Interesowała go świadomość poszczególnych narodów, życie religijne, stan umysłów, moje opinie na temat możliwości jakichś ruchów społecznych. Kornel chciał się ze mną spotykać i te jego pytania na tematy wschodnie zdawały się nie mieć końca. Bardzo dużo wiedział, ale upewniał się, chciał znać różne szczegóły.

Setki pytań o sprawy wschodnie?

Jeśli by policzyć wszystkie, które mi zadał w czasie całej naszej znajomości, to byłyby ich tysiące. Wiele tysięcy! Także takie, na które informacji musiałem poszukać czy solidnie pomyśleć nad nimi. Pytał mnie o moje opinie na różne wschodnie sprawy. I oczywiście o to, co myślą, jak myślą ludzie w ZSRS. Kornel uważał, że to wszystko jest bardzo ważne i interesujące i bardzo szybko zaproponował mi, żebym pisał dla „Biuletynu Dolnośląskiego”. To też było dla mnie zaskoczenie, o czymś takim w ogóle nie myślałem. Zacząłem jednak w „Biuletynie” publikować i tak się zaczęła moja obecność w piśmie drugiego obiegu. Podpisywałem się wieloma pseudonimami, najczęściej chyba jako „Polak zza Buga”.

Do końca lat osiemdziesiątych w wielu tytułach prasy podziemnej, głównie związanej z Solidarnością Walczącą, zamieściłeś setki artykułów. Czytano je na antenie Wolnej Europy, przedruki zamieszczały wydawnictwa krajowe i emigracyjne, włącznie z paryską „Kulturą” i „Zeszytami Historycznymi”. Masz też jednak w dorobku dokonania nie tylko naukowe i pisarskie.

Miałem udział w wydarzeniu, które trochę zatrzęśło całym obozem socjalistycznym. Latem 1981 byłem w Moskwie, gdzie spotykałem się z moimi

starymi przyjaciółmi, dobrze mi znanymi jako czytelnicy, kolporterzy i wytwórcy samizdatu. I oni mi wtedy powiedzieli, że w Związku Sowieckim zaczynają powstawać niezależne związki zawodowe, podobne do polskich WZZ – ów, ale bardziej zakonspirowane. I że jest to zjawisko o nie aż takiej małej skali, że są to grupki działające już w wielu różnych zakładach pracy. Ci niezależni związkowcy wiedzieli, że przygotowywany jest w Gdańsku pierwszy zjazd Solidarności i krótko przed moim powrotem do Polski poprosili mnie, żebym na ten zjazd przywiózł list od nich. Kontrole graniczne bywały wtedy niestęchanie szczegółowe, więc treści tego, co oni nazwali postaniem, po prostu nauczyłem się na pamięć. Może nie wszyscy wiedzą, że w rosyjskiej tradycji słowo „postanie” ma taki „duży kaliber”. To jest pojęcie oznaczające coś bardzo doniosłego. W rosyjskiej leksyce to brzmi mocniej, niż w polszczyźnie. Przywiozłem więc to postanie „w głowie”, we Wrocławiu przełałem je na papier i poszedłem z nim do Kornela. Razem przetłumaczyliśmy je na język polski. Kornel był delegatem na zjazd Solidarności i z tym postaniem pojechał do Gdańska. Równocześnie wydrukował je w „Biuletynie Dolnośląskim”, którego do hali Olivii wiozł kilkaset egzemplarzy.

No i potem rzeczywiście było prawdziwe trzęsienie ziemi...

Nie tak od razu, nie poszło to tak łatwo. Po powrocie z Gdańska Kornel mi opowiadał, jak to było. Poszedł do prezydium Zjazdu, pokazał co przywiózł i poprosił o odczytanie. W prezydium byli jednak Geremek, i Kuroń i oni odpowiedzieli, że mowy nie ma, że niczego takiego na forum zjazdu nie odczytają. Wcześniej jednak Kornel wszystkim delegatom rozdał egzemplarze „Biuletynu Dolnośląskiego”, inne jeszcze w różnych miejscach porozkładał. Ludzie to zaczęli czytać i zrobiło to na nich ogromne wrażenie. I bardzo duża grupa zaczęła argumentować, że to nie może tak być, że zjazd Solidarności, że niezależni polscy związkowcy dostają takie serdeczne, braterskie pozdrowienia i wyrazy solidarności od Komitetu Założycielskiego Niezależnych Związków Zawodowych Związku Sowieckiego a postanie to w ogóle nie jest nawet na forum zjazdu odczytywane. Prezydium zostało więc zmuszone do odczytania a po odczytaniu dla niemal wszystkich było jasne, że musi być odpowiedź. Skutkiem tego powstało „Postanie do Ludzi Pracy Europy Wschodniej”.

Pamiętam doskonale – przez szesnaście miesięcy legalnego działania Solidarności propaganda całego obozu komunistycznego była wniebogłosy, ale największym trzęsieniem ziemi było to właśnie „Postanie”. Potem

okazało się, że przyniosło ono poważne następstwa. W Związku Sowieckim, Czechosłowacji, NRD i innych krajach wszystkich pracowników spędzano na masówki, na których „dawano odpór polskiej prowokacji”. Rezultat był odwrotny do zamierzonego, bo na tych spędach wyjątkowo mocno do ludzi docierało, że polska Solidarność interesuje się także ich losem, że on jest dla tej Solidarności ważny. I że musi być to coś dużego znaczenia, jeśli w zakładach pracy każą wyłączać maszyny i iść na wiec w tej sprawie. Po jednym z takich antysolidarnościowych wieców grupa rumuńskich robotników zawiązała grupę, która rozpoczęła działalność. Część z nich wpadła potem w ręce Securitate, ale tak właśnie zaczęła powstawać rumuńska opozycja. Podobne rzeczy działy się w wielu miejscach we wszystkich krajach obozu. Nie ma więc żadnej przesady w stwierdzeniu, że „Poślanie” było największym dokonaniem pierwszego zjazdu Solidarności. I jednym z największych w całych dziejach tego ruchu. Nadawało mu naprawdę międzynarodowy charakter. W sprawach wschodnich Kornel długo polegał głównie na informacjach od Ciebie?

Kornel był chłoniącym każdą wiedzę wielkim erudytą. A temat Związku Sowieckiego, zamieszkujących go narodów, wszystkich procesów, które w nim się dokonywały, interesował go w szczególności. Kiedy go poznałem dużo już wiedział, ale mogę o sobie powiedzieć, że w tych sprawach zostałem jego głównym ekspertem. Ale raczej tylko w tych, bo jeśli bym miał ogólnie określić relację, jaka między nami zachodziła, to ja Kornela uważam za mojego najważniejszego mentora, za duchowego ojca. Był ode mnie nie tak dużo starszy, jedynie siedem lat, ale to Kornel był dla mnie tym, który najwięcej mi w mojej głowie poukładał. A w tych sprawach wschodnich to właśnie te ilości pytań, które mi zadawał, uświadamiały mi, jak te sprawy są ważne. Pod wpływem tych pytań jeszcze bardziej zainteresowałem się np. dziejami stosunków sowiecko – polskich i historią Polaków w Związku Sowieckim.

Owocem tego były Twoje prace naukowe o randze najdosłowniej przełomowej. Wśród nich najważniejsze to takie, jak „Pierwszy naród ukarany”, odkrywające historię ludobójstwa, dokonanego w Związku Sowieckim na setkach tysięcy Polaków. Nikt przed Tobą tego nie badał, o tym nie pisał. A Ty opublikowałeś pierwsze prace naukowe na ten temat, organizowałeś międzynarodowe naukowe konferencje. Publikowałeś też książki np. o moskiewskich reakcjach na Powstanie Warszawskie. Jednak Twoja współpraca z Kornelem dotyczyła też innych wschodnich spraw.

Kornel chciał jak najwięcej wiedzieć o wszystkich narodach, zniewolonych przez Sowietów. Ileż nocy my o tym przegadaliśmy! Ale nie tylko rozmawialiśmy, przygotowałem dla Kornela wiele solidnych analiz. Czasem przekładało się to na konkretne działania. Tak było np. w przypadku Tatarów krymskich. W czasach, w których poza Kornelem ich losem nie interesował się jeszcze nikt – on już wydawał kolejne oświadczenia. One docierały do światowych mediów, w kilku językach czytało je Radio Swoboda. I Tatarzy krymscy do dziś o tym pamiętają. Kornel bardzo chciał docierać do stacjonujących w Polsce żołnierzy sowieckich. Te wszystkie adresowane do nich jego odezwy, ulotki pisaliśmy razem. Oczywiście dobrze znał język rosyjski, ale jednak nie tak, jak ja. To, co powstawało z moim udziałem rzeczywiście miało taki charakter, że ci żołnierze mogli mieć nie tylko wrażenie, ale pewność, że to ktoś „swoi” do nich się zwraca. Razem z Kornelem długo też obmyślaliśmy te akcje wysyłania na teren Związku Sowieckiego przesyłek listowych w taki sposób, żeby granicę przekraczały i docierały do adresatów. I docierały w takiej skali, że znów światowe media miały o czym mówić. A jak docierały te wiadomości do ludzi w Związku Sowieckim to było to dla nich poruszające. To robiło wielkie wrażenie, że w Polsce z komunizmem walczą a pamiętają przy tym o narodach uwięzionych w ZSRS. Muszę to dobitnie stwierdzić: te działania Kornela i Solidarności Walczącej miały naprawdę wielkie znaczenie. One naprawdę były takimi może jeszcze nie destrukcyjnymi, ale odczuwalnymi wstrząsami, powodowały powolną, ale rzeczywistą erozję tego sowieckiego totalitaryzmu.

Po wprowadzeniu stanu wojennego Twoje kontakty z Kornelem były chyba wyjątkowo utrudnione?

W 1980 – 81 roku poznałem tylko kilku jego bliskich przyjaciół. Tak, jak mówiłem, byłem bardzo ostrożny. Jednym z tych przyjaciół Kornela, których poznałem najwcześniej, był Michał Gabryel i to chyba dzięki Michałowi po wprowadzeniu stanu wojennego włączyłem się w siatkę konspiracji, na czele której stał Kornel. Przez długi czas głównym moim punktem kontaktowym był kiosk z kwiatami przy ul. Włodkowica, niedaleko wrocławskiego Pałacu Ślubów. Osobiście z ukrywającym się Kornelem spotkałem się dopiero na początku 1984 roku. Złożyłem wtedy przysięgę, formalnie zostałem członkiem Solidarności Walczącej. W tamtych latach bardzo dużo pisałem dla podziemnej prasy. Pod koniec lat osiemdziesiątych część organizacji powoli zaczęła się ujawniać, zaczął działać Klub Myśli Politycznej „Wolni i Solidarni”, w którym też zacząłem się pojawiać. Krótco potem dostałem pracę na Zachodzie, ale

przy sprawach wschodnich, bo w Radiu Swoboda i Radiu Wolna Europa. Dzięki temu łatwiej mi dziś pracować naukowo, bo równocześnie jestem już amerykańskim emerytem.

Kim był dla Ciebie Kornel Morawiecki?

Najbliższym przyjacielem. I najwybitniejszym z ludzi, jakich poznałem.



RENATA JASIŃSKA 1953 – 2019

Osobiście z Renatą poznał mnie Kornel Morawiecki, ale z jej działalnością zarówno niepodległościową, jak i artystyczną, spotykałem się znacznie wcześniej.

Urodziła się w 1953 roku w Zielonej Górze w rodzinie pochodzącego z Poznania działacza antyniemieckiej konspiracji oraz więźniarki obozów koncentracyjnych, na Ziemię Zachodnie wypędzonej z rodzinnego Drohobycza. Rodzice, którzy cudem przeżyli piekło wojny, w wyniku terroru stracili wielu bliskich i mający też świadomość upiornych komunistycznych realiów, starali się swą córkę uchronić przed jakimkolwiek ryzykownym zaangażowaniem. W 1968 roku piętnastoletniej Renacie udało się jednak wyjechać na wakacje do mieszkającego w Holandii brata matki, niegdysiejszego adiutanta gen. Michała Karaszewicza – Tokarzewskiego. Nie dość, że wujek zrobił swej siostrzenicy wielki cykl lekcji zakazanej w PRL-u historii to w sierpniu zachodnioeuropejska telewizja wypełniła się obrazami agresji wojsk Paktu Warszawskiego na Czechosłowację. Z wakacji Renata wróciła jako osoba świadoma tego, czym jest komunizm i pragnąca z nim walczyć. Opowieści wujka, mającego za sobą bohaterski szlak bojowy, rozpały też w niej żarliwy patriotyzm i pragnienie, by jej ojczyzna odzyskała niepodległość.

W Polsce trwał jednak najdłuższy w półwieczu PRL-u czas narodowego uśpienia. Gierek nieco uchylił Polakom drzwi do świata zachodniego i za pożyczone dolary roztaczał przed społeczeństwem iluzję mającego nadejść dobrobytu. Zaczęło to się zmieniać po wstrząsach roku 1976. Renata studiowała wtedy na Wydziale Lalkarskim wrocławskiej filii krakowskiej PWST. Blisko związana już była wtedy z Kościołem, w szczególności z księżmi prowadzącymi działalność kulturalną. Po prześladowaniach, jakie spadły na robotników, którzy w czerwcu 1976 ośmielili się podnieść bunt, kapłani ci pospieszili z pomocą dla więzionych i ich rodzin. Pomagała im w tym Renata, co zarazem ozna-

czało jej wejście na ścieżkę coraz bardziej konkretnej działalności opozycyjnej. Tym sposobem zbliżyła się także do środowiska Kornela Morawieckiego. Zaraz po Sierpniu 1980 została wiceprzewodniczącą NSZZ Solidarność wrocławskiego Teatru Lalek.

Od 1981 pracowała w jeleniogórskim Teatrze im. Cypriana Kamila Norwida, w którym zastąpiła m.in. kreacją Klary w głośniej inscenizacji „Zemsty” Aleksandra Fredry. Grała też na scenie wrocławskiego Teatru Współczesnego, zdobywając uznanie m.in. rolą Duni ze „Zbrodni i kary” Fiodora Dostojewskiego. Po wprowadzeniu stanu wojennego zaczęła tworzyć teatr wystawiający swoje sztuki konspiracyjnie w mieszkaniach prywatnych oraz kościołach. Pierwszą były uwzględniające kontekst współczesny „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego” Adama Mickiewicza. Już one ściągnęły na nią represje. Artystycznym podróżom po całej Polsce towarzyszyły zatrzymania, przesłuchania, ciągłe najścia bezpieki na mieszkanie, które przetrząsano bardziej w celu zastraszenia i uprzykrzenia życia, niż poszukiwania dowodów prowadzonej działalności. Z Solidarnością Walczącą była związana bardzo blisko, kolportowała jej wydawnictwa i zastanawiała się nad poświęceniem całego swojego życia walce podziemnej. Powstrzymywał ją przed tym sam Kornel Morawiecki, który uważał, że swoim talentem, który na spektakle w dziesiątkach miast zawsze przyciąga tysiące widzów, sprawie niepodległości oddaje najlepsze usługi. Nadal więc budowała swój zespół, który od 1983 roku znany był pod nazwą Niezależny Teatr Scena 44. W środowiskach artystycznych wielu miast kolportowała wydawnictwa drugiego obiegu. Pisywała do nich i pisywano w nich o jej teatrze. Entuzjastyczne recenzje pojawiały się na łamach „Kultury Niezależnej” i paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia. Zawsze, gdy była do tego okazja, powtarzała że najszlachetniejszą częścią polskiej opozycji jest Solidarność Walcząca, skupiająca największą część najbardziej prawych, aktywnych, niezłomnych, mądrych patriotów. Opinia ta, głoszona przez nią od czasów stanu wojennego do ostatnich miesięcy życia, kosztowała ją bardzo drogo. Od roku 1982 dla SB i wszystkich służb komunistycznego reżimu (a także dla enerdowskiej Stasi czy KGB, które też bezpośrednio zajmowały się zwalczaniem organizacji Morawieckiego) nic nie było gorsze od Solidarności Walczącej. Wypowiedzi takie były też bardzo źle widziane w środowiskach np. tzw. lewicy laickiej, pełnej zresztą ludzi mających rodzinne związki z przedstawicielami komunistycznych służb czy szczytów partyjnej nomenklatury. Poglądy i symp-

tie wyrażane przez Renatę zatrzasnęły przed nią wiele drzwi także w szerokich kręgach, uchodzących za opozycyjne.

Od 1983 grała też w grupie Nie Samym Teatrem Kazimierza Brauna i współtworzyła wrocławski Komitet Kultury Niezależnej. Esbeckie ataki przybrały na sile w roku 1984, kiedy w kościołach pękających w szwach od przychodzących na nie tłumów wystawiała sztukę poświęconą księdzu Jerzemu Popiełuszcze. Kontrwywiad Solidarności Walczącej słał wtedy do niej ostrzeżenia, że siepacze z SB prawdopodobnie zamierzają dokonać zamachu na jej życie. I rzeczywiście – doszło do kilku sytuacji bardzo niebezpiecznych. O tym, że nie są dziełem przypadku, przekonała się kiedy cudem uniknęła śmierci pod kołami rozpędzonej ciężarówki. Do dziś nie wiadomo, czy były to próby zabójstwa czy jedynie zastraszania. Prześladowaniom przez SB towarzyszyły kłopoty w pracy, zakończone wyrzuceniem z teatru. W tym samym czasie była już matką a jeden z jej synów urodził się z dużą wadą serca i porażeniem mózgowym. Ale Renata była człowiekiem, który nigdy nie tracił nadziei. Miesiące rehabilitacyjnego trudu i żarliwych modlitw zaowocowały niemal cudem – synek zaczynał się cieszyć takim stanem zdrowia, na jaki nikt wcześniej nie liczył. Wielkim przeżyciem było dla niej osobiste spotkanie z papieżem Janem Pawłem II, z którym możliwość krótkiej rozmowy miała w czasie jego pielgrzymki do ojczyzny. Ze zdumieniem przyjęła wtedy to, że papież doskonale rozumiał jej sytuację, doceniał to, co osiągnęła i przez co przeszła. Bardzo mocno uświadomiła sobie wtedy, że Jan Paweł II był nie tylko głową Kościoła, ale także wielką postacią kultury, autorem sztuk scenicznych, niegdysiejszym aktorem. Z podarowanym jej wówczas przez papieża medalikiem nie rozstała się już nigdy.

W 1986 z trudem dawała wiarę Jerzemu Przystawie, opowiadającemu o coraz większej skali, jak to określał „przesiewania przez SB działaczy Solidarności”. Owe „przesiewanie” miało na celu wyselekcjonowanie tych, których w przebiegły sposób propaganda miała nagłośnić, rozreklamować jako rzekomo najważniejszych ludzi opozycji, by potem zawrzeć z nimi porozumienie. Do towarzyszącego temu zjawiska nagłego pojawienia się wielu działaczy zupełnie nowych a niespodziewanie niesłyszanych aktywnych i nie działających w konspiracji, lecz wyłącznie przed obiektywami kamer Przystawa podchodził z nieufnością. Renata miała natomiast nadzieję, że to znak wzbierającej nowej fali przemian. Wiadomości, w 1988 i 1989 roku docierające z ośrodka MSW w Magdalence a następnie z obrad „okrągłego stołu” przyjmowa-

ła ze zdumieniem, obrzydzeniem i w końcu – przerażeniem. W czasie rozmów z przyjaciółmi z Solidarności Walczącej długo się wahała. To, że część przywódców Solidarności może związek ten zdradzić dla korzyści własnych czy swojego środowiska, nie potrafiło jej się pomieścić w głowie. W końcu przekonały ją słowa Jacka Szymanderskiego: „Tymi kontraktowymi wyborami nadeptniemy na ogon komunistycznego potwora. I od tego momentu krok po kroku będziemy go rozdeptywać aż w końcu zmiażdżymy jego ohydny łeb!” W efekcie, pomimo wstrętu, jaki budziło w niej fraternizowanie się z antypolskimi oprawcami, postanowiła zacisnąć zęby i ze wszystkich sił walczyć o jak najlepszy wynik wyborów. Po euforii, jaką przyniosły wyniki głosowania z 4 czerwca 1989 szybko przyszedł straszliwy cios. Przypomnijmy, że totalne odrzucenie przez wyborców tzw. listy krajowej z Sejmu wyeliminowana została grupa kilkudziesięciu komunistów. Wg ordynacji wyborczej oznaczało to, że taka ilość miejsc w parlamencie pozostać miała pusta, dając większość Solidarności. Wtedy do akcji wszedł jednak Geremek ogłaszający rzekomą zgodę Solidarności na wystawienie w drugiej turze wyborów drugiej listy krajowej. Ten cyniczny akt bezprawnego złamania ordynacji w czasie trwania wyborów zapewnił większość ludziom komunistycznego reżimu. Równie mocno Renata przeżyła wybranie przez kontraktowy Sejm Jaruzelskiego na prezydenta Polski. To, że zyskał on poparcie części ludzi Solidarności, dla Renaty było kolejnym aktem zdrady. Wiele razy mówiła, że „czułam się wtedy oszukana, płakałam przez dwa dni”. Jak się okazało – był to dopiero początek wielkiej goryczy. Pookrągłostołowy ład okazał się być skonstruowanym w celu zagwarantowania bezkarności i luksusu właścicieli Polski Ludowej oraz ludzi ich służb. Ciężary gospodarczej katastrofy i modelu transformacji tak bezwzględnej i grabieżczej, że nikt nie wyśniłby jej nawet w najbardziej koszmarnym śnie, spadły na tych, którzy byli nie elitami, lecz ofiarami PRL-u. Renata, wraz z innymi, którzy przeciw reżimowi walczyli, w pomagdałenkowym UBekistanie potraktowani zostali najgorzej. O swoim wielkim rozczarowaniu, jakim stała się duża część ludzi, których w latach osiemdziesiątych uważała za bohaterów i wielką polską nadzieję, wypowiadała się wiele razy. W książce Agnieszki Lewandowskiej – *Kąkol pt. „Dziewczyny z konspiracyj”*, napisanej ponad ćwierć wieku po wydarzeniach przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych stwierdziła, że nadal nie może przeboleć tego, iż ci, na których miliony Polaków przez tak wiele lat liczyły i których wspierały, okazali się indywiduami całkowicie niegodnymi zaufania. Od dawna wtedy już wiedziała, że różni liderzy Solidarności w ogóle nie byli tymi, za których się podawali. Widok postaci, których nazwiska skando-

wano na demonstracjach, od 1989 roku robiących kokosowe interesy wespół z oficerami SB, nadal wzbudzał w niej odrazę. Mówiła: „Chyba jedynie na ludziach z Solidarności Walczącej nie zawiodłam się nigdy. Oni nigdy ani nie dali się kupić ani nigdy nie stali się marionetkami wrogów Polski”.

Na początku lat dziewięćdziesiątych stworzyła jedyny w swoim rodzaju Teatr Arka, w którym profesjonaliści grali razem z niepełnosprawnymi umysłowo aktorami – amatorami. Mimo ogromnego zainteresowani publiczności i mnóstwa prestiżowych nagród zespół ten, którego była dyrektorem, a także scenarzystą, reżyserem i odtwórcą wielu ról, ciągle zmagał się z głównie materialnymi problemami. Mimo tego od trzydziestu lat co roku wystawia pięć premier i gra swoje sztuki zwykle kilkanaście razy w miesiącu.

Z dokumentów zachowanych po Służbie Bezpieczeństwa wynika, że przez wiele lat przeciw Renacie Jasińskiej prowadziła ona Sprawę Operacyjnego Rozpracowania pod kryptonimem „Renia”. W lipcu roku 2016 Kornel Morawiecki tę wspaniałą kobietę odznaczył Krzyżem Solidarności Walczącej. Niestety, życie wypełnione ciężką pracą i bolesnymi doświadczeniami mocno odbiło się na jej zdrowiu. Wielka artystka, bez reszty oddana walce o wolność ojczyzny, nigdy nie obojętna na los skrzywdzonych zmarła we Wrocławiu 4 sierpnia 2019 roku. Już kilka tygodni później niezwykłemu teatrowi, którego była głównym twórcą, nadane zostało jej imię.

„Obywatelska”, sierpień 2019



KORNEL – FENOMEN PRZYWÓDZTWA

Jego organizacja w większości składała się z ludzi o bardzo wyrazistych osobowościach, silnym indywidualizmie, bezkompromisowych charakterach, dynamicznych temperamentach. Ich późniejsze losy to także dowód na to, jak wielu było wśród nich ludzi ambitnych, największego formatu menedżerów i liderów. Do tego jeszcze jedni okazali się być konserwatystami, inni solidarystami a obok liberałów czy syndykalistów wśród „ludzi Kornela” znalazło się nawet paru monarchistów. Jak to się mogło stać, że tak zróżnicowany konglomerat indywidualności przez tak wiele trudnych lat stanowił jedną organizację, w której nigdy nie pojawiło się widmo jakiegokolwiek rozłamu? Żadnemu członkowi Solidarności Walczącej prawdopodobnie też nigdy nawet do głowy nie przyszło, by zakwestionować przywództwo Morawieckiego. Jakim cudem coś takiego było możliwe?

BUDUJĄCA MOC WOLNOŚCI

Był orędownikiem solidaryzmu. Wskazywał, że na gruncie polskich doświadczeń można zbudować ład społeczny nowego rodzaju – sprawiedliwy, efektywny, łagodzący konflikty, sprzyjający umacnianiu międzyludzkich więzi. Solidarności Walczącej nie powoływał jednak do życia jako partii politycznej. Pod względem ideowym była ona bardziej wielkim forum wymiany myśli. Wspólnym mianownikiem wszystkich jej członków było dążenie do obalenia komunizmu i odzyskania niepodległości. Kornel Morawiecki, jak i duża część związanych z nim ludzi, miał oryginalny i spójny program budowy porządku przyszłej wolnej Polski. Zawsze otwarty był jednak na dyskusję a wolność wypowie-

dzi była dla niego jedną z naczelnych wartości. Stąd pod szyldem Solidarności Walczącej ukazywały się periodyki reprezentujące szerokie spectrum poglądów. Nie tylko poszczególne ogniwa organizacji, ale też redakcje pism, których w Solidarności Walczącej było grubo ponad sto, często składały się z ideowych polemistów. Różnice te nie przeszkadzały w bardzo bliskiej i owocnej współpracy. Najważniejsze było bowiem wspólne dążenie do zrzucenia jarzma narodowej i ustrojowej niewoli. Przykładem takiego właśnie założenia były konspiracyjne szkoły drukowania. Nikt w nich nie pytał kursantów, co i w jakiej organizacji zamierzają drukować. Istotne było tylko to, że pragną działać poza zasięgiem cenzury co znaczy, iż łamać będą komunistyczny monopol informacji, poszerzać obszar wolności. To wystarczyło, żeby dla każdego z takich ludzi nie tylko bez jakiegokolwiek wynagrodzenia poświęcać czas, narażać się, ale jeszcze dać w prezencie umożliwiające stworzenie własnej poligrafii szyfonowe płótno, chemikalia do wyrobu światłoczułej emulsji czy składane sitodrukowe ramki.

Zasadzie wolności myśli towarzyszyła zasada wolnego wyboru formy aktywności. Kornel Morawiecki wychodził z założenia, że jeśli ktoś włącza się w działalność organizacji, do której przynależność wiąże się z wyjątkowo dużym ryzykiem, to sam najlepiej wie, co i w jakim zakresie powinien w niej robić. Ta wolność wyboru zaowocowała obfitością form walki, w których odnaleźć się mógł każdy, który się na nią decydował. W Solidarności Walczącej znalazło się więc miejsce zarówno dla samotników zanurzonych w indywidualnej pracy nad analizami, nasłuchami, tekstami czy technologiami, jak i dla urodzonych trybunów wiecowych czy ulicznych harcówników, pragnących siać popłoch w rozbijanych szpalerach ZOMO. W SW świetnie odnajdywali się wytrwali, rywalizujący swym kunsztem drukarze, ścigani nie tylko przez polskie służby (pelengację prowadziły m.in. helikoptery z NRD) radiowcy o stalowych nerwach, jak i kochający brawurę członkowie grup wykonawczych. Wielką zasługą Kornela Morawieckiego jest też zagospodarowanie przez jego organizację potencjału walki zbrojnej. Młodzieńcy rwący się do strzelania i podkładania bomb w tych pełnych emocji czasach mogli przecież doprowadzić do nie jednego nieszczęścia. A w szeregach SW ich temperamenty znalazły upust w działaniach, które ich satysfakcjonowały, podziemu były bardzo potrzebne a nie niosły ryzyka rozlewu krwi.

AUTORYTET „RADYKAŁA O ŁAGODNYM SERCU”

Wydarzeniom lat osiemdziesiątych towarzyszyła istna erupcja nowych liderów. Stajki, wiece czy demonstracje sprzyjały sytuacjom, w których ktoś szerzej dotąd nieznanym wskakiwał na przysłowiową beczkę i po wygło-

szeniu mowy spełniającej zapotrzebowanie chwili stawał się bożyszczem, któremu przypisywano cechy charyzmatycznego mocarza, powierzano funkcje przewodniczących związku. Taka metoda wyłaniania przywódców nie zawsze sprzyjała szczęśliwym wyborom a dziś wiemy też, że SB kadry swoich agentów kształciła także na kursach retoryki i podręcznikach w rodzaju „Psychologii tłumu” Le Bona. W odróżnieniu od tych wszystkich „wielkich ludzi znikąd” Kornel Morawiecki przeszedł bardzo długą drogę, zanim stanął na czele swojej organizacji. Swoje konspiracyjne drukarstwo zaczynał wtedy, kiedy nie zajmował się nim niemal nikt. Osobiście rozgryzał i doskonalił różne jego techniki. Dzięki temu na strajkach w roku 1980 i 1981 zastępował m.in. jako ten, którego rady w rodzaju „sito za słabo naciągnięte” lub dotyczące optymalnego nacisku klawiszy przy sporządzaniu matryc białkowych zawsze okazywały się rozwiązaniem problemu. Podobnie, jak przy skutkującym zniknięciem z oczu esbecji wdrażaniem żelaznych zasad konspiracyj ludzie współpracujący z Morawieckim przekonywali się, że stoi za nim wielki bagaż doświadczenia, dzięki któremu on po prostu wie, co mówi. Do tego dochodził jego nadzwyczajny dar zażegnania wszelkiego rodzaju konfliktów. Być może sprzyjało temu to, co wielu intrygowało jako paradoks rzecznika radykalnego programu, który we wszelkiego rodzaju międzyludzkich kontaktach był wzorem łagodności. A zarazem nikt nie wątpił, że ten człowiek o niewyczerpanych zasobach serdeczności i ciepła jest osobowością absolutnie niemożliwą do złamania. Co zresztą potwierdziło się jego bezkompromisową postawą – wiernością swym zasadom choćby i za cenę trwałej eliminacji z życia publicznego.

Jego pozycję w podziemiu budowało nie tylko to, że jako przywódca najwięcej wymagał od siebie i sam płacił najwyższą cenę trwającego szereg lat ukrywania się, bycia najintensywniej ściganym mieszkańcem naszego kraju. Oczywiście przy tym było, że mając świadomość tego, jak słono za obronę przez siebie drogę przyjdzie mu jeszcze zapłacić, nigdy nie żałował dokonanego przez siebie wyboru. W latach powszechnego upadku nadziei był przykładem niezłomnej wiary w sens dalszych zmagających. Pomimo wielkiego ryzyka spotykał się z setkami swoich ludzi głównie po to, by słuchać, co mają mu do powiedzenia. Pamiętam jedno z jego pytań: „Jak długo jeszcze dacie radę?” Odpowiedź towarzyszącego mi wtedy szefa kilku zespołów poligraficznych brzmiała: „Drukujemy średnio 20 tysięcy gazetek tygodniowo, ale ludzie mają już tak dość, że może za miesiąc damy radę robić 200...” I na to Kornel spokojnie: „No to będziemy robić dwieście...” Bo Kornel nigdy nie malował przed nikim wizji wspa-

niałej przyszłości. Przeciwnie – zalecał gotowość nie tylko na więzienie, ale i na ewentualności jeszcze gorsze. Każdy, kto go poznał wiedział, że walka z totalitarnym zniewoleniem była dla niego etyczną powinnością, którą gotów był realizować bez względu na okoliczności. Wszelkiego rodzaju kryzysy rozumiał jako logiczne składniki tej drogi. Nie było też dla niego szczególnie istotne, czy osobiście będzie miał szczęście cieszyć się wolnością, walce o którą poświęcał swoje życie.

Fenomen przywództwa Kornela Morawieckiego był więc wynikiem potęgi przykładu jego własnej postawy i jego nadzwyczaj empatycznego stosunku do każdego człowieka. Pragnąc wolności dla swojej ojczyzny przewodniczący Solidarności Walczącej organizację tę budował jako wielką sieć ludzi realizujących w niej swoje pragnienie wolności i zarazem świadomych ceny, jaką być może będą musieli za nią zapłacić. Swoboda wymiany myśli i wyboru formy swej aktywności pod przywództwem niezłomnego lidera bardziej jednak kojarzącego się z oddanym osobistym przyjacielem, niż generałem wojowniczej armii – te zasady i przymioty przesądziły o stworzeniu przez Kornela Morawieckiego najprężniejszej formacji solidarnościowej opozycji.

„Obywatelska” wrzesień 2020



KONSPIRACYJNY ARCHIPELAG RODZINY JERZMAŃSKICH

Za udzielanie pomocy ukrywającemu się Kornelowi Morawieckiemu groziło pięć lat więzienia. Ryzyko było duże, bo już w 1982 był on najintensywniej poszukiwanym przez PRL-owskie służby człowiekiem w Polsce. Trzy lata później gen. Czesław Kiszczak wydał bezprecedensowy rozkaz użycia wszystkich sił i środków w celu aresztowania Morawieckiego oraz rozbicia jego organizacji.

Z zachowanych dokumentów Biura Studiów MSW wynika, że specjaliści od walki z podziemiem zakładali, że przewodniczący Solidarności Walczącej ukrywa się w wynajmowanych mieszkaniach oraz u osób dysponujących dużymi wolnostojącymi jednorodziennymi willami. Za niemal pewne przyjmowano też długotrwałe pobyty w kilku dużych miastach Polski, gdyż „jeśli większość czasu przebywałby we Wrocławiu tamtejsza SB raczej by już go miała”. Żaden z tych wniosków nie był trafny. Z ponad sześćdziesięciu mieszkań, w których ukrywał się Morawiecki, niemal wszystkie były małymi, standardowymi lokalami w blokach. Prawie zawsze dołączał do żyjących w nich rodzin. Do aresztowania w listopadzie 1987 Wrocław opuścił jedynie kilkanaście razy, za każdym razem na krótko i tylko kilkakrotnie poza granice Dolnego Śląska. W miastach wymienianych przez ekspertów z MSW nie ukrywał się nigdy.

„W PODZIEMIU SPOTYKAŁEM NAJWSPANIALSZYCH POLAKÓW”

Po latach przewodniczący Solidarności Walczącej wspominał: „Przez te wszystkie lata przyjęło mnie pod swój dach ponad sześćdziesiąt rodzin, spotkałem się z blisko dwoma tysiącami działaczy. I wśród tych wszystkich ludzi nie było ani jednego, który by mnie wydał”. Co przesądziło o wielkim sukcesie

Kornela i jego organizacji oraz kompromitującej klęsce komunistycznego aparatu represji? Zdecydowanie najważniejsza była etyczna jakość ludzi z konspiracji, w tym całych rodzin, udzielających schronienia. Doskonała okazała się też być sama metoda. Jak się okazało – bezpieczeństwo nie przyszło do głowy, że Morawiecki mógł ukrywać się w ciasnych, czasem wręcz przeludnionych mieszkaniach. Stosunkowo częste ich zmienianie powodowało gubienie śladu w wypadku, gdyby w którymś jednak został wytropiony. Doskonale sprawdziła się zasada, wg której miejsce ukrywania się nie mogło służyć do jakichkolwiek spotkań. Służył do tego inny lokal. Często taki, w drodze do którego nie trzeba było nawet opuszczać tego samego bloku. Całości dopełniał konspiracyjny kunszt współpracowników, profesjonalnie prowadzony nasłuch częstotliwości wykorzystywanych przez PRL-owskie służby, praktykowanie przechodzenia zmierzających na spotkanie przez system służ oraz innych zasad rzemiosła ludzi podziemia. Nie sposób pominąć opanowania i roztropności samego Kornela, potrafiącego przez całe lata funkcjonować w anormalnym trybie swojego życia.

FAMILIA JAK Z PARTYZANCKIEJ PIEŚNI

Rodzina Jerzmańskich nie tylko dla Kornela Morawieckiego była archipelagiem azylu, który mógłby o sobie powiedzieć „tam, gdzie my jesteśmy, tam jest wolna Polska”. Przewodniczący Solidarności Walczącej ukrywał się w aż kilkunastu mieszkaniach bliższych i dalszych członków tej rodziny. A każdy z nich był gotów udzielać każdej leżącej w ich zakresie pomocy absolutnie zawsze. Najwcześniej Morawiecki trafił do sędziwej pani Marty, następnie do jej wnuczki Igi oraz jej męża Jana. W mieszkanku przy ul. Kwiskiej Kornel Morawiecki nocował w pokoiku ich synka. Jak się okazało na imię miał Mateusz, tak jak i syn Kornela. Mateuszowi rodzice przedstawili Kornela jako jego wujka Zdzisława. I tak, na dłuższy czas, „wujek Zdzichu” wtopił się w swoją jakby „zastępczą rodzinę”, bo najmniejsza próba bezpośredniego skontaktowania się wtedy z własną – skończyłaby się dla niego więzieniem. „Wuj Zdzichu” czytał więc „siostrzeńcowi” wieczorami bajki tak, jak (nieco wcześniej) czytywał swojemu synowi. I też podobnie – uczył podstaw matematyki czy gry w szachy.

Przyjmowanie pod swój dach pilnie poszukiwanego przywódcy podziemia wymagało okresowego wyłączenia się z konspiracji. A w tej rodzinie związani z nią byli chyba wszyscy – od pradziadków po wnuków. Najwcześniej Kornel kontakt miał prawdopodobnie z prowadzącą przy ul. Wiśniowej ważny

punkt kolportażowy panią Martą Olszanowską. Potem mieszkanie udostępniali mu rodzice zmarłego przed dwoma tygodniami Jana Jerzmańskiego – Anna i Jerzy Jerzmańscy (pracownicy naukowcy – paleontolog i geolog). Także mama Igi Jerzmańskiej Irena Zarzycka, jak i jej mąż Alojzy, żołnierz AK, też zawsze służyli każdą pomocą. Pani Irena stale zajmowała się m.in. przepisywaniem tekstów dla wydawnictw podziemia. U wielu swoich bliskich uzyskali oni zgodę na przyjęcie ukrywającego się Kornela oraz udostępnianie mieszkań dla różnych potrzeb konspiracji. Warto by spisać zacierające się w pamięci adresy, wśród których pojawiają się ulice Wapienna, Mickiewicza, Wiśniowa... Było ich jednak o wiele więcej a ważniejsze od samych miejsc są przecież postacie ludzi zawsze gotowych się narażać niosąc pomoc i deklarując wolę służenia wszystkim, co posiadają. Często pojawiała się przy tym deklaracja, że w ich domu można zostać tak długo, jak to jest potrzebne i zawsze do niego wrócić. A przecież nikt wtedy nie wiedział, jak długo ta sytuacja potrwa. Większość spodziewała się, że długie dziesięciolecia.

JAN JERZMAŃSKI

Wśród ukrywających Kornela Morawieckiego rolę szczególną odegrał Jan Krzysztof Jerzmański, ojciec wspomnianego wcześniej Mateusza. Był prawnikiem, naukowcem, wysokiej klasy erudytą. Dyskusje, bazą których były gruntowne naukowe badania, owocowały wieloma przenikliwymi i nadzwyczaj trafnymi analizami, publikowanymi potem w prasie Solidarności Walczącej. To w dużej mierze w czasie rozmów z Jerzmańskim wykuwał się też jeden z najważniejszych dokumentów Solidarności Walczącej, znany jako „Nasza Wizytówka”. Jan Jerzmański był zarazem człowiekiem niosącym codzienną pomoc bytową, jak i autorem cennych eksplikacji jurystycznych, politologicznych czy historiozoficznych. Przez długi czas był też jednym z ważnym partnerem przewodniczącego organizacji w zgłębianiu różnych aspektów zachodzących wydarzeń. Jakże przedwczesna niedawna śmierć, w wieku 64 lat, tego jednego z najbliższych przyjaciół Kornela Morawieckiego jest wielką niepowetowaną stratą.

Konieczne zaznaczyć trzeba, że wielki archipelag konspiracyjnej aktywności oraz podziemnego azylu był siatką doskonale zakonspirowaną. O jej ogniwach wiedziały jedynie pojedyncze osoby z całej organizacji. Stąd do dziś o tej jakże zasłużonej strukturze mało kto wie. Bardzo możliwe, że w powyższą opowieść wkradły się nieścisłości. Sieć konspiracyjnych powiązań ciągle trudna jest do ogarnięcia. Tym bardziej, że nadal niewielu cokolwiek o niej mówi.

Przed wszystkim jednak niniejsze wspomnienie dotyka ledwie ułamka opowieści, której bohaterami powinna być wielokrotnie większa liczba osób. Rozumiem, że żadna z nich nigdy nie przypuszczała, że po latach pojawi się jakaś sposobność, by o tym mówić czy pisać. Czy jednak tego chcą czy nie – są oni twórcami przepięknego wątku szlachetnych dziejów naszej ojczyzny. Liczę więc na to, że powyższy zaczął tej opowieści zechcą skorygować i rozwinąć. Skromny ten artykułik to przecież nawet nie przyczynek do tej wielkiej opowieści.

„Obywatelska”, wrzesień 2020



JOLANTA PIĄTEK

Twoja działalność związana była przede wszystkim z konspiracyjną aktywnością Twojego męża Tadeusza?

W ogóle nie nazywałabym tego działalnością. Tadek działał a był moim mężem i mu w tym nie przeszkadzałam. No, trochę pomagałam.

Nie przesadzaj. Drukarnię, i to tak wyjątkową, przez bity siedem lat mieliście w swoim niewielkim przecież mieszkaniu. Na tyle niewielkim, że mowy być nie mogło o przeznaczeniu dla niej oddzielnego pokoju. A druk szedł w niej praktycznie cały czas. Musiałś mieć z tym sporo wspólnego. I to przez wszystkie tamte lata. I musiałś zgadzać się na spore ryzyko. Zamieszkiwaliście w lokalu zakładowym, z którego w przypadku dekonspiracji moglibyście być, w ramach represji, po prostu wyrzuceni.

To akurat prawda. O to się bałam. Przez wiele lat mieliśmy problemy z powodu braku mieszkania. Zanim, po dziesięciu latach, uzyskaliśmy te minimum stabilizacji w postaci tego służbowego w bloku na Nowym Dworze, tułaliśmy się a to żyjąc kątem gdzieś u rodziny, albo doczekując się czasowego przydziału jakichś lokali komunalnych. Zawsze przedziwnych, nigdy normalnych. Przez jakiś czas byliśmy nawet dzikimi lokatorami, bo dowiedzieliśmy się o istnieniu takiego pustostanu, którego nikomu nie przydzielili. Przez kilka miesięcy do czasu, w którym nas tam namierzili i z niego wyrzucili, był on naszym domem. Potem z zasobów komunalnych przydzielili nam kuriozalny kawałek mieszkania podzielonego na kilka mniejszych. Nam przypadła część bez gazu, wody, kanalizacji, z toaletą na klatce schodowej, wspólną dla mieszkańców całego piętra. Tadeusz oczywiście natychmiast dogadał się z sąsiadami, którzy pozwolili pociągnąć od nich rurę z wodą. Ale na podłączenie rury kanalizacyjnej już się nie zgodzili. Mieliśmy więc tam kran, ale odpływu już nie. Czyli wszystko, w czym umyliśmy czy garnki czy siebie samych trzeba było wynosić wiadrami. Kiedy więc w końcu dostaliśmy małe, ale normal-

ne służbowe mieszkanie w bloku to byliśmy prze – szczęśliwi! Ale za drukowanie w nim mogliśmy zapłacić nie tylko więzieniem, ale i eksmisją. Powrót poprzednich warunków byłby dla nas czymś strasznym. Tym bardziej, że mieliśmy już wtedy dzieci. Było się więc czego bać. Po części z tego właśnie strachu zaczęliśmy myśleć o budowie własnego domu. Nie mieliśmy na to pieniędzy, ale doszliśmy do wniosku, że może i przez wiele lat, cegła po cegle, jakoś go w końcu zbudujemy. O tyle było to bardziej realne, że Tadeusz to w końcu wykwalifikowany budowlaniec. Dom rzeczywiście w końcu powstał, choć rzeczywiście po wielu latach. W innej już historycznej epoce.

W Solidarności byłeś od samego początku.

Tak, tym bardziej że Tadeusz był jednym z głównych organizatorów zakładowej struktury związku. A pracowaliśmy wtedy w tej samej Spółdzielni Mieszkaniowej „Metalowiec”. Oczywiście całkowicie inna działalność zaczęła się wraz z wybuchem stanu wojennego. Jak wielu braliśmy wtedy udział w kolportowaniu bibuły i to całkiem sporych ilości. Tadeusz chciał jednak robić coś dużo bardziej konkretnego. Już na samym początku 1982 roku zamierzał drukować jakieś większe broszury a najlepiej książki. Obmyślał, jak tę swoją poligrafię zbudować i z kim, ale pragnąc konkretnie zaczął to robić tym, co miał. Mieliśmy maszynę do pisania, więc przepisywał na niej bardzo obszerne teksty, które następnie składał w broszury. No i w tym mu rzeczywiście pomagałam. Razem wystukiwaliśmy na maszynie kilkudziesięciogzemplarzowe nakłady tych broszur. Pierwszą był chyba ten obszerny list Kuśmierka do Rakowskiego. Elaborat na chyba 20 stron przepisaliśmy w 55 czy 65 egzemplarzach...

Mieszkaliście wtedy w bloku przy ul. Rogowskiej. I nie wszyscy jego mieszkańcy byli przyjaźnie nastawieni do Solidarności.

No jak to w tamtych czasach – celem kontroli nad społeczeństwem milicjantów, ormowców, esbeków rozmieszczano po różnych ulicach i osiedlach szeroko, żeby czerwoni nadzorcy wiedzieli, co naród myśli i robi. A oprócz tego w każdej bramie jakiś zarejestrowany donosiciel...

Tak zwana „agentura adresowa”...

Nie wiedzieliśmy, jak to się nazywa i jak jest skonstruowane, ale wiedzieliśmy, że coś takiego jest. To się powoli okazywało w miarę tego, jak się mieszkano w tej samej bramie, chodziło tymi samymi korytarzami, schodami, jeździło tą samą windą i choć trochę rozmawiało z tymi, z którymi w miejscu

zamieszkania się spotyka. Choć oczywiście o tym, kto kim jest, zwykle nie dowiadujemy się od razu. Przy Rogowskiej mieszkaliśmy od roku 1980. Zauważyliśmy, że parę pięter niżej mieszka ktoś z milicji. Potem dowiedzieliśmy się, że jest to oficer w randze kapitana. W 1982 roku stało się wiadome, że dowodził oddziałem ZOMO. A parę pięter wyżej mieszkał ubek, który w 1987 towarzyszył swoim kolegom, przeprowadzającym u nas rewizję i nawet kręcił się po korytarzu siedziby SB, kiedy zawieźli tam Tadeusza.

Skutkiem tego, że twój mąż tak wiele czasu poświęcał drukarstwu, ogromna większość rodzinno-domowych obowiązków spadało na ciebie.

Do pewnego stopnia jest to naturalne, ale Tadeusz to rodzaj człowieka bardzo pracowitego a zarazem typ perfekcjonisty. I nie zostawiał mnie z wszystkim samej. Tym bardziej, że od przyjscia na świat w 1982 roku naszego drugiego syna, który ciężko chorował, w pierwszych latach życia połowę czasu spędzał w szpitalach i długo balansował między życiem a śmiercią, rzeczywiście nie było lekko. Dużo to wymagało od nas obojga. Tadeusz sporą część tego swojego drukowania wykonywał nocą. I nocami też przede wszystkim konstruował tę swoją maszynę drukarską własnego pomysłu.

Też z tym miałaś sporo wspólnego.

Przed wszystkim wydrukowane kartki składałam we właściwą całość. No i bywało, że składałam też czcionki, które powielały tekst. Bo na tym polegał ten wynalazek Tadeusza. Na drukowaniu z tradycyjnych czcionek.

Wśród sąsiadów, mieszkających w tym samym pionie, mieliście służących w MO i w SB. Wasze mieszkania były podłączone do tych samych komiń w wentylacyjnych. Mogli poczuć u siebie zapachy, których oni raczej nie pomylili by z innymi.

Braliśmy to pod uwagę. Farby używane w technikach czcionkowych nie pachną jednak zbyt intensywnie. W każdym razie nie jest to zapach tak zdradliwy, jak w przypadku tych najczęściej używanych w sitodruku. Zarazem ta wentylacja działała u nas świetnie. Tadeusz przyglądał się jej fachowym okiem. Dużego ryzyka tu nie było.

No ale ta ważąca ponad sto kilogramów maszyna, wyposażona w ruchome części takie, jak np. podajniki papieru, hałasować musiała. A mieszkania w blokach z wielkiej płyty często są bardzo akustyczne. Bardzo dużo w nich słyszeć nie tylko przez ściany, ale też sufity i podłogi.

Tak, z tym niezbyt głośnym, ale jednak regularnym stukotem było gorzej. Staraliśmy się ją wyciszyć bardzo wieloma metodami. Czasem dość zabawnymi, bo maszyna stawiana była np. na kilku warstwach kołder, częściowo opatulana kołdrami. W czasie drukowania włączaliśmy też muzykę. Nie taką, jaką lubimy najbardziej, ale taką, która dźwięki pracującej maszyny najlepiej zagłuszy. Czyli taką jakby industrialną. Mało kto czegoś podobnego słuchał. Niektórzy nasi sąsiedzi chyba nabrali przekonania, że my taką właśnie najbardziej lubimy.

Wtedy, kiedy w końcu SB przyszła do waszego mieszkania, by zabrać tę niezwykłą maszynę, nie było ciebie ani we Wrocławiu ani w Polsce.

Pamiętam, że akurat 3 kwietnia 1987 wylatywałam z Warszawy do Stanów, gdzie mieszka moja siostra i gdzie miałam zarobić trochę pieniędzy. Tadeusz zegnał się ze mną na Okęciu, wrócił do Wrocławia, SB przyszła po niego 23 kwietnia. Byłam więc za oceanem, kiedy nadeszły te wiadomości. Do pewnego stopnia na zdarzenie takie byliśmy przygotowani. W publikacjach, które sami drukowaliśmy i publikowaliśmy powtarzano przecież nie raz, że aresztowanie i to, co następuje po nim, to jakby naturalne etapy działalności. Że prędzej czy później większości działających przeciw reżimowi to się zdarzy. Oczywiście bardzo to przeżywałam. O tyle nie było wtedy najgorzej, że od kilku miesięcy obowiązywały te nowe rozwiązania kodeksowe, wprowadzone przez ludzi Jaruzelskiego po to, żeby nie mieli kłopotów z powodu ciągle wielkiej liczby więźniów politycznych. Sprawy rzadziej wtedy już trafiały do sądów, wlepiających kilkuletnie wyroki. Zamiast nich kolegia do spraw wykroczeń skazywały na grzywny, konfiskaty a jeśli na osadzenie w areszcie to na miesiące a nie lata. Tak najgorzej się to więc nie skończyło.

A przede wszystkim – dopiero po kilku latach działalności, w czasie której zrobione zostało naprawdę dużo.

Powtórzę, że mój udział nie był duży. Szczególnie w porównaniu z tym, jak wiele robił Tadeusz. Był jednak przynajmniej taki, że mam tę odrobinę satysfakcji z jakiegoś swojego małego udziału w tej wielkiej sprawie.



ANDRZEJ KISIELEWICZ

Urodziłeś się w Jeleniej Górze, życie związałeś głównie z Wrocławiem. Twoje związki z Dolnym Śląskiem mają też jednak wymiar głębszy i niestety tragiczny.

Tak. W czasie okupacji kilkoro bliskich członków mojej rodziny zostało więziami niemieckiego obozu Gross – Rosen. Teren tego obozu jest dla nas więc także czymś w rodzaju rodzinnego cmentarza. Kiedyś uświadomiłem sobie, że przesiedlili nas tu Rosjanie po wojnie, w tym całą moją rodzinę, ale wcześniej Niemcy przygotowali nam tu nasze groby. Polacy na Dolnym Śląsku to nie tylko ci, którzy tu mieszkali przed wiekami czy odbudowujący tu swoje życie po powojennych zmianach granic. To także setki tysięcy przymusowo tu zwiezionych, z których wielu straciło tu życie.

W młodych latach miałeś kilka pasji, w końcu postawiłeś na jedną.

Miałem dobre wyniki w grze w szachy, brydża sportowego i w tenisie. W każdej z tych dyscyplin wrócono mi możliwość dużych osiągnięć, co jednak wymagałoby skupienia się na jednej z nich i rezygnacji z pozostałych. Czasu nie da się rozciągnąć, a jeśli zamierza się w jakiejś dziedzinie robić coś w rodzaju kariery to trzeba na to przeznaczyć co najmniej po kilka godzin dziennie. Postawiłem na jeszcze jedną z moich pasji – matematykę. Ale szachami, brydżem i tenisem zajmuję się do dziś. Tyle, że wyłącznie dla przyjemności, amatorsko.

W dwudziestym szóstym roku życia doktorat i stanowisko adiunkta w Instytucie Matematyki Politechniki Wrocławskiej. To, że w 1980 zostałeś członkiem Solidarności, nie jest jeszcze niczym szczególnym. Do związku zapisało się przecież dziesięć milionów Polaków. Jednak w momencie wprowadzenia stanu wojennego w swoim życiu otwierasz jakby nowy rozdział – w walkę z komunistycznym reżimem angażujesz się w sposób jednoznaczny, maksymalny, ryzykowny, z gotowością zapłacenia za to wysokiej ceny.

Czas między Sierpniem 1980 a 13 grudnia 1981 nadzwyczajnego zaangażowania nie wymagał. Solidarność była wtedy ruchem masowym, miała swoich liderów, skutkiem czego te wielkie wolnościowe procesy, których najważniejszym celem w moim przekonaniu miała być niepodległość, postępowały. Jedni przyczyniali się do tego bardziej, inni mniej. Duża aktywność wszystkich – nie była konieczna. Wtedy wystarczyło być po właściwej stronie, stanowić cząstkę tego wielkiego narodowego dążenia. Stan wojenny w jednej chwili to zmienił. Spowodował, że i aktywność i nadstawienie karku były konieczne. W realiach otwartej konfrontacji nie widziałem innego wyjścia – trzeba było być aktywnym i gotowym do poniesienia konsekwencji.

Stąd natychmiastowy udział w proteście.

Poszedłem na Politechnikę, na której zaczęli się gromadzić studenci i trochę pracowników uczelni. Postanowiliśmy trwać tam na strajku okupacyjnym bez względu na kary, jakie by nas za to miały spotkać. Główny gmach uczelni jest wielki, więc wieczorem nie było problemu ze znalezieniem sobie jakiegoś niekoniecznie wygodnego, ale spokojnego miejsca do spania. W jednej z pustych sal przygotowałem sobie takie miejsce. Jednak nie zdążyłem się położyć. Rozmawialiśmy do późna w nocy. I nagle nasze rozmowy przerwał ogromny hałas, dochodzący jakby z wielu miejsc. ZOMO równocześnie nie tylko wyłamywało bramy i drzwi, ale też wdzierало się przez okna, znajdujące się na dość dużej wysokości. Niemal od razu usłyszałem krzyki bitych, tupot dziesiątek podkutych butów dudniący na korytarzach. Tych zomowców było zdumiewająco wielu. Pobieglem do tej salki, gdzie zamierzałem spać, żeby zabrać swoje rzeczy. Wtedy wtoczył się do niej zomowiec wymachując wielką pałką. Miałem wrażenie, że był pod wpływem jakichś środków psychoaktywnych, które przed takimi akcjami ponoć im podawali. Pałał agresją, więc od razu pomyślałem, że za moment naprawdę porządnie oberwę. Na szczęście dla mnie, do sali wbiegł jakiś student i zomowiec rzucił się w pogoń za nim.

Temat środków psychoaktywnych, aplikowanych zomowcom przed akcjami, wymierzonymi w strajki czy demonstracje, niedawno na antenie Radia Wrocław poruszyła Maria Woś. Jej relacja dotyczyła wypełnienia całego piętra szpitala przy ul. Grabiszyńskiej funkcjonariuszami ZOMO, którym te narkotyki przedawkowano. Ta akurat sytuacja miała miejsce 31 sierpnia 1982 i z tej przyczyny wszystkich pacjentów szpitala stłoczono na innych piętrach. Zdaniem lekarzy wszyscy ci zomowcy w wyniku zaaplikowania im

zbyt dużych dawek mieli ponieść trwały uszczerbek na zdrowiu. W grudniu 1981 wielu miało z zomowcami doświadczenia podobne do Twoich. Niektórzy z nich byli wściekle agresywni a zarazem nieziemsko energiczni, ale zdarzali się i tacy właśnie jakby odurzeni – przedawkowani. Na Politechnice przeważała liczebnie ta ich część agresywnie energicznych?

Ja widziałem raczej tylko wściekle energicznych. Usiłowaliśmy się zgromadzić w głównej auli, bo takie były ustalenia na wypadek pacyfikacji, ale nas stamtąd wypędzili urządzając po drodze tzw. ścieżkę zdrowia. Mi udało się jakoś przejść przez tą ścieżkę środkiem i żadna pała mnie nie dosięgła. Spędzili nas w końcu do głównego holu przed wyjściem, gdzie celowali do nas z karabinów maszynowych. Później wyrzucili nas na ulicę przed główne wejście. Wtedy ktoś zdecydował, że idziemy zwartą grupą do akademików (bo wtedy obowiązywała już godzina milicyjna).

W czasie tego pałowania na schodach życie stracił inż. Tadeusz Kosecki.

I nawet go przez moment widziałem, jak kilka metrów za mną i po drugiej stronie wypchanego tłumu przewraca się na schodach. Upadało tam jednak wielu i stan wielu w tych chwilach wyglądał groźniej. Nie przyszło mi do głowy, że on to wydarzenie przypłaci najdrożej. Na zewnątrz Politechniki, na tonących w mroku ulicach nie wiedzieliśmy, co się z kim dzieje. Dopiero następnego dnia wstrząsnęła mną wiadomość, że nie żyje.

Oficjalny powód – zawał serca. Zomowcy nie pozwolili wezwać pogotowia i umarł. Prawdopodobnie pierwsza z ofiar stanu wojennego.

To straszne, ale w tej grupie, która została wtedy wyrzucona, nikt się nie zorientował, że coś takiego się stało. W tym chaosie nie byliśmy w stanie się policzyć czy zorientować, kto został w budynku. Zebrała się taka grupa głównie studentów, do której rektor Andrzej Wiszniewski krótko przemówił, że wzięli właśnie udział w pewnego rodzaju lekcji historii. Było tam trochę mocno pobitych, bardzo obolałych. Z tych schodów niektórzy się staczali, w efekcie na czworaka przed budynek wychodzili. Ani ja ani nikt wokół mnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że tam w środku dzieje się tragedia z inż. Koseckim, że prawdopodobnie ma zawał, a dowódcy ZOMO nie spieszą się ze sprowadzeniem pomocy.

Dla Ciebie stan wojenny był też powodem przymusowej rozłąki z narzeczoną.

I tak się złożyło, że przyspieszył nasz ślub. Przed 13 grudnia planowaliśmy ten ślub na bliżej jeszcze niesprecyzowaną przyszłość. Ale po wprowadzeniu stanu wojennego zdecydowaliśmy się w lutym 1982 wziąć ślub, bo bez ważnych powodów (np. rodzinnych) zakazane było podróżowanie. A Marysieńka (Maria Peisert) mieszkała i studiowała wtedy w Warszawie. Dzięki tej zapobiegliwości, mogłem potem jako mąż odwiedzać Marysię w Gołdapii, gdy ją internowali. A było to na drugim krańcu Polski. Podróż trwała cały dzień, a widzenie 30 minut, które ja zresztą podzieliłem na dwa widzenia po 15 minut, żeby móc ją odwiedzać dwa razy w miesiącu, a nie jeden raz. Siedziała tam zresztą w znakomitym towarzystwie, między innymi, z Anią Walentynowicz.

Znamienne, że potem Wasz pierwszy syn dostał imię: Kornel. Wracając do grudnia 1981 – po spacyfikowaniu strajku na Politechnice dość szybko trafiłeś do podziemia...

Wniosek o przejściu do tej formy działalności rodził się już niemal wtedy, pod pałkami zomowców. A już na pewno jasne to było w pierwszym tygodniu stanu wojennego, kiedy stłumiona został fala pierwszego, otwartego oporu. Jasne było, że Polskę czekają trudne i prawdopodobnie długie lata zmagania, w których wielką rolę odgrywać będzie działalność podziemna. Miałem silną wolę uczestnictwa w tej walce. Głównie dlatego, żeby móc spoglądać w lustro bez wstydu. Do wyboru był albo los przegranego niewolnika w szarej peerelowskiej rzeczywistości, albo życie w czynnej niezgodzie. Tak się jednak składało, że do grudnia 1981, w przeciwieństwie do Marysieńki, od lat zaangażowanej w różne opozycyjne aktywności, ja sam kontaktów z rzeczywistymi przeciwnikami ustroju nie miałem. Cały mój opozycyjny dorobek ograniczał się wtedy do szeregowego członkostwa w Solidarności. Zacząłem więc od samodzielnego produkowania ulotek na maszynie do pisania i rozrzucaniu ich po klatkach schodowych. Trochę jak ten Birkut w "Człowieku z marmuru". Jednocześnie próbowałem nawiązać kontakt z podziemną "Solidarnością". Mniej roztropne było publiczne nawoływanie na zebraniu pracowników Instytutu do czynnego oporu. Ktoś najwyraźniej "poinformował" o tym SB.

I w związku z tym zdarzało Ci się łądować w areszcie śledczym i przed przesłuchującymi oficerami SB.

Esbekom powiedziałem otwarcie, że jedyne, co mam do powiedzenia jest to, że narzucony Polsce ustrój mi się nie podoba. I że niczego ponad to ode mnie nie usłyszą. Trochę bałem się, co się stanie po takiej stanowczej deklaracji.

cji. Ale po prostu przestali mnie przesłuchiwać i tylko zamykali przed manifestacjami na 48 godz. Właśnie przy tych okazjach miałem możliwość spotkania i porozmawiania z zatrzymanymi przez SB robotnikami z Solidarności. Z ludźmi z tych środowisk wcześniej kontaktu nie miałem i muszę stwierdzić, że zrobili na mnie ogromne wrażenie. Ich formalne wykształcenie często było skromne, ale doskonale rozumieli, o co im chodzi, do czego zmierzają, o jaką sprawę walczą. Byli wierni swoim zasadom, prawdziwym wartościom. Zachowywali się o wiele lepiej od większości inteligentów, od wielu peerelowskich profesorów, tak często lawirujących, kombinujących i tym samym wpłatujących się w różne podławe kompromisy. W ustępstwa oznaczające jakąś formę współpracy. Ludzie z robotniczej Solidarności praktykowali prostą moralność bez fałszywych światłocieni. To przede wszystkim oni walczyli, oni ponosili największe ofiary, nigdy nie zawiedli, a większość kosztów jakże nieuczciwej transformacji ustrojowej też to oni ponieśli.

Ciebie też Twoja działalność mogła sporo kosztować.

Jest rzeczą dość oczywistą, że w niektórych historycznych okolicznościach po prostu karku trzeba nadstawić. Właśnie tamten czas należał do tych, które tego wymagały. Chociaż prawdę mówiąc, ja wtedy o tym nie myślałem. Raczej myślałem, że jakoś to będzie. Kłopoty na Politechnice rzeczywiście się pojawiły. Zostałem odsunięty od zajęć we Wrocławiu i przeniesiony do filii Politechniki w Legnicy. Ładne miasto, mili ludzie, ale dojazdy bardzo uciążliwe. Utrudniały życie, zabierały mnóstwo czasu. Była to prawdopodobnie represja za moje komentowanie podczas wykładów sytuacji politycznej. Wiem, że studentom to imponowało, że nie boję się publicznie krytykować komuny. Dowiedziałem się o tym po latach. A ja się nie bałem, że ktoś na mnie doniesie do SB, bo przecież już sam na siebie doniosłem podczas pierwszego przestępczania. Dzięki temu czułem się bardziej wolny, niż ci którzy obawiali się donosicieli i trzymali buzię na kłódkę. Chcieli mnie wyrzucić z pracy pod pretekstem "braku perspektyw na dalszy rozwój naukowy". Przygotowali wniosek, ale okazało się, że ówczesne przepisy nie pozwalają na takie szybkie zwolnienie i potrwa to wiele miesięcy. Postanowiłem, że nie dam się wyrzucić jak śmieć i zacząłem intensywnie pracować naukowo. Przygotowałem kilka nowych prac. Razem z wnioskiem o zwolnienie mnie na kolejnej radzie instytutu pojawił się mój wniosek o przyznanie mi stypendium habilitacyjnego, wsparty przez znanych wybitnych matematyków. Przyznano mi to stypendium i odrzucono wniosek o zwolnienie.

Najważniejszą częścią Twojej podziemnej działalności było redagowanie, razem z Twoją żoną Marią, głównego wydania pisma „Solidarność Walcząca”. Przez całe lata to przede wszystkim Wy prowadziliście najważniejszy periodyk organizacji. Przypomnijmy, że pod tym tytułem ukazywało się kilka gazetek, należących do różnych regionalnych oddziałów Solidarności Walczącej. A tu chodziło o tę tak zwaną „centralną” „Solidarność Walcząca”.

Tak. I było z tym dużo permanentnej pracy. Wcale nie chodzi o to, że trzeba było czymś to pismo wypełniać. Materiałów zawsze było aż za dużo. Problem polegał raczej na właściwej ich selekcji, zmieszczeniu zawsze wszystkiego, co najważniejsze, przepisywaniu na maszynie, czego końcowym efektem była pełna tzw. makietą kolejnego numeru. Miałem wtedy dużo pracy zawodowej, skutecznie utrudnionej, o czym już mówiłem. Mieliśmy też sporo obowiązków rodzinnych. Zajmowanie się niedawno urodzonym Kornelkiem. A makietą zawsze musiała być przygotowana dobrze i na czas. To naprawdę kosztowało dużo trudu. Tym bardziej, że w pewnym momencie znaleźliśmy się pod esbecką obserwacją. Może było to skutkiem tego, że bezpiekę byliśmy już znani, a może kontaktów, które utrzymywaliśmy. Zaprzyjaźniliśmy się np. z Eugeniuszem Szumiejką, który po blisko trzech latach ukrywania wrócił do mieszkania niedaleko od nas. Wspaniały człowiek, mamy z nim wiele wspomnień. To zupełnie musiało zmylić SB, bo Gienek był szefem RKS, zupełnie innej struktury podziemnej Solidarności. SB prawie na pewno nigdy nie zdołała się dowiedzieć, czym my się głównie zajmujemy. Tylko, że funkcjonowanie w takich okolicznościach, wymuszających ciągłe, solidne praktykowanie zasad konspiracyj, nie było łatwe. Zdarzały się sytuacje zaskakujące. Wiedzieliśmy np., że oni usiłują przez okna zaglądać nam do mieszkania. Nie wiem, czy to był ich wypadek przy pracy, czy jakaś próba zastraszenia, ale którymś razem zjechał nam za oknem facet na linie. Wyglądało to tak, jakby spadał z dachu i nagle zatrzymał się na poziomie naszych okien. A wtedy też trzeba było przygotować kolejny numer „SW”, dostarczyć go gdzie trzeba, nie „przyciągając esbeckiego ogona”. Tak więc nasze knucie przeciw reżimowi polegało przede wszystkim na dość żmudnej pracy. Spektakularnych sytuacji, dających się traktować jako przygodę, o których warto by opowiadać, było niewiele. Tak funkcjonowaliśmy ponad 5 lat. Nagrodą było, że człowiek mógł patrzeć w lustro bez wstydu. A potem mnóstwo wspaniałych przyjaciół w Stowarzyszeniu Solidarność Walcząca.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Twoja naukowa kariera, powstrzymywana absurdalnymi ocenami i karnym przeniesieniem do

legnickiej filii, wręcz eksplodowała. Wykłady na uniwersytetach niemieckich, kanadyjskich, amerykańskich i Bóg wie jakich jeszcze. Przyjęcie tytułu profesora zwyczajnego odwlekło się teraz tylko z tej przyczyny, że nie chciałem go przyjąć z rąk Kwaśniewskiego. A równocześnie kluczowa rola w stworzeniu i prowadzeniu Salonu Profesora Dudka, ratującej matematyczne talenty Fundacji Łukasiewicza i wielu podobnych inicjatywach.

Bez przesady. Po powrocie Kornela z zagranicy dostałem zaproszenie z Uniwersytetu Manitoba w Kanadzie na roczny pobyt. W 1989 powiedziałem Kornelowi, że czas podziemnej walki się kończy, na horyzoncie jest już wolna Polska, a ja nie jestem ani dziennikarzem, ani politykiem, tylko naukowcem. Chcę wrócić do nauki. Kilka lat spędziłem razem Marysią i małym Kornelem na zagranicznych uczelniach. Wspaniały czas. Z tym tytułem profesora to mit. Przyjąłem należny mi tytuł naukowy, ale odmówiłem przyjazdu do Warszawy. Poprosiłem, żeby dokumenty przesłali mi pocztą. I przysłali. Po powrocie do Polski zobaczyłem, że sprawy niezupełnie toczą się tak jak chcieliśmy. Komuna miała zdecydowanie za miękkie lądowanie i przejęła różne dziedziny życia gospodarczo-politycznego. Pal sześć, że przestępcy i zbrodniarze nie ponieśli zasłużonej kary. Chociaż to jest złe i demoralizujące. Dla mnie najgorszy jest powrót kłamstwa w mediach. Wygląda jakbyśmy przegrali walkę z Urbanem. Jego szkoła, jego metody i jego panświnizm biorą jakby górę. Moim zdaniem, główny problem polega na tym, że w Polsce, po pół wieku komunistycznego zniewolenia, jest więcej "Półpolaków" niż za czasów Dmowskiego. I paradoksalnie odbudowa naszej państwowości, budowa Polski wolnej, demokratycznej i sprawiedliwej jest dziś trudniejsza niż po zaborach. Przestali nas zamykać w więzieniach, wolne słowo ukazywać się może już nie tylko w podziemiu, ale zadań przed nami wcale nie jest mniej, niż w latach osiemdziesiątych.



ANDRZEJ KOŁODZIEJ

Pochodzisz z Bieszczad. Jak to się stało, że trafiłeś do Trójmiasta?

W grudniu 1970 miałem 11 lat i żyłem na drugim końcu Polski. Jednak to, co się wtedy działo na Wybrzeżu, bardzo mną wstrząsnęło. W domu cały czas radio było nastawione na Wolną Europę, mimo że najczęściej słyszeć było przede wszystkim zagłuszarki. Cała rodzina bardzo przeżywała ten polski zryw i rozlew krwi. Od tego czasu żyłem w przekonaniu, że tam, gdzie rozegrał się Grudzień, jest wyjątkowo wielu gotowych czynnie walczyć o niepodległość. Po prostu ciągnęło mnie w ich stronę. W 1977 ukończyłem szkołę zawodową. Moi rodzice mieli dziewięcioro dzieci, nie przelewało się, ale ojciec był kolejarzem, dzięki czemu na wakacje dostałem bezpłatne bilety. Oczywiście pojechałem do Gdańska, gdzie dowiedziałem się, że mogę się zatrudnić, zamieszkać w hotelu robotniczym, wieczorowo ukończyć technikum. I tak zostałem stoczniowcem.

Nie wynikało to chyba jednak tylko ze słuchania Wolnej Europy?

Od najmłodszych lat się dowiadywałem, że Polska, niepodległość, wolność to są wielkie wartości. Dziadek walczył z bolszewikami, ojciec we wrześniu 1939 a potem w AK. Także w marcu 1968 w moim domu nikt nie miał wątpliwości, po czyjej stronie jest racja. Kolejarze trochę więcej wiedzieli, co się w Polsce działo, że to nie były tylko rozgrywki warszawskich elit, bo w starciach w Gdańsku uczestniczyły dziesiątki tysięcy robotników i podobnie było w wielu innych miastach. „Walczą o wolność Polski” – to wtedy w domu słyszałem. W tym samym roku byłem świadkiem inwazji na Czechosłowację. Widziałem nie tylko masy wojska, ale też emocje wszystkich, którzy mnie otaczali: oburzenie hańbieniem polskiego munduru, nikczemnością uczestniczenia w odbieraniu wolności innym narodom, upokorzenie zniewoleniem, byciem cudzym narzędziem, bezsilnością.

I Trójmiasto, symbol odważnego grudniowego sprzeciwu, miało być dla ciebie miejscem spełnienia nadziei na walkę o wolność?

Pragnąłem kontaktu z bohaterami Grudnia. Wierzyłem, że oni kiedyś ponownie, z lepszym skutkiem, znów podejmą walkę. Pierwszymi, których spotkałem, byli jednak ludzie zaszcuci, złamani. Dowiedziałem się, że ci, którzy odważyli się wystąpić przeciw władzy, ciągle byli szykanowani, obserwowani przez donosicieli. Wielu z nich zastraszano, wyrzucano z pracy. Z lęku o swoje rodziny woleli się w nic nie angażować. Trafiłem jednak i do tych, którzy się nie poddali, dzięki którym w 1978 znalazłem się wśród członków ROP-CiO i Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, zacząłem drukować niezależne gazetki. W efekcie w styczniu 1980 zostałem zwolniony z pracy w Stoczni Gdańskiej i wyrzucony z technikum. Wtedy już cały swój czas poświęcać mogłem działalności. Za sprawą solidnej konspiracji mogłem drukować miesiącami. SB chyba miała wrażenie, że wyrzucenie z pracy i szkoły mnie „utemperowało”, bo ciągle też grzecznie poszukiwałem zatrudnienia. W końcu dostałem pracę w gdyńskiej Stoczni im. Komuny Paryskiej. Miałem ją podjąć 15 sierpnia 1980.

Nie miałeś jeszcze ukończonych nawet 21 lat a pierwszego dnia pracy stanąłeś na czele strajku w zakładzie, zatrudniającym kilkanaście tysięcy stoczniovców?

Poprzedniego dnia stanęła Stocznia im. Lenina i do Stoczni im. Komuny Paryskiej przyszedłem z ulotkami, które moim nowym kolegom rozdałem w szatni. Nikogo tam nie znałem, ale dali się namówić, żeby zamiast przystąpić do pracy, całą grupą odwiedzać kolejne wydziały i proponować przyłączenie się do protestu, zainicjowanego w Gdańsku. Dyrekcja starała się temu przeszkodzić, ale stocznia tego dnia stanęła.

A ty, dwudziestolatek pracujący tam pierwszy dzień, zostałeś przewodniczącym komitetu strajkowego?

Takiej roli dla siebie nie przewidywałem, ale kiedy przyszło do wybierania komitetu odezwały się głosy: „on zainicjował, niech będzie przewodniczącym”. Większość tak zdecydowała, ja ten wybór przyjąłem.

W przeciwieństwie do Stoczni Gdańskiej od pierwszego dnia w Stoczni im. Komuny Paryskiej Komitet Strajkowy przejął radiowęzeł i drukarnię, która pracując 24 godziny na dobę każdego dnia powieliała dosłownie setki ty-

się gazetki dziennie, które „idąc w Polskę” informowały o wydarzeniach. Zaskoczona dyrekcja chyba straciła głowę, bo zgodziła się na pełne wyżywienie wszystkich strajkujących. Rola, jaką Stocznia im. Komuny Paryskiej odegrała, jest nie do przecenienia. Nie przerwaliście protestu, kiedy Wałęsa zdecydował o zakończeniu strajku w Stoczni im. Lenina. Cały ruch, uwięzieniem którego był potem NSZZ Solidarność, mógł się wtedy zawalić. To przede wszystkim wasz strajk w Gdyni w tych najbardziej krytycznych dniach uratował Sierpień! I przypomnijmy – pod Porozumieniami Sierpniowymi twój podpis, jako wiceprzewodniczącego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, został złożony między autografami Lecha Wałęsy i Andrzeja Gwiazdy. Potem jednak były bezskuteczne apele do Wałęsy, by publicznie przyznając się do współpracy z SB tym sposobem uwolnił się z tego uwikłania. Mimo, że w kręgach trójmiejskiej opozycji sprawa ta była tajemnicą poliszynela, Wałęsa na takie stanięcie w prawdzie się nie zdobył. Do lipca 1981 byłeś wiceprzewodniczącym NSZZ Solidarność i wtedy właśnie publicznie powiedziałeś, że nie możesz być dłużej zastępcą agenta, który nie chce zerwać ze swoją przeszłością. Zrezygnowałeś z funkcji wiceprzewodniczącego Solidarności a w październiku zostałeś aresztowany w Czechosłowacji. Jak do tego doszło?

Pochodziłem z polsko-czechosłowackiego pogranicza, miałem przyjaciół w kraju południowych sąsiadów, znałem drogi przez zieloną granicę. Krótko po Sierpniu zacząłem przenosić do Czechosłowacji prasę Solidarności oraz czeskie wydawnictwa emigracyjne, które do Trójmiasta, na statkach, trafiały razem z polskimi. Liczyłem na to, że Czesi i Słowacy wejdą na drogę, którą już podążali Polacy. Jednym ze środowisk, w których chciałem rozwinąć działalność, było wielotysięczne polskie skupisko w rejonie Ostrawy. Nie doceniłem jednak skali esbeckiej obserwacji, pod którą byłem w Trójmieście. Nie uszło jej uwadze moje znikanie, co jakiś czas, z plecakiem czeskich wydawnictw. A polska bezpieka z czeską oczywiście współpracowała. Krótko po drugiej turze zjazdu Solidarności znalazłem się w czeskim areszcie. Tam też mnie zastało wprowadzenie stanu wojennego.

W reżimowej telewizji stanu wojennego piętnowano ciebie jako jednego z głównych szwarccharakterów. Poświęcony tobie film, wyemitowany przez TVP już 22 grudnia 1981, pokazywał cię jako ekstremistę, pchającego Polskę w kierunku stanu wojennego, który na jego wprowadzenie zareagował próbą czmychnięcia na Zachód. Czyli same kłamstwa, bo już w lipcu ustąpi-

Jeś z funkcji wiceprzewodniczącego Solidarności a dwa miesiące przed wybuchem wojny polsko–jaruzelskiej siedziałeś w czeskim areszcie. Udało się jakoś stamtąd śledzić wydarzenia w Polsce?

Pół roku trzymali mnie w aresztach, w kwietniu 1982 zostałem skazany na rok i 9 miesięcy. Wyrok odbywałem w więzieniach w Pradze i Litomierzach. Jeśli jakiekolwiek gazety docierały do cel, w których siedziałem, to artykuły o Polsce były z nich powycinane. Za to wręcz zmuszano mnie do oglądania czeskiego dziennika telewizyjnego. Dosłownie-strażnik cały czas stał nade mną i pilnował, żebym oglądał. Niepotrzebnie, bo ja tę ich antysolidarnościową propagandę, bardziej zapiekłą od znanej z Polski a do tego w języku czeskim, chętnie oglądałem choćby w celach rozrywkowych. Czeskie więzienia poznawałem jednak głównie od strony karcerów, w których spędziłem większość tej odsiadki. W tych miejscach, w których panował mrok (o żadnych książkach w tamtejszych więzieniach i tak nie było mowy) i w których nawet za wiele nie dało się ruszać, można było tylko myśleć. Wnioskowałem, że w Polsce rozwija się podziemie, budowane na wzorach AK. Zastanawiałem się, co będę mógł do niego wnieść, kiedy wyjdę i jakie działania solidarnościowa konspiracja powinna podjąć.

Czy władze PRL jakoś się interesowały twoją osobą, uwięzioną w Czechosłowacji?

Już kilkanaście lat temu czeski IPN przysłał mi pakiet dokumentów, związanych z moim uwięzieniem. Wśród nich była korespondencja między polską i czechosłowacką bezpieką oraz list Czesława Kiszczaka z prośbą, by na wypadek mojego wniosku o odbywanie kary w Polsce, odpowiedzieć odmownie.

Władze PRL nie chciały mieć Andrzeja Kołodzieja nawet w więzieniu! Wyszłaś i wróciłeś do Polski w lipcu 1983. Jak, na tle twoich wyobrażeń, wyglądało solidarnościowe podziemie?

To było wielkie rozczarowanie. Przy kościele św. Brygidy działała komórka, udzielająca pomocy prześladowanym. I rzeczywiście wspierała np. więzionych, ale odmawiała jakiegokolwiek pomocy zatrzymywanym za udział w demonstracjach. Bo warszawscy liderzy opozycji byli im przeciwni, argumentowali, że „mogą doprowadzić do niekontrolowanego wybuchu społecznego”. Cisnęło się pytanie: czy dlatego się tego wybuchu bali, bo to oni nie mieli by nad nim kontroli? Legendarna spółdzielnia usług wysokościowych „Świećlik” wypłacała rewelacyjne pensje i rzekomo zatrudniała opozycjonistów.

Prawda jednak była taka, że warunkiem zatrudnienia była rezygnacja z antykomunistycznej działalności. Mnóstwo politycznych oświadczeń i publicystyki drugiego obiegu mówiło o potrzebie porozumienia i gotowości do ustępstw. Wiele środowisk dążyło do ugody, marzyło o jakichś koncesjach, jakich udzielić mogły im władze. Po wyjściu z podziemia Aleksander Hall opublikował list, wzywający do skończenia z konspiracją. Duża część niby-opozycyjnej aktywności była fikcją. Niedysyjni działacze często ograniczali się do uczestnictwa w mszach św. w kościele św. Brygidy i pojawiania się pod domem Wałęsy po czym, usatysfakcjonowani tymi czynami, toczyli dysputy na towarzyskich spotkaniach. Działało trochę tajnych komitetów zakładowych Solidarności, ale one też zwykle nastawione były tylko na trwanie w nadziei, że coś się wydarzy. W moim przekonaniu wprowadzenie stanu wojennego ostatecznie przekreślało wiarygodność reżimu jako partnera jakichkolwiek umów i zarazem podnosiło poprzeczkę narodowych celów, którymi powinno być pozbawienie komunistów władzy. Wałęsę w Gdańsku usłyszeć można było często, ale wskazywane przez niego cele były skromniejsze, niż w Sierpniu, o żadnej niepodległości czy obaleniu komunizmu nawet nie wspominając. Mając za sobą zwycięstwo Sierpnia pamiętałem, że możliwe jest osiągnięcie tego, co powszechnie wydaje się nieosiągalne. Przecież Polacy wtedy naruszyli podstawy totalitaryzmu. Nadwyręzenie tego komunistycznego molocha, tej potęgi, zdaniem większości nie do pokonania, okazywało się leżeć w naszych możliwościach. W 1983 niezależny ruch związkowy oczywiście był dla mnie ważny, ale jako cel już mi nie wystarczał. Chciałem odbudowy Solidarności, ale w wolnej już Polsce.

Szukałeś więc kontaktu z Solidarnością Walczącą, lub innymi, podobnie myślącymi środowiskami?

Wbrew temu, co się dzisiaj często głosi, w 1983 roku nie było ich wiele. Na Wybrzeżu dominował nurt wałęsowski – bardzo ograniczający aspiracje i zarazem agresywny w stosunku do każdej, nie związanej z nim inicjatywy. Próba zaistnienia bez jego kontroli i jeszcze z odmiennym programem wdeptywana była w ziemię przy wtórze zarzutów o krecią robotę na zlecenie SB. Albo składało się hołdy Wałęsie, albo narażało na kalumnie najcięższego kalibru. Spotkałem też jednak myślących tak, jak ja, np. Ewę Kubasiewicz, która wyszła właśnie z więzienia. Razem dotarliśmy do Andrzeja Zaracha, wrocławskiego naukowca bywającego u rodziny na Kaszubach, działacza Solidarności Walczącej. Szybko doszliśmy do wniosku, że reprezentuje organizację, o jaką nam chodzi. W ścisłej konspiracji zaczęliśmy w Trójmieście skupiać po-

dobnie myślących ludzi. Okazało się, że wcale nie ma ich tak mało i że w działalność, firmowaną przez Wałęsę, nie angażowali się z tych samych powodów, które zniechęcały nas. Byli to często ludzie już niemłodzi, zahartowani życiowym doświadczeniem-gdynianie wypędzeni w 1939, weterani wojennej i powojennej konspiracji, Kresowianie z doświadczeniem syberyjskim. Niektórzy przeszli cały szlak gen. Andersa i po powrocie do Polski byli z tego powodu represjonowani. Ci ludzie pamiętali niepodległość i chcieli o nią walczyć. Za nimi szły ich dzieci, wychowane w tym samym duchu i młodzież, dla której związek zawodowy nie był istotnym celem. Marząca o niepodległości i świecie uwolnionym od Związku Sowieckiego. W marcu 1984 spotkałem się z Kornelem Morawieckim, złożyłem organizacyjną przysięgę.

Solidarność Walcząca z Trójmiasta miała opinię wyjątkowo radykalnej.

Zagospodarowaliśmy m.in. potencjał młodych ludzi, rwących się do walki zbrojnej. W odpowiedzi na kolejną zbrodnię SB gotowych strzelać, podkładać bomby. My włączyliśmy ich do struktur konspiracji. Złożenie organizacyjnej przysięgi wszyscy oni traktowali bardzo poważnie. Drukowanie i rozrzucanie ulotek ich nie satysfakcjonowało, ale np. Bolek Siedlecki prowadził dla nich szkolenia o charakterze wojskowym. Wiadomym było, że Solidarność Walcząca nie wyklucza walki zbrojnej, ale sięgnie do niej tylko w sytuacji, która by tego wymagała. Bez naszej kontroli zapal tych młodych ludzi mógł się zakończyć tragicznie. Jako członkowie SW drukowali, malowali hasła na murach i nie rujnowali sobie życia, bo zarazem pracowali czy studiowali. Nie stawali się, w wyniku jakiejś nieprzemyślanej akcji, łowną zwierzyną bezpieki. Szykowali się do walki, ale czekali na rozkazy. Szczęśliwie do walki zbrojnej nie doszło.

„Sieci Historia”, czerwiec 2019



KORNEL MORAWIECKI – JEDEN Z NAS

Przemówienie wygłoszone na II Ogólnopolskim Zjeździe Formacji Niepodległościowych w Warszawie 17 września 2020

Motto niepodległościowej działalności Kornela Morawieckiego, jak i stworzonej przez niego Solidarności Walczącej, mogłoby brzmieć jak hasło z czasów Powstania Listopadowego: „Za naszą i waszą wolność”. Przez całe swoje życie Kornel podkreślał wspólnotę losu wszystkich tkwiących w tym samym sowieckim więzieniu narodów. I robił bardzo wiele, by bolszewickie imperium zostało rozsadzone rękami nie tylko Polaków. Jego pierwszym aktywnym staniem po stronie zmagających się z sowiecką satrapią był sprzeciw wobec inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Natychmiast, kiedy się ona zaczęła, wraz z Wojtkiem Winciorkiem (synem żołnierza AK i działacza WiN, bratankiem zamordowanego przez UB żołnierza Powstania Antykomunistycznego), wzdłuż dwudziestokilometrowego odcinka jednej z najbardziej w Polsce uczęszczanych linii kolejowych namalował setki protestacyjnych haseł. Kolportował też wtedy ulotki, powielane jeszcze metodą fotograficzną. Klepsydry, oddające cześć tragicznie zmarłemu Janowi Palachowi, wykonywał już z użyciem matryc białkowych. Opowiadanie się po stronie walczących z sowiecką agresją czasem spotykało się z przeciwdziałaniem także gremiów demokratycznej opozycji. Od 1979 roku Kornel Morawiecki wydawał „Biuletyn Dolnośląski”, którego ukazywanie się było wspomagane ze środków funduszu, znajdującego się w dyspozycji Komitetu Obrony Robotników. Z członkami KOR-u Kornel spotkał się w mieszkaniu Jacka Kuronia zaraz po tym, kiedy sowieckie wojska wtargnęły do Afganistanu. Stwierdził tam, że polska opozycja musi zająć stanowisko wobec aktu imperialnej agresji, przekonywał o konieczności wydania oświadczenia. Po krótkiej wymianie zdań członkowie KOR-u o swoim stanowisku postanowili zdecydować głosowaniem. Okazało się, że byli jednomyślni – wszyscy przeciw wydawania jakiegokolwiek oświadczenia. Na łamach „Biuletynu Dolnośląskiego” Kornel Mora-

wiecki zamieścił więc oświadczenie opozycyjnego kręgu, do którego sam należał. KOR zareagował na to odcięciem funduszy dla „Biuletynu Dolnośląskiego”. Skutkiem tego wydawca zmuszony został do podniesienia ceny swego periodyku. Równocześnie wprowadził jednak system prowizji dla kolporterów, co natychmiast przełożyło się na wzrost wpływów ze sprzedaży i w konsekwencji – powiększenie objętości, wzrost nakładu i zasięgu pisma. W późniejszych latach zasada samofinansowania swej działalności okazała się kluczem do zbudowania wydawniczej potęgi Solidarności Walczącej. Rozwijała się ona pomimo szczupłości a nawet braku jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz. Działacze Solidarności Walczącej zwykli zresztą o swojej organizacji mówić: „firma”. Normą dla nich bowiem było, że na swoją podziemną aktywność samo muszą zdobywać pieniądze – drukując i sprzedając swoje gazetki, książki, kalendarze, kartki pocztowe czy znaczki.

We wrześniu 1981, w czasie I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność, Kornel Morawiecki był współtwórcą Pośłania do Ludzi Pracy Europy Wschodniej. Krótko potem został aresztowany za wydawanie rosyjskojęzycznych gazetek, przeznaczonych dla żołnierzy stacjonującej w Polsce Armii Radzieckiej. Przedstawiał w nich rzeczywistą istotę toczących się w naszym kraju wydarzeń i wskazywał na wspólnotę losu wszystkich narodów, zniewolonych przez ten sam totalitaryzm.

Już od pierwszych numerów „Biuletyn Dolnośląski” podejmował temat walki różnych narodów z sowieckim zniewoleniem. Krótko po powstaniu Solidarności Walczącej organizacja Morawieckiego zaczęła wydawać prasę w językach kolejnych krajów bloku pojałtańskiego. Pierwszą taką gazetką były, drukowane od 1982 roku we Wrocławiu, czeskojęzyczne „Nazory”. Przez południową granicę przedostawały się za sprawą tak niezrównanych znawców sudeckiej topografii, jak Jurek Pietraszko „Pedro” oraz licznych mieszkańców pogranicza, na co dzień zatrudnionych w zakładach pracy Czechosłowacji. A dzięki temu, że były nimi głównie fabryki włókiennicze, dostawcy czeskojęzycznej bibuły równocześnie sprowadzali do Polski ogromne ilości niezbędnej do sitodruku tkaniny szyfonowej.

Lata osiemdziesiąte były czasem, w którym granice były szczególnie trudne do przeniknięcia. Współpracownikom Morawieckiego w przekraczaniu ich sprzyjały dwa powody. Pierwszym było to, że matecznikiem Solidarności Walczącej był Wrocław. W mieście tym wyjątkowo dużo osób ma bliskich krewnych za wschodnią granicą. Stąd też wrocławianom częściej bywało dane

docierać nie tylko na teren Ukrainy, Białorusi czy Litwy, ale także do Mołdawii czy Gruzji. Drugą sprzyjającą okolicznością były rozległe międzynarodowe kontakty pracowników naukowych Politechniki Wrocławskiej, nie rozpoznanych przez służby komunistycznego państwa jako członkowie Solidarności Walczącej. A relacje tych ludzi z naukowcami z uczelni ZSRR czy Węgier często od lat miały charakter bliskich przyjaźni. Owocem takich kontaktów było docieranie wydawnictw, powielanych w kilku językach, np. do Tatarów Krymskich. O pomocy, otrzymywanej od Solidarności Walczącej, o osobistym upominaniu się Kornela Morawieckiego o ich wolność Tatarzy Krymscy dobrze pamiętają. Mustafa Dżemilew i inni krymtatarscy bojownicy o niepodległość ciągle powtarzają, że Solidarność Walcząca udzielała im wsparcia w czasach, w których zapomnieli o nich wszyscy. Niezłomna i zdumiewająco kreatywna działalność organizacji Morawieckiego, o której dowiadывali się z zagranicznych rozgłośni radiowych, zawsze wzbudziła ich podziw i była źródłem nadziei.

Z bezliku aktywności, podejmowanych z myślą o innych krajach sowieckiego więzienia narodów wymienimy choćby wielką akcję wysyłkową. Polegała ona na wydrukowaniu na tysiącach kopert grafiki sugerującej, że stanowią one korespondencję Towarzystwa Przyjaźni Polsko – Radzieckiej. Po ich wypełnieniu rosyjskojęzycznymi materiałami Solidarności Walczącej zostały one zaadresowane na tysiące prywatnych adresów mieszkańców ZSRS i wysłane z setek skrzynek pocztowych różnych miast Polski. Krótco potem o wydarzeniu tym donosiły działające w Związku Sowieckim przedstawicielstwa zagranicznych agencji prasowych, BBC i inne rozgłosnie. Z informacji tych wynikało, że nadruki na kopertach skutecznie wprowadziły w błąd cenzurę korespondencji i w efekcie przez nikogo nie zatrzymane dotarły do adresatów.

Niepodległość wszystkich narodów ciemnionych przez władzę sowiecką czy prosowieckie reżimy była stałym tematem dziesiątek pism, wydawanych przez Solidarność Walcząca. Na łamach „Biuletynu Dolnośląskiego” Kornel Morawiecki publikował także całe cykle znakomitych artykułów o tragedii Tybetu a także innych zbiorowości i prastarych kultur, unicestwianych przez komunistyczne satrapie. Natomiast nazajutrz po katastrofalnym trzęsieniu ziemi, jakie dotknęło Armenię, podjął decyzję o wysłaniu dla potrzeb poszkodowanych kwoty, stanowiącej wówczas prawdopodobnie całość pieniężnych zasobów Solidarności Walczącej.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych aktywność organizacji poza granicami Polski zaczęła osiągać coraz większą skalę. W dużej mierze było to za-

sługą zagranicznych przedstawicieli Solidarności Walczącej, działających w kilku stolicach Europy Zachodniej, USA i Kanadzie. Jeszcze większy rozmiar obecności organizacji poza granicami Polski osiągnął wraz z formowaniem się Wydziału Wschodniego Solidarności Walczącej. W czasach nam współczesnych, w rocznicowych zjazdach członków organizacji, uczestniczą m.in. osoby, które na początku lat dziewięćdziesiątych wchodziły w skład pierwszego po półwieczu rządu niepodległej Litwy. W czasach walki z komunizmem zostały one pełnoprawnymi członkami organizacji Solidarność Walcząca i nadal jako takie się deklarują. Warto przypomnieć, że formacja Kornela Morawieckiego nie wykluczała podjęcia zbrojnej walki o niepodległość. Na Wybrzeżu Bolesław Siedlecki prowadził szkolenia oddziałów, złożonych z młodych ludzi, rwących się do takiej walki. O uruchomieniu seryjnej produkcji broni maszynowej w oparciu o bazę Stoczni Komuny Paryskiej oraz rewelacyjnych wynikach testowania jej prototypów w swojej książce opowiadają Andrzej Kołodziej i Roman Zwiercan. Do użycia broni w Polsce nie doszło, ale działacze SW wzięli udział w zbrojnej walce niepodległość innego kraju, wyrrywającego się z sowieckich okowów. Jedną z najbardziej znanych fotografii, wykonanych w czasie wyzwolenia Tbilisi przedstawia człowieka z kałasznikowem w dłoniach, wjeżdżającego do stolicy Gruzji na pancerzu czołgu. Człowiekiem tym jest działacz Wydziału Wschodniego Solidarności Walczącej Piotr Hlebowicz. W tym samym czasie Kornel Morawiecki przemawiał na demonstracjach, domagających się wolności dla narodów Związku Radzieckiego. Tego samego żądał przebywając za granicą.

Jeśli by jednak duch Kornela się tu teraz zmaterializował to doskonale wiem, co by powiedział już dłuższą chwilę temu. Od kilku minut niemal czuję, jak woła mi do ucha: „Nie o mnie gadaj, gdy masz mówić o niepodległości, nie o mnie, jeśli na tak wielki temat masz kilka minut!” Zarazem jednak by chciał, bym to powiedział po swojemu. Stąd może takie moje małe osobiste wspomnienie. Kilka lat temu moimi kolegami z pracy byli Hiszpanie. Ze zwykłej ciekawości pytało się więc ich, jak wygląda życie, praca, studiowanie w ich kraju. Dowiedziałem się wtedy m.in., że na hiszpańskich uczelniach ciągle jest szkolenie wojskowe, student każdego kierunku przygotowywany jest do służby w charakterze pomocnika dowódcy pododdziału. I szkolenie to musi być chyba dość solidne, gdyż wszystkim hiszpańskim kolegom znana była np. bitwa pod Somosierrą. W ramach szkolenia jest ona analizowana jako przykład skutecznego przełamania frontu błyskawicznym atakiem punktowym. Hiszpańscy koledzy z wielkim zdziwieniem przyjęli to, że na polskich uczelniach szkole-

nia wojskowego już nie ma. Odpowiedziałem im na to mówiąc: „No bo wiecie przecież, że niepodległość waszego hiszpańskiego państwa bez przerwy znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Z jednej strony pręży się na nie jakże agresywny Gibraltar a z drugiej do podboju nieustannie czai się Andora. A Polska, jak świetnie wiecie, od wschodu i od zachodu sąsiaduje z państwami od stuleci słynącymi z umiłowania pokoju i odrazy do jakiegokolwiek agresji”. Hiszpańscy koledzy dobrze zrozumieli żart. Zdołali się już bowiem zorientować jakie etyczne i mentalne standardy reprezentuje prezydent Komorowski i jak dużo o bezpieczeństwie Polsce myśli premier Tusk. Inteligentnym ludziom niczego w tym zakresie nie trzeba tłumaczyć. Lecz niestety oczywistości te tłumaczyć trzeba bardzo wielu naszym rodakom. Nie granicząca z Rosją Szwecja, w związku z coraz bardziej agresywną polityką Putina, remilitaryzuje swoje wyspy bałtyckie, bazy jej armii wracają m.in. na Gotlandię. Podobne kroki podejmuje Finlandia. A w czasie ostatniej kampanii wyborczej od kolesia kandydującego na prezydenta RP słyszę, że jest mu obojętne, co się wydarzy na Białorusi. Na kogoś z takim rozumkiem głos oddają miliony obywateli naszego państwa a przecież już odrobinka pomyślunku wystarczy by pojąć, że przesunięcie rosyjskich dywizji pancernych o paręset kilometrów na zachód to dla niepodległości Polski zagrożenie olbrzymie a niepodległość Litwy zawisłaby wtedy na włosku. Tylko ślepy nie potrafi też dziś dostrzec, że Unia Europejska nie tylko w coraz większym stopniu staje się zaprzeczeniem wszystkiego, czym miała być, ale coraz bardziej wynaturza się w kierunku neobolszewickiego molocha, państwa i narody odzierającego z ich elementarnej podmiotowości.

Wiem dobrze, co na ten temat powiedziałby dziś Kornel Morawiecki. Gdyby tu stał zamiast mnie to najpierw oddałby cześć wszystkim tu zgromadzonym bohaterom walki o polską niepodległość. Jednak pomimo tego, że wszystkie te nadzwyczaj czcigodne osoby mają za sobą dziesięciolecia wypełnione walką, dotkliwymi ciosami ze strony wrogów Polski, latami w więzieniach i pomimo tego, że często siły już nie te – Kornel powiedziałby jedno. To, że dla zadania nieustannej troski o niepodległość wychowywać trzeba każdy rocznik naszych następców, to rzecz oczywista. Jednak od takiego zadania, jakim jest stanie na straży tak bezcennego skarbu, jak niepodległość, emerytury nie ma nigdy. Pilnie i aktywnie strzec jej trzeba zawsze. Póki żyjemy.



IWONA KONDRATOWICZ

Członkiem Solidarności zostałam w wyjątkowo młodym wieku?

We wrześniu 1980 miałam piętnaście lat, właśnie rozpoczynałam naukę w szkole zawodowej. Polegała ona także na zajęciach w zakładach pracy, w towarzystwie robotników, techników, inżynierów. Właśnie organizował się NSZZ Solidarność, więc zapytałam, czy i ja mogłabym się do tego związku zapisać. Okazało się, że taka możliwość była, bo powstawała również taka struktura związkowa dla pracowników niepełnoletnich. Dzięki temu już we wrześniu 1980 należałam do NSZZ Solidarność.

Dlaczego ci na tym zależało?

Wydarzenia Sierpnia rozumiałem jako coś w rodzaju narodowego powstania. A przynajmniej jakiegoś kroku w stronę wyzwolenia Polski z komunizmu, odzyskania niepodległości. To były dla mnie sprawy bardzo ważne, musiałam w tym uczestniczyć. Wychowałam się wśród opowieści o wojnie, okupacji. Od dziecka towarzyszyła mi dojmująca świadomość tego, że moja ojczyzna pozbawiona jest wolności. Chciałam o nią walczyć. Od najmłodszych lat czytałam książki o Powstaniu Warszawskim i wręcz żałowałam, że nie urodziłam się wcześniej i nie mogłam w nim uczestniczyć. A tu zaczynało się kolejne narodowe powstanie. Oczywiście całkowicie inne, ale chodziło w nim o to samo. Jak więc mogłabym się w to nie zaangażować?

Dużo poważniejsza walka zaczęła się po wprowadzeniu stanu wojennego.

Tak. Wojsko na ulicach, prawo wojenne, czołgi rozjeżdżające strajki, więzienia pełne aresztowanych. To wszystko sprawiło, że poczułam się naprawdę potrzebna. Nie miałam jednak kontaktów, które dawałyby możliwość wejścia w organizujące się podziemie. Za pośrednictwem znanych mi związkowców nie dawało się do niego dotrzeć. Byłam przekonana, że mnóstwo ludzi wykonuje w konspiracji jakąś wielką robotę. I było dla mnie strasz-

ne, że mnie przy tej robocie nie ma. W kościołach często jednak wtedy odprawiane były msze święte w intencjach ojczyzny, więźniów politycznych i ich rodzin. Chodziłam na wszystkie, o których tylko się dowiadywałam. Często razem z moją mamą a obydwie miałyśmy wtedy zawsze przypięte takie znaczki z Matką Boską na białym – czerwonym tle. Dość szybko się przekonałam, że na te msze święte w takich intencjach w dużej mierze przychodzą ciągle ci sami ludzie. Wkrótce byliśmy takimi „znajomymi z widzenia”. I któregoś razu pod kościołem św. Wawrzyńca, a właściwie już pod cmentarzem przy ul. Bujwida, podszedł do nas pan znany nam co najwyżej z widzenia i powiedział, że widuje nas często na takich mszach. I jeśli intencje tych mszy są nam bliskie to może zechciałybyśmy robić coś więcej.

Dość ryzykowny sposób wejścia w antykomunistyczną aktywność...

Tak, to było dziwne. Nie wykluczaliśmy, że może to być jakaś prowokacja. Uznałyśmy jednak, że zaryzykujemy skorzystanie z tej oferty, bo człowiek wyglądał sympatycznie, robił wrażenie kogoś bardzo przyzwoitego a nie narażałyśmy nikogo poza sobą. Przyszliśmy na umówione spotkanie, potem na kolejne. Najpierw brałyśmy nieliczne gazetki, potem coraz więcej i tak, krok po kroku, wchodziłyśmy w podziemie. Poznałyśmy Tośka Ferencę, Barbarę Sarapuk – osoby w konspiracji ogromnie ważne. W czerwcu 1982 zaczęła działać Solidarność Walcząca, wyrastająca z kręgu działaczy najbardziej doświadczonych i doskonale wiedzących, o co im chodzi. Już pierwszy zarys programu wystarczył, żebym wiedziała na pewno, że to jest właśnie to, o co mi chodzi. A byliśmy właśnie wśród ludzi tej tworzącej się organizacji.

Na początek zajmowałaś się rozwożeniem prasy podziemnej i w którymś z miejsc przyczepił się do ciebie „esbecki ogon”...

Tak, ale nie było to takie poważne „obstawianie”, z użyciem kilku samochodów z esbekami. Wyglądało na to, że spotkałam się z kimś, kto był obserwowany i jeden ubek, jakiś młody facet, zaczął za mną iść. Oczywiście postanowiłam go zgubić. Na Placu Grunwaldzkim weszłam do tramwaju, takiego starego, w którym dało się nie domknąć drzwi i kiedy ruszył wyskoczyłam z niego. A że ten plac to taki wielki węzeł przesiadkowy momentalnie byłam w następnym, jadącym w innym kierunku. Tramwaje i autobusy zmieniałam jeszcze kilka razy, pokluczyłam trochę po Wrocławiu i byłam niemal pewna, że nikt już za mną nie chodzi.

Na początku czerwca 1984 esbecja cię jednak w końcu dopadła.

Chodziłam wtedy do technikum wieczorowego i koleżanka dotarła do mnie z wiadomością, że z naszego mieszkania najprawdopodobniej SB wyprowadzała kogoś w kajdankach. Postanowiłam więc najpierw pójść do moich współpracowników, mieszkających przy ul. Komuny Paryskiej. Miałam nadzieję, że będą wiedzieć, co się dzieje. No i tam weszłam w tak zwany „kotł””. W mieszkaniu siedzieli esbecy i zgarniali każdego, kto do niego wchodził. Nie miałam przy sobie niczego obciążającego, ale i tak w końcu wylądowałam w areszcie.

Było groźnie?

Na początek, przed wyjściem z „kotła”, jeden z esbeków pokazał mi pistolet i powiedział, że z przyjemnością sobie mnie zastrzeli, jeśli próbowałamby uciekać. Potem przesłuchania, zakończone o trzeciej w nocy. Trzymałam się jednej wersji, że z żadnym podziemiem nie mam nic wspólnego. Nic przy mnie nie znaleźli, więc jeśli bym się do czegoś nie przyznała to dowodów na mnie nie mieli. Chyba, że znaleźliby coś w moim domu. Było już dla mnie oczywiste, że tam też już byli. Jak potem liczyliśmy to w tego samego dnia oni swoje „kotły” urządzili w sześciu mieszkaniach. Jeden u nas, jeden na Komuny i jeszcze w czterech innych. Bałam się o mamę. I w areszcie nawet się z nią spotkałam, bo wprowadzili ją do tej samej celi, ale chyba przez pomyłkę, bo szybko ją z niej zabrali.

Pierwsze zatrzymanie to oczywiście duże wydarzenie, ważne doświadczenie w życiu konspiratora.

Spodziewałam się, że będzie gorzej. Naczytałam się wcześniej o przesłuchaniach na gestapo, nasłuchiłam o torturach na UB. Na SB było oczywiście nieprzyjemnie, zastraszanie i zadawanie pytań trwało przez wiele godzin. W sumie jednak po tym doświadczeniu kolejnych represji obawiałam się już mniej. Przesłuchania i noce w areszcie były od tego czasu dla mnie czymś mi znanym. Przekonałam się też, że warto milczeć, albo trzymać się prostej wersji, polegającej na udawaniu, że w ogóle się nie wie, o co chodzi i że wszystko jest wynikiem przypadku, nieporozumienia. Bilans tych 48 godzin był taki, że oni ode mnie nie dowiedzieli się niczego a ja od nich czegoś się dowiedziałam. Kojarząc to, co mówili z różnymi faktami doszłam np. do wniosku, że jeden z odwiedzających nas facetów, który od dawna wydawał mi się podejrzany, rzeczywiście dla nich pracował. Z tego, co mówili wywnioskowałam też, że nasze mieszkanie obserwowali od siedmiu miesięcy. I to też była bardzo cenna nauczka na przyszłość.

Na ciebie więc w końcu nic nie mieli i po dwóch dniach wyszłaś. A jak było z twoją mamą?

Potem dowiedziałam się, że do naszego mieszkania wpadło sześciu esbeków, część z nich z bronią w rękach. Przetrzęsając większy pokój natrafili na dużą ilość ulotek. Mieszkał już wtedy z nami Maciek Ruszczyński, który do beztrasko wyciągającego wielki stoik krzyknął: „Uważaj durniu! To jest czerwony fosfor! Jak to rozbijesz to wszystko tu stanie w płomieniach!” Maciek zrobił to chyba tylko po to, żeby odciągnąć ich uwagę. Kiedy wszyscy skupili się na stoiku szybko zaczął gryźć i połykać karteczki z adresami. Wtedy się naprawdę wściekli – skuli Maćka kajdankami i z całej siły zaczęli go bić w brzuch, żeby wyrzucił z siebie to, co połknął. Część tym sposobem wyciągnąć im się udało, ale chyba nic nie zdołali przeczytać. Maćka wyprowadzili i zawieźli na łąkową. To on był tym człowiekiem, o którym moja koleżanka mówiła mi, że został wyprowadzony z naszego mieszkania. Założyli w nim „kocioł” i czekali, aż ktoś przyjdzie. Szczęśliwie nasz współpracownik, który miał nas odwiedzić, z jakichś przyczyn przyszedł dwa dni później, bardzo krótko po tym, gdy ci esbecy sobie już poszli. Mojej mamie i Maćkowi zamierzali postawić poważne zarzuty. Propaganda zaczęła trąbić, że schwyciła terrorystów, choć żadnych rzeczywistych materiałów wybuchowych u nas przecież nie znaleźli. Fosfor był, ale to jeszcze nie bomba. Oni jednak potraktowali to całkiem serio. Innym razem przestraszyli się, kiedy do esbeka trzymającego akurat w rękach pluszowego misia Maciek powiedział: „Uwaga bomba!” Przerazili się nie na żarty, najpierw sprowadzali saperów a potem się na Maćku za takie żarty odgrywali. Po tej historii z fosforem było jednak groźnie. Adwokaci mówili, że oni jednak będą zarzucać dążenie do działań terrorystycznych, że trzeba się liczyć z wyrokami siedmiu lat więzienia. Tak naprawdę to Maciek przede wszystkim próbował skonstruować pirotechniczne wyrzutnie miotające ulotki. Śledztwo trwało prawie dwa miesiące i było bardzo intensywne. W czterdziestą rocznicę tej tak zwanej Polski Ludowej komuniści ogłosili jednak amnestię, na mocy której i mama i Maciek wyszli na wolność.

No to od tej pory wszyscy byliście dobrze znani bezpiece, która na pewno interesowała się wami do samego końca lat osiemdziesiątych.

Nauczyliśmy się z tym żyć. Widzieliśmy ich bardzo często. Nie ułatwialiśmy im życia. Jak za mną czy za mamą jechał samochód to wchodziliśmy w pierwszą jednokierunkową ulicę. Jeśli ubecy jechali za nami to bardzo szybko natykali się na kierowców, którzy darli się: „Pod prąd jedziesz ba-

rael!” Jeśli tych samochodów krążyło wokół parę to miałyśmy chociaż taką satysfakcję, że w tym samym czasie nie mogą się zajmować kimś innym. Poza tym duża część Wrocławia, w tym okolice naszej kamienicy, to jest prawdziwy labirynt zaułków, podwórek, piwnic, różnych przejść znanych tylko nielicznym. My te szczegóły topografii naszej okolicy świetnie znaleźliśmy. Oni – długo nie mogli się ich nauczyć. Zauważyliśmy, że często udaje nam się ich wyprowadzić w pole. A to znaczyło, że możemy działać dalej. Baśka Sarapuk proponowała mi, żebym brała udział w druku w jednym z mieszkań na Popowicach. Oczywiście, o ile nie będę tam ciągnęła żadnego „ogona”. Docierałam na Popowice a nasi ludzie, prowadzący nasłuch częstotliwości, wykorzystywanych przez SB, nie odnotowywali żadnej aktywności, związanej z moim przemieszczaniem się po tej części miasta. Czyli oko mnie nie myliło, „ogonów” tam nie dociągałam, więc zaczęłam regularnie uczestniczyć w druku w wielkim bloku przy ulicy Bobrzej. Oczywiście wchodziło się do jednej bramy i po przejściu strychami docierało do innej. Tych standardowych środków ostrożności było sporo i zawsze były praktykowane. W przypadku największych i najbardziej starannych operacji obserwacyjnych na wiele by się nie zdały, ale z raportów naszego kontrwywiadu wynikało, że te proste metody często były skuteczne. Z ich rozmów radiowych wynikało, że często gubili nas. Tym bardziej więc staraliśmy się nie ułatwiać im roboty. A na Popowicach produkowaliśmy gazetki ramką sitodrukową. Przede wszystkim „Solidarność Walcząca” i „Wiadomości Bieżące”. Pomimo tego, że w okolicach naszego miejsc zamieszkania często widywało się esbeków to na Popowicach w drukowaniu uczestniczyłam przez bardzo długi czas i to mieszkanie – drukarnia nigdy nie wpadło.

Uczestniczyłaś też w demonstracjach, byłaś na pogrzebie księdza Jerzego Popiełuszki...

Byłam na prawie wszystkich wrocławskich demonstracjach tego czasu. Często zresztą już zaatakowanie przez ZOMO tłumu wychodzącego z katedry po mszy św. za ojczyznę wywoływało uliczne starcia. Porwanie i wiadomość o zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki przeżyłam bardzo mocno. W naszych kręgach był postacią powszechnie znaną, ogromnie dla nas ważną. Nie-samowita była już podróż do Warszawy. Pociąg był nabitý ludźmi jadącymi na pogrzeb. Cała droga – jak sardynki w puszcze, ale wszyscy jechali w tym samym celu, tak samo tę tragedię przeżywali. Czuło się takiego potężnego ducha jedności, braterstwa. Zupełnie tak, jakby cały ten pociąg szczelnie wypełniała jed-

na rodzina, jadąca z Wrocławia do Warszawy na pogrzeb bardzo bliskiego sobie człowieka.

Kiedy byłeś już przez SB rozpoznana jako osoba aktywna w opozycji uczestniczyłeś także w działaniach nie będących konspiracją.

W 1985 wzięłam udział w głodówce, zorganizowanej przez Annę Walentynowicz w krakowskim Bieżanowie. Miała ona charakter rotacyjny, trwała ponad pół roku, mój udział w proteście wypadł akurat na Święta Wielkanocne. Przeżycie to było ogromne. Poznałam tam tak wielu wspaniałych ludzi, że w efekcie przedłużyłam swój pobyt. Byli tam ludzie z całej Polski, najwięcej znajomości zawarłam z warszawiakami. Wielu też działało w podziemiu, więc nawiązaliśmy współpracę. Od tego czasu aż do końca lat osiemdziesiątych co dwa tygodnie jeździłam do stolicy z bibułą. Do Wrocławia przywoziłam głównie książki. Bardzo zaprzyjaźniłam się z wieloma warszawskimi konspiratorami, m.in. Krzyśkiem Wolfem, Edkiem Mizikowskim. Poza tym Warszawa zawsze była dla mnie miejscem niezwykłym, kojarzyłam je z powstaniem z 1944 roku, od wielu już dziesięcioleci w każdą rocznicę Godziny W zawsze jestem na Powązkach.

W podziemiu byłeś do samego końca.

Ta działalność była najważniejszą wtedy treścią mojego życia. Poświęcałam jej mnóstwo czasu i niespecjalnie czułam się nią zmęczona. A z wolnym czasem nie było u mnie najlepiej, bo pracowałam na etacie i jeszcze chodziłam do technikum wieczorowego. Dla powielenia kolejnych partii gazetek bez wahania jednak zarywałam kolejne noce. Lubiłam to robić. Jeśli udawało się dużo zrobić to dawało mi to mnóstwo satysfakcji. Już latem 1984 zaczęłam rozpoznawać samochody i ludzi, którzy obstawiali nasz dom. Dziwiłam się, że oni się nie zmieniają i najczęściej byli to ciągle ci sami. To, że często siedzieli nam na karku przyjmowałam jako taki składnik rzeczywistości, który trzeba uznać za jakieś takie zło, które pewnie się nie odzepi, ale trzeba funkcjonować pomimo tego, że nam towarzyszy. W tym czasie żyło tak jednak wielu, często mających z nimi kłopotów o wiele więcej. Chmary esbeków chodziły za Tośkiem Ferencem czy Andrzejem Zarachem. Tosiek i Andrzej mieli zresztą podobną posturę i kiedy się zamieniali ubraniami to czasem mocno mieszały tym esbekom szyki. Można się było o tym przekonać czytając relacje z nasłuchu radiowego. Z takim życiem pod pełną inwigilacją, z częstymi rewizjami i zatrzymaniami całkowicie oswoiła się też choćby Basia Sarapuk. Było

czymś wręcz niesamowitym, jak ona potrafiła gubić śledzących ją esbeków, pod ich nosem drukować, przekazywać ogromne ilości świeżych gazetek, szkolić ciągle nowych i nowych drukarzy. No ale też za to płaciła rewizjami przewracającymi jej mieszkanie do góry nogami, pobytami w aresztach, grzywnami czy konfiskatą samochodu.

A jak przyjęłaś wydarzenia z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych?

To, co wypoczwarało się z kompromisu części opozycjonistów z komuchami nie miało nic wspólnego z Polską, o której marzyliśmy, o którą walczyliśmy. Jaruzelski prezydentem, Kiszczak namaszczony na człowieka honoru, Kornel Morawiecki całkowicie zmarginalizowany... Ludzie, którzy w latach osiemdziesiątych najwięcej wycierpieli, najbardziej się narażali nagle często pozbawiani byli pracy, piętnowani jako „sieroty po PRL-u”. Telewizja, radio, gazety – z tymi samymi ludźmi, więc przekaz zwykle niewiele tylko zmieniony albo i nawet całkowicie ten sam. Do tego ten cały koszmar w sądach, które nie potrafiły orzec w sprawach najbardziej ewidentnych zbrodni, takich jak Grudzień 1970. Mieliśmy się znaleźć w wolnej, sprawiedliwej Polsce a wyładowaliśmy w krainie totalnej kpiny ze sprawiedliwości. O tych wszystkich malowanych bohaterach, którzy okazali się być kumplami ubeków, razem z którymi na ludzkiej krzywdzie zbijali teraz miliony, o narodowym majątku sprzedawanym za grosze aż trudno mi mówić. W latach dziewięćdziesiątych tęskniłam za poprzednią dekadą, w której co prawda po byle ochłap trzeba było wystawać w kolejce i ZOMO pastwiło się na kim popadnie, ale wtedy żyło się nadzieją, że nasza walka doprowadzi nas do Polski może i biednej, ale sprawiedliwej. Po 1989 biedna była, dla większości to się sprawdziło, ale na sprawiedliwość, przyzwoitość, na elementarną prawdę przyszło nam jeszcze czekać bardzo długo. Czy zresztą i dziś może być mowa o sprawiedliwości, jeśli ciągle te same, postkomunistyczne sądy orzekają przywracanie ubekom ich bizantyjskich emerytur. Za co oni tę wielokrotność przeciętnej pensji ciężko pracujących ludzi przez kolejne dziesięciolecia mają dostawać? Czym ci siepacze reżimu się tak dla Polski zasłużyli? Prześladowaniem ludzi walczących o jej wolność?

Nie sposób zaprzeczyć, że w wielu obszarach od czasów PRL – u przez całe dziesięciolecia nie zmieniało się w Polsce absolutnie nic. I do dzisiaj te komunistyczne skamieliny bronią się przed jakąkolwiek zmianą. A o miejsce dla ludzi z Twojego środowiska po 1989 roku nadal było trudno. Na początku

lat dziewięćdziesiątych ludzie z Solidarności Walczącej mieli swoje miejsce spotkań przy ul. Kotlarskiej, potem przy pl. Św. Macieja, ale najdłużej rolę tę pełniło mieszkanie Twoje i Twojej mamy...

Bo tak to się po tym 1989 roku potoczyło. Solidarność Walcząca zepchnięta na margines, wyczarowani zostali jacyś nowi „bohaterowie”, którym przypisano zasługi Kornela i jego ludzi. Znamy takich „bohaterów”, którym firmy prowadzą ich oficerowie prowadzących SB. My beneficjentom tych przemian nie byliśmy do niczego potrzebni, nie daliśmy nawet rady utrzymać lokalu partii, będącej kontynuacją naszej organizacji. Wielu jej członków coraz bardziej skupiało się zresztą na swoich sprawach, które w latach osiemdziesiątych poświęcali działalności. Zaczęli nadrabiać ten czas spędzony na konspirowaniu, na siedzeniu w więzieniach. Wracali więc do swej pracy, do swych rodzin. No i żeby nam się to nasze środowisko całkiem nie rozeszło, zaczęliśmy je przyjmować w naszym mieszkaniu. Zwyczajem się stało, że w każdy czwartek starał się u nas być Kornel. Przychodziło też wtedy kilka – kilkanaście osób. Najwięcej zbierało się przed każdym Bożym Narodzeniem i każdą Wielkanocą.

I dzięki temu duża część środowiska trzymała się razem przez jakże długie lata, w których Solidarność Walcząca skazywana była na całkowite zapomnienie. Zasłużyłyście się ogromnie i w latach osiemdziesiątych i później. Tym bardziej wielkie dzięki!



JANUSZ KRUSIŃSKI 1953 – 2008

Uporządkowany zapis niedokończonych, nieautoryzowanych rozmów, nagrywanych w październiku i listopadzie 2008. Do wielu wątków mieliśmy jeszcze wrócić, wiele podrać, rozwinąć, wyjaśnić a także rozmawiać o wielu innych, które w ogóle nie pojawiły się w tej rozmowie. Byliśmy już wstępnie umówieni na kolejne spotkanie. Niestety, los chciał inaczej...

Jak Ty się tak naprawdę nazywasz?

Z jakichś przyczyn zaczęto do mnie mówić Janusz, choć na imię mam Jan. Jeśli natomiast chodzi o nazwisko to uległo ono pewnym zmianom, wynikającym z pewnych rodzinnych okoliczności, o których długo by mówić. W każdym razie mój dziadek pochodził z Łodzi i nazywał się Kruszyński.

W łódzkim kontekście to nazwisko brzmi trochę tak, jakby je nosił jakiś Łódzermensch, o jakich w „Ziemi obiecanej” pisał Władysław Reymont...

A wiesz, że z tym żartem trochę trafiłeś? Dziadek nie był wielkim fabrykantem, ale przed wojną zgromadził trochę pieniędzy, które zainwestował w zakup sporego kawałka gruntów. Jakieś pięćdziesiąt lat temu zbudowano na nich Domy Towarowe „Centrum”.

Rozumiem, że w następstwie konfiskaty przez tych przywiezionych na sowieckich tankach „pełniących obowiązki Polaków” zwanej „nacjonalizacją”? Dużą masz w rodzinie konkurencję do tego spadku?

Tak w prostej linii to właściwie żadną...

Rozmawiam z milionerem?!

Trochę nie chce mi się wierzyć w taką perspektywę, choć gdyby to było możliwe to jedno marzenie może udałoby mi się zrealizować...

Jakie?

Prywatna stacja radiowa. W latach podziemnej działalności zakochałem się w radiofonii. Po 1989 roku liczyłem na to, że w tych zmieniających się realiach będę się mógł tym zajmować w sposób już całkowicie jawny. Niestety przekonałem się, że te realia, w porównaniu z komunistycznymi, wcale się tak bardzo nie zmieniły. Ale dysponując dużymi pieniędzmi może projekt taki dałoby się zrealizować?

Radio Solidarność Walcząca to był bardzo ważny oręż walki, prowadzonej w latach osiemdziesiątych.

Dobrze to ująłeś. To była walka, kontynuacja tej, którą innymi narzędziami prowadzili nasi ojcowie w czasie II wojny światowej. Tamte realia były inne, więc oni mieli inne narzędzia. Ale jeśli w czasie wojny polsko-jaruzelskiej rzeczywistość by się zbliżyła do tej z lat poprzedniej wojny to byśmy używane przez nas narzędzia zamienili na takie same, jakimi posługiwali się nasi ojcowie.

Twoja podziemna działalność nie zaczęła się jednak od radia. I z jakich powodów w ogóle ją podjąłeś?

Przed 13 grudnia 1981 byłem szeregowym członkiem Solidarności. Takim za dużo się nie angażującym, ale wiążącym z tym związkiem, z tym ruchem jakieś nadzieje. I kiedy wraz ze wprowadzeniem stanu wojennego nagle ta Solidarność znalazła się w potrzebie to ja przecież nie mogłem powiedzieć „dziękuję, to ja wysiadam”. Taka postawa, że jak jest dobrze a może będzie jeszcze lepiej to ja w tym jestem a jak zaczynają się kłopoty to sobie idę – jest dla mnie obrzydliwa. Przecież właśnie wtedy jest się dopiero naprawdę potrzebnym. Przecież to sytuacje trudne a nie łatwe zobowiązują do zaangażowania. Nawet wiążącego się z ryzykiem poniesienia jakichś konsekwencji. To było więc jasne, że jeśli oni atakują naszą Solidarność to ja tym bardziej po stronie tej Solidarności muszę być. Czyli 14 grudnia w zakładzie robimy strajk. Na ale niestety oni mieli czołgi i dzień później jest po strajku. Tylko, że teraz to oni kupę ludzi do więzienia pozamykali. A mnie nie, ja jeszcze nie siedzę. No to to przecież tym bardziej muszę coś robić. Kontakt z organizującym się podziemiem szybko złapałem, już w grudniu zajmowałem się drukowaniem. Sytuacja przedstawia-

ła się dość ponuro, w tamtych tygodniach chyba nie było dnia, żeby nie przychodziły wiadomości o kolejnych aresztowanych. Wniosek więc taki, że trzeba robić coraz więcej, bo być może jest nas na wolności coraz mniej. No i brać na siebie kolejne obowiązki, oczywiście być maksymalnie ostrożnym. Efekty tego jakieś były, odbudowana w konspiracji „Solidarność Dolnośląska” miała coraz większy nakład. Doskonaliłem umiejętności drukarskie, więc i jakość druku coraz lepsza i z każdej matrycy dawało się wycisnąć coraz więcej dających się czytać egzemplarzy. Ludzi jednak do tej roboty brakowało, więc było się i drukarzem i po trosze kolporterem i jeszcze paczki z nowymi wydaniemmi też trzeba było czasem samemu rozwozić. Robiłem to, ale ostrożnie. Najpierw znajdowałem drzwi tego mieszkania, do którego miałem zapukać a potem szukałem miejsca, w którym to, co przynosiłem, dawałoby się ukryć. Tak na wszelki wypadek, bo tych aresztowań wtedy wszędzie było pełno, więc tak na wypadek, gdyby w środku byli nie ci, co trzeba. I tak samo postąpiłem na początku marca w jednym z bloków na Nowym Dworze. Znalazłem drzwi właściwego mieszkania, czyli „acha, to tutaj”, dla paczki z bibułą znalazłem jakiś tymczasowy schowek, którym najczęściej było pomieszczenie zsypu śmieci. Dzwonię do drzwi, one otwierają się błyskawicznie i błyskawicznie łapie mnie za chabety kilkoro rąk. Sam widzisz, że ja dosyć duży kawałek faceta jestem, ale skutkiem tego złapania i energii, z jaką wciągnęli mnie do środka, przeleciałem przez całe mieszkanie. Nie powiem, zrobiło to na mnie wrażenie, od razu pomyślałem „kurcze, silni są”. Na szczęście mieszkanie było duże, więc był dystans, na którym miałem gdzie wyhamować. W przeciwnym razie boleśnie rąbnąłbym w ścianę a jeśli trafiłbym w okno to chyba bym wyleciał na zewnątrz razem z nim. Na szczęście wyhamowałem przed tym oknem, rozglądam się i widzę scenerię klasycznego esbeckiego kotła, w którym od razu widać, kto esbek a kto lokator. Ubeki siedzą sobie z nogami na stołach, buciory między szklankami z kawą, palą papieochy, ich spluwy leżą na wierzchu, któryś bawi się pistoletem. Na taką okoliczność miałem oczywiście przygotowaną bajeczkę o drzwiach, które pomyliłem. Oni na nią zareagowali takim równoczesnym, zgodnym „no taaak...” Kiwają głowami ze zrozumieniem tak, jakby się zmówili, po czym jeden, patrząc na mnie mówi: „Coś mi się wydaje, że całkiem niezły cwaniak nam się trafił” i do swoich chyba podwładnych: „Przeszukajcie porządnie ten korytarz, bo wygląda mi na takiego, któremu coś tam po drodze mogło się zgubić”. Po chili wracają, tę torbę, którą schowałem niosą, uśmiechy od ucha do ucha i jeden ogłasza: „Świeże gazetki, nowe wieści różnej treści”, rozdaje kolegom, którzy na to, że fajnie, bo wreszcie jakaś rozrywka, inny

z zadowoleniem stwierdza, że to coś, czego jeszcze nie czytał i w lekturze się zagłębia. No i oczywiście rzucają się do mnie, żebym gadał, skąd to przyniosłem. Na co ja się upieram, że pierwszy raz to widzę. Skończyło się tak, że zamknęli mnie w łazience, w której przesiedziałem chyba kilkanaście godzin. W końcu wyprowadzili mnie, zawieźli samochodem na Plac Muzealny. W celi byłem krótko, przez parę dni przesłuchania i przesłuchania. Nudne dosyć, bo ja ciągle powtarzałem, że to pomyłka a oni też żadną wiedzą mi nie zaimponowali. Rewizję w domu mi zrobili, ale wiedziałem, że tam niczego nie znajdą. Już zaczęła się we mnie tlić nadzieja, że dadzą wiarę powtarzanej przeze mnie jak mantra opowieści, ale tak dobrze to to się nie skończyło. Odczytali mi decyzję o internowaniu, po czym przewieziony zostałem do więzienia w Nysie. I tam było już o tyle fajnie, że się wiedziało, na czym się stoi a pod względem towarzyskim nawet bardzo fajnie. To internowanie z istoty rzeczy było bezterminowe, ale współwięźniowie, którym na wszelki wypadek opowiedziałem tylko tę część mojej historii znanej esbekom, długiego siedzenia mi nie wróżyli. W tej Nysie wzięli mnie jeszcze parę razy na przesłuchania, na których powtarzałem im to samo, przy czym upierałem się także we Wrocławiu, więc z tymi przesłuchaniami w końcu też dali mi spokój. I nie siedziałem długo. Na przełomie kwietnia i maja wypuszczali sporą część internowanych i wtedy też, w moim przypadku po niespełna dwóch miesiącach, wyszedłem. Więzienne znajomości się jednak bardzo przydały. Krótko po tym, jak wyszedłem, byłem już członkiem Solidarności Walczącej.

Żadnych dowodów przeciw Tobie nie mieli, ale od czasu wejścia w ten kocioł na Nowym Dworze to już chyba esbecja o Tobie pamiętała?

Tak, nie trzeba było długo czekać, by się o tym przekonać. W sierpniu 1982 brałem udział w przygotowaniach do demonstracji, jaka miała się odbyć w drugą rocznicę Porozumień Sierpniowych, które podziemie ogłosiło Świętem Solidarności. Część działań Solidarności Walczącej polegała na umieszczaniu w dziesiątkach miejsc mini – zagłuszarek, nastawionych na częstotliwości, wykorzystywane przez milicję i SB. W rejonach, w których spodziewaliśmy się największych starć z ZOMO staraliśmy się utrudnić łączność radiową tych oddziałów. W przeddzień demonstracji te zagłuszarki, często w postaci mydelniczek z małymi nadajnikami, poumieszczane zostały na dachach kiosków, przystanków tramwajowych i autobusowych. Niesamowita była też historia z audycjami nadawanymi przez Helenkę i Romka Lazarowiczów wraz z Kysią Jagoszewską. Wyposażeni w silny nadajnik z anteną siedzieli na dziesią-

tym piętrze jednego z bloków w centrum miasta i nadawali audycje o pochodach i rozruchach, rozlewających się na kolejne dzielnice. Wiadomości o tym, co się dzieje, otrzymywali też drogą radiową od Pawła Falickiego, do którego trafiały newsy nadawane krótkofalówkami przez informatorów Solidarności Walczącej, rozlokowanych w kilku punktach miasta. Kapitałna operacja! A zanim się to wszystko zaczęło wyemitowali wezwania do udziału w manifestacji oraz apel do milicji, by powstrzymała się od użycia przemocy. Całodzienny cykl krótkich audycji Radia Solidarność Walcząca był słyszany na dużych obszarach miasta. Na Psim Polu ludzie dowiadywali się np. o walkach, toczonych w rejonie Grabiszynskiej. A kiedy ZOMO stłumiło już rozruchy na Przedmieściu Miłkołajskim mieszkańcy tej dzielnicy z Radia Solidarność Walcząca dowiadywali się, że na Placu Grunwaldzkim płoną milicyjne samochody, że zomowcy uciekają w wielkiej panice. Niezależne radio okazało się w tych dniach potężną bronią informacyjną i jego sukces dodał mi energii do tego, by radiofonią zająć się na skalę maksymalną. No ale tak, jak zauważyłeś, SB nie dawała mi już za dużo spokoju. We wrześniu TTK NSZZ Solidarność ogłosiła 10 listopada dniem narodowego protestu, którego to miał się odbyć czterogodzinny strajk generalny a potem uliczne manifestacje. Zdziwił mnie tak odległy termin, dający komunistom dwa miesiące na solidne przygotowanie się do tych wydarzeń. 31 sierpnia był olbrzymim sukcesem, skala demonstracji zaskoczyła wszystkich i zdawało się, że mamy do czynienia z jakąś nową dynamiką. Nie bardzo rozumiałem dlaczego nagle Bujak z Frasyniukiem i paroma innymi doszli do wniosku, że nagle trzeba wyhamować, nastroje ostudzić, bo przecież do tego się to sprowadzało. Poza tym wszelkiego rodzaju protesty w listopadzie są już do przeprowadzenia trudniejsze, bo dni krótsze i jest dużo chłodniej. To z tej przecież przyczyny Jaruzelski wypowiedział narodowi wojnę na samym początku zimy. Szybko się okazało, że mój niepokój był bardzo uzasadniony. Nagle na 5 października dostałem powołanie do wojska, na okresowe, bezterminowe ćwiczenia. Takie same dostały tysiące innych, zawsze związanych z Solidarnością, czyli tych, o których było wiadomo, że będą przygotowywali listopadowe protesty o kierowali nimi. Zamiast tego – znaleźliśmy się w koszarach albo na poligonach. Bo odmówić stawienia się w warunkach obowiązującego prawa wojennego? Dezercja w takich warunkach mogła być karana nawet kulą w łeb. Ludzie Jaruzelskiego perfekcyjnie eksploatowali błędy przywódców Solidarności. Do tego okazało się, że kilka tygodni przed tym listopadowym dniem protestów formalnie rozwiązano Solidarność. Rozegrali więc nas jak dzieci, bo w Gdańsku i Nowej Hucie odpowiadzano na to spontanicznymi strajkami i demonstracja-

mi a reszta czekała na tego nieszczęsnego 10 listopada. W efekcie i protesty październikowe i listopadowe rozczarowały swymi rozmiarami. Komunistom udało się społeczną energię podzielić. Najpierw całe ZOMO rzucili na demonstrujące Gdańsk i Nową Hutę, potem listopadowe wystąpienia często udawało im się zdławić w zarodku. Przeżywałem to razem z innymi, „wziętymi w kamasze”. Niektórzy byli tak tym rozgoryczeni, że domniemywali jakiegoś ubecznego wpływu na tak przeciw skuteczne decyzje TKK.

A jak wyglądał sam Twój pobyt w tym wojsku?

Tak poza goryczą tego absurdu wojennego uwięzienia to było doświadczenie nawet dość ciekawe. Wezwanie dostałem do Rawicza. Okazało się, że ściągnięto tam dziesiątki takich samych, jak ja. Sformowali z nas jakieś pododdziały a wszyscy w nich przynajmniej koło trzydziestki, często starci. Towarzystwo maksymalnie niesubordynowane, sabotujące wszystko, co sabotować było można. W godzinach ciszy nocnej toczyliśmy długie Polaków rozmowy. Dowódcy początkowo próbowali na to nasze łamanie dyscypliny reagować, ale w końcu machnęli ręką uznając, że my w zasadzie to nie na szkoleniu, ale w pewnego rodzaju uwięzieniu jesteśmy.

No ale jeśli wszyscy w pododdziale byli solidarnościowcami to pewnie sałę, w której spaliście i toczyliście te dysputy, mieliście na podsłuchu.

Też o tym od razu pomyślałem i już jednego z pierwszych wieczorów zacząłem szukać jakichś mikrofonów. Jednym z pierwszych miejsc, do których zajrzałem, był kanał wentylacyjny. Zdjąłem z niego osłonkę i wiesz, co za nią zobaczyłem? Wisiał za nią na kablu taki najzwyklejszy mikrofon, normalnie ten taki kwadratowy od najpopularniejszego wtedy magnetofonu ZK – 120! Pokazałem to kolegom, na co oni się nie na żarty oburzyli. No tak ich potraktować! Takim chamskim sprzętem! No gdyby to jakieś nowoczesne pluskwy były, jakaś aparatura godna poważnych ludzi. A oni takim prymitywnym mikrofonem, tak na rympał starych lisów! Jedni od razu chcieli to urwać, ale ich powstrzymałem. Niektórzy nie wiedzieli, o co mi chodzi, ale jak zacząłem gadać do tego mikrofonu to od razu stwierdzili, że moja oferta jest lepsza od psucia tego ordynarnego podsłuchu.

A co do tego mikrofonu gadałeś?

Taki nowy temat naszej dyskusji wywołałem, że ten dowódca naszej kompanii to na pewno pedał, bo nawet jak maszeruje to nie potrafi powstrzy-

mać kręcenia tyłkiem a usta to chyba szminką sobie maluje. Bo rzeczywiście miał takie wyraziste. Koledzy podłapali ten wątek i zaczęły się dywagacje na temat orientacji oficera politycznego, po czym przeszliśmy do ustalania, który z nich czynny a który bierny. No a potem oczywiście wszyscy zgodnie stwierdzali, że takiego debila, jak dowódca jednostki, to żaden z nich w życiu nie spotkał. Nasz pluton okazał się wyjątkowo kreatywny w snuciu takich domniemań, że ten pułkownik z mulastą gębą to na kilometr wygląda na zboka i pewnie liter do dziś nie nauczył się składać itd. Pół nocy nam zeszło na tej zabawie. A gdybyś potem widział twarze tych wszystkich oficerów, dowódców... Każdym spojrzeniem jakby chcieli nas zabić. No i posypały się wszystkie możliwe w wojsku kary, na co my odpowiadaliśmy wszystkimi możliwymi aktami niesubordynacji. Część z nas, w tym mnie, trochę to kosztowało. Bo mimo, że ewidentnie nie mogli się doczekać, aż sobie w cholerę z tego wojska pójdziemy, to część z nas przytrzymali dłużej, tak żebyśmy nie byli w domu na święta. Bo kiedy minęły już wszystkie grudniowe rocznice i propaganda zaczęła mówić o prawdopodobnym zawieszeniu stanu wojennego to zaczęli nas wypisywać do cywila. Ale nie wszystkich. Wtedy zdecydowałem się na krok dość desperacki, w zasadzie na otwartą dezercję. Przeskoczyłem mur koszar i pojechałem do Wrocławia, żeby być w domu w święta. Nie było to tak trudne, pociągów przez Rawicz jeździło sporo, wysiadłem już na stacji Mikołajów, gdzie WSW czy milicja pojawiały się rzadko. Tak, to był krok dość ryzykowny, ale poczułem się po nim człowiekiem wolnym w sposób szczególny. Aż sam byłem zdziwiony, jak dobrze mi to zrobiło. Zgarnęli mnie dopiero dobrych kilka dni później i nawet sposób, w jaki mnie traktowali, był dosyć zdumiewający. Zupełnie tak, jakby doszli do wniosku, że na mnie chyba nie ma rady a robienie z tego grubej sprawy w czasie, w którym reżim szczylił się osiągnięciami zaprowadzanej „stabilizacji” też im się chyba nie opłacało. Skończyło się na dwóch tygodniach aresztu. No i jakiś miesiąc później – wyrzuceniem z pracy.

I wtedy zająłeś się tym swoim radiowym biznesem...

Utrata pracy nie była czymś bardzo dotkliwym. Już dużo wcześniej myślałem o założeniu zakładziku naprawiającego sprzęt radiowo-telewizyjny. Znałem się na tym, bardzo lubiłem te elektroniczne i elektro-techniczne zajęcia. Tak więc naprawą telewizorów zamierzałem zarabiać na utrzymanie rodziny a posiadanie takiego warsztatu dawałoby możliwość konstruowania nadajników. Bo można by to robić w taki sposób, że nawet esbecy przychodzący

na rewizje nie zorientowaliby się, co ja poza tymi radioodbiornikami czy telewizorami robię.

Zakład ten założyłeś w swoim własnym mieszkaniu, co miało pewne reperkusje...

Masz na myśli te telewizory, które znikwały z korytarza? Nie miało to takiej skali, z jakiej nabijają się nasi wspólni znajomi, ale trochę takich sytuacji było. Chodziło o to, że w pewnym momencie ja się z tymi przynoszonymi do mnie telewizorami nie mogłem pomieścić w mieszkaniu. W efekcie czasem musiałem je trzymać na korytarzu. I nocami czasem jakiś telewizor znikał. Wiadomo – droga rzecz i w latach PRL-u często trudnodostępna. No ale udawało się radzić z tymi kradzieżami na podobnej zasadzie, na jakiej działa piramida finansowa. To znaczy – ktoś przyniósł telewizor i mu go ukradli, więc jak przyszedł po odbiór to mu dawałem jakiś inny, też naprawiony, który przyniósł ktoś inny. Co prawda ciągle tych paru ukradzionych brakowało, ale kolejni klienci przynosili nowe, więc każdy dostawał jakiś zadowolający go odbiornik zastępczy. Czasem mógł sobie nawet wybrać taki, jaki mu się najbardziej podobał. Takie oferowałem poziom usług! A tak bardziej serio – nie miał ten proceder rozmiarów takich, jakie mu przypisują nasi przyjaciele, ale nigdy z tym do żadnej dużej awantury nie doszło. Klient nasz pan – taka była dewiza mojego zakładu, wszyscy byli zadowoleni.

Od początku zająłeś się konstruowaniem nadajników Radia Solidarność Walcząca?

Od samego początku. Sporo konsultowałem z naszymi krótkofalowcami czy elektronikami, naukowcami z Politechniki Wrocławskiej, których w Solidarności Walczącej mieliśmy wielu. Technologie te były jednak moim osobistym hobby i w pasji tej starałem się ciągle rozwijać. Wiedzieliśmy, że na Zachodzie produkowane są drobne części elektroniczne nieznanego u nas jakości, mogące bardzo powiększyć zasięg nadajników. Michał Gabriel potrafił ściągać je, organizując przemysł. Docierały zdumiewająco szybko. Ciągłe jeszcze uczestniczyłem w druku, ale montowanie nadajników stało się moją największą pasją. Potem nadawanie. I dążenie do tego, by miało jak największą skalę.

Jedną z pierwszych Twoich niesamowitych akcji, była słynna później wyprawa do Warszawy, by nadać audycje kontynuujące działalność Romaszewskich.

Pomysł ten przekazałem Kornelowi, który uznał go za ryzykowny, ale w końcu uznał, że jeśli chcemy, to żeby jechać. Nie mieliśmy wtedy w Warszawie żadnych naprawdę bliskich nam ludzi, którzy dysponowaliby mieszkaniem w odpowiedniej części miasta i na odpowiednio wysokim piętrze. I trafiliśmy do kogoś mówiąc najkrócej niezbyt sympatycznego. Powiedział, że daje nam dwadzieścia minut i zaraz po wyemitowaniu audycji mamy się wynosić, że ma tam już nas nie być. No to uwijamy się, żeby jak najszybciej rozstawić ten nasz sprzęt a ten cwaniaczek-warszawiaczek tak patrzy na nas z góry i szydzi, że od razu widać, że my z jakiejś zapadłej prowincji, z wiochy dechami zabitej jakiejś, bo aparaturę mamy jakąś prymitywną, wielką taką a oni w stolicy to mają taką nowoczesną, zminiaturyzowaną, co się w kieszeni mieści. Nam się z nim już gadać nie chciało, więc odpowiedzieliśmy tylko, że audycje tą jego kieszonkową aparaturą nadawane też pewnie tylko w kieszeni słychać. I to były chyba ostatnie słowa, jakie z nim zamieniliśmy. Kiedy o ustalonej godzinie włączyliśmy nadajnik – od razu rozdzwonił się telefon tego gościa. On podnosił słuchawkę, prawie nic nie mówił, odkładał ją, po czym zaraz odbierał kolejne połączenie. I tak kilka razy. Szybko domyśliłem się, o co w tych tak krótkich telefonach chodziło, bo on za każdym razem patrzyła na nas z coraz większym zdumieniem, w końcu nie mógł już ukryć podziwu. Nie było żadnych wątpliwości – on umówił się ze znajomymi, mieszkającymi w różnych odległościach, żeby telefonowali do niego, w jakiś zaszyfrowany sposób informując, że naszą audycję słychać. I wszystko wskazywało na to, że zasięg i jakość naszego nadawania był taki, jakiego on w ogóle się nie spodziewał. Byłem pewien, że tak musiało być, bo nasz sprzęt gwarantował słyszalność w promieniu o wiele większym od możliwego do uzyskania nadajnikami używanymi przez Romaszewskich. Do tego naszego że tak powiem „gospodarza” jakoś to dotarło, najwyraźniej głupio mu się zrobiło i być może zamierzał jakoś zmienić ten klimat, którym nas przywitał. Nie zwracaliśmy jednak na to uwagi, uwijaliśmy się, żeby się wyrobić w tym czasie, który nam na początku wyznaczył. Nie byliśmy więc u niego ani minuty dłużej, niż sobie tego życzył. Pospieszenie spakowaliśmy się i wychodząc chyba nawet sobie nie powiedzieliśmy „do widzenia”.

Chyba nie było bezpiecznie tak wyjść na ulicę z nadajnikami w torbach, zaraz po emisji?

Cholernie niebezpiecznie. Uznaliśmy za konieczne oddalenie się z tego miejsca jak najszybciej i jak najdalej. Jadąc taksówką mijaliśmy się z całym mnóstwem jadących w przeciwnym kierunku pojazdów wszystkich możliwych

służb. Zakładałem jednak, że nikt z tych, którzy nas ścigali, nie wpadnie na to, że poszukiwani przez nich radiowcy będą uciekali z miejsca, z którego nadawali audycję. W opuszczanym przez nas blokowisku mieszkań, mogących być źródłem sygnału radiowego, były setki. W tak krótkim czasie dokładniej ustalić jego źródła nie daliby rady. Najbezpieczniej byłoby więc nam zostać na miejscu, bo radiopelengatorów, esbeków, milicjantów, z którymi się mijaliśmy, czekało poszukiwanie igły w stogu siana. No ale skończyło się dobrze a atmosfera, towarzysząca kolejnym warszawskim emisjom, była już o wiele bardziej sympatyczna. Nie zabrakło jednak sytuacji, które znów nas zaskoczyły. Tak było następnego dnia w Ursusie. Znów jesteśmy na dziesiątym piętrze jednego z bloków, włączamy nadajnik i niemal natychmiast słyszymy krzyk dobiegający z korytarza: „Ludzie!! Radio Solidarność nadaje!!” I zaraz po tym krzyki na podwórku. Ktoś chyba usłyszał z radia samochodowego, bo wyskoczył i się drze. Tak, jak inni przez okna: „Solidarność nadaje!” Na co z innych okien. Pełnym głosem, pytają: „Na jakiej częstotliwości!” No to ktoś wykrzykuje te liczby, powtarza je parę razy i na koniec jeszcze dodaje: „Doskonale słychać!” Krzyków takich słyszymy ze wszystkich stron coraz więcej, no a my z tym nadajnikiem w samym środku. Z jednej strony fajnie, ale z drugiej ciary po plecach idą. Z ulgą doczekałem końca audycji, zaraz po której słyszymy huragan braw. Ludzie klaszczą w mieszkaniach, na korytarzach i chyba we wszystkich oknach. No to nasz gospodarz, żeby się nie wyróżniać, też okno otwiera i przez nie klaszcze. Plecami do nas komuś klaszcze. Jeśli tym razem musielibyśmy z tego miejsca uciekać z tymi nadajnikami to na pewno byłoby gorzej. Bo tam odezwała się wtedy taka masa rozentuzjasmowanych słuchaczy, że dwóch facetów pomykających z dużymi bagażami chyba od razu odpowiednio by skojarzyli i na jakąś wódeczkę zaciągnęli. No ale tym razem nie musieliśmy wychodzić. Poszukiwacze nadajników do rana biegali po wszystkich okolicznych dachach i strychach, ale tych mieszkań, które musieliby przetrząsać, w grę wchodziło chyba zbyt wiele. W każdym razie do tego naszego nie weszli.

Nie był nazbyt brawurowy ten warszawski wyjazd?

Wariacko brawurowy. Słabo przygotowany i mógł się źle skończyć, ale mieliśmy więcej szczęścia, niż rozumu. Sporo potem o nim myślałem, wyciągałem wnioski. Robiłem później jeszcze mnóstwo podobnych akcji, ale jednak bardziej zaplanowane. Kiedyś, z radiostacją w plecaku, przez całą noc wchodziłem na szczyt Gubałówki. Miejscami ciemno było tak, że jak zgubiłem but to nie byłem w stanie go znaleźć. I dalej szedłem w jednym. Nad ranę nada-

tem audycję, której sygnał w całej okolicy zagłuszył ten emitowany przez Polskie Radio. To jednak nie był ani Wrocław ani Warszawa, tam pojawienie się naszego radia dla wszystkich było wtedy takim zaskoczeniem, że dość spokojnie schodziłem szlakiem na dół. Podobny efekt zaskoczenia wykorzystywaliśmy w wielu miejscach Polski i robili to też kolejni nasi ludzie. Upatrywaliśmy sobie jakąś górkę i obliczaliśmy, że kilka wiosek z niej nas usłyszy. Docieraliśmy do różnych miast i miasteczek. Także do tych, gdzie nie mieliśmy żadnego kontaktu. W Opolu mogliśmy z jakiegoś skorzystać, ale z Krzyśkiem Witczakiem uznaliśmy, że dobry będzie dach pewnego wysokiego budynku. No i tam wtedy z tego dachu prawie spadłem. Tak nie na żarty, trzydzieści metrów nad ziemią zawisłem trzymając się rynny. Na szczęście mnie utrzymała do chwili, w której z pomocą Krzyśka z powrotem na ten dach się wgramoliłem.

Czyli znów – akcje pomysłowe, ale i brawurowe.

Solidarność Walcząca jak magnes przyciągała pomysłowych ludzi. Przypomnijmy choćby ten radiowy patent Jasia Białostockiego, działającego w Trójmieście. On miał taki samochód marki zastawa. W bagażniku umieścił silne akumulatory, nadajnik a za antenę służył mu bagażnik dachowy. Mimo dużej mocy nadajnika ta antena była na małej wysokości, więc zasięg był mały. Wchodziło to radio na audycje radiowej Trójki w promieniu może stu metrów, jak był na jakimś wzniesieniu to może większym. Ale on tym autkiem jechał sobie przez całe Trójmiasto przez całą drogę nadając krótką, parominutową audycję, powtarzającą się setki razy, jak w pętli. Ludzie w swoich radioodbiornikach słyszeli ją może przez minutę, kiedy samochód Jasia stawał na skrzyżowaniach, na światłach, to odpowiednio dłużej. A przemieszczające się źródło sygnału było wręcz niemożliwe do namierzenia, więc wprowadzie krótko, ale to jego radio było słyszane w tysiącach domów. Esbecja wraz ze służbami radiopelengacyjnymi musiała dostawać cholery nie mniejszej, jakiej dostawała u nas.

Ale po twoich wyczynach z 1982 roku SB przecież się od ciebie nie odczepiła. Musiałeś ją mieć na karku.

I oczywiście miałem cały czas. Przyłazili, dom i warsztat, a w zasadzie było to jedno i to samo, przetrząsali. Ja im mówiłem, że nic nie znajdą, bo niczym się nie zajmuję. Na moje elektrotechniczne kłamoty sto razy patrzyli. Były wśród nich części od nadajników, ale oni nie potrafili ich odróżnić od tego, co było częściami radioodbiorników czy telewizorów, więc nigdy się

tego nie czepiali. Deptali mi po piętach, ale nigdy nie doszli do tego, co w podziemiu robiłem. Najbardziej uciążliwe były bardzo częste zatrzymania na 48 godzin. I to takie najbardziej złośliwe, służące wyłącznie „umilaniu życia”. Najczęściej zamykali mnie w piątek po południu i tylko po to, by w niedzielę po południu mnie wypuścić. I tylko po to, żeby mi zabrać weekend, bo w tym czasie większość ich nie pracowała, więc nawet nikt mnie wtedy nie przesłuchiwał, niczego ode mnie nie chciał. Bywało też, że ledwie mnie wypuścili – zatrzymywali ponownie. Teoretycznie mieli do tego prawo – zamykać człowieka bez podania przyczyny na dwie doby a po wypuszczeniu choćby na kwadrans zamknąć kolejny raz. Kilkadzieśnięt razy spędziłem w areszcie 48 godzin i nigdy nie dali mi żadnego na to papieru. Mówili, że w tygodniu to dają, żeby mieć podkładkę za nieobecność w pracy. A za weekendy nie. Nie miałem więc nawet żonie co pokazać i mogła wierzyć w to moje uwięzienie lub nie.

Czyli oprócz internowania, aresztowania, zatrzymań, karnego powołania do wojska zaznałeś też esbeckich represji, polegających na rozwalaniu ci rodziny.

Myślę, że się nie mylisz. I nie powiem, że to po mnie spływało. Oczywiście bardzo się starałem nie dać się im złapać, ale nie było to proste.

Pomimo tego na coraz większą skalę zacząłeś zajmować się podziemnym radiem.

Tak. I stało się ono moją pasją. Doskonaliłem nadajniki, montowałem ich coraz więcej. Wpadłem na pomysł nadawania równocześnie z kilku punktów, co zarazem powiększałoby zasięg i utrudniało pelengację. Doszedłem do wniosku, że jeśli nasze audycje będą miały kilka źródeł sygnału a do tego nie będą zbyt długie to będziemy praktycznie niemożliwi do namierzenia.

Wymagało to zaangażowania wielu ludzi...

Toteż było ich coraz więcej. I wiesz co – wymyśliłem idealny sposób na to, by wszyscy ci ludzie byli dyskretni w stopniu absolutnie maksymalnym. Taki, żeby nikt o swojej działalności nie powiedział ani słowa.

Jaki to był sposób?

Każdy z moich ludzi miał nadajnik w swoim własnym mieszkaniu i ze swojego mieszkania nadawał. Co było najlepszym sposobem, bo to eliminowało wszelkie ryzyka, związane z przemieszczaniem się, z chodzeniem po mieście z takim sprzętem. A jak ktoś miał coś tak trefnego w swoim własnym domu

to w trosce o własne bezpieczeństwo absolutnie nikomu nie mówił o tym ani słowa. Oczywiście szukałem wyłącznie ludzi mieszkających na wysokich kondygnacjach. Na siódmym – ósmym piętrze przynajmniej. A najchętniej na szesnastym, ale nie było wtedy we Wrocławiu za wiele bloków o takiej wysokości. Regulowaliśmy zegarki, żeby nadajniki włączyć o porze tej samej, co do sekundy. Najpierw startowały równocześnie dwa, potem trzy, cztery...

I nie było nigdy kłopotu z twoimi nadawcami?

Jeden problem się pojawił. Miałem takiego radiowca, młodego chłopaka, w bloku przy ul. Wieczorka, dziś to jest ulica Stefana kardynała Wyszyńskiego. To było o tyle ciekawe miejsce, że na dachu bloku, z którego on nadawał, stał maszt ustawiony właśnie w celu namierzania naszych radiostacji. A jedno ze źródeł sygnału znajdowało się pod tym masztem. Dlatego na tym miejscu nadawania szczególnie mi zależało. Bo wiedziałem, że to w efekcie to urządzenie będzie całkowicie wariować, że będą mieli z tą radiopelengacją wyjątkowo duży problem. No ale problem miałem też ja, bo radiostację u tego chłopaka, chyba wtedy maturzysty, odkrył jego ojciec i bardzo się tego przestraszył. To był porządny człowiek, no ale bał się przede wszystkim o swojego syna. Zrozumiała rzecz, konsekwencje mogły być poważne. Skończyło się to tak, że miałem z tym człowiekiem długą rozmowę, w czasie której rozrysowałem mu cały schemat takiego nadawania. W efekcie zgodził się on z tym, że miejsce pod masztem radiopelengacyjnym jest wyjątkowo bezpieczne. Dodatkowo przekonało go to, że każdy mający w domu takie urządzenie nigdy nie zaryzykuje żadnej innej formy działalności. Czyli nie zapłaci się w żaden kolportaż czy żadne drukowanie i nawet demonstracji będzie unikał, bo nie będzie chciał ryzykować, że mu безпека przyjdzie do domu, w którym ma radiostację. I to ostatecznie przekonało ojca tego mojego młodego radiowca, który nadawał aż do samego końca lat osiemdziesiątych.

No właśnie. W pewnym momencie na kilku wysokich budynkach Wrocławia wyrosły te maszty pelengacyjne a na najwyższym wieżowcu, czyli Poltegorze, stanął taki ogromny, obrotowy, który zawsze zaczynał się obracać, kiedy tylko w eterze pojawiało się Radio Solidarność Walcząca.

Włączał się wtedy automatycznie. Po jakimś czasie większość wrocławian wiedziała, że jeśli na Poltegorze te słynne „widełki” się kręcą to znaczy, że trzeba włączyć radio, bo leci nasza audycja. A ja wiedziałem, że nic im to nie da, bo nadawaliśmy z kilku miejsc równocześnie. Nie byli więc w stanie usta-

lić źródła sygnału. Przestraszyłem się dopiero wtedy, kiedy któregoś dnia zobaczyłem, że w czasie naszego nadawania lata nad Wrocławiem śmigłowiec i to chyba wyposażony w duże anteny. Tak, przy użyciu pelengacji umieszczonych kilkaset metrów nad miastem namierzanie naszych nadajników stawało się możliwe. W związku z tym zagrożeniem wprowadziliśmy taką nowinkę, że przed każdym nadawaniem wszyscy musieli sprawdzić, czy coś nad Wrocławiem nie lata. Jeśli pojawił się helikopter – automatycznie opóźnialiśmy emisję o jedną godzinę.

Ilu miałeś tych radiowców z nadajnikami?

W pewnym momencie było ich ponad dwudziestu. Nigdy jednak nie nadawali wszyscy równocześnie. Liczba ta pozwalała zmieniać konfigurację nadawania. Np. rano nadawało trzech a po południu pięciu całkowicie innych, czyli źródła sygnału diametralnie się zmieniały.

Wyobrażam sobie wściekłość tych, którzy próbowali coś ustalić w zakresie tego, skąd nadajecie. Ale ty chyba też miałeś kłopot z koordynowaniem działań całej tej siatki ludzi?

Wymyśliłem dość prosty system, biorący pod uwagę to, kiedy ci ludzie mogą mieć czas, żeby po prostu być w domu i umożliwiający planowanie emisji na parę tygodni do przodu. Miałem np. wśród tych ludzi emerytów, którzy byli do dyspozycji praktycznie o każdej porze. I miałem studentów, mogących nadawać wcześniej rano i późnym wieczorem. Wybieraliśmy pory nadawania, w których w Trzecim Programie Polskiego Radia leciały te audycje, które miały najwięcej słuchaczy. Bo działaliśmy z zaskoczenia – zagłuszaliśmy sygnał Polskiego Radia i na tych kilka minut wchodziliśmy ze swoim. Najczęściej można nas było usłyszeć w czasie „Powtórki z Rozrywki”, „Listy przebojów”, programów muzycznych Kaczkowskiego czy satyrycznych Zembatego. I te ekipy, których w pewnym momencie było już cztery, w eterze pojawiały się na przemian. Jeśli więc nawet radipelengatorzy dochodziliby czasem do jakichś wniosków co do rejonów, z których się nadaje, to następna emisja musiała zburzyć ich ustalenia.

Skąd brałeś tych wszystkich ludzi?

Kontaktami osobistymi, czy organizacyjnymi starałem się ustalić, kto z bliższych czy dalszych znajomych mieszka na wyższych kondygnacjach. Jeśli był to ktoś godny zaufania to po prostu proponowałem takie zaangażowanie.

Oczywiście nie waliłem od razu prosto z mostu mówiąc, o co mi chodzi. To było takie sondowanie, które jeśli moim zdaniem rokowało pomyślnie to kończyło się złożeniem propozycji. I nikt, komu taką aktywność proponowałem, wejścia w to mi nie odmówił. Jednym z pierwszych, którzy weszli do tej siatki, był sąsiad z mojego bloku, student Tomek Wawrzyniak.

Tomek Wawrzyniak? Przecież ja go świetnie znam! No tak, przecież ty mieszkałeś wtedy w tym ośmiopiętrowcu przy Dobrej! W tym samym, co Tomek. A ja w tym czasie (a w sumie przez lat dwadzieścia) po drugiej stronie ulicy. Ja z Tomkiem przez osiem lat chodziłem do jednak klasy. A potem, przez prawie całe lata osiemdziesiąte, często się z nim spotykałem, bo mieszkaliśmy blisko siebie. Nigdy bym nie wpadł na to, że on mógł być radiowcem Solidarności Walczącej!

I tak to miało działać. I musiało, bo jak masz w domu radiostację to wiesz, co za to grozi. I domyślasz się, jak przebiegać będzie śledztwo, kiedy coś takiego u ciebie znajdą. Do jakich metod sięgną, żeby wydobyć zeznania. Wszyscy moi radiowcy trzymali buzie na kłódkę. Tomek był jednym ze struktury studentów. Bo ja tych ludzi podzieliłem tak jakby według profesji, gdyż z tego wynikało, kiedy są w domu. Miałem kilku emerytów i z nimi było najłatwiej, bo oni w domu mogli być o każdej porze. Emeryci więc nadawali w tych godzinach, kiedy inni byli w pracy czy na uczelni. Często nadawaliśmy między trzynastą a czternastą, bo mnóstwo ludzi czy to w domach czy w pracy czy w samochodach wtedy przestawiało odbiorniki na program trzeci, bo „Powtórka z Rozrywki” była naprawdę masowo słuchana. Prawie zawsze nadawali ją moi emeryci. A te wejścia w eter o najwcześniejszej porze czy najpóźniejszej to zwykle było dzieło grupy studentów i grupy pracowników.

Monitorowałeś zasięg twoich nadajników? Miałem wtedy wrażenie, że np. we wrocławskiej Leśnicy Radio Solidarność Walcząca słychać było rzadziej a dość często choćby na Kiełczowie, czyli już poza Wrocławiem. I były też miejsca, w których Radio SW było niemal codziennością. Byłem kiedyś u takich ludzi mieszkających przy Placu Św. Mikołaja. Kilka osób krząta się po domu, włączona jest radiowa Trójka i nagle ona się wycisza, pojawia się ten znany sygnał i słowa: „Mówi Radio Solidarność Walcząca, przepraszamy za wejście w pasmo Polskiego Radia...” Jakość dźwięku tej włączającej się rozgłośni była idealna. Ani odrobinę nie gorsza od Trójki i ani odrobinę te głosy, które się włączyły, nie były cichsze. Normalnie klasa Hi – Fi i tyl-

ko stereofonii chyba brakowało. Zaskoczyło mnie to, że w tym domu nikt na to nie zareagował, każdy się zajmował tym samym. Wydawało mi się, że dzieje się jednak coś raczej niecodziennego a tu nikt w najmniejszy sposób na to nie reaguje. Na moje pytające spojrzenie kolega odpowiedział takim jakby znudzonym głosem: „Radio Solidarność Walcząca... Czwarty raz dziś nadają...”

No tak, w dzielnicach położonych bliżej centrum miasta można nas było słyszeć czasem po kilka razy dziennie. Do słuchaczy w tych rejonach dochodził sygnał z większości zespołów nadajnikowych. Bywały okolice, w których było z tym gorzej i były też rejony nawet dość dalekie od administracyjnych granic Wrocławia, gdzie można było nas słyszeć, bo w pobliżu tych granic były bloki z jakimiś naszymi nadajnikami.

A skąd ten taki zarazem grzeczny sposób przekazu, z tym przeproszaniem za wejście na słuchany program? I zarazem taka dynamika tych audycji?

To chyba zasługa rad Kazimierza Brauna. Umówiono mnie z nim, że bym skonsultował nasze audycje. Był wtedy jeszcze dyrektorem Teatru Współczesnego i tam, w jego gabinecie się spotkaliśmy. Posłuchał kilku naszych audycji i powiedział, że fajnie, ale że najważniejszym, co powinniśmy przekazywać, jest po prostu częste podkreślanie, że mówi właśnie Radio Solidarność Walcząca. Mówił, że ten komunikat powinien się pojawiać nie rzadziej, niż raz na dwie minuty a najlepiej jeszcze częściej. I miał rację, bo szybko osiągnęliśmy taką jakość techniczną emisji, że mogło się dziać tak, jak mówisz, że ludzie mogliby nawet nie zauważać, że teraz nie mówi już Polskie Radio, ale całkiem inne radio. I że trzeba zwrócić na to uwagę, bo pojawiają się teraz całkowicie inne treści.

Twoje Radio udostępniało także swoją infrastrukturę Niezależnemu Zrzeszeniu Studentów czy Międzyszkolnemu Komitetowi Oporu.

Tak, z MKO to się niestety dość szybko urwało. Ledwie zaczęliśmy a ich dotknęły aresztowania, w czasie których SB zarekwirowała jeden nadajnik.

Opowiadałeś kiedyś, że twoja działalność radiowa czasem niespodziewanie pojawiała się w miejscach, których raczej powinna omijać...

Jedną z żelaznych zasad konspirowania jest minimalizowanie informacji na temat tego, co się robi, co się przygotowuje. Bardzo często więc jedni członkowie tej samej organizacji nie wiedzą nic o tym, co robią inni. Czasem rodzi

to zaskakujące, bywa że nieco niebezpieczne sytuacje. Mi zdarzyła się kiedyś taka na tym wcześniejszym etapie radiowej działalności, kiedy dopiero zaczęliśmy nadawać równocześnie z kilku radiostacji. Wtedy nadawałem krótką audycję z dziesiątego piętra bloku przy ulicy Ślicznej. To było wtedy takie nieco eksperymentalne nadawanie. Nie pamiętam już teraz, ile minut trwało, ale chcieliśmy przy tej okazji sprawdzić, jak szybko zadziała esbecja i wszystkie służby. Wtedy jeszcze nie było dziesięciopiętrowych bloków na południe od Ślicznej. Na osiedlu Gaj stały dopiero w rejonie ulicy Krynickiej, no i oczywiście były przy Borowskiej, na Hubach. Można się więc było spodziewać, że skutkiem radiopelengacji służby będą miały do wyboru kilkanaście bloków a nie kilkadziesiąt. Z tym, że oczywiście te w rejonie Ślicznej są takim całym ciągiem wysokich budynków, z dziesiątkami bram. Oczywiście mieliśmy nasłuch i śledziliśmy działania bezpieki z kilku miejsc. Pojawiła się szybciej, niż się tego spodziewaliśmy i w ilości też większej, niż przewidywaliśmy. Długo i dokładnie przeszukiwali wszystkie strychy, wleźli na wszystkie dachy, weszli też do wielu mieszkań. Zajęło im to dużo czasu i było dla nas sporym źródłem wiedzy na temat tego, jak działają i czego powinniśmy się spodziewać. Parę dni później dowiedziałem się, że w sąsiednim bloku ukrywał się wtedy Kornel. Słuchał mojej audycji a potem skaner dał mu możliwość przysłuchiwania się wielogodzinnej operacji SB dookoła jego mieszkania – kryjówki. Znaleźć go przy tej okazji raczej nie powinni, bo z oczywistych powodów skupili się na najwyższych kondygnacjach a Kornel był w mieszkaniu na drugim piętrze. No ale oczywiście gdybym wiedział, że on się gdzieś tam ukrywa, to wtedy tam z radiostacją bym nie laźł.

A propost tego sprawdzania, jak reaguje bezpieka, to ktoś mi opowiadał o pewnym być może niezbyt rozsądnym teście, jaki przeprowadził. Ktoś wpadł na wariacki pomysł, żeby zatelefonować z budki telefonicznej z informacją, że Kornel Morawiecki ukrywa się w bloku, który ten ktoś widział od siebie przez okno. Podał numer bramy i nieistniejący numer mieszkania. Nie zdążył z tej położonej tuż obok budki wrócić do domu a oni już byli. W ciągu paru minut przyleciało co najmniej kilka samochodów.

No to wariacki, nieodpowiedzialny ktoś miał pomysł. Mógł kogoś narażać. Nigdy nie wiadomo, czy by nie wpadli do jakichś mieszkań, w których ktoś wykonywał jakąś konspiracyjną robotę. Słyszałem o podobnych, zbędnych wygłupach. Dla nas przez wszystkie tamte lata było jasne, że oni nie zlekceważą żadnego sygnału. Czy to będzie kawał telefoniczny czy inny domysł

– wiedzieliśmy, że oni wszystko potraktują z powagą. A na miejscu będą bardzo szybko. Pierwsi ci z patroli, które cały czas przecież krążyły po mieście. No i z lokali operacyjnych, rozsianych po wszystkich osiedlach. Wystarczyły im minuty. Tak to było u nich skonstruowane. Ja byłem tylko ciekaw, na ile to jest skoordynowane z radiopelengacją. Było dość niezłe.

Pomimo tego aż do końca lat osiemdziesiątych twoja sieć radiostacji nie miała żadnej rzeczywistej wpadki. Wszystkie sprowadzały się do przejęcia niewielkiej ilości sprzętu w czasie największej wyspy Solidarności Walczącej, czyli wiosną 1984 i jednego nadajnika w domu „Długiego”, na początku współpracy z Międzyszkolnym Komitetem Oporu.

Ten nadajnik, który esbecja wyniosła od Roberta Prusa był nawet niekompletny. W czasie śledztwa nie wyciągnęli od niego nic, więc po jego aresztowaniu nie było żadnych kolejnych represji w kręgu naszych ludzi. Byłem wtedy zresztą o to całkowicie spokojny. Nie tylko rodzaj kontaktu, jaki utrzymywaliśmy, uniemożliwiało bezpieczeństwo złapanie jakiegoś tropu a nawet, jeśli Robert by przypadkiem wiedział za dużo to on reprezentuje taki typ psychofizyczny wyjątkowo odporny na wszelkiego rodzaju techniki przesłuchań. No chyba, żeby zastosowali taki pełnowymiarowy konwejer z czasów stalinowskich. Nawet wtedy jednak nie zdobyliby wiadomości mogących poważniej nam zaszkodzić. Jeśli natomiast chodzi o to, kiedy zakończyliśmy działalność, to ostatnią audycję nadałem dopiero na początku roku 1990.

Co zrobiliście ze sprzętem?

W większości pozostał w tych samych miejscach. Część w starych kryjówkach. Nie wykluczaliśmy, że może jeszcze okazać się potrzebny. Wraz z zamknięciem działalności Radia Solidarność Walcząca zacząłem się starać o uruchomienie małej legalnie już działającej rozgłośni, która mogłaby być jej kontynuacją. Miałem na to swój pomysł. Marzyło mi się zainstalowanie na najwyższym piętrze bankowego gmachu na wrocławskim Rynku. Antena stałaby na dachu. Oczywiście jeśli to okazałoby się niemożliwe to mogło być inne miejsce. We Wrocławiu ich nie brakuje. Byłem w stanie całe wyposażenie techniczne zbudować we własnym zakresie. Przypuszczałem, że jeśli koncesję dostała nawet prywatna telewizja „Echo” to tym bardziej zostanie ją mała radiostacja. Moje starania w tej sprawie zajęły mi całe lata. Ostatecznie wtedy zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia ze zwodzeniem mnie, ze złą wolą. Dowiadywałem się przy tej okazji, kto koncesje dostawał. Był to tylko jeden z bezliku

dowodów na to, że ta cała ustrojowa przemiana stworzyła porządek równych i równiejszych. Dostawali częstotliwości i prawo nadawania ludzie wywodzący się wprost ze służb, które nas prześladowały. A dla takich, jak my – okazało się, że nie ma mowy. W poprzednich latach radio stało się jednak moją pasją, ważną częścią mojego życia. Bardzo chciałem zajmować się tym dalej. Uniemożliwienie mi tego było dla mnie bardzo bolesne.

Tęskniłeś do czasów podziemnego radia?

A wiesz, że tak? Może absurd, bo to jak tęsknota do czasów niewoli. No ale czy my tak naprawdę i w pełni odzyskaliśmy wolność po tym 1989 roku?

UZUPEŁNIENIE W SPRAWIE ARESZTOWAŃ WSPÓŁPRACOWNIKÓW RADIA SOLIDARNOŚĆ Z MIĘDZYSZKOLNEGO KOMITETU OPORU

Dwa lata po powyższej rozmowie w Instytucie Pamięci Narodowej odnalezione zostały dokumenty współpracy działacza młodzieżowej opozycji, pracującego dla SB jako TW Truskawka. Wynika z nich, że miał od dość dużą orientację w planach działalności, podejmowanej przez Międzyszkolny Komitet Oporu a Służba Bezpieczeństwa na podstawie bardzo licznych raportów swoich TW przede wszystkim gromadziła informacje, ale wstrzymywała się z podejmowaniem większych operacji represyjnych. Zdecydowała się na taką właśnie latem 1986 roku, gdy dzięki bazie technicznej Solidarności Walczącej MKO zaczął nadawać własne audycje radiowe i kiedy pojawił się projekt budowy sieci młodzieżowych radiostacji analogicznej do sieci Radia Solidarność Walcząca. Wtedy to Służba Bezpieczeństwa zdecydowała się na aresztowania, gdyż aktywność podziemia na falach radiowych reżim uważał za ekstremalnie dla niego niebezpieczne. Dążąc do chronienia własnej agentury SB dążyła przy tym do stworzenia wrażenia, że rewizje w mieszkaniach działaczy były wynikiem przypadkowej wpadki kilku członków organizacji, schwytanych w czasie malowania napisów na murach. Po ich ujęciu przeprowadzono rewizje z mieszkaniach, co rzekomo miało stać się przyczyną kolejnych zatrzymań. Wśród dwudziestu młodzieżowych działaczy, do których funkcjonariusze SB przyszli celem przeszukania, był Robert Prus (pseudonim „Długi”), u którego znaleziono nadajnik radiowy. W areszcie śledczym był on przetrzymywany do jesieni 1986, kiedy gen. Czesław Kiszczak ogłosił ostatnią w tamtych latach amnestię. Wydarzenia te zahamowały rozwój radiofonii konspiracji młodzieżowej.



ROMUALD LAZAROWICZ 1953 – 2019

Romuald Lazarowicz urodził się we Wrocławiu w 1953 roku, w dwa lata po wykonaniu wyroku śmierci na jego dziadku, majorze Adamie Lazarowiczu pseudonim „Klamra”, zastępcy komendanta IV Komendy WiN. Wychowywał się w domu Zbigniewa Lazarowicza, żołnierza AK i działacza WiN, do późnych lat sześćdziesiątych z powodu młodzieńczego zaangażowania w walkę o wolną Polskę nękanego przez UB a następnie SB.

W ślady swego ojca, dziadka i dawniejszych przodków, zaangażowanych w polskie dążenia niepodległościowe, Romek poszedł w latach siedemdziesiątych, zaraz po studiach na Uniwersytecie Wrocławskim. Pomagał działaczom Studenckiego Komitetu Solidarności, Komitetu Samoobrony Społecznej i angażującym się w inne ogniwa rodzącej się opozycji. Tą drogą, pod koniec lat siedemdziesiątych, trafił do kręgu Kornela Morawieckiego i redakcji „Biuletynu Dolnośląskiego” – największego w południowo – zachodniej Polsce periodyku, ukazującego się poza zasięgiem cenzury. Jego pomysłem był dział, zatytułowany „Biuletynek”, wypełniany materiałami prześmiewczymi, często znakomitą polityczną satyrę, której autorem był właśnie Romek. Początek roku 1980 Romek w dużej mierze poświęcił organizowaniu bojkotu PRL-owskiej farsy wyborczej. Był autorem, w sporej mierze humorystycznych, artykułów wykazujących absurd uczestnictwa w fikcji głosowania na kandydatów, wskazanych przez komunistyczny reżim.

Na wieść o wybuchu strajków na Wybrzeżu wraz ze swoją żoną Heleną dotarł do Gdyni. Ze Stoczni im. Komuny Paryskiej zdołali wynieść pełne torby i plecaki gazetek, informujących o celach protestu. Wracając pociągiem do Wrocławia rozdawali je na peronach każdej stacji. Pomimo wiążącego

się z tym ryzyka udało im się szczęśliwie wrócić do rodzinnego miasta, w którym swą dalszą działalnością przyczynili się do rozpoczęcia solidarnościowego strajku wrocławskiej komunikacji i przemysłu, po zatrzymaniu których fala sierpniowego dążenia do wolności ogarnęła cały Dolny Śląsk.

Szesnaście miesięcy legalnej aktywności NSZZ Solidarność małżeństwu Lazarowiczów upłynęła głównie na wspieraniu niezależnego ruchu wydawniczego. Jednak, jak większość osób z kręgu „Biuletynu Dolnośląskiego” działalność ta prowadzona była dyskretnie. Środowisko to nigdy nie lekceważyło ryzyka nagłego ataku ze strony komunistycznego reżimu, po którym znów potrzebni mogli być ludzie przygotowani do walki w warunkach konspiracji. Wydarzenia potoczyły się zgodnie z tymi przewidywaniami. 13 grudnia 1981 Helena i Romuald Lazarowiczowie znaleźli się wśród osób, wraz z którymi Kornel Morawiecki powoływał do życia podziemną strukturę wydawniczo-kolportażową Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność Dolny Śląsk. Romuald Lazarowicz został wówczas przez Kornela Morawieckiego mianowany redaktorem naczelnym pisma „Z Dnia na Dzień”. Jak się okazało – było to pierwsze w stanie wojennym regularnie się ukazujące podziemne pismo stanu wojennego. Pierwszy numer kolportowany był już w nocy z 13 na 14 grudnia. Do wiosny 1982 roku pismo to, w nakładzie licznym w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, wydawane było trzy razy w tygodniu i docierało do wszystkich miast i miasteczek Dolnego Śląska a także daleko poza jego granice. Matryce pierwszych numerów przygotowywane były przez Helenę Lazarowicz i Joannę Moszczak.

W grudniu 1981 internowano ojca i brata Romualda Lazarowicza. Błąd Służby Bezpieczeństwa polegał na niewłaściwej ocenie zaangażowania innych członków tej rodziny. SB poprzestała na krótkotrwałych zatrzymaniach i przesłuchaniach Heleny i Romualda. Tymczasem to ich konspiracyjna aktywność miała skalę największą. W styczniu 1982 Romek brał udział w przygotowaniach do uruchomienia solidarnościowej radiofonii. Analizowane były m.in. możliwości wykorzystania sieci trakcyjnej wrocławskich tramwajów jako wielkiej anteny nadawczej.

Na przełomie maja i czerwca 1982, na tle różnic w opiniach na temat metod prowadzenia działalności, doszło do utworzenia organizacji Solidarność Walcząca. Nie oznaczało to przerwania współpracy z zepchniętym do podziemia związkami. Jak wielu ludzi z organizacji Kornela Morawieckiego Lazarowicz nadal wspierał działalność NSZZ Solidarność. Kierowanie redakcją „Z Dnia

na Dzień” oddane zostało jednak nowemu zespołowi. Romuald – pisał i drukował nadal głównie dla „Biuletynu Dolnośląskiego” i innych pism nowej konspiracyjnej struktury. Mocno zaangażował się też w uruchomienie Radia Solidarność Walcząca, które latem 1982 zaczęło nadawać swoje audycje. Jego programy zwykle były krótkie, najczęściej pojawiały się w eterze w sposób niespodziewany, zagłuszając sygnał popularnych audycji Programu Trzeciego Polskiego Radia.

Właśnie z Radiem Solidarność Walcząca wiąże się jedna z najbardziej niezwykłych akcji, przeprowadzonych przez Romualda Lazarowicza. 31 sierpnia 1982 doszło we Wrocławiu do największych wystąpień ulicznych w Polsce lat osiemdziesiątych. Ogromna część miasta stała się wtedy areną demonstracji i starć z ZOMO. W dniu tym Romuald Lazarowicz kierował wyposażoną w silny nadajnik redakcją, emitującą serwisy informujące o wydarzeniach, rozgrywających się w różnych rejonach miasta. Zespół radiowców składał się z kilkunastu osób. W kilku dzielnicach Wrocławia informacje o toczących się wydarzeniach zbierali obserwatorzy, wyposażeni w krótkofalówki. Syntetycznymi komunikatami przesyłali je do lokalu w ścisłym centrum miasta, w którym porządkował je Paweł Falicki. Następnie, drogą radiową, przysyłał je do stacji nadawczej, ulokowanej na najwyższym piętrze wieżowca, stojącego w pobliżu dworca Wrocław Główny. Przy nadajniku, oprócz Romualda Lazarowicza, pracowały Helena Lazarowicz i pierwsza spikerka tej konspiracyjnej rozgłośni – Krystyna Jagoszewska. Nadawane z tego miejsca serwisy informacyjne były słyszalne na ogromnych połaciach miasta. W pracy radiowców nie brakowało momentów pełnych napięcia. Nad dachem wieżowca parokrotnie zatrzymywał się jeden z krążących nad Wrocławiem helikopterów, co mogło oznaczać jego zaangażowanie w akcji radiopelengacyjnej. Radiowcy przerwali wówczas łączność radiową z Pawłem Falickim, do którego, po nowym pakiecie informacji, Helena Lazarowicz udała się pieszo, przedzierając się przez ulice obstawione zmasowanymi oddziałami wojska i milicji, lub ogarnięte rozruchami. Bezprecedensowa akcja konspiracyjnych radiowców zakończyła się jednak pełnym sukcesem.

Radiowa działalność Romualda Lazarowicza kontynuowana była w następnych latach. A towarzyszyły jej inne formy konspiracyjnej aktywności, prowadzonej w czasach największej beznadziei, w latach w których przerzedzały się szeregi opozycjonistów i zwyciężało zwątpienie w możliwość doczekania jakichkolwiek zmian. W tych latach, w których konspiratorów było coraz

mniej, Romuald Lazarowicz należał do zmuszonych do wykonywania pracy za dwóch lub za trzech. Tak, w konspiracyjnym trudzie, doczekał przełomowego roku 1989, wraz z którym nastąpił wielki wysyp ludzi uwielbiających opowiadać o swoich wielkich opozycyjnych dokonaniach. Romuald Lazarowicz należał wtedy do tych, których skazywano na zapomnienie a często – bezceremonialnie okradano z ich dorobku. Nadal był bardzo aktywny, ale inicjatywy takie, jak gazeta „Dwa Dni” czy firma wydawnicza Reverentia, z powodu szczupłości kapitału, nie miały szans ani w rywalizacji z mediami post – PRL-u ani z uprzywilejowanymi w realiach ładu „okrągłostołowego”. W roku 1995 Helena i Romuald Lazarowiczowie założyli wydawnictwo „Lena”, zajmujące się publikowaniem unikatowych książek, głównie o tematyce historycznej. Wiele lat pracy Romualda, polegającej na dokumentowaniu działalności organizacji Wolność i Niezawisłość, docenione zostało wyróżnieniem tytułem Kustosza Pamięci Narodowej. W roku 2002 Romek założył stronę internetową Solidarności Walczącej, która stała się platformą zbierającą historyczne relacje o działalności organizacji, której działaczy ciągle ubywało – zamieszczane przez Romka portrety coraz częściej przychodziło mu otaczać żałobnymi ramkami...

Jednym z najpiękniejszych dni w historii środowiska Solidarności Walczącej a zapewne i w życiu Romualda, miał miejsce w czerwcu 2007, kiedy to w warszawskim pałacu przy Krakowskim Przedmieściu prezydent Lech Kaczyński odznaczył kilkudziesięciu działaczy Solidarności Walczącej. Przypinaniu do marynarki Romka Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski towarzyszyły najbardziej wtedy owacyjne oklaski zgromadzonych tam wówczas działaczy solidarnościowego podziemia.

Życie Romka zawsze było wypełnione aktywnością, pracą, służbą. Romek ogromnie dużo pisał, redagował, setki nocy upływało mu na składaniu kolejnych czasopism i książek. Nie poddawał się chorobom, które traktował jako okoliczność naturalną dla coraz dojrzalszego wieku. Kilka miesięcy temu opublikował kolejny tom swoich opowiadań. Wszyscy też cieszyliśmy się z poprawy stanu jego zdrowia. Wzrok, rok temu poważnie zagrożony, został uratowany, co oznaczało perspektywę dalszej twórczej pracy. Kolejny pobyt w szpitalu mógł niepokoić, ale szereg wcześniejszych zwycięstw Romka nad jego zdrowotnymi słabościami, napawał wiarą, że i tym razem – będzie dobrze. Stąd poranny mail od Helenki, wysłany 2 sierpnia, informujący o śmierci Romka, był jak grom z jasnego nieba. Przekazując tę straszną wiadomość myliłem jej odbiorców, bo nie dawałem rady ciągle nowym, zacierającym widok łzom.

Wraz z odejściem Romka ubył nam nadzwyczajna, niepowtarzalna postać niestrudzonego bojownika, nadludzko wytrwałego cichego bohatera, przyjaciela zawsze gotowego do niesienia pomocy. Pozostawił nam w spadku wielki dorobek swojego życia. Należą do niego ocalone, unikatowe świadectwa walki o niepodległość, mądre dzieła literatury, godne wielkiej refleksji owoce myśli a nade wszystko – wielki, osobisty wkład w zwycięstwo polskiej wolności.

„Obywatelska”, sierpień 2019



ROMUALD LAZAROWICZ – NA ZAWSZE W NASZEJ PAMIĘCI

Bywają na tym świecie ludzie, po odejściu których z jednej strony ogarnia nas bezbrzeżny smutek wielkiej straty. A z drugiej poczucie wdzięczności, że ktoś taki był nam dany.

Romek był kolejnym z rodzinnej sztafety ludzi bez reszty oddanych Polsce. Przodkowie „po mieczu” wywodzili się z królewskiego, serbskiego rodu Lazarów, od XVII w. osiadłego w Rzeczypospolitej. Lazarowicze, świetni żołnierze doświadczeni na wojnach z Turkami, cieszyli się sławą mężnych obrońców kresowych rubieży. Kolejne pokolenia zapisały się udziałem w narodowych powstaniach. Dziadek Romka, Adam Lazarowicz, był istnym tytanem społecznej aktywności. Obok zasług w organizowaniu na biednych wiejskich terenach oświaty czy straży pożarnej największą było chyba wydobywanie dziesiątek dzieciaków z pułapki życia w realiach społecznych nizin. Dzięki jego pomocy synowie i córki analfabetów kończyli licea, rozwijali często niezwykle talenty, studiowali. Z powodu słabego zdrowia dziadkowi Romka nie pozwolono kontynuować kariery zawodowego oficera. Pomimo tego znany jest przede wszystkim jako żołnierz. Będąc siedemnastolatkiem walczył na wojnie polsko-ukraińskiej, został ranny w walce z nawałą bolszewicką. W 1939 był komendantem Dębicy i dowódcą kompanii w bitwie pod Rawą Ruską. Okupacyjną konspirację dziadek Romka zaczął już w szeregach Służby Zwycięstwu Polski, dającej początek Związkowi Walki Zbrojnej i Armii Krajowej, w której dowodził już 5. Pułkiem Strzelców Konnych. Zanim ten oddział ponad 1200 ludzi stoczy świetnie dowodzoną, największą bitwę partyzancką w Polsce południowo-wschodniej (pod Kałużówką 23-24 sierpnia 1944) zasługą Adama Lazarowicza była skuteczna obrona wielu polskich wiosek, udane akcje dywersyjne i udział w przechwyceniu z poligonu pod Blizną prototypu niemieckiej rakiety V-2. Jednym z żołnierzy dowódcy, mającego już stopień majora i znanego pod pseudoni-

mem Klamra, był w tym czasie ojciec Romka, stojący na czele jednego z plutonów Zbigniew Lazarowicz (ps. Bratek). Z rozwiązanej w styczniu 1945 przez gen. L. Okulickiego Armii Krajowej dziadek Romka niemal bezpośrednio przeszedł do organizacji Wolność i Niezawisłość. W grudniu 1946 został zastępcą prezesa IV Zarządu Głównego WiN. Po aresztowaniu przez UB „Klamrze” dano do wyboru: współpraca lub śmierć. Współpracy odmówił, proowiecy oprawcy egzekucję wykonali 1 maja 1951 roku. Kilkanaście lat temu, na łamach „Opcji na Prawo” Romek Lazarowicz odpowiadał na szereg pytań redakcyjnej ankiety, z których jedno dotyczyło największego nierealnego marzenia. Romek odpowiedział na nie: „Chciałbym osobiście poznać mojego dziadka”. Urodził się dwa lata po jego zamordowaniu. Tak, jak i jego ojciec, do końca życia nie tracił wiary w to, że będzie mu dane doczekać odnalezienia doczesnych szczątków tej osoby jakże bohaterskiej a zarazem najbliższej. Zespołowi prof. K. Szwagrzyka został przekazany materiał genetyczny, poszukiwawcze prace kolejnym osieroconym przed laty rodzinom dawały możliwość ludzkiego pochowania swych ojców. Nigdy nie zapomnę tych maili od Romka: „Znaleźli współpracowników i przyjaciół dziadka! Rozstrzelanych w chyba tej samej egzekucji! Możliwe, że i jego wkrótce odnajdą!” Jedną z moich rozdzierających serce myśli, które zakotały mi się w głowie po wiadomości o śmierci Zbigniewa Lazarowicza i niespełna dwa lata później Romka brzmiała: „Nie zdążyli znaleźć, nie doczekali, nawet to nie było im dane”.

CO NIE ZABIJE – TO USZLACHETNI

Kto nie żył w PRL-u ten nie będzie sobie w stanie nawet wyobrazić tego, jaka była skala piętnowania postaci takich, jak Adam Lazarowicz i inni, zwani dzisiaj żołnierzami niezłomnymi, lub wyklętymi. I tego, co przeżywały ich rodziny. W serialach czy książkach, w których wrogami byli żołnierze Hitlera, często pojawiał się jakiś „dobry Niemiec” (Kugel z „Czterech pancernych” czy Kurt z „Gwiazd porannych” H. Bielskiego). Natomiast czynnie nie godzący się na sowietyzację w filmach, komiksach (m.in. z serii „Relax”!), spektaklach zawsze byli uosobieniem wszystkiego, co w dziejach nieludzkich wynaturzeń najgorsze. Jeszcze 20 lat po egzekucji ojca SB potrafiło nękać przesłuchaniami jego dzieci. W latach pięćdziesiątych gehenna rodzin, przez władze z obcego nadania zaliczanych do najgorszych ze swych wrogów, polegała nie tylko na zamykaniu możliwości kształcenia czy zawodowego awansu, ale nawet odbieraniu możliwości zdobywania środków do życia. Jak w swoich wspomnieniach pisał Zbigniew Lazarowicz: „Bywało, że główny posiłek naszej rodziny musiał się

składać z zupy, ugotowanej z grzybów, które zbieraliśmy w Parku Szczytnickim”. Okazywało się jednak, że właśnie wśród tych przez PRL-owski reżim spychanych na margines postaci szlachealnych, wspaniałych, legitymujących się bohaterską przeszłością – było najwięcej. Romek dorastał więc w otoczeniu ludzi okrutnie skrzywdzonych, ale zarazem niezwykłych, wybitnych, nie pogodzonych z komunistycznym zniewoleniem, oddanych sprawie niepodległości. Dla tych zaszczuwanych, prześladowanych, skazywanych na wegetację pojęcia Bóg, Honor i Ojczyzna były największymi, niewzruszalnymi świętościami. Romek dorastał wśród takich ludzi, pochłaniając też ogromne ilości książek o polskiej historii. Prosowiecki reżim wypełniał Polskę nieustającą furią do cna zakłamanego, propagandowego przekazu. W takich realiach poznawanie prawdy za sprawą rodziny, wiary, Kościoła i ciągle zwalczanych depozytariuszy narodowej pamięci formowało niezłomne zasady, charakter i niezależność myślenia. W dekadzie gierkowskiej prześladowania środowisk weteranów walki o wolność zelżały, możliwe było nawet ukończenie studiów i znalezienie pracy (choć oczywiście żadnej, której dostąpienie wymagało jawnej lub tajnej przynależności do struktur reżimu).

KONTYNUATOR DZIEŁA SWYCH PRZODKÓW

Trudno się dziwić, że wydawnictwa, od połowy lat siedemdziesiątych ukazujące się poza zasięgiem cenzury, w pierwszej kolejności trafiały do środowisk takich, do których należał Romek. Stanowiły wyrwany spod totalitarnej kontroli obszar polskiej wolności. Pragnienie ich wspierania, rozwijania, pomnażania tej działalności – było więc czymś oczywistym. Pomocą służył Studenckiemu Komitetowi Solidarności, Klubowi Samoobrony Społecznej i innym formacjom opozycji. W tym też czasie Romek związał się z Heleną, która na zawsze stała się nie tylko jego żoną i towarzyszką na wszystkich ścieżkach życia, ale też uczestniczką każdej aktywności. Chyba też kimś nawet więcej, niż najbliższy przyjaciel, bo i ktoś zarazem te same sprawy całym sercem przeżywający, temu samemu z energią poświęcający swój czas, zdrowie i bezpieczeństwo. Oboje włączyli się w kolportaż wydawnictw drugiego obiegu a kiedy zaczął się ukazywać „Biuletyn Dolnośląski” pospieszyli ze swoją ofertą wsparcia tej inicjatywy. Kierującemu tym pismem Kornelowi Morawieckiemu Romek zaproponował wprowadzenie treści pogodnych, tchnących optymizmem. Miał świetne pióro, znakomite satyryczne zacięcie, zawsze cechowała go oryginalność w oglądzie świata i wszelkich zachodzących w nim zjawisk. Wraz z czytaniem i imponującą erudycją tworzyło to z niego autora znakomitej publicy-

styki i fantastycznych porcji humoru. Nie poprzestawał na pisanie, wraz z Heleną i innymi członkami rodziny rozwijał kolportaż, wziął się też za drukowanie.

Kiedy w sierpniu 1980 na Wybrzeżu wybuchły strajki komuniści odcięli połączenia telefoniczne, najpierw ukrywali wiadomości o wydarzeniach, potem siali dezinformację. Romek z Heleną postanowili osobiście sprawdzić, co tam się dzieje. Pod Stoczną im. Komuny Paryskiej wypełnili torby ulotkami, z zamiarem dowiezienia ich do Wrocławia. W pociągu stwierdzili jednak, że lepiej rozdać je po drodze. Gazetki rozkolportowali więc na peronach Bydgoszczy i innych miast a po dotarciu na Dolny Śląsk ich treść przekazali Kornelowi Morawieckiemu. Druk specjalnego wydania „Biuletynu” tuszył w kilku miejscach. W jednym z poprzednich numerów Romek pisał, że małą domową drukarnię każdy może uruchomić w swojej kuchni. W sierpniu 1980 dla potrzeb powielania i suszenia przeznaczył całą powierzchnię rodzinnego mieszkania. Natychmiast po podpisaniu porozumień sierpniowych włączył się w organizowanie NSZZ Solidarność. Związkowi służył głównie umiejętnościami edytorskimi i redakcyjnymi. W 1981 wraz z Kornelem Morawieckim i Wiesławem Moszczakiem zaczął wydawanie pisma plakatowego „Nasze Słowo”.

NA WYPOWIEDZIANEJ POLAKOM WOJNIE

13 grudnia 1981 uczestniczył w tworzeniu pierwszej w Polsce prężnej struktury solidarnościowego podziemia. Na jej czele stanął Kornel Morawiecki, który Romkowi powierzył funkcję redaktora naczelnego „Z Dnia na Dzień”. Helena Lazarowicz i Joanna Moszczak przygotowały matryce ze sporządzoną przez Romka zawartością pierwszego wydania, po czym Wiesław Moszczak je wydrukował. Do kolportażu weszło w nocy z 13 na 14 grudnia 1981. Pod redakcją Romka „Z Dnia na Dzień” ukazywało się co dwa dni sprawiając, że pod względem ilości wydanych numerów, nakładu jednostkowego i łącznego oraz zasięgu pismo to przeszło do historii jako największy prasowy tytuł w dziejach konspiracyjnego obiegu wydawniczego.

Wraz z wprowadzeniem stanu wojennego w konspirację zaangażowała się cała rodzina Lazarowiczów, co szybko odbiło się represjami. Internowany został ojciec i młodszy brat Romka. Błąd reżimu polegał na pozostawieniu na wolności tego, który w budowę podziemia wносił najwięcej. Już w grudniu 1981 Romek zaangażował się w prace mające na celu uruchomienie solidarnościowej radiofonii. W styczniu 1982 wziął udział w eksperymentalnym jeszcze wyemitowaniu pierwszych materiałów radiowych. Tak, jak Kornel Morawiecki uważał, że Frasyniuk, Bujak i inni liderzy Solidarności nie tylko nie

przedstawiali jakichkolwiek sensownych propozycji, ale forsowali działania nie prowadzące do nikąd czy wręcz przeciw skuteczne. Stąd z entuzjazmem przyjął ideę utworzenia organizacji, która za cel postawiła sobie obalenie komunizmu i pełną niepodległość. Znając poglądy Kornela Morawieckiego obawiał się jednak, że tworzona przez niego formacja będzie czymś w rodzaju partii solidarystycznej. Tymczasem Romkowi bliższe były idee konserwatywne a szanse przyszłej Polski widział w uruchomieniu maksimum potencjału ekonomicznego jej obywateli. Pełna wolność gospodarcza byłaby drogą do zbudowania państwa na tyle prężnego, by w swym fatalnym geopolitycznym położeniu mogło się cieszyć bezpieczeństwem i niezależnością. M.in. dzięki argumentom Romka Solidarność Walcząca uformowała się jako organizacja o szerokim profilu ideowym. Mimo, że pod jej szyldem ukazywały się zarówno periodyki liberałów, jak i np. syndykalistów to stanowiła najsilniejszy w Polsce, zwarty związek walki z sowieckim zniewoleniem.

W BEZPRECEDENSOWYCH AKTYWNOŚCIACH PODZIEMIA

Lata osiemdziesiąte były dla Romka czasem mrówczej pracy, prowadzonej w sytuacji permanentnego zagrożenia aresztowaniem. Obok druku czy pisania artykułów, publikowanych w dziesiątkach tytułów podziemnych czasopism, uczestniczył w działaniach wyjątkowych. Takich, w jakich w skali całego sowieckiego imperium od Łaby po Kamczatkę nie uczestniczyło więcej, niż kilkanaście osób.

Przed olbrzymią demonstracją, do jakiej doszło we Wrocławiu 31 sierpnia 1982, Romek uczestniczył w przygotowaniu siatki radiowej, umożliwiającej nadanie serii audycji Radia Solidarność Walcząca, informujących o bieżących wydarzeniach, toczących się w różnych częściach miasta. W tym celu w kilku dobrze wybranych punktach swoje stanowiska obserwacyjne zajęli działacze SW, wyposażeni w nadajniki radiowe. Ich krótkie komunikaty zbierane były przez usytuowanego w ścisłym centrum Pawła Falickiego. Drogą radiową, też krótkimi porcjami, wysyłał je do zespołu Romka, znajdującego się w mieszkaniu na dziesiątym piętrze bloku w pobliżu dworca głównego. Romek obsługiwał silny nadajnik z anteną, towarzyszyła mu tam żona Helena, zajmująca się odbieraniem informacji i uczestnicząca w ich redagowaniu oraz Krystyna Jagoszewska, udzielająca w audycjach swojego głosu. Seria programów, słyszalnych na dużym obszarze miasta, zaczęła się od apeli do funkcjonariuszy ZOMO, by pozwolili na pokojowy przebieg Święta Solidarności. Kolejne mówiły już o barykadach, płonących samochodach, masowych aresztowaniach

i zażartych starciach w kilku dzielnicach Wrocławia. Nad miastem krążyły śmigłowce i w pewnym momencie jeden z nich zawisł nad dachem bloku, wykorzystywanego przez zespół Romka jako wieża radiowa. Mógł być to znak skutecznie prowadzonej radiopelengacji, więc nadawaną audycję Romek natychmiast przerwał. Koniecznym okazało się wtedy skontaktowanie z przysyłającym informacje Falickim. Oczywiście metodą inną, niż radiowa. Przez kilka ogarniętych walkami ulic dotarła do niego Helena Lazarowicz. Pomimo opanowywania okolic przez siły ZOMO zdołała wrócić, przynosząc też największy z pakietów informacji o dramatycznych wydarzeniach, wstrząsających wielkimi połaciami miasta.

Dzięki licznyim członkom Solidarności Walczącej, pracującym naukowo (głównie na Politechnice Wrocławskiej) organizacja ta jako pierwsza na wielką skalę zaczęła wykorzystywać technologie informatyczne. Wyprzedzała w tym służby reżimu, dla których najnowsze komputery i programy były nowością większą, niż dla naukowców. W oparciu o ten sprzęt Solidarność Walcząca stworzyła prawdziwą agencję prasową, regularnie rozsyłającą swoje serwisy informacyjne do paruset redakcji własnych i zaprzyjaźnionych redakcji podziemnych wydawnictw. Pierwszy raz w życiu miałem wtedy do czynienia z dyskietkami komputerowymi, z których za każdym razem dawało się wydobyć setki stron tekstu. Autorem tych materiałów był przede wszystkim Romek a zarówno wtedy, jak i dziś są one dla mnie czymś niebywałym. Niezwykła była już sama ilość przeróżnych, zakazanych wówczas przez władze, wiadomości z Polski i świata. Jako coś absolutnie nadzwyczajnego oceniam dziś analizy i prognozy rozwoju sytuacji politycznej. Opierały się one m.in. na informacjach o kontaktach części opozycji z najwyższymi funkcjonariuszami komunistycznego reżimu. Wtedy nie chciało mi się dawać wiary ani tym faktom ani wnioskowi, że w perspektywie paru lat miało w Polsce dojść do zmian, polegających na obecności w najwyższych organach państwa wielu znanych postaci Solidarności. Byłem w tamtych latach stałym słuchaczem zachodnich rozgłośni, czytałem też masę podziemnych wydawnictw, w tym te redagowane przez najgłośniejsze postacie warszawskiej opozycji. Pod względem trafności przewidywań żadne z nich nigdy nawet się nie zbliżyły do serwisów Agencji Informacyjnej Solidarności Walczącej, w której kluczową rolę odgrywał Romek.

CZAS SPYCHANIA NA MARGINES

Z czasów podziemnych Romek wychodził dysponując unikatowymi w skali kraju kompetencjami analitycznymi, z przeogromną wiedzą oraz

bardzo rzadkimi wówczas umiejętnościami używania wielu programów komputerowych. Wszystkiego nauczył się sam, krok po kroku rozgryzając potencjały najnowszego sprzętu i oprogramowania, do którego prawie nie było podręczników czy instruktorów. W wydobywającej się z komunizmu Polsce ktoś taki powinien być rozchwytywany jako bezcenny skarb. Od 1989 roku Polska jednak się z totalitarnego porządku nie wydobywała. Jej ustrój przepoczwarzał się w nową fazę, ciągle daleką od demokracji i wolności a ze sprawiedliwym łańcem nie mającą już absolutnie nic wspólnego. Wychodząca z podziemia Solidarność Walcząca uruchomiła wtedy własne inicjatywy, także o charakterze gospodarczym, zaczęła też wydawać swoją gazetę. Jednym z jej najważniejszych filarów był Romek. W zderzeniu z konkurencją dysponującą miliardami i całym potencjałem mediów, odziedziczonym po aparacie propagandy PRL-u, inicjatywy niezależne, nie dysponujące fortunami, nie miały szans. Dla wielu działaczy Solidarności Walczącej lata dziewięćdziesiąte stały się czasem walki o byt. Szereg lat w lwiej części poświęconych konspiracji pozostawił po sobie wyrwy, dotkliwie odczuwane w bycie wielu rodzin. A gazety, rozgłoszenie radiowe czy telewizyjne tego czasu pełne były wypowiedzi ludzi, przedstawianych jako najważniejsi bohaterowie walki z komunizmem i czasem wprost – twórcy podziemia, także tego z Dolnego Śląska. Wśród tych postaci, stających się wówczas mieszkańcami masowej wyobraźni, nie było ani Romka ani też żadnego z działaczy Solidarności Walczącej.

ZWYCIĘSTWO PRAWDY

Swoje umiejętności w drobnej części Romek wykorzystywał, zajmując się redakcją i składem cudzych wydawnictw i publikacji. Równocześnie z wielką pasją poświęcał się jednak pracy nad często zupełnie zapomnianymi a arcyważnymi wątkami polskiej historii. Po latach zaczęły one owocować książkami a nawet całymi seriami wydawnictw. Cykl publikacji na temat organizacji Wolność i Niezawisłość po kilkunastu latach został uznany za dzieło fundamentalne i przyniósł Romkowi tytuł Kustosza Pamięci Narodowej. Na początku XXI stulecia Romek uruchomił też portal internetowy, poświęcony Solidarności Walczącej. Stał się on czynnikiem integrującym rozproszone środowisko byłych konspiratorów i przyczynkiem do kolejnych rocznicowych zjazdów. W czasie najbardziej przełomowego, upamiętniającego XXV rocznicę utworzenia organizacji przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Akt dekoracji każdego z kilkudziesięciu wyróżnianych wywoływał owację zgromadzonych w wielkiej sali Pała-

cu Prezydenckiego. Oklaskami najgłośniejszymi i najbardziej entuzjastycznymi przyjaciele nagrodzili wtedy właśnie Romka.

Wśród wielu aktywności dał się też poznać jako redaktor naczelny i publicysta miesięcznika „Opcja na Prawo” a przede wszystkim – pisarz. Kolejne tomy bardzo zapadających w pamięć opowiadań składają się z utworów, starających się odpowiedzieć na przede wszystkim dwa zasadnicze pytania. Pierwsze – z czym mieliśmy do czynienia w czasach sowieckiego totalitaryzmu, czy pozostawił on w nas nieodwracalne zmiany, uodpornił nas na przyszłość to doświadczenie czy wręcz przeciwnie? I drugie – w jaką fazę wchodzi ludzkość, w coraz większym stopniu wyzbywająca się wartości, pozwalających jej do tej pory istnieć, pokonując wszystkie kryzysy?

Przed rokiem, na wiadomość o śmierci Romka, długo nie mogłem wyjść z wrażenia bycia przeszywanym istnym huraganem myśli i bolesnych uczuć. Przypomniał mi się też wtedy kawałek wiersza angielskiego poety – metafizyka sprzed czterech stuleci Johna Donne’a, który o odejściu innego człowieka pisał jako o wygaśnięciu części także jego własnej osoby. Taką bez wątpienia miarę dla mnie i dla wielu ma i mieć będzie śmierć kogoś tak wyjątkowego, jak Romek. Zdarzają się na tym świecie ludzie niezastępowalni. I pozostają po nich wyrwy, których wypełnić się nie da.

„Obywatelska”, sierpień 2020



KORNEL MORAWIECKI I TOŻSAMOŚĆ WROCŁAWIA

Przewodniczący Solidarności Walczącej często posługiwał się pojęciem „własnego oryginalnego wkładu” w ogromne dzieła wielkich zbiorowości. Podkreślał np., że w budowę europejskiej cywilizacji znaczący wkład Polska niegdyś wносиła i że równie atrakcyjny i bezprecedensowy wnosić powinna nadal. Nie sposób nie zauważyć, że to, czego on sam dokonał, też było „wielkim wkładem”, który dziś jest bardzo znaczącym składnikiem dziedzictwa zarówno Polski, jak i miasta, w którym jakże aktywnie spędził większą część swojego życia.

Kiedy spojrzeć na ponad tysiącletnie dzieje Wrocławia to z historii tej wyłaniają się setki postaci najwybitniejszych. O wiele można by się spierać, ale kilkanaście czy może parę dziesiątek osobowości ze „szpicy tego rankingu” wskazałby zapewne każdy zdolny do w miarę obiektywnego spojrzenia. Na liście tej musiałby się znaleźć Bolesław Chrobry, bez decyzji którego Wrocław nie stałby się siedzibą biskupstwa i w rezultacie – wielką metropolią. Nie mogłoby na niej zabraknąć Witelona, pierwszego polskiego uczonego formatu europejskiego i Benedykta Polaka, twórcy filologii orientalnej i pierwszego Europejczyka podróżującego na Daleki Wschód (ćwierć wieku przed Marco Polo). W czołówce listy musiałby się znaleźć Alois Alzheimer i Johannes Brahms, który wrocławianinem był krótko, ale skomponowana dla Uniwersytetu Wrocławskiego „Uwertura Akademicka” stała się przecież pieśnią uczelni całego świata. Nie da się pominąć Fritza Habera, który oprócz śmiertelniegroźnego lpe-rytu czy Cyklonu B dał też podwaliny pod masową produkcję nawozów sztucznych. W czołówce listy miejsce mieć by musiał architekt Max Berg i największy

z ludzi światowego teatru II połowy XX wieku Jerzy Grotowski. Do grona wrocławian tego formatu należy też Kornel Morawiecki, który w walce z niewolącą Europę opresją komunistyczną dokonał najwięcej. Obok Anny Walentynowicz, Lecha Kaczyńskiego i Jana Olszewskiego ma on też swoje miejsce w najściślejszym gronie ojców niepodległości współczesnej Polski

To, że w samym tylko Wrocławiu w latach osiemdziesiątych ukazywało się więcej tytułów niezależnej prasy, niż poza polskimi granicami w całym sowieckim imperium razem wziętym, zawdzięczamy przede wszystkim Kornelowi Morawieckiemu. Nie był jedynym budującym pod koniec „dekady gierkowskiej” podziemne drukarstwo na wielką skalę. Wszyscy inni swą działalność opierali jednak na wysokowydajnych maszynach poligraficznych. Służyć one mogły setkom tytułów, ale gdy zostały wykryte przez komunistyczne służby to wszystkie te wydawnictwa albo przestawały się ukazywać albo zostawały wtedy zaprzęgane do aktywności sprzecznych z niepodległościowymi dążeniami. To Kornel upowszechnił zasadę, w myśl której każdy człowiek mógł stać się drukarnią. To idea Morawieckiego, by lawina szkoleń umasowiła zdolny do permanentnego odradzania się domowy sitodruk, doprowadziła do ostatecznego złamania komunistycznego monopolu informacji. To ta zasada, której on dał początek, zaowocowała większością z pięciuset inicjatyw wydawniczych Wrocławia i tysiącom w całej Polsce. A organizacja, na której czele stanął w czerwcu 1982 roku, przenikać też zaczęła na obszar kilku krajów sowieckiego imperium.

„Biuletyn Dolnośląski”, mający miejsce w mieście nad Odrą zaczyn „Pośłania do ludzi pracy Europy Wschodniej”, Solidarność Walcząca – to jedne z najważniejszych składników, konstytuujących tożsamość Wrocławia ostatnich kilku dziesięcioleci. I jakże znamienne jest to, jak bezprecedensowy jest wkład w historię miasta właśnie tego wielkiego wrocławianina. Na tle monarchów czy wynalazców tego, co ludzkości przyniosło także bezmiar śmierci i cierpienia, Kornel Morawiecki jest tym, który skutecznie niósł (za słowami przysięgi Solidarności Walczącej) „wyzwolenie z komunizmu ludzi i narodów”.

„Obywatelska”, marzec 2021



ADAM ŁOTOCKI 1952 – 2021

Adama poznałem na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy wychodzący z podziemia ludzie Solidarności Walczącej, przez lata działający w grupach małych i ściśle zakonspirowanych, często po raz pierwszy spotykali się z członkami innych ogniw tej samej organizacji.

Zrobił na mnie wtedy wrażenie wręcz archetypowego człowieka podziemia. Brodaty, ubrany w gruby sweter robiony na drutach, emanował stoickim spokojem i czymś w rodzaju żelaznej, niemożliwej do złamania woli dążenia do wyznaczonego celu. Od razu wtedy pomyślałem, że wszelkiego rodzaju esbeckie próby wydobywania choć odrobiny zeznań, od niego musiały się odbijać jak od skały. Potem dowiedziałem się, że z nim tak właśnie było. Z rozmów, jakie wówczas zaczęliśmy toczyć, wynikał brak jakichkolwiek złudzeń co do przełomu, rzekomo mającego się wtedy w Polsce dokonywać. Przeprowadzaną w naszym kraju operację rozumiał jako dmuchanie balona wielkiej fikcji. Zauważał, że sądownictwo, media, służby, wraz ze wszystkimi strategicznymi narzędziami rzeczywistego sprawowania władzy pozostawały w najściślej tych samych rękach. Wskazywał, że obrana droga do kapitalizmu polegała na uwłaszczaniu się partyjnej nomenklatury na narodowym majątku oraz jego grabieżczej wyprzedaży. Wśród spotykających się w naszej ówczesnej siedzibie przy ul. Kotlarskiej byli liczący na to, że podłość wdrażanego modelu tzw. transformacji da się przezwyciężyć a wykolejony pookrągłostołowy dryf naszej przyszłości da się jeszcze wprowadzić na tory służące Polsce i Polakom. Adam oczywiście też był zdania, że należy do tego dążyć, ale uważał, że jest to zadanie wymagające wysiłku nie mniejszego od tego, jaki wkładaliśmy dotąd w walkę o niepodległość. Jesienią 1990, właśnie na Kotlarskiej, w dość licznym gronie oglądaliśmy transmisję konferencji, w czasie której przewodniczący Państwowej Komisji Wyborczej Andrzej Zoll stwierdzał, że Kornel Mora-

wiecki nie otrzyma prawa kandydowania w wyborach prezydenckich. Uzasadniając tę decyzję informował, że listy z podpisami popierającymi tę kandydaturę były liczone trzykrotnie. I mimo, że za każdym razem wynik kolejnego liczenia różnił się od poprzedniego o ok. 20 tysięcy, to jednak podlegli Zollowi ludzie ani razu nie doliczyli się wymaganych stu tysięcy. Co jego zdaniem stanowiło dowód bezcelowości kolejnego liczenia. Wielu z nas zareagowało wtedy krzycząc o krańcowym bezwstydzie urzędnika bez zażenowania przyznającego, że urząd, za który odpowiada, składa się z ludzi nie potrafiących liczyć. I pomimo kompromitacji tak niewyobrażalnej i skandalicznej podejmującego „prawomocną decyzję” o wykluczeniu jednego z kandydatów. Wśród formułowanych wtedy stwierdzeń o jakże niestychanym cynizmie, zawartym w orzeczeniu, że „jeśli raz wynikiem było dziewięćdziesiąt tysięcy a raz sześćdziesiąt a nigdy nam nie wyszło sto, więc prawa kandydowania odmawiamy” dał się słyszeć spokojny głos Adama. Pomimo upływu lat wypowiedź tę zapewne wielu pamięta doskonale, bo późniejsze wydarzenia permanentnie potwierdzały jej trafność. Adam ze stoickim spokojem powiedział wtedy: „Temu Zollowi powinniśmy być wdzięczni. Przecież on jasno i wyraźnie nam uświadamia, jaki ład właśnie jest w Polsce zaprowadzany. On nam mówi wprost, żeby się rozstać z marzeniami o uczciwości, o rządach prawa, o elementarnej urzędniczej rzetelności. To, co właśnie od niego usłyszeliśmy, jest tym samym, co kwestia szatniarza z filmu Barei – nie mam pana płaszcza, no i co mi pan zrobisz? Doceńmy tę szczerą poinformowanie nas o tym, jaki to porządek oni nam dziś w Polsce budują.” Pamiętam milczenie, jakie zapadło po słowach Adama. A także podziw, jaki wzbudziła we mnie jego zdolność sformułowania kwintesencji tego, z czym mieliśmy wówczas do czynienia.

Przynajmniej w rozmowach ze mną Adam nie miał skłonności do wspomnień. Jak większość tych, którzy budowali Solidarność Walczącą, miał wykształcenie politechniczne i umysł ścisły, skutkujący skupieniem na działaniach konkretnych, na kolejnych wymiernych aktywnościach, na horyzontach przyszłych celów. O tym, czym się zajmował w podziemiu, dowadywałem się ze wspomnień wielu wspólnych przyjaciół. Z Kornelem Morawieckim współpracował co najmniej od roku 1978, zajmując się transportem i kolportażem publikacji drugiego obiegu. Był wśród tworzących zaplecze poligraficzne „Biuletynu Dolnośląskiego” oraz Kooperatywy Wydawniczej „Wyzwolenie”. W 1980 włączył się w działalność NSZZ Solidarność, ale spodziewając się po komunistach wyłącznie tego, co najgorsze, większość swej aktywno-

ści koncentrował na działaniach konspiracyjnych. Wprowadzenie stanu wojennego, przynajmniej nadmiernie, Adama nie zaskoczyło. Ataku na odzyskujące podmiotowość społeczeństwo się spodziewał i był do niego przygotowany – współorganizował strajk w ZPUA przy ul. Tęczowej we Wrocławiu, już w grudniu 1981 włączył się też w budowaną przez Kornela Morawieckiego wydawniczo-kolportażową strukturę RKS NSZZ Solidarność Dolny Śląsk. Organizował druk pism tajnych komitetów Solidarności kilku zakładów pracy. Już w czerwcu 1982 był członkiem Solidarności Walczącej, w której oprócz drukowania zajmował się łącznością z nowopowstającymi ogniwami organizacji. Bodaj największy rozmiar miała jego długotrwała współpraca z konspiratorami Małopolski. W czasie największej fali aresztowań w roku 1983 i 1984 dokonywał brawurowych ewakuacji sprzętu i materiałów drukarskich z lokali, do których już jechało SB. W takich właśnie okolicznościach w kwietniu 1984 został zatrzymany w mieszkaniu Stanisławy Pielachy przy ul. Kamiennej. Dzięki temu, że dowodów działalności w lokalu już nie było, po dwóch dniach został zwolniony. W jego życiu zaczął się wtedy jednak czas nękania kolejnymi zatrzymaniami na 48 godzin. Odwetem za bezskuteczność przesłuchań było zwolnienie z pracy. Od tego czasu utrzymywał się z wykonywania różnych prac, w dużej mierze projektów inżynierskich a następnie własnej działalności gospodarczej o takim charakterze. Nauczył się skutecznej pracy dla podziemia pomimo inwigilacji, prowadzonej przez SB. Wielu wspomina niezmienną gotowość służenia swoim czasem i wszystkim, co posiadał nawet wtedy, gdy oznaczało to konieczność zarywania kolejnych nocy i przemierzania całej Polski wzdłuż i wszerz.

Adam umarł nagle, wywołując bolesny wstrząs w swojej rodzinie, w kręgu swych przyjaciół i współpracowników z czasów konspiracy. Wraz z jego odejściem utraciliśmy piękną postać, zasłużoną w walce o wolność Polski i wyzwolenie świata z okowów komunizmu. W ostatnią sobotę listopada żegnaliśmy się z Adamem na Cmentarzu Kiełczowskim, na którym spoczywa już kilkoro działaczy Solidarności Walczącej. Kilkanaście metrów od jego grobu od niespełna roku znajduje się mogiła Małgosi Brzozy, jednej z jego niegdyśszych współpracowniczek.

„Obywatelska”, grudzień 2021



MATEUSZ MORAWIECKI

(OPOWIEŚĆ NAPISANA BEZ JEGO WIEDZY I ZGODY DLA PRZYJACIOŁ ZZA GRANICY, KTÓRZY CHCIELI WIEDZIEĆ, KIM ON JEST)

Mateusz Morawiecki urodził się w 1968 roku we Wrocławiu. Wrocław jest miastem, które w swojej historii należało do Polski, Czech, Austrii, Niemiec i w 1945 roku ponownie zostało przyłączone do Polski. Zamieszkali w nim wtedy przede wszystkim Polacy wypędzeni ze wschodniej połowy Polski, zagarniętej przez Związek Sowiecki. W dziecięcych latach Mateusza Wrocław ciągle pełen był śladów wojny. Przyszły premier wychowywał się w centrum tego 600-tysięcznego miasta. Mieszkanie jego rodziny było małe, a żył w nim razem z rodzicami, dziadkiem i trzema siostrami. Pomimo strasznej ciasnoty – w domu był fortepian, na którym codziennie ktoś grał. Najczęściej utwory Fryderyka Chopina.

Ojciec Mateusza – Kornel – pochodzi z Warszawy, urodził się w czasie wojny jako syn żołnierza Armii Krajowej, potomek bardzo starej rodziny, której przodkowie brali udział w najdawniejszych polskich bitwach, jak bitwa pod Grunwaldem w 1410 i powstaniach narodowych XIX wieku.

Matka Mateusza – Jadwiga – pochodzi z dawnej wschodniej Polski, z miasta Stanisławów. Można powiedzieć, że cudem przeżyła II wojnę światową, gdyż terror zarówno niemiecki, jak i sowiecki był straszliwy – członkowie rodziny ginęli z rąk jednych i drugich okupantów. Mimo, że los bliskich Mateusza w czasie wojny często „wisi na włosku”, z narażeniem życia całej rodziny udzielali pomocy innym prześladowanym. Między innymi uratowali życie Żydówki, która dzięki narażającym się na śmierć z niemieckich rąk bliskich pani

Jadwigi ukrywana była do samego końca wojny. Za czyn ten nikt jednak nie został uhonorowany medalem Sprawiedliwy Wśród Narodów Świata, gdyż Żydówka ta przyjęła wyznanie katolickie. W absolutnie żadnym stopniu nie zmniejszało to ryzyka, związanego z udzielaniem jej pomocy. Niemcy rozstrzelali całe polskie rodziny bez względu na to, czy ukrywany Żyd był wyznawcą katolicyzmu czy judaizmu. Instytut Yad Vashem za narażenie się dla tych, którzy zmienili wyznanie, medali jednak nie przyznaje.

Rodzice Mateusza mają wykształcenie ścisłe, pracowali jako nauczyciele akademicy. Dzieci wychowywali w kulcie tradycyjnych wartości – wiary katolickiej, prawości, służby ojczyźnie, obowiązku niesienia pomocy innym ludziom – bez względu na to, kim są. Nigdy nie należeli do żadnych organizacji, związanych z reżimem komunistycznym. Przeciwnie – zawsze byli aktywni w walce z komunizmem. Ojciec Mateusza organizował protesty przeciw inwazji na Czechosłowację w 1968, przeciw masakrom na Wybrzeżu w 1970, przeciw sowieckiemu najazdowi na Afganistan. W 1979 roku ojciec Mateusza, poza zasięgiem komunistycznej cenzury, zaczął redagować i drukować miesięcznik „Biuletyn Dolnośląski”. Mateusz Morawiecki w tajnej drukarni (zlokalizowanej na strychu u weterana Armii Krajowej Rolanda Winciorka) pomagał drukować, mając zaledwie 12 lat. Kiedy w sierpniu 1980 w Polsce wybuchły strajki – ojciec Mateusza musiał się ukrywać przed poszukującymi go komunistycznymi służbami a Mateusz roznosił ulotki, wzywające robotników do przyłączenia się do strajku, rozpoczętego w stocznich polskiego Wybrzeża. Po kilku dniach kolportowania tych ulotek – do tego wielkiego strajku przyłączyły się prawie wszystkie fabryki, zakłady pracy oraz cała komunikacja miejska w rodzinnym mieście Mateusza. Po wprowadzeniu stanu wojennego ojciec Mateusza ukrywał się przez prawie 6 lat – do aresztowania w listopadzie 1987. Był on najbardziej poszukiwanym przez komunistyczne służby człowiekiem w Polsce. W podziemiu zorganizował najbardziej prężną organizację, dążącą do wyzwolenia wszystkich narodów z komunizmu – Solidarność Walczącą. Liczyła ona kilka tysięcy członków, wydawała 150 tytułów podziemnej prasy (nie tylko w języku polskim, ale także czeskim, rosyjskim, ukraińskim), dziesiątki tytułów zakazanych książek, nadawała setki nielegalnych audycji radiowych. Mateusz nie widywał się z ukrywającym się ojcem, ale sam został członkiem jego organizacji. Dziesiątki razy był zatrzymywany przez komunistyczne służby, przesłuchiwany, bity, straszony śmiercią. Któregoś dnia, kiedy wraz z mamą jechał ich rodzinnym samochodem, którym był malutki fiat 126 p, nagle odpa-

dło przednie prawe koło. Pojazd wpadł na chodnik w miejscu, w którym szczęśliwie nie było przechodniów. Równocześnie odpadło drugie koło. Ta kolejność odpadania kół Mateuszowi i jego mamie uratowała życie. Bo jeśli najpierw odpadłoby lewie – wpadliby wprost pod koła pędzącej obok wielkiej ciężarówki. Odkręcanie przez tzw. „nieznanych sprawców” śrub w kołach samochodów należało do dość częstych doświadczeń ludzi prześladowanych za antykomunistyczną działalność.

Policja polityczna wielokrotnie przetrząsała dom – czasem przychodząc z nakazem rewizji a często także wchodząc do środka pod nieobecność domowników. Kiedy Mateusz miał 17 lat został porwany przez funkcjonariuszy komunistycznych służb. Wywieźli go do lasu, grozili, żądali informacji o miejscu pobytu ojca. Skończyło się jednak na kilku uderzeniach i konieczności wielokilometrowej wędrówki do domu pieszo. Wydarzenia tego, choć swego czasu było głośnie, Mateusz nie zalicza jednak do najgorszych. Groźniej było, kiedy w środku nocy banda zbirów z komunistycznej bezpieki napadła na letni dom jego rodziny, położony pod lasem, na odludziu. A najbardziej bał się wtedy, kiedy w czasie przesłuchań na SB grozili, że zrobią krzywdę jego siostrze. Wtedy z trudem ukrywał, że groźby te robią na nim wrażenie. Za sytuację bardziej niebezpieczną od wywiezienia do lasu uważa też sposób, w jaki został zatrzymany w czasie samotnego demonstrowania z transparentem na rusztowaniach remontowanego wtedy wysokiego budynku. Funkcjonariusze SB, którzy schwytali go kilkanaście metrów nad ziemią, próbowali go zepchnąć z desek ułożonych na wysokości dachu i rzeczywiście niewiele brakowało, by wtedy poleciał w dół.

Będąc członkiem rodziny tak bardzo zaangażowanej w działalność niepodległościową i antykomunistyczną a przy tym permanentnie inwigilowanej, nie było mu łatwo samemu włączyć się w podobne aktywności. Starsza siostra też przez pewien czas się ukrywała, zajmując się w podziemiu drukiem nielegalnej prasy. Sposób jednak znalazł a było nim głównie pisanie artykułów do nielegalnie wydawanych gazetek. Już będąc licealistą znalazł się też wśród redaktorów miesięcznika „Biuletyn Dolnośląski”, w którym publikował przede wszystkim artykuły o zakazanych przez cenzurę tematach historii Polski i świata. Poza tym uczestniczył we wszystkich manifestacjach Solidarności. W jego przypadku było to szczególnie ryzykowne, bo milicja rozpoznawała w nim syna ściganego przez całe lata przywódcy Solidarności Walczącej. Z manifestacji często wracał więc z sinymi pręgami od milicyjnych pałek,

które ukrywał przed zamartwiającą się o jego bezpieczeństwo matką. Mateusz nie trudił się jednak tylko walką. Uprawiał sporty – był bardzo dobrym piłkarzem, świetnym szachistą a jako tenisista stołowy miał szansę zostać członkiem polskiej kadry narodowej. Grał na gitarze, dużo czytał, uczył się języków obcych. Po maturze wybrał studia historyczne. Uznał bowiem, że w komunistycznej Polsce każda kariera będzie dla niego zamknięta, więc chciał zostać nauczycielem, który będzie uczył prawdziwej historii. Kiedy jednak na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych zaczęły się w Polsce ustrojowe zmiany – jeszcze jako student założył własną firmę. Wydawał gazetę, katalogi biznesowe i pomoce naukowe. Zaraz po ukończeniu historii na uniwersytecie rozpoczął studia na politechnice oraz studia MBA. Następnie ukończył studia z zakresu prawa i ekonomii na Uniwersytecie Hamburskim oraz prawo na Uniwersytecie Bazylejskim. Studiował też na uniwersytetach amerykańskich. Na studia te dostawał się wygrywając stypendia i kończył je z jednymi z najwyższych lokat. W ich trakcie utrzymywał się z własnej pracy, gdyż rodzice nie byli w stanie mu pomagać. Przez jakiś czas pracował na Uniwersytecie Frankfurckim i w Niemieckim Banku Federalnym. Ogromnie interesował się gospodarkami krajów wysokorozwiniętych, gdyż ich doświadczenia pragnął wykorzystywać w pracy dla swojego kraju. Wdrażał je pracując w firmach branży energetycznej i w agencji rozwoju przemysłu. W 1997 roku został jednym z dwóch autorów pierwszego polskiego podręcznika „Prawo Europejskie”. Rok później był jednym z negocjatorów przyjęcia Polski do Unii Europejskiej. Przez cztery lata był radnym Sejmiku Dolnośląskiego – jako przedstawiciel koalicji, stworzonej na bazie dawnej Solidarności (AWS). Od 1998 pracował w jednym z polskich banków, którego irlandzcy właściciele większościowi bardzo doceniali jego umiejętności organizacyjne i talenty biznesowe. Na początku roku 2007 Mateusz został prezesem Banku Zachodniego WBK SA. W ciągu dziewięciu lat jego prezesury mały bank z końca pierwszej dziesiątki polskich banków, stał się jednym z trzech największych i najnowocześniejszych banków w Polsce. Kilkanaście tysięcy jego podwładnych było zdania, że Mateusz Morawiecki to szef bardzo wymagający – oczekujący od każdego pracy najwyższej jakości, ciągłego kształcenia się, nieustannego uczenia się nowych rzeczy, nie kończącego się udoskonalania oferty i organizacji pracy. Zarazem jednak Morawiecki płacił lepiej, niż inni prezesi tej branży. Kobiety w ciąży i matki w jego banku dostawały specjalne świadczenia, miały dłuższy płatny urlop macierzyński, prawo do pracy w dogodnych godzinach. W okresach, w których cała branża redukowała zatrudnienie, Morawiecki dochodził z pracownikami do poro-

zumienia, że nie zwolni nikogo, jeśli załoga zrezygnuje z premii i obniży koszty, biorąc w roku kilka dni bezpłatnego urlopu. Dzięki temu w najcięższych czasach nikt nie tracił pracy a gdy nadchodziły lepsze czasy to bank kierowany przez Morawieckiego pierwszy rozwijał skrzydła i jako pierwszy korzystał z owoców poprawy koniunktury.

Mateusz Morawiecki jest żonaty i ma czworo dzieci. Kocha rodzinę, z którą najchętniej przebywa w swoim domu warszawskim lub w rodzinnym domu nad polskim morzem. Kocha też pracować – lubi wielkie wyzwania a wszelkie trudności postrzega jako cenną lekcję i kolejne zadanie. Ma wielu przyjaciół nie tylko w Polsce, ale też w Ameryce, do której wielokrotnie podróżował. Jego największą pasją jest służba własnemu krajowi. Studiując i pracując zarówno w Europie zachodniej, jak i w Polsce, zbierał doświadczenia i przemyślenia, mogące się przydać w podnoszeniu jego ojczyzny na co raz to wyższy poziom. Z pierwszego wykształcenia jest historykiem (studia historyczne także ukończył z najwyższymi ocenami) stąd znany jest m.in. z wypowiedzi, że przed wiekami, zanim Ameryka stała się krajem największej na świecie wolności i najlepszym na świecie miejscem do życia – miejscem takim była Polska. I taka jest prawda – do żadnego kraju Europy przez tak długie wieki, poczynając od średniowiecza, nie ciągnęło tak wiele ludzi różnych narodów, poszukujących wolności i prawego, bezpiecznego, spokojnego, dostatniego domu. Ten polski dom, przez kilkaset lat otwarty dla wszystkich, zaczął się walić w XVIII wieku, pod naciskiem agresywnych potęg, głównie niemieckiej i rosyjskiej. Zdaniem Morawieckiego Polska ma do odrobienia nie dziesięciolecia, lecz stulecia zaległości. Jest jednak pełen wiary w dobrą przyszłość swojej ojczyzny, budowanej w zgodzie i pojednaniu z jej sąsiadami oraz bliskimi sercu Polaków mieszkańcami innych krajów. Oczywiście także Ameryki, która stała się drugą ojczyzną dla co najmniej dziesięciu milionów emigrantów z Polski. Mówiąc o przyjaciółach Polski Morawiecki zawsze przypomina ogromną amerykańską pomoc, udzieloną Polsce odradzającej się w roku 1918 i o amerykańskich pilotach – ochotnikach, którzy bohatersko, razem z Polakami, walczyli przeciw nawale bolszewickiej z roku 1920.

No a na koniec sami odpowiedzcie sobie na pytanie: który kraj ma premiera z porównywalną historią? Równie bogatą, choć mieszczącą się w mniej, niż pięćdziesięciolecie?



MAREK PETRUSEWICZ 1934 – 1992

Prawdą straszną a często dziś zapomnianą jest cena, jaką Polacy w XX w. płacili nie tylko za pragnienie wolności, ale za samą narodową przynależność. Wystarczy sięgnąć do biografii całego mnóstwa tych, których dzieciństwo przypadło na lata czterdzieste, by dojść do wniosku, że nasz kraj odtwarzał się siłami skazanych na śmierć i których jedynie cudownym przypadkiem minęły kule niemieckich, sowieckich czy ubeckich siepaczy.

Ojciec wybitnego reżysera Jerzego Skolimowskiego zginął w obozie, w pobliżu Dachau znaleziono cudem ocalałego późniejszego poetę Antoniego Roszaka. Kiedy dwuletniego Tadeusza Świerczewskiego, dziś znanego wrocławskiego inżyniera, wraz z matką wypędzano ze zgłiszcz Warszawy, jego ojca – powstańca Niemcy żywcem wrzucali do krematoryjnego pieca jednej z filii obozu w Guzen. Pisarz Eustachy Ryłski urodził się już po śmierci swego rodzica, rozstrzelanego w jednej z masowych egzekucji. A nie są to wcale te losy najtragiczniejsze, bo w ich wypadku ktokolwiek jednak ocalał a przecież w następstwie hitlerowsko-sowieckiej napaści nierzadko bywało, że ostatecznego kresu dobiegała historia nie tylko całych rodzin, ale nawet całych miejscowości. Dzisiejsza starsza generacja Polaków to w ogromnej mierze ludzie, którym nigdy nie było dane poznać swych ojców a średnie pokolenie częstokroć swych dziadków zna jedynie z opowieści. Doświadczenie takie było tak powszechne, że nawet do tak świecznikowej roli, jak lot pierwszego Polaka w kosmos nie dało się znaleźć człowieka, którego życiorys nie musiałby być przez propagandę odpowiednio spreparowany. Mirosław Hermaszewski to bowiem też jeden z ocalańców. W jego szczęśliwym przypadku los oszczędził mu kontaktu z siekierami oprawców z UPA, którymi zamordowano jego ojca oraz niemal wszystkie zamieszkałe w okolicy polskie rodziny. Podobny był wreszcie los światowej

sławy pływak Marka Petrusewicza. Polacy, patrioci, ziemianie – to był na Wiłęszczczyźnie wystarczający powód do wyroku śmierci i to wydanego przez co najmniej dwa reżimy. Ci, których sowieci nie zdążyli wdeptać w śniegi Syberii, ginęli z rąk kulturtregerów zza Odry. Ojciec późniejszego wybitnego sportowca, podejrzewany przez gestapo, zresztą całkiem słusznie, o działalność w AK, jedynie w związku z jakimś skojarzeniem któregoś z Niemców został postawiony przed plutonem egzekucyjnym. Parę lat później ocalała część rodziny, od niepamiętnych czasów związana z ziemią znad Wilji i Niemna, została z tych korzeni wyrwana. Petrusewiczowi dorastać przyszło w ruinach Ziemi Odzyskanych. We Wrocławiu ujawnił się jego wielki talent pływacki. Zdawać by się mogło, że dla zawodnika bijącego rekordy świata szeroko otworzą się wrota kariery. Nadziei polskiego pływactwa nie odpowiadała jednak propagandowa otoczką, jaką natychmiast zaczęto nadawać jego wyczynom. Z bagażem tak kosztownych doświadczeń trudno mu się było odnaleźć w rzeczywistości PRL-u. Do głosu szybko doszli też rywale z zaprzyjaźnionego kraju, którym triumfy Polaka kolidowały z ich własnymi planami. Jakże częste to polskie doświadczenie – wyjście z hekatombi zgotowanej przez okupantów wprost w kolejne totalitarne tryby. Ciosem najdotkliwszym okazała się choroba, ostatecznie przekreślająca szanse na wielkie sukcesy a także bardzo utrudniająca normalne życie.

Czasem, w którym Petrusewicz znów nabrał wiatru w żagle, był okres pierwszej Solidarności. Po prostu wyrывał się do tego, by bez reszty zanurzyć się w działalności tego ruchu, w którym widział wielką szansę na polską niepodległość. Od wielu lat był działaczem sportowym, związanym z Wojskowym Klubem Sportowym Śląsk Wrocław. Po Sierpniu 1980 aktywność tę chciał porzucić, bo zmuszała go do współpracy z mentalnie mu obcymi wysokimi oficerami Ludowego Wojska Polskiego. Powstrzymywał go przed tym jego stary przyjaciel Kornel Morawiecki. Przekonywał, że właśnie te jego kontakty z wysokimi wojskowymi mogą być dla Solidarności bezcenne. Bo mogą być źródłem wiedzy o tym, czy komuniści nie planują Polsce kolejnego Grudnia 1970, ale na ogólnokrajową skalę. Petrusewicz do rad Morawieckiego przychyłał się z trudem. Mówił, że serdecznie dość ma tego gryzienia się w język, gdy po raz tysięczny ma ochotę wyzwać ich od kacapskich sługusów, bez reszty oddanych sowieckim interesom. W końcu jednak przyznał Kornelowi rację. Nie znał nikogo innego, kto miałby tego rodzaju stosunki z pułkownikami a nawet generałami i kto byłby skłonny pełnić rolę taką, o której mówił Morawiec-

ki. Za jego namową z wysokimi oficerami Śląskiego Okręgu Wojskowego spotykał się więc nadal i to nawet częściej, niż miało to miejsce wcześniej. Bywał na wszystkich możliwych towarzyskich spotkaniach. W kręgach wojskowych miał znaczącą pozycję. Był przecież byłym rekordzistą świata, jednym z najbardziej znanych sportowych mistrzów. Do tego jeszcze niedawnym mężem triumfującej na wielu festiwalach, włącznie z opolskim, piosenkarki Joanny Rawik, której szlagiery nuciła cała Polska. Wielu więc chciało się szczyć taką znajomością. Wielu otwierało przed nim drzwi swoich domów a przy obficie zastawionym stole i napitku rozwiązywało języki.

Dzięki temu, współpracując z Zarządem Regionu Dolny Śląsk, dostarczał informacje pozyskiwane od wysokich oficerów LWP. *Wojsko szykuje duże ilości pojazdów bojowych, wyjątkowo dba o sprawność czołgów, gromadzi zapasy paliwa, ale nie amunicji do armat, wprowadza wręcz wojenną dyscyplinę* – brzmiały jego konspiracyjne komunikaty. Naiwni sądzili, że polskojęzyczna część Armii Czerwonej gotuje się do odparcia spodziewanej interwencji wojsk Układu Warszawskiego. Realisci spodziewali się raczej agresji sił Jaruzelskiego na swój własny naród. Petruszewicz złudzeń nie miał żadnych. A najlepiej sytuację rozumiał ten, który Petruszewicza skłonił do umacniania jego relacji z kręgiem wysokich wojskowych, czyli Kornel Morawiecki. Głównie właśnie z tej przyczyny, że miał takiego bliskiego przyjaciela, który od pułkowników i generałów wyciąga bezcenne dla Solidarności informacje, Kornel Morawiecki został członkiem komisji „Związek wobec zagrożeń”, utworzonej na Pierwszym Zjeździe Delegatów NSZZ Solidarność wczesną jesienią 1981 roku. Kornel miał informacje pozyskiwane od Petruszewicza i oczywiście przekazywał je władzom Związku. Rzecz jasna nie mówił jednak – skąd te informacje miał. Penetrowanie przywództwa Solidarności przez esbecką agenturę było przecież oczywistością. O roli Wałęsy wiceprzewodniczący NSZZ Solidarność Andrzej Kołodziej mówił jednoznacznie i otwarcie w swoim wystąpieniu już w lipcu 1981.

Petrusewicz się narażał, Morawiecki przekazywał, ale mało kto informacjom tym dowierzał. I tylko bardzo nieliczni podejmowali adekwatne działania. Najpoważniej ostrzeżenia te potraktowali działacze Solidarności regionu dolnośląskiego, którzy podjęli decyzję o wypłaceniu z blokowanych już kont bankowych wszystkich pieniędzy regionalnej struktury związkowej. Natomiast ludzie związani z ciągle podziemnym *Biuletynem Dolnośląskim* ukrywali sprzęt poligraficzny i nocowali poza swoimi mieszkaniem. 13. XII 1981 okazało się, że Petruszewicz miał rację – Jaruzelski przeciw Polakom wystął czołgi.

Jak dla wielu, tak i dla pływackiego mistrza otwart się nowy etap życia, wypełniony kontynuowaną pomimo ciągłych szykan konspiracją. Nie dość, że Petruszewicz włączył się w najzacieklej zwalczany przez wszystkie służby PRL – u nurt opozycji, w Solidarność Walczącą, zmagać się też musiał z kolejnymi stadiami ciężkiej choroby. Działalności nie zaprzestawał, mimo przechodzenia kolejnych amputacji.

A nowy etap podążania piekielnie niebezpieczną ścieżką zaczął się dla Petruszewicza już rankiem 13 grudnia 1981. Wszystko wskazuje na to, że służby skądś się dowiedziały o roli, jaką odgrywał. Skatowany prawie do nieprzytomności trafił do celi najgorszej z możliwych. Ktoś, kto podjął taką decyzję wiedział, że panujące w niej warunki przyspieszą rozwój choroby, z którą uwięziony się zmagał. Było to więc jak wyrok, choć dla niepoznaki nieco odroczony.

Przyjaciele z lat młodości wspominali znamienny epizod z życia Petruszewicza – wydarzenie z lat chłopięcych, kiedy rzucił się na pomoc człowiekowi tonącemu po załamaniu się na rzece lodu. Świadkowie opowiadali, że zanurzony w mroźnej kipieli nie mógł się wydostać na lodową taflę, więc ciągnąc ratowanego brnął łamiąc krę ciężarem własnego ciała, aż sam półżywy wydobył nieszczęśnika na brzeg. I takie też było jego życie – ku szlachetnym celom, na przekór najpotworniejszym okolicznościom. Takie też były ostatnie jego lata – jakże ryzykowna działalność pomimo coraz bardziej krytycznego stanu zdrowia. Kontynuowana pomimo strasznych cierpień nawet po amputacji jednej a potem drugiej nogi. A przedwczesna śmierć człowieka tak zasłużonego, niegdyś tak powszechnie podziwianego i uwielbianego, też zauważona była głównie przez przyjaciół z podziemia. I to oni w ostatniej drodze towarzyszyli mu najliczniej.

A w związku z pośmiertną historią Marka Petruszewicza wiążą się jeszcze co najmniej dwa przykre fakty. Pierwszy to film Jerzego Krzystka pt. „80 milionów”, opowiadający historię uratowania funduszy dolnośląskiej Solidarności, w której Marek Petruszewicz odegrał rolę większą, niż kulczową. Większą, bo bez Marka Petruszewicza całej tej historii po prostu by nie było. Główny twórca tego filmu, autor scenariusza i reżyser biorąc się za ten temat powinien to wiedzieć. A chyba nawet musiał, bo przed realizacją tego filmu osobiście mu wręczyłem egzemplarz wywiadu – rzeki z Kornelem Morawieckim mówiąc, że zawiera on prawdę na ten właśnie temat. Oczywiście autor dzieła filmowego ma prawo z materiałem historycznym zrobić to, na co ma ochotę. Opowiadając o tej historii i wiedząc, że był człowiek, który bardzo drogo za-

płacił za wyciągnięcie informacji od oficerów Wojska Polskiego, miejsca w niej dla niego jednak nie znalazł. Autor „80 milionów” człowieka tego z historii tej po prostu wyrzucił. A bohaterem zrobił oficera Wojska Polskiego. Mimo, że w historii prawdziwej nikogo takiego nie było. Żaden oficer żadnych informacji świadomie i dobrowolnie Solidarności nie przekazywał. Marek Petruszewicz wyrwał te informacje wbrew woli tych oficerów i bez żadnej ich świadomości. I pozyskując te informacje musiał uciekać się do sprytu, spotykając się z tymi oficerami na towarzyskich wieczorach mocno zakrapianych alkoholem. Opowiada o tym w wywiadzie – rzece przyjaciel Marka Petruszewicza Kornel Morawiecki, bez którego też całej tej historii z osiemdziesięcioma milionami by nie było.

Gdyby film pt. „80 milionów” był tylko jakąś tam opowieścią na kanwie zdarzeń – taki jego kształt byłby do zaakceptowania. Nie tylko jednak występuje w nim cały szereg postaci wymienianych z imienia i nazwiska, ale na końcu pojawiają się one jeszcze raz, w czymś co bardziej przypomina „dodatek pomnikowy” a nie epilog. Bo ta końcówka „80 milionów” wygląda jak ponowne podkreślenie bezprecedensowych zasług kilku ludzi, zresztą czynnych w polityce, zasiadających w Sejmie i Parlamencie Europejskim. I to jest przykre, bo jeśli już te historyczne postacie, które w historii tej naprawdę odegrały rolę zasadniczą, w fabule w ogóle się nie pojawiają, to może przyzwoitość by wymagała pokazania ich chociaż w tej końcówce. Może zamiast czegoś, co przypomina spot reklamowy dla ponownie ubiegających się o wybór należałoby przypomnieć tych w tej historii ważniejszych, którzy jakże drogo zapłacili za to, że te „80 milionów” przed wprowadzeniem stanu wojennego z rachunku Solidarności wypłacono. Oglądając ten film w głowie i sercu tętniły mi bolesne pytania: „Gdzie w tej sfilmowanej historii podział się Marek Petruszewicz? Gdzie się w niej podział Kornel Morawiecki? A dlaczego nie ma w niej Edka Wółtańskiego, też w ratowanie tych pieniędzy zaangażowanego i którego w związku z tym bezpieczeństwa dopadła i prawie na śmierć zatłukła, na nim dając upust swojej wściekłości. Podobnie, jak właśnie na Marku Petruszewiczu, któremu też najpierw pobicie a potem więzienie zniszczyły zdrowie. I skróciły życie, końca którego dobiegał po amputacji jednej a potem drugiej nogi. Nie mogąc pojąć, co Waldemara Krzystka wiodło do sklecenia scenariusza, który uważam za krzywdzący dla prawdziwych bohaterów tej historii, rzuciło mi się w oczy nazwisko umieszczone na zamykających film napisach końcowych (żargonowo zwanych „listą płac”). Na liście tej pojawia się bowiem m.in. wers taki: „Konsultacja sce-

nariuszowa: Waldemar Chudziak”. Przyznaję, że zbaraniałem. Waldemara Chudziaka znam bowiem świetnie – przez pięć lat studiów byliśmy nie tylko na tym samym roku, ale w tej samej jego grupie. Wiem stąd doskonale, po której stronie ówczesnych wydarzeń się opowiadał i bynajmniej nie była to ta strona, która zmagala się wtedy z reżimem np. wypłacając z zagrożonego rachunku pieniądze Solidarności. Gdyby nie to, że po obejrzeniu tego filmu jedną z ostatnich rzeczy, na jakie miałem ochotę, była rozmowa z jego reżyserem, to chyba bym go poszukał, by zapytać, na czym ta konsultacja z Waldkiem Chudziakiem mogła polegać? Cóż o tej historii mógł wiedzieć i co opowiedzieć ktoś, kto nie tylko nigdy do żadnej Solidarności się nie zbliżał, ale robiąc dziennikarską karierę już w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych miał swoje miejsce w jednej z oficjalnie wydawanych wtedy gazet. Skąd więc pomysł Krzystka na takiego konsultanta? Co taki konsultant mógł do tej opowieści wniesić?

Pominięty więc w tej historii został Marek Petruszewicz a pominięcie Kornela Morawieckiego też jednak uznać należy za swojego rodzaju „wyczyn”. Szukając plenerów i wnętrz, w których film miał powstać, jego twórca zwrócił się bowiem o pomoc m.in. do syna Kornela – Mateusza Morawieckiego. Część zdjęć powstać przecież musiała w banku – w jego zapleczu skarbcowym oraz w dużej hali obsługi klientów. Nic dziwnego, że twórcy filmu pierwsze kroki skierowali do tego prezesa banku, który miał rodowód solidarnościowy i konspiracyjny. Waldemar Krzystek zapewne wiedział, że taki prezes był wtedy tylko jeden i że jego nazwisko też nie jest skutkiem przypadkowej zbieżności z nazwiskiem najważniejszej postaci solidarnościowego podziemia. No i nie pomylił się Krzystek, bo Mateusz Morawiecki, wówczas prezes Banku Zachodniego WBK słysząc, że film o polskiej historii potrzebuje bankowego wnętrza odpowiedział od razu: „Udzielić każdej potrzebnej pomocy, wnętrza udostępnić nieodpłatnie”. W historii tej pojawiło się więc nazwisko kolejnego Morawieckiego. Tym razem Morawieckiego – juniora. A w filmie o historii, w której tak dużą rolę odegrał Morawiecki – senior tego Morawieckiego – nie ma. Na swój sposób „sprawiedliwie”. „Sprawiedliwie” z tego filmowego upamiętnienia wyeliminowano bowiem wszystkich najważniejszych i zarazem wszystkich, którym za „operację uratowania 80 milionów” przyszło potem najdrożej zapłacić.

Jak się jednak okazuje, nie był to ostatni przypadek „eliminowania” Marka Petruszewicza. W tej drugiej historii wszystko zaczynało się pięknie. W roku 2012, kiedy we Wrocławiu otwierano akwapark, przebiegającej obok

niego ulicy, łączącej Ślężną z Borowską, nadano właśnie imię tego pływackiego światowego rekordzisty i bohatera Solidarności. Krótco po radości z tego, że tak wspinała postać wreszcie zostaje doceniona, niczym grom z jasnego nieba pojawiła się kolejna. Był nią mail od Tadeusza Piątka, alarmujący działaczy Solidarności Walczącej: „Chcą zlikwidować grób Marka Petrusewicza!! Musimy go uratować! Róbmy zbiórkę póki czas! Pieniądze trzeba wpłacić natychmiast!” Okazało się, że w tym samym roku w tym samym mieście Wrocławiu można nadać ulicy imię Marka Petrusewicza a parę miesięcy później na jego mogile nakleić kartkę z napisem „Grób przeznaczony do likwidacji”. Bo minęło dwadzieścia lat od pogrzebu a nie została wniesiona opłata za prawo do jego dalszego istnienia. W błyskawicznym tempie zmobilizowani przez Tadeusza Piątka ludzie Solidarności Walczącej żądaną kwotę zebrali i istnienie grobu na kolejne dwadzieścia lat przedłużyli. Jednak to, jak często w tzw. Trzeciej Rzeczypospolitej za życia i po śmierci traktowani bywali ludzie tak zasłużeni, jak Marek Petrusewicz, dużo nam chyba mówi o tej rzeczywistości, jaka nam się wypoczwarzyła na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.



TADEUSZ PIĄTEK

Po wpadce twojej wyjątkowej drukarni niektóre gazetki drugiego obiegu nadały ci miano „Gutenberg Podziemia”.

Rozbawił mnie wtedy ten tytuł. Wynikał z techniki drukarskiej, której poza naszym wydawnictwem nikt w podziemiu nie używał.

Jak do tego doszło, że sięgnąłeś do techniki najbardziej tradycyjnej a zarazem bardzo nietypowej?

Zawsze bardzo lubiłem książki. Szczególnie takie ładnie, starannie wydane. Po wprowadzeniu stanu wojennego oczywiście, jak wielu, uciekałem się do różnych form aktywności. Szybko jednak stało się jasne, że ten totalitarny porządek, ugruntowany czołgami Jaruzelskiego w grudniu 1981, potrwać jeszcze może długie lata. I że w związku z tym nasza działalność nie może polegać na akcjach spontanicznych, ale na budowaniu czegoś trwałego, solidnego. Zamarzyło mi się stworzenie podziemnego wydawnictwa. Żeby nie tracić czasu na obmyślanie szczegółów tego, jak ono ma funkcjonować, jakimi technikami drukować, niemal od razu zacząłem przepisywać obszernie teksty na maszynie, by składać je w broszury. Pisałem na tej maszynie ja, pisała moja żona Jola a owocem tego były nieduże publikacje w nakładzie kilkudziesięciu egzemplarzy. Czyli taki jakby rosyjski samizdat. Na początek było dobre i to, ale oczywiście wiedziałem, że nie tędy droga, że trzeba robić coś lepszego, większego, że przede wszystkim nakłady muszą być wielokrotnie większe. Jedyną poligrafią, z jaką miałem kiedyś trochę więcej do czynienia, były te klasyczne maszyny drukarskie, przy których kiedyś pracowałem w zakładach RSW Prasa. Zajmowałem się tam konserwowaniem bardziej newralgicznych części tych urządzeń i przy okazji trochę poznałem zasady ich działania. Wiedząc więc na czym takie drukowanie polega na początku 1982 roku pomyślałem, że sam skonstruuję taką maszynę. Oczywiście dużo mniejszą, bo jak większy pokój naszego mieszkania liczył czternaście metrów

kwadratowych to nie mogło to być nic dużego. Musiało to być też takie, żeby dało się gdzieś schować.

I jak to urządzenie powstawało? Rysowałeś jakieś jego plany?

Za dużo nie rysowałem. Ono powstawało wieloma etapami. Można powiedzieć, że rozwijało się nieustannie. Tak, jak z tymi pierwszymi broszurami, maszyną do pisania wystkukiwanymi, początkowo forma była najprostsza. Ale już ta pierwsza działała, już coś drukowała.

A skąd czcionki, z których układa się tekst?

Z wielu źródeł. Brat i kilku znajomych miało jakieś możliwości ich pozyskiwania. Początkowo różny ich format i niedostateczne ilości uniemożliwiały drukowanie czegoś większego. To komplikowało sprawę. Zmuszało do wyboru do druku tylko tego, co technicznie mogło być wtedy wydrukowane. Z czasem było z tym coraz lepiej, w końcu można było drukować już wszystko. Na początku ten druk polegał też na takim prostym ułożeniu czcionek w specjalnie dla niej zrobionej skrzyneczce. Potem dorabiałem do tego kolejne części i całe podzespoły tego urządzenia. Podobnie z drukowanymi tekstami. Zacząłem od ulotek, w których nie byłem w stanie użyć wszystkich słów, jakich użyć by się chciało, bo brakowało odpowiedniej ilości czcionek. A potem możliwe było już nie tylko drukowanie gazetek, ale i książek. I to techniką coraz bardziej zmechanizowaną, bo maszyna miała coraz więcej podzespołów.

Sam je wykonywałeś?

W większości tak. Pracowałem jako ślusarz, miałem dostęp do obrabiarerek i narzędzi różnego rodzaju. Poszczególne detale były tak drobne, że nikt nie był w stanie się zorientować, do czego służą. Bywało, że codziennie wykonywałem kolejny, w kieszeni przynosiłem do dołu, dokręcałem i tym sposobem powoli ta maszyna – rosła.

Takie urządzenia nie tylko wymagają sporej ilości części, ale przede wszystkim dużej precyzji.

Ależ oczywiście! Nacisk na dźwignie, dokładność podajników – wszystko to powinno być wymierzone bardzo dokładnie. Bo wszystko w tym musi chodzić jak w szwajcarskim zegarku. Wtedy dopiero spełnia tę rolę maszyny zapewniającej w miarę szybki druk o wysokiej jakości technicznej. A zaletą powielania tą techniką są nakłady praktycznie nieograniczonej wielkości. Górny ich pułap wyznaczać może tylko wielkość zapotrzebowania i ilości czasu, pa-

pieru i farby, jakie masz do dyspozycji. Dużo serca w to urządzenie włożyłem. W końcu miała samozamykacz, pięć wałków o różnych średnicach, sama rozkładała farbę, skonstruowałem dla niej tę część zwaną kałamarzem. Naprawdę nieźle to wszystko w niej działało i ciągle coś w niej było udoskonalane. Tak to zresztą jest, że jak coś konstruujesz i codziennie tego używasz to nowe pomysły kolejnych usprawnień ciągle ci się w głowie rodzą. Wydajność rośnie i oby tylko papieru i farby nie brakowało.

Z farbą chyba trudniej, niż w przypadku sitodruku? Taką robioną z pasty do prania zmieszanej z sadzą za wiele chyba się nie uzyska?

Też można stosować farby własnego wyrobu, ale najbardziej właściwa, profesjonalna, daje najlepsze efekty. Tu należy się uklon w stronę moich współpracowników. Jurek Adamczyk skądś załatwił mi odpowiednie ilości bardzo właściwej farby. Z kolei głównym dostawcą papieru był Mietek Perlak, który praktykował bardzo sympatyczne sposoby konspiracji, polegające na tym, że wszędzie chodził z dziećmi. Jakoś zomowcom czy ubekom rzadziej przychodziło do głowy zwracać uwagę na takich, co chodzą w otoczeniu dzieciaków i sprawdzać, co ze sobą wloką, oprócz nich. Do naszej grupy, którą było Wydawnictwo „Feniks”, od 1983 działające w strukturze Solidarności Walczącej należało jeszcze parę osób. Między innymi Tosiek Cydzik, Zbyszek Dudek, Wiesiek Leśniański, Andrzej Borowiec i Stasiu Ryczek z Wołowa, który w opozycji działał od wielu lat, ale do nas dołączył nieco później. A że liceum plastyczne ukończył to m.in. przy różnych graficznych zadaniach bardzo się przydawał. No i oczywiście nie mogę nie powiedzieć, że bardzo dużo ta nasza działalność zawdzięczała mojej żonie Joli. Ta praca drukarska bardzo mnie pochłaniała, poświęcałem jej ogromnie dużo czasu. Była nie tylko ryzykiem dla naszej rodziny, ale też uciążliwością choćby przez sam fakt tak dużego kłamota w tak małym mieszkaniu. A Jola zawsze tylko i wyłącznie mnie wspierała. Więcej, niż wspierała, ona w tym uczestniczyła. Składała czcionki, przygotowując druk kolejnych stron. Składała też kolejne strony w ostateczną całość. Ja często przy tej pracy zapominałem o całym Bożym świecie. I to Joli zawdzięczam, że przy tym nie umarłem z głodu, bo często zapominałem, że trzeba też jeść. I Jola o tym pamiętała. Jak też zauważyła, że coś działa za głośno to nie marudziła tylko szukała rozwiązań, żeby wyciszyć pracę tego urządzenia. Zabawnymi dość metodami, ale skutecznymi. Czyli np. kołdry służyły do wyciszania. No i brała na siebie więcej domowych obowiązków, żeby to drukowanie szło na większą skalę. Była nieoceniona, zresz-

tą w ogóle wszyscy, którzy się wokół tej sprawy skupili to byli wyłącznie fantastyczni ludzie.

Antoni Cydzik wywodził się chyba z tej znanej kresowej rodziny, z dziada – pradziada ułańskiej? I chyba on wprowadził cię do Solidarności Walczącej?

Tak, on był z tych właśnie Cydzików. Nazywaliśmy go zresztą „Litwin”. Za jego sprawą Wigilia Bożego Narodzenia z roku 1982 jest dla nas niezapomniana. Tosiek Cydzik mieszkał w tym samym bloku co my, parę pięter wyżej. Kiedy siedzieliśmy już sobie po wieczerzy on przyszedł do nas, pogadał z nami chwilę i spytał, czy może do nas za chwilę przyjść z kimś jeszcze. Byliśmy przekonani, że przyjdzie po prostu ze swoją żoną. A on przyszedł z takim szczupłym może czterdziestoletnim mężczyzną, który od razu wydał mi się znajomy. Witając się z nami przedstawił się: Kornel Morawiecki. Ukrywał się wówczas od ponad roku, wtedy akurat u Cydzików. Rozmawialiśmy może z godzinę. Bardzo był ciekaw naszych opinii, tego jak oceniamy nastoje, sytuację i możliwe kierunki jej rozwoju. Bardzo uważnie słuchał. Kornel to był właśnie taki niezwykle typ przywódcy, który chyba więcej słuchał, niż sam wygłaszał. Zawsze chciał wiedzieć, co myślą jego ludzie. A także wiedzieć, co się z nimi dzieje, w jakiej życiowej sytuacji się znajdują. To było takie bardzo szczere, nieustające zainteresowanie drugim człowiekiem.

Wszyscy, którzy znali Kornela, zwracali na to uwagę. Ta cecha bardzo zjednywała mu ludzi. A ukrywanie się w bloku, w którym mieszkał i oficer milicji i funkcjonariusz SB to było chyba praktykowanie zasady, wg której pod latarnią najciemniej?

Oprócz tych dwóch w tej naszej części bloku mieszkał jeszcze funkcjonariusz milicji wodnej. Nie było to chyba nic nadzwyczajnego, ludzie tych służb mieszkali przecież wszędzie. Były osiedla mundurowe, ale większość była rozrzucona po całym mieście, żeby mieć naród pod obserwacją. W późniejszych latach ukrywający się Kornel bywał u nas, nocował. Ten pomysł ukrywania się w najgęściej zamieszkanym skupiskach wrocławian, najlepiej w małych mieszkaniach na różnych blokowiskach, okazał się być najlepszym rozwiązaniem. Bo cała esbecja, wraz ze wszelkiego rodzaju innymi służbami, szukała go przede wszystkim w osiedlach willowych, lustrowała też mieszkania wynajmowane. Mierząc swoją miarą ci ubecy pewnie zakładali, że przewodniczący takiej organizacji to pewnie potrzebuje dysponować apartamentami. Nie przychodziło im do głowy, że Kornel może ukrywać się w małych lokalach, czasem

przepełnionych dużą rodziną. A on włączał się w życie takiej biorącej go pod swój dach rodziny. Dzieciom był przedstawiany jako wujek i to z powodzeniem funkcjonowało przez te wszystkie lata.

Jak doszło do zatrzymania ciebie przez SB?

W zasadzie to ja przez szereg lat miałem dużo szczęścia a może esbecja o mnie zapomniała? Może funkcja szefa zakładowej Solidarności w nie za dużym przedsiębiorstwie to nic nadzwyczajnego, ale w większości takich przypadków SB jednak takich ludzi nękała, miała ich jakoś na oku. Nie wiem jakie były tego przyczyny, ale nagle w 1987 roku ta bezpieka sobie o mnie przypomniała. Przeprowadzała wówczas jedną z większych operacji, w ramach której zrobili rewizje w ponad stu mieszkaniach, chyba ponad setkę ludzi pozamykali na 48 godzin, przesłuchiwali. Po mnie przyszli do pracy, zawieźli do siebie. Przesłuchania dosyć standardowe, wraz z tymi ich zabawami w dobrego i złego. Czyli jeden ubek zadaje mi pytania tak bardzo grzecznie a tu wpada drugi, który od razu się wydziera, żeby się z takimi jak ja się nie cackać. Na co ten niby dobry go uspokaja mówiąc, że nerwy niepotrzebne, bo „my tu sobie z panem Tadeuszem bardzo kulturalnie rozmawiamy”. Chociaż rozmowa była taka, że on zadawał pytania, na które ja odpowiadałem, że nic nie wiem i w ogóle nie rozumiem, o co chodzi. Wylądowałem potem w dużej, mocno przepełnionej celi, w której chyba nie znałem nikogo i dopiero potem się dowiedziałem, jakim zaszczytem to dla mnie było. Bo wśród tych ludzi był i profesor Karniej i Marian Oziewicz i Mateusz Morawiecki. Kiedy mnie już wypuścili to jednak niepokój towarzyszył mi nadal. Bo nie zrobili rewizji u mnie w domu, więc obawiałem się, że takie niedopatrzenie będą chcieli szybko naprawić. Wyniesienie jednak tej maszyny z domu nie było łatwą sprawą, bo ważyła ponad sto kilogramów a poza tym zaraz po wyjściu z SB musiałem iść do pracy. Wiedziałem, że oni często praktykowali taką metodę, że niby zatrzymywali tylko na 48 godzin, ale zaraz po wypuszczeniu zamykali na kolejne 48. Nie jeden tym sposobem niby prawie nie siedział, bo nie miał ani wyroku ani sankcji prokuratorskiej, ale z takim króciutkimi przerwami tak naprawdę siedział tygodniami i musiał liczyć się z tym, że oni taki numer mogą powtarzać nieograniczoną ilość razy. Tego się obawiałem, więc jak tylko majster szepnął do mnie: „Tadek, znów idą po ciebie!” to ja jak z procy wystrzeliłem na przyzakładowy parking i wskoczyłem za kierownicę mojego pojazdu marki syrena, który w następnym kwadransie okazał być najszybszym samochodem planety. Dosłownie tak było – błyskawicznie dojechałem do domu i z pomocą mojego syna wniosłem ma-

szynę drukarską do windy. Do szczęścia dużo czasu mi nie zabrakło, ale niestety esbecy byli tylko trochę wolniejsi ode mnie. Zbliżając się windą do parteru już przez to podłużne okienko w jej drzwiach zobaczyłem, że przed nimi czekają na mnie. No i na powitanie usłyszałem to ich wypowiedane z esbecką gracją: „Dzień dobry, panie Tadeuszu! Ależ pan dzisiaj zabiegany. My chcieliśmy jeszcze z panem parę słów zamienić i nam tak przykro, że tak bardzo pan nas unika, że aż wszystkie dozwolone prędkości przekracza...”

I co? Znow pokoje przesłuchań, cela na SB a maszyna przepadła...

Przepadła. Zabrali, ślad po niej zaginął. Do dziś ani w IPN – ie ani w żadnych innych źródłach żadnych tropów. W piwnicach na Łąkowej znalazło się sporo różnych pamiątek, np. transparentów. Ale moja maszyna? Jak dotąd – kamień w wodę...

Zachowała się chociaż jakaś fotografia tego cuda?

Nie robiłem ani jej ani przy niej żadnych zdjęć. Mogę co najwyżej ją dokładnie narysować.

A jakie konsekwencje spotkały cię po tym zatrzymaniu?

Było to kilka miesięcy po tym, kiedy większość takich spraw trafiało już nie do sądów, ale do kolegiów do spraw wykroczeń. Tam skazany zostałem na dość dużą grzywnę, trzydzieści tysięcy złotych to było wtedy kilka miesięcznych wypłat, z zamianą na chyba trzy miesiące więzienia. Siedzenia udało mi się uniknąć, bo nasze wydawnictwo od lat gromadziło pieniądze na wypadek takich okoliczności. Czyli jeśli byłoby potrzeba czy na grzywnę czy na adwokata. Dołożył też trochę Kościół, który pomagał w takich sytuacjach. Szczęśliwie cała ta sprawa zakończyła się na mojej osobie. Esbecja nie trafiła do żadnego z naszych współpracowników. A najbardziej było mi szkoda tej maszyny, której nigdy już potem nie zobaczyłem. Ostatnią publikacją, która została na niej wydrukowana, była praca zbiorowa pt. „Czwarty Rozbiór Polski”. Bardzo ciekawe dzieło o niemiecko-sowieckiej współpracy przed II wojną światową i w jej trakcie.

Sprawa twojej drukarni była wtedy bardzo głośna.

Tak, chyba z tego powodu, że przebiła się informacja o jakiejś dużej, ciężkiej, wyjątkowej maszynie poszła wieść o rozbiciu jakiejś niespotykanej wielkiej drukarni. BBC informowała o rozbiciu we Wrocławiu bardzo dużego podziemnego wydawnictwa. Wtedy też pojawiły się w niezależnej prasie artykuły

mówiące o „Gutenbergu podziemia”. Zabawne było to miano, ale jeśli chodzi o stosowaną technikę drukarską, to dość trafne.

Najważniejsze chyba jednak, że aż do kwietnia 1987 ten druk u was szedł na dużą skalę.

Liczyłem się z tym, że kiedyś zakończy się to wpadką. Drukowaliśmy więc póki mieliśmy na czym ile się tylko dało. Tak, to się zgadza, zanim nas złapali – zrobiliśmy całkiem sporo.



KORNEL MORAWIECKI O PROSTYCH LUDZIACH

Przywódca Solidarności Walczącej był najwyższego formatu intelektualistą, gruntownie wykształconym i ogromnie czytany erudytą o szerokich horyzontach. Zawsze jednak był zainteresowany także rozmowami z ludźmi, o których zwykło się mówić – „ludzie prości”. Nie tylko nigdy nie okazywał im jakiegokolwiek wyższości, ale najszczerzej i z najprawdziwszym szacunkiem twierdził, że wiele się od nich uczy i wiele dowiaduje.

Kornel Morawiecki wychowywał się w Warszawie, wśród ludzi ze znaczącym cenzusem wykształcenia. Takie też było jego środowisko koleżeńskie, z którego wyrosli potem lekarze, inżynierowie, naukowcy. Od najmłodszych lat ogromnie dużo czytał. Dostrzegający jego intelektualne rozbudzenia ksiądz katecheta włączył go do swojego duszpasterstwa akademickiego. A Morawiecki studentem wtedy jeszcze nie był, gdyż dopiero co ukończył szkołę podstawową. Nawet kiedy Kornel spędzał wakacje u krewnych w małych miejscowościach Ziemi Świętokrzyskiej to nie były to pobyty u najbardziej typowych ludzi polskiej wsi. W dużej mierze byli to bowiem ludzie wywodzący się ze zubożałego przed wiekami ziemiaństwa. Byli wśród nich nauczyciele ludowi, ludzie wykształceni, liderzy miejscowych społeczności. Pierwsze bliższe relacje z szerszymi kręgami wiejskiego polskiego ludu Kornel Morawiecki nawiązał dopiero w latach, w których zaczęła powstawać jego skromna letnia posiadłość, położona w pobliżu wiosek Pęgów, Gołędzinów i Wilczyn Leśny.

„Nie mogłem wyjść z podziwu dla życiowej mądrości, szczerzej dobroci, uczynności i umiejętności tych ludzi” – opowiadał Kornel. Któryś razem opowiadał mi: „Artur, czy ty wiesz, jak niezwykle umiejętnością jest kosze-

nie zboża? Ale takie koszenie fachowe, w którym ścinasz wszystko i to w ilościach ogromnych, dosłownie całe hektary? Pierwszą częścią takiej najprawdziwszej sztuki kosiarskiej jest przygotowanie narzędzia. Mistrz na wyostrzenie – wyklepanie swojej kosy poświęca często naprawdę dużo czasu. A potem ten rytm, oznaczający rozkładanie wysiłku tak, żeby sił wystarczyło na bardzo długo. I umiejętna modyfikacja tych cięć w miejscach, w których zboże się pochyliło np. po deszczach”.

Innym razem Kornel opowiadał: „W kręgach naukowych bywało, że swoją wiedzę ktoś czasem zazdrośnie ukrywał w obawie, że ktoś od niego będzie lepszy, że wyprzedzi go w karierze. A na wsi nigdy nie spotkałem się z tym, żeby ktoś komuś odmówił pomocy z obawy, że sąsiad plony może mieć lepsze. Ci ludzie nie raz się o coś spierali, ale zawsze górę brało ich przekonanie, że muszą się wspierać, że konieczna jest między nimi solidarność, zapewniająca lepsze jutro i jednym i drugim”.

Za jedno ze swoich najważniejszych życiowych doświadczeń Kornel Morawiecki uważał lata, w czasie których na niepełnym etacie pracował w Zbiorczej Szkole Gminnej w wiosce Pęgów. Jej uczniami było wiele dzieci pracowników Państwowych Gospodarstw Rolnych, często dzieci osób wyedukowanych naprawdę bardzo słabo. Pierwszy raz w swoim życiu Kornel Morawiecki miał tak bliski kontakt z osobami mówiącymi gwarą i których teoretyczna wiedza bywała naprawdę nadzwyczaj niska. Młody pracownik naukowy nie ograniczał się jednak do kontaktów ze swoimi uczniami tylko na terenie szkoły. Idąc przed wieś spotykał ich często, kiedy zajęci byli jakąś pracą, zwykle w towarzystwie starszego rodzeństwa czy rodziców. Kornel wspominał: „Na lekcjach fizyki miałem wrażenie, że nie bardzo rozumieją oni istotę działania silników czy to dwusuwowych czy czterosuwowych, nie wspominając o wysokoprężnych a po lekcjach bywałem np. świadkiem ich nadzwyczajnej biegłości w naprawianiu traktorów. Czternastoletni chłopcy byli przy nich jak istne „złote rączki” potrafiące naprawić wszystko, samodzielnie dorobić części, jeśli było trzeba. Ich rodzice mieli zwykle stare, sfatygowane ciągniki, bywało że w stanie niemal śmierci technicznej. A ci chłopcy potrafili je rozłożyć w tzw. „drobny mak”, ustalić przyczyny awarii, usunąć je i nigdy nie mieli wątpliwości, „co do czego” trzeba połączyć, by gotowy naprawiony traktor mógł znów ruszyć w pole”.

Analogicznych doświadczeń Kornel Morawiecki miał bez liku i często powtarzał: „Ci wiejscy ludzie potrafią wszystko. A przy tym są bardzo uczynni. Zasadę sąsiedzkiej pomocy mają we krwi. Ich zwyczajna życiowa mądrość najczę-

ściej jest dużo więcej warta od naszego „filozofowania”. Czytałem np. w książkach, jak zakładać pasiekę i hodować pszczoły, ale od nich dowiedziałem się na ten temat więcej.”

Mieszkańcy okolicznych wiosek stali się więc codziennymi bywalcami domku, zwanego „Kornelówką”. Wiezorami zasiadali przy ognisku, przy którym we wspólnym kręgu siedzieli też profesorowie Uniwersytetu, Politechniki czy Akademii Medycznej. „W większości pochodzili z Kresów. Wszyscy z wielką uwagą, współczuciem i podziwem słuchaliśmy o strasznych doświadczeniach zmieniających się okupacji, o samoobronie przeciw napadom band UPA, o powojennym wygnaniu. Wielu z nich przeszło też przez piekło Syberii. W tamtych czasach była to wiedza zakazana, więc i mało znana. My ją poznawaliśmy od tych ludzi” – opowiadał Kornel.

Letni dom Kornela Morawieckiego był więc miejscem spotkań przypominających bronowickie wesele, opisane przez Stanisława Wyspiańskiego. W tym jednak przypadku doszło do najprawdziwszego zbliżenia ludzi różnych warstw społecznych i ich bardzo owocnej współpracy. Dzieci Kornela wychowywały się i z rówieśnikami z okolicznych wiosek. „Bardzo dużo możecie się od nich nauczyć” – powtarzał im Kornel. W 1979 roku wielu mieszkańców wsi włączyło się w organizowany przez Morawieckiego druk wydawnictw drugiego obiegu. Razem z pracownikami naukowymi wrocławskich uczelni wyruszyli też na szlak papieskiej pielgrzymki z transparentem „Wiara i Niepodległość”. Domy i zabudowania gospodarcze Wilczyna, Pęgowa, Zajączkowa, Gołędzinowa stały się potem punktami poligrafii podziemnej Solidarności. „Wspaniali mądrzy, sumienni ludzie żelaznych zasad. Na mało kogo można było liczyć tak bardzo, jak na nich” – wspominał swoich wiejskich przyjaciół Kornel Morawiecki.



JERZY PIETRASZKO 1954 – 2020

Jurek był tak przywiązany do swojego konspiracyjnego pseudonimu, a brzmiał on „Pedro”, że przedstawiał się nim jeszcze trzydzieści lat po wyjściu z podziemia.

Jego pierwszym aktem sprzeciwu wobec komunistycznego zniewolenia Polski było uczestnictwo we wrocławskich demonstracjach Marca 1968. Miał wtedy 14 lat. Już w tym wieku miał też spore osiągnięcia w dziedzinach, które w jego życiu odegrały dużą rolę – matematyce, turystyce górskiej i grze w szachy. Będąc uczniem szkoły podstawowej wygrywał partie z doświadczonymi zawodnikami i zwyciężał w rozgrywkach symultanicznych. Był odwrotnością graczy, do których odnosi się przysłowiowy „refleks szachisty” – jego styl polegał na zwyciężaniu w minimalnym czasie i zaskakujących rozstrzygnięciach po wykonaniu kilku ruchów. W 1972 został mistrzem Dolnego Śląska juniorów w grze błyskawicznej. Z dyscypliną tą wiązały się liczne turnieje, których zwycięzcami stawali się gracze, zadający przeciwnikom matę w ciągu kilkadziesiąt sekund. W związku z tym, że trofeami tych zawodów były nie tylko dyplomy, lecz także pieniądze, sportowe zwycięstwa owocowały dochodami licealisty, studenta a w późniejszych latach nade wszystko – ojca rodziny. W czasach, w których za antykomunistyczną, niepodległościową działalność przychodziło płacić utratą pracy – środki do życia Pedro zdobywał także wygrywając szachowe turnieje.

W 1978 ukończył studia w Instytucie Matematyki Uniwersytetu Wrocławskiego, został wykładowcą w Instytucie Cybernetyki Technicznej Politechniki Wrocławskiej. Zawsze lubił chodzić swoimi ścieżkami, co polegało nie tylko na tym, że duże połacie Sudetów znał lepiej od przewodników a także polskich i czeskich pograniczników. Polegało to także na niekonwencjonalnych analizach, oryginalnych interpretacjach, poszukiwaniach nowych punktów widzenia i sposobów myślenia. Wg legendy, przez dziesięciolecia krążącej wśród stu-

dentów, Pedro miał przedstawić rozprawę doktorską, nad którą długo łamał sobie głowy wybitni profesorowie matematyki. I nie mogąc przychylić się do przedstawionej teorii, wstrzymali się z przyznaniem tytułu naukowego. Pedro miał na to zareagować decyzją, że póki jego rozprawa doktorska nie zostanie zaakceptowana – nie zetnie włosów ani brody. Faktem jest, że wygląd jego postaci stał się bardzo malowniczy, co jednak skutkowało pewnymi praktycznymi trudnościami. Kiedy bowiem stał się jednym z „Ludzi od Kornela”, jak wszyscy obdarowani tym mianem, był zobowiązany do nabycia umiejętności podziemnego drukarza. Kornel Morawiecki zalecał bowiem, by stworzyć domowy warsztat poligraficzny i powielić paroma różnymi technikami umiał każdy konspirator. Stwarzało to bowiem sytuację, w której nawet najbardziej masowe zamykanie w więzieniach, nie było w stanie zatrzymać

wydawania niezależnych publikacji. Tym sposobem, póki na wolności przebywałby choćby jeden działacz Kornelowej organizacji, „niezniszczalny druk” działałby nadal. Pedro też drukował, ale przy którymś spotkaniu z szefem „Biuletynu Dolnośląskiego” (czy może już przewodniczącym Solidarności Walczącej?), zwrócił się do niego z pokornym wyznaniem: „Kornelu kochany, ja dla sprawy mogę robić wszystko! Nie każ mi jednak drukować! Przy sitodrukowej ramce moja broda zbiera więcej farby, niż rakla. A przy powielaczu – prędzej czy później zawsze wkręca ją obracający się bęben!” W organizacji Kornela Morawieckiego Pedro dostał więc inne zadania. Takie, w których był niezastąpiony.

Wcześniej jednak, jeszcze jako student, kolportował wydawnictwa drugiego obiegu. Wraz ze wprowadzeniem stanu wojennego reżim skorzystał z możliwości, jakie dawała forma zatrudnienia Pedra na uczelni i zakazał mu wstępu na teren Politechniki. Pedro bez reszty skupił się wtedy na działalności w kierowanej przez Kornela Morawieckiego wydawniczo – kolportażowej strukturze Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność. Kiedy na początku stycznia 1982 pojawiła się informacja, że w Olsztynie ktoś ma powielacz, który przez żadne podziemie nie jest wykorzystywany, Pedro do tego, jednego najodleglejszych od Wrocławia miast postanowił pojechać i sprzęt ten przywieźć. Pomimo godzin milicyjnych, zakazów opuszczania miejsc zamieszkania, przez dworce i miasta pełne posterunków i patroli Pedro przeszedł, przejechał i po paru dniach wrócił. Z powielaczem, który natychmiast dołączył do druku pisma „Z Dnia na Dzień”. W czerwcu 1982 należał do pierwszych, którzy weszli w skład organizacji Solidarność Walcząca. Objęty zakazem

zatrudnienia pracę znalazł dzięki temu, że w dolnośląskich górach znał każdy kamień i niemal każdego człowieka. Wtedy zaowocowało to tym, że on, naukowiec – matematyk, dostąpić mógł zaszczytu zatrudnienia na stanowisku konserwatora w Schronisku PTTK pod Łomniczką. Nie tylko posiadanie pracy było cenne, ale też wiążące się z nim prawo pobytu poza miejscem stałego zameldowania. Solidarność Walcząca w swym programie zakładała bowiem rozwój działalności także poza granicami Polski. Pedro miał swój udział w wykonaniu w tym dziele jednego z pierwszych dużych kroków. Na długo przed tym, zanim Solidarność Polsko-Czesko-Słowacka podjęła w tym zakresie aktywność równie wymierną, Solidarność Walcząca w roku 1982 rozpoczęła druk „Nazorów” – gazetki w języku czeskim. Jednym z jej pierwszych dostawców do czeskich czytelników był Pedro. Od dawna znał górskie ścieżki, którymi można było przejść przez granicę i znał ludzi, żyjących po jej drugiej stronie. Do Czech przenosił plecaki wolnego czeskiego słowa. Wracał z wiadomościami, przydatnymi do zredagowania kolejnych wydań „Nazorów” i plecakami pełnymi sztywnej tkaniny – w Polsce niemal niedostępnej a do sitodruku niezbędnej.

W następnych latach Pedro zaangażował się w kolejne formy pracy podziemnej, także tej wymagającej najwyższych standardów konspiracji. Należało do nich np. Radio Solidarność Walcząca. Powinien więc unikać „rzucania się w oczy bezpiece”, ale nie potrafił odmówić sobie uczestnictwa w ulicznych demonstracjach. W czasie jednej z nich, 1 maja 1983, został schwytany przez grupę funkcjonariuszy ZOMO, którzy okładając pałkami doprowadzili go do miejsca, w którym oddział zomowców urządził zatrzymanym „ścieżkę zdrowia” i pilnował ich przed transportem do aresztów. Rozmiary ulicznych wystąpień zaskoczyły jednak tego dnia wszystkich (do Wrocławia pospiesznie sprowadzano oddziały ZOMO nawet drogą lotniczą), maszerujące tłumy niespodziewanie pojawiały się w różnych miejscach. Czoło jednego z pochodów nagle wyszło wtedy także na skwer, na którym pałkarze pastwili się nad swoimi więźniami. Widząc to demonstranci z furią ruszyli do ataku, wywołując panikę zomowców. Dopiero co bity Pedro, otoczony towarzyszami niedoli i setkami wybawicieli, natychmiast ruszył do pościgu za oprawcami, w przerażeniu porzucającymi swój rynsztunek. Jak wspominał: „długo ich nie goniliśmy, widok zomoli, sprintujących przed tłumem wymachującym ich własnymi pałkami był dostatecznie satysfakcjonujący”.

Do początku lat dziewięćdziesiątych odmawiano mu zatrudnienia we Wrocławiu. Znajdowało się, ale tylko daleko od miasta, od którego najwyraź-

niej chciano Pedra oderwać. Pracował np. w Spółdzielni Produkcyjnej w Mianowie Wielkim. Świadczył usługi z zakresu programowania komputerowego, prac wysokościowych, udzielał korepetycji, zdobywał nagrody w turniejach szachowych. Transportował niezliczone ilości bezdebitowych druków, pisał artykuły do prasy podziemnej, głównie biuletynu „Myśl”. Pierwszą pracę zgodną ze swoimi kwalifikacjami udało mu się dostać po dziewięciu latach, kiedy to został nauczycielem w VIII Liceum Ogólnokształcącym. Trzy lata później został wykładowcą w Instytucie Matematyki i Informatyki Politechniki Wrocławskiej. Na uczelni stał się jedną z postaci legendarnych, powszechnie znaną istną „ikoną kampusu”. Słynął jako dydaktyk znakomity – wymagający, ale przyjazny. Był autorem skryptów i kilkakrotnie wznawianego i rozszerzanego podręcznika „Matematyka. Teoria, przykłady, zadania”. Kornel Morawiecki odznaczył go Krzyżem Solidarności Walczącej, premier Mateusz Morawiecki Medalem Stulecia Niepodległości, prezydent Andrzej Duda Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Pedro był świadkiem i uczestnikiem wielu historycznych wydarzeń, o których pamięć coraz bardziej się zaciera. A to dzięki niemu poznałem np. przebieg starć z milicją na Placu Grunwaldzkim 15 marca 1968. A także wiecu, którego mównicą stał się cokol pomnika papieża Jana XXIII po mszy św. w intencji zamordowanego Stanisława Pyjasa, odprawionej we wrocławskiej katedrze 25 maja 1977. W swojej książce pt. „Terryści i oszołomy” pisał jednak głównie o działalności innych (ze zdumieniem znalazłem w niej fragment nawet o mnie). Kto go spotkał – na pewno nie zapomni postaci tak barwnej, oryginalnej, niepowtarzalnej. Pedro był wtopiony w sprawy Polski i w sprawy wolności, co w jego przypadku równocześnie oznaczało daleko idącą niezależność. Miewało to czasem dość zaskakujący wymiar. Dziwiłem się np. kiedyś, że nawet przy dużych chłodach często na gołe stopy zakładał sandały. A w miarę, jak go poznawałem, zaczynałem rozumieć, że w jego przypadku jest to przejaw spójności i logiki. Jeden z bezliku przejawów niezależności własnych wyborów i odporności na cokolwiek, co wbrew jego woli zechciałyby mu narzucić czynniki zewnętrzne każdego możliwego rodzaju. Tysiącokrotnie ważniejsze jest jednak to, by zapamiętana była rola Jerzego Pietraszki w wyjątkowych aktywnościach, skutkujących rozsadzaniem monolitu totalitarnej opresji. Często była to działalność o formach unikatowych a zawsze – bardzo znacząca.

„Obywatelska”, lipiec 2020



JACEK PODLEJSKI 1953 – 2020

Pożegnaliśmy kolejną piękną postać solidarnościowej opozycji i niepodległościowego podziemia. 15 czerwca umarł Jacek Podlejski, człowiek wielu Polakom nieznany a przecież bez takich jak on totalitarny porządek trwałby do dziś.

Od roku 1980 Jacek rozpowszechniał niezależne wydawnictwa. Początkowo były nimi „Biuletyn Dolnośląski”, potem „Solidarność Dolnośląska” a następnie całe mnóstwo tytułów, wydawanych przez różne środowiska polityczne. Jacek miał własne, wyraziste poglądy, ale brał do kolportażu każdą prasę, ukazującą się poza zasięgiem cenzury. Uważał, że wszelka aktywność, wymykająca się spod kontroli władz, poszerza obszar polskiej wolności a trud każdej narażającej się na represje jednostki zasługuje na szacunek i wsparcie. Swoboda głoszenia poglądów była przecież jednym z zasadniczych celów, o które toczyła się walka. W warunkach stanu wojennego działalność Jacka oznaczała spotęgowanie ryzyka, lecz zaznaczyła się przede wszystkim coraz większą skalą i intensywnością. Praca zawodowa Jacka wiązała się z codziennym noszeniem teczek, pełnych profesjonalnej dokumentacji. Nieodłącznym ich składnikiem stały się, poukrywane w skoroszytach i mapach geodezyjnych, podziemne wydawnictwa. Ich paleta, jak zawsze, była bardzo szeroka, ale w coraz większym stopniu były to publikacje Solidarności Walczącej. Nie tylko dlatego, że mimo szczupłości swych środków organizacja Kornela Morawieckiego stawiała się drukarskim gigantem. Pełna niepodległość Polski, obalenie komunistycznego systemu i wolność narodów, uwięzionych w sowieckim imperium to był zestaw celów, z którymi Jacek się utożsamiał. Jednym z owych działań, wraz z żoną Janką prowadzonej w stale rosnącym rozmiarze, był ważny ośrodek dystrybucji podziemnych wydawnictw, w części mieszczący się w ich własnym mieszkaniu.

Jacek był z wykształcenia prawnikiem i jego zawodowe kompetencje wiele razy bardzo się przydały nie tylko do obrony krzywdzonych. W starciach z reżimem na poziomie zakładów pracy przynosiły nawet zwycięstwa ludziom Solidarności. Np. w 1987 roku we wrocławskim Przedsiębiorstwie Transportowym Handlu Wewnętrznego doprowadził do przeprowadzenia rzetelnych wyborów do Rady Pracowniczej. Dzięki temu grupa działaczy NSZZ Solidarność nie została zwolniona z pracy. Sukces ten odbił się szerokim echem jako dowód możliwości wygrywania starć z komunistami, jeśli solidarnej postawie załogi towarzyszyć będzie umiejętne sięgnięcie do paragrafów, z których trzeba umieć korzystać.

Jacka poznałem w roku 1990 w niezwykłym miejscu, którym była wtedy pierwsza jawna siedziba Partii Wolności, czyli wychodzącej z podziemia Solidarności Walczącej. Ten lokal przy ul. Kotlarskiej stanowił wówczas istną mekkę konspiratorów, najczęściej do tego czasu osobiście się nie znających, choć przez szereg lat działających w tej samej organizacji. Mieszkałem wtedy w Obornikach Śląskich, gdzie dzięki zatrudnieniu na pół etatu w domu kultury miałem możliwość wykorzystywania sali dla spotkań dyskusyjnych na temat polskich spraw. Wraz z Rolandem Winciorkiem wielokrotnie gościliśmy tam Kornela Morawieckiego a także m.in. Antoniego Lenkiewicza, Stanisława Srokowskiego, Wojciecha Ziemińskiego. Bywał na tych spotkaniach też Jacek. To od niego wielu mieszkańców Obornik po raz pierwszy dowidywało się o prawdziwym obliczu dokonywanej w Polsce transformacji. W tym o konkretnych przykładach zawłaszczania państwa i grabieży narodowego majątku. Uczestnictwo ludzi obdarzonych zaufaniem milionów Polaków w ciemnych interesach postkomunistów jest dziś powszechnie znaną, ponurą prawdą o pokrągłostołowej Polsce. 30 lat temu wielu nie potrafiło w nią uwierzyć. Dopiero po latach coraz częściej zdarzało się, że na obornickiej ulicy ktoś podchodził do mnie i mówił: „Teraz wiem, że ten prawnik, z którym było spotkanie w ośrodku kultury, miał rację, on mówił prawdę”.

Jacek był uczestnikiem wielu obywatelskich, patriotycznych inicjatyw. Odszedł od nas stanowczo zbyt wcześnie. Jego brak długo będzie bolesną stratą, bo należał do ludzi, których Polska bardzo potrzebuje a zarazem był barwną postacią, człowiekiem przyjaznym, ciepłym i zawsze gotowym służyć pomocą.

„Obywatelska”, czerwiec 2020



PIOTR RZEWUSKI 1956 – 2022

Z jak zwykle serdecznym Piotrem wielu z nas widziało się 12 grudnia na uroczystości przekazania historycznych dokumentów Andrzeja Kołodzieja do Archiwum Akt Nowych. Wydarzenie to miało miejsce w dawnej siedzibie KC PZPR, co było dla nas okazją do żartów i wesołych konkluzji. Kilka dni później stan zdrowia Piotra gwałtownie się pogorszył. 4 stycznia wstrząsnęła nami wiadomość o jego śmierci.

Urodził się w 1956 w Wołominie, od ukończenia liceum pracował w różnych zawodach, zajmując się bibliotekarstwem i blacharstwem, był też handlowcem i inspektorem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Natychmiast po Sierpniu 1980 zaangażował się w budowę zakładowej struktury NSZZ Solidarność, której następnie został wiceprzewodniczącym. 13 grudnia 1981 znalazł się w pierwszym szeregu stawiających opór komunistycznemu zamachowi na rodzącą się polską wolność. Po brutalnym złamaniu przez komunistów pierwszej fali protestów przystąpił do organizowania konspiracji. Zaczął od malowania napisów na murach i akcji ulotkowych, od 1982 do 1984, wraz z Jackiem Turskim, wydawał podziemne pismo „Druk”. Już w pierwszych miesiącach stanu wojennego, razem z kręgiem swoich współpracowników, włączył się w tworzenie jednej z najaktywniejszych i najbardziej kreatywnych formacji tego czasu – Grup Oporu „Solidarni”. Stając na czele Grupy Grochowskiej tej organizacji brał udział w konstruowaniu oraz instalowaniu takich urządzeń, jak „gadały” (głośniki emitujące antykomunistyczne audycje w ruchliwych punktach miasta) oraz pirotechniczne wyrzutnie ulotek. Dążąc do rozpowszechnienia akcji spektakularnego ich rozrzucania w wielkich ilościach rozpoczęł współpracę z grupami konspiratorów z wielu miast, m.in. Katowic, Częstochowy, Szczecina, Poznania. Kontakty wrocławskie doprowadziły do coraz ściślejzego współdziałania z Solidarnością Walczącą. Uczestniczył w demonstra-

cjach, zaangażował się też w działalność Duszpasterstwa Ludzi Pracy Warszawa Praga – Południe. 4 listopada 1982 został aresztowany przez Służbę Bezpieczeństwa. Do sierpnia 1983, kiedy objęty został amnestią z 22 lipca 1983, przebywał w Areszcie Śledczym na warszawskim Mokotowie. Po uwolnieniu natychmiast powrócił do działalności, polegającej m.in. na audycjach Radia Solidarność przeznaczonych dla więźniów tegoż samego Mokotowa, nadawanych z dachów sąsiadujących z nim kamienic. Drukowanie podziemnej prasy i inne formy niepodległościowej roboty 29 lipca 1985 przerwane zostało ponownym aresztowaniem przez SB i orzecznym przez Sąd Rejonowy Warszawa Praga – Południe wyrokiem dwóch i pół roku więzienia. Wyszedł z niego 9 września 1986 na mocy ogłoszonej wówczas amnestii. Krótco potem włączył się w działalność Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ Solidarność Regionu Mazowsze. Do kolejnych form jego działalności zaczął należeć przerzut niezależnych wydawnictw, materiałów poligraficznych a także powielacza na teren Czechosłowacji. W swojej niepodległościowej aktywności nie ustawał pomimo tego, że lata spędzone w więzieniach odbiły się na jego zdrowiu, że był przedmiotem permanentnego zainteresowania komunistycznych służb a do tego nękanie go zatrzymaniami i utrudniano stabilizację zatrudnienia. Działał bez ustanku a problemy z pracą pod koniec lat osiemdziesiątych rozwiązał zakładając własną działalność gospodarczą. Ze służbą na rzecz polskiej suwerenności i pamięci narodowej nie rozstał się do końca życia. W pookrągłostołowej Polsce nie ustawał w działaniach, mających na celu wyprostowanie koślawych ścieżek, na jakie wepchnęli ją właściciele PRL-u i ich poplecznicy. Każda kampania wyborcza oznaczała dla niego bezmiar czasu i ogrom trudu, poświęconego kandydaturze Kornela Morawieckiego oraz innych państwowców i patriotów. Wydawał gazetę „Po Prawej Stronie”, zainicjował wzniesienie w Warszawie pomnika gen. Józefa Hallera. Ubolewał nad tym, że bardzo wiele wydarzeń naszej narodowej historii jest znana bardzo słabo. Zabiegał więc o godne upamiętnienie m.in. Bitwy Warszawskiej i czynu zbrojnego Polonii Amerykańskiej. Był jednym z najaktywniejszych członków Stowarzyszenia Solidarność Walcząca. W 2014, kiedy ówczesny prezes Banku Zachodniego WBK Mateusz Morawiecki hojnie wsparł ideę utworzenia w Warszawie Memoriału Wolnego Słowa Piotr, wraz z Andrzejem Wawrzeniem, Włodkiem Domagalskim, Waldkiem Krasem i swoją skromną osobą, w inicjatywie tej reprezentował Solidarność Walczącą. Owocem jego starań było wiele patriotycznych uroczystości. Jedną z trwałych pamiątek pozostanie kamienny monument, odsłonięty przed kate-

drą warszawsko-praską, upamiętniający działalność organizacji Kornela Morawieckiego.

W rozmowach z Piotrem, których tematem często bywała historia, dotknęliśmy kiedyś też tematu jego arystokratycznych przodków. Odległych, ale noszących to samo nazwisko a nie zawsze dobrze dla Polski zasłużonych. Z tym, że ktoś z jego odległych antenatów przed wiekami postąpił źle, Piotr oczywiście nie mógł mieć jakiegokolwiek związku. Z rozmów odniosłem jednak wrażenie, że stanowiło to chyba dla niego dodatkowy napęd do tego, by swojej ojczyźnie służyć bez wytchnienia, nie licząc się z największym nawet ryzykiem, rujnowaniem swojego zdrowia czy materialnych podstaw egzystencji. Wszyscy chyba zapamiętamy Piotra jako pogodnego, choć często zmęczonego brodacza, który zamiast zatroszczyć się o wyleczenie cierpiącego biodra podpierając się laseczką ciągle biegał służąc różnym sprawom swojego kraju. W sposób jak najbardziej dosłowny urzeczywistniał dewizę „wszystko dla Polski, nic dla siebie”. Dla wszystkich, którzy go znali wstrząsem i wielkim smutkiem jest to, że jego życie, toczące się jakby właśnie pod takim hasłem, zostało przerwane tak nagle i tak przedwcześnie.

„Obywatelska” styczeń 2022



BARBARA SARAPUK 1940 – 2015 KRÓLOWA PODZIEMNEGO DRUKU

Problemem wrocławskiego niezależnego ruchu wydawniczego, burzliwie rozwijającego się w drugiej połowie lat siedemdziesiątych, były nieustanne represje, skutkujące ciągłymi konfiskatami sprzętu poligraficznego.

Kornel Morawiecki, stając w roku 1979 na czele redakcji oraz drukarzy „Biuletynu Dolnośląskiego”, wprowadził zasadniczą zmianę w metodzie przetwarzania komunistycznego monopolu informacji. Porzucił wszelkie zabiegi, mające na celu pozyskiwanie kosztownych urządzeń poligraficznych. Uważał, że powielacze czy offsety trudno zdobyć a łatwo stracić. Bazowanie na wysokowydajnych urządzeniach postrzegał też jako pewnego rodzaju pułapkę. Znał mu być bowiem sytuacje, w których jedna maszyna drukarska służyła nawet dziesiątkom tytułów niezależnej prasy. Skutkiem tego w momencie zarekwirowania przez SB jednego tylko urządzenia kończył się żywot całego szeregu wydawniczych inicjatyw. Morawiecki postanowił sytuację tę zasadniczo zmienić drogą upowszechnienia technik druku nie wymagających sięgania do jakichkolwiek trudnodostępnych urządzeń. Wskazywał, że posiadając odpowiednie umiejętności każdy może tanio i w krótkim czasie skonstruować własny warsztat drukarski ze stosunkowo nielicznych surowców i przedmiotów powszechnie dostępnych nawet w warunkach PRL-u. Wymagało to posiadania odpowiedniej wiedzy, ale przy dużej staranności każdemu, kto przyswoił tajniki takich technik poligraficznych, jak sitodruk, umożliwiało samodzielne zbudowanie od podstaw własnej małej drukarni nawet w ciągu jednego dnia. Zarazem każdy, kogo kunszt w tym zakresie osiągał odpowiedni poziom, był w stanie powielić w ciągu jednej doby nawet kilka tysięcy czterostronicowych gazetek o wysokiej jakości druku. Kluczem do takiej zmiany skali niezależnego ruchu wydawniczego, która czyniłaby go zjawiskiem niemożliwym do zwalczenia przez apa-

rat represji, było więc upowszechnienie solidnej znajomości odpowiednich technik małej poligrafii. Morawiecki uważał też, że skuteczność aparatu represji w zwalczaniu niezależnych wydawnictw wynikała z niekorzystnego stosunku sił, jakimi dysponowały obydwie strony. Wychodził z założenia, że póki na jednego drukarza przypadać będzie dziesięciu funkcjonariuszy SB, drugi obieg zawsze padał będzie ofiarą represji i w dostatecznym stopniu nie rozwinie się nigdy. A zjawiskiem o dużej skali stanie się dopiero wtedy, gdy proporcje między drukarzami i esbekami zostaną odwrócone. W związku z wyznaczeniem takiego celu w roku 1979 częścią życia Wiesława Moszczaka, Tomasza Wacko, Bohdana Błażewicza, Krzysztofa Gulbinowicza czy Antoniego Roszaka stało się nie tylko drukowanie, ale też nauczanie tej sztuki innych. Osobą, która w upowszechnianiu tej umiejętności dokonała najwięcej, była Barbara Sarapuk. Czterdziestoletnia wówczas, od 1970 zatrudniona na Akademii Ekonomicznej jako nauczyciel akademicki i programista komputerowy, miała za sobą doświadczenie wrocławskiego Marca 1968 i od 1977 roku kolportażu bezdebitowych wydawnictw. W 1981 kursy druku prowadziła m.in. w czasie robotniczych i studenckich strajków. Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego znalazła się wśród organizujących protest okupacyjny na terenie Pafawagu. Po tym, jak przez mury tego największego wrocławskiego zakładu wjechały czołgi a w ślad za nimi wtargnęły szpalery ZOMO, na 48 godzin trafiła do aresztu. Natychmiast po wyjściu na wolność dołączyła do Andrzeja Oryńskiego i Leszka Wierzejskiego, przygotowujących jedną z pierwszych gazetek stanu wojennego. Nosiła ona tytuł „Wiadomości Bieżące”, pierwszy z 244 jej numerów (nie licząc wydań specjalnych i ulotkowych) Barbara Sarapuk wydrukowała 17 grudnia 1981. Do 1989 była głównym twórcą tego jednego z najciekawszych pism drugiego obiegu. Większość jego wydań drukowała własnoręcznie (współpracownicy wyręczali ją w tym w okresach, w których była więziona) i łatwo rozpoznać można wydania, które wychodziły „spod jej ręki”. Wyróżniają się technicznym mistrzostwem, polegającym m.in. na ilustrowaniu tekstów o dziedzictwie dawnych Kresów świetnymi wizerunkami skarbów polskiej kultury.

Barbara Sarapuk uważała jednak, że dla walki o niepodległość więcej robi nie drukując, lecz ucząc drukowania innych. Nauka ta odbywała się w konspiracji, korzystały z niej wszystkie możliwe środowiska: robotnicze, młodzieżowe, studenckie, wiejskie. Kursanci nie tylko nie ponosili żadnych kosztów, ale otrzymywali w prezencie „na rozruch” własnych wydawniczych inicjatyw, te materiały poligraficzne, o które było najtrudniej: zestawy chemikaliów do

sporządzania światłoczułej emulsji (działacze Solidarności Walczącej produkowali je w laboratoriach Politechniki i innych uczelni) i zapas tkaniny szyfonowej (przemycali ją współpracownicy organizacji, zatrudnieni w czeskich fabrykach włókienniczych). Każdemu, z kim dzieliła się swoimi umiejętnościami, Barbara Sarapuk jasno artykułowała swe najważniejsze oczekiwanie. Takie, by przede wszystkim uczyli następnych. Owocem praktykowania tej zasady było wręcz lawinowe upowszechnianie zdolności łamania komunistycznego monopolu informacji.

Standardowy kurs „u Bałki” zaczynał się od technik podstawowych, takich jak powielanie z użyciem białkowych matryc. Żelaznym punktem każdego etapu tej edukacji było ćwiczenie wykorzystywania wszelkiego rodzaju substytutów. Takich, jak pisanie na przylegających od papieru ściernego woreczkach foliowych, mogących wtedy zastąpić profesjonalną matrycę. Pisanie nie tylko na maszynie, ale też odpowiednio przygotowanym gwoździem. Drukarz podziemia musiał sobie bowiem umieć radzić, sięgając do powszechnie dostępnych surogatów matrycy i potrafić przygotować ją także wtedy, gdy nie będzie miał dostępu do maszyny do pisania. Farbę drukarską uczył się robić z zabarwionej sadzą lub tuszem pasty do prania lub mączki ziemniaczanej. Te i dziesiątki innych sposobów uczestnikom kursów uświadamiały, że drukować można zawsze i wszędzie. Istnieją bowiem niezliczone ilości metod, dzięki którym nawet w warunkach największego ubóstwa środków zawsze sięgnąć można do wielu z nich. A przy odpowiedniej staranności zawsze też można uzyskiwać pokaźne nakłady o zadowalającej jakości druku. Różne warianty wytwarzanej domowymi metodami farby dają też możliwość wykorzystywania każdego papieru, włącznie z pakowym czy śniadaniowym. Tych, którzy nabyli umiejętności druku w wielu wariantach quasi – matrycowych, czekało zapoznawanie się z tajnikami techniki sitodrukowej – wymagającej dużych umiejętności, ale owocującej ogromnymi możliwościami zarówno pod względem nakładów, jak i wszelkiego rodzaju „poligraficznych cudów” w rodzaju przenoszenia na papier rysunków i fotografii, zmniejszania lub zwiększania wielkości czcionki, wprowadzania wielu kolorów itd. Tu też w grę wchodził wielki wachlarz substytutów. Kto wiedział, jak ich użyć, ten mając gołe ręce po odwiedzeniu sklepu chemicznego, znalezieniu i odpowiednim zszyciu metra nadającej się do tego tkaniny, sporządzeniu ramki (nadała się czasem i taka z obrazka na ścianie) oraz kilku podobnych czynnościach tego samego dnia dysponował warsztatem umożliwiającym drukowanie kilku tysięcy gazetek dziennie.

Wraz ze swoimi współpracownikami Barbara Sarapuk nieustannie pracowała też nad takim doskonaleniem konspiracyjnych warsztatów sitodrukowych, żeby zarazem pozwalały one uzyskiwać wyższe nakłady, możliwe były do jak najłatwiejszego samodzielnego wykonania oraz zapewniały w miarę duże bezpieczeństwo pracy. Standardy tego ostatniego kryterium podniosło wynalezienie ramki składanej. Po pracy umożliwiała ona jej rozkręcenie do postaci czterech niewinnie wyglądających rurek, kilku śrub i zacisków. Przez dobrych parę lat przetrzyskująca mieszkania konspiratorów Służba Bezpieczeństwa nie była w stanie rozpoznać w tych przedmiotach, zwykle wrzuconych do skrzynki z narzędziami, niemal kompletnego urządzenia, umożliwiającego powielenie tysięcy stron tekstu w ciągu jednej tylko godziny. Stale też doskonalony był skład chemikaliów, mogących zastąpić niemal niedostępną w czasach PRL-u profesjonalną emulsję sitodrukową. Przemycana z Zachodu pozwalała na powielenie ponad 10 tys. stron bez konieczności ponownego przygotowywania ramki do druku. Produkty z laboratoriów wrocławskich uczelni umożliwiały osiągnięcie liczby o połowę mniejszej, będącej jednak dwukrotnością tych, na jakie pozwalała większość „wyrobów domowych”. Dużym plusem sitodruku była całkowita bezgłośność pracy oraz to, że większość potrzebnych do niego urządzeń nie mogła stanowić dowodu prowadzenia nielegalnej działalności. Były nimi bowiem popularne powiększalniki fotograficzne, lampy (służące do opalania się kwarcówki, silne reflektory lub żarówki dużej mocy) a chemikalia były trudne do odróżnienia od standardowych odczynników do wywoływania zdjęć (a np. polialkohol z wyglądu był identyczny z cukrem i często jako taki był przechowywany).

Wielu uczestników prowadzonych przez Barbarę Sarapuk kursów konspiracyjnej poligrafii dochodziło do przekonania, że druk może być zjawiskiem niezniszczalnym, nieśmiertelnym. I w praktyce podziemia w dużej mierze tak właśnie było. Np. główne wydanie pisma „Solidarność Walcząca” ukazywało się w nakładzie 20 tys. egz. Powstawało ono równocześnie w kilku mieszkaniach różnych członków organizacji. Gazetka ta bez żadnych zakłóceń wydawana była nawet w miesiącach takich, jak kwiecień 1987, kiedy SB przeprowadziła rewizje u ponad stu członków organizacji, część z nich na pewien czas zamykając w aresztach. Odporność na największe nawet fale represji wynikała z dużej liczby działaczy Solidarności Walczącej, wśród których większość była świetnymi drukarzami. W przypadku więc nawet największych fal represji nigdy nie brakowało ludzi mogących natychmiast przejąć zadania uwięzionych przyjaciół.

Do dorobku Barbary Sarapuk należy m.in. przeprowadzenie ponad stu kursów drukarskich, o których można powiedzieć, że miały one „klasę mistrzowską”. Ci, którzy je kończyli, posiadali umiejętności najwyższej próby i to przede wszystkim z tego grona wywodzą się tzw. „sitodrukowi milionerzy”. Krzysztof Biezuński, Mariusz Mieszkalski, Andrzej Wawrzeń i inni uczniowie Barbary Sarapuk należą bowiem do tych, którzy ponad wszelką wątpliwość techniką sitodrukową samodzielnie wydrukowali po ponad milionie egzemplarzy podziemnych gazet. Dokonania Królowej Podziemnego Druku miały jednak swoją cenę. Po aresztowaniu w grudniu 1982 na wolność, z półtorarocznym wyrokiem w zawieszeniu, wyszła dopiero w połowie następnego roku. Od tego czasu jej życie zamieniło się w pasmo szukan, którym uchodziła gubiąc esbecką obserwację i de facto całymi miesiącami ukrywając się, by swą działalność prowadzić pod kolejnymi adresami. W kwietniu 1988 ukarano ją nie tylko wysoką grzywną, ale też konfiskatą części jej skromnego mienia, wraz z samochodem marki skoda 105. Trzy lata później, po odzyskaniu tego pojazdu, miał on już wyżarte przez rdzę wielkie dziury nie tylko w dachu, ale i w podłodze. W ślad za odzyskanym w takiej postaci samochodem przyszedł też horrendalnej wysokości rachunek za ponad tysiąc dni postoju skonfiskowanego samochodu na milicyjnym (od 1990 policyjnym) parkingu. Do umorzenia tej należności doszło dopiero w wyniku orzeczenia sądu.

Miano Królowej Podziemnego Druku, wynikające z największych zasług w jego upowszechnianiu, przez długi czas znane było głównie w środowisku działaczy Solidarności Walczącej. Zarówno historię Barbary, jak i organizacji, do której należała, z zapomnienia wydobywać zaczęły prace naukowe dr Szczepana Rudki. Ustalając listę blisko pięciuset wrocławskich pism drugiego obiegu historyk ten genezę wielu z nich odnajdywał właśnie w drukarskich kursach Barbary Sarapuk. W roku 2007 prezydent Lech Kaczyński postanowił o jej odznaczeniu Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Sama do swych dokonań nie przywiązywała dużej wagi. Mimo szybko pogarszającego się stanu zdrowia pracowała zawodowo do 65 roku życia. Po tym, jak 29 stycznia 2015 odeszła z doczesnego świata w ostatniej drodze żegnali ją redaktorzy i drukarze setek pism podziemnego Wrocławia. O tym, że była Królową Podziemnego Druku, niezależny ruch wydawniczy czyniącą zjawiskiem niezniszczalnym, nad jej grobem mówili zarówno ówczesny prezes IPN Łukasz Kamiński, jak i Kornel Morawiecki.

Przewodniczący Solidarności Walczącej uważał, że każdy opozycjonista powinien nie tylko umieć dobrze drukować, ale też samodzielnie i szybko zbudować od podstaw swój warsztat drukarski. Osiągnięcie takich kompetencji

było zadaniem każdego członka jego organizacji i obowiązywało bez względu na to, kto czym w podziemiu się zajmował. Solidne kursy druku przechodzili więc nie tylko ci, których konspirowanie polegało na drukowaniu, ale też kolporterzy, kurierzy czy radiowcy. O standardzie tym przypomniało jedno z wydarzeń rocznicowego spotkania Solidarności Walczącej, jakie miało miejsce w dwudziestą rocznicę jej utworzenia, w czerwcu 2002. Pod wrocławskim ratuszem ustawiono wtedy stoły z przedmiotami podobnymi do tych, jakie niegdysiejszym konspiratorom służyły do drukowania. Celem było powielenie własnego certyfikatu, poświadczającego ciągłe posiadanie umiejętności, nabytych w czasach podziemia. Najwięcej uwagi skupiły wtedy zmagania z drukiem Jerzego Pietraszki. Ten legendarny matematyk, nauczyciel akademicki z Politechniki Wrocławskiej, słynął m.in. z tego, że w proteście przeciw odrzuceniu jego pracy doktorskiej ogłosił, że nie będzie ścinał włosów ani brody tak długo aż tytuł naukowy zostanie mu przyznany. W latach dziewięćdziesiątych wśród działaczy Solidarności Walczącej znanym stał się list Pietraszki do Kornela Morawieckiego, w roku 1983 proszącego w nim o zwolnienie go z obowiązku kontynuowania kursu drukarskiego. Argument, że jego włosy i broda osiągnęły długość powodującą permanentne wplatanie się w rakle i rozmazywanie farby, przekonał przewodniczącego organizacji, który w tym jedynym przypadku zwolnił jej członka od obowiązku nabywania mistrzowskich umiejętności drukarskich. Na pamiętnym spotkaniu konspiratorów z roku 2002 okazało się jednak, że także ten działacz Solidarności Walczącej świetnie poradził sobie z wykonaniem pamiątkowego drukarskiego zadania.

„W Sieci Historia” lipiec – sierpień 2022



KORNEL MORAWIECKI WRESZCIE KAWALEREM ORŁA BIAŁEGO

W latach siedemdziesiątych stworzył najsilniejsze wydawnictwo drugiego obiegu w południowo-zachodniej Polsce. Po wprowadzeniu stanu wojennego najpierw był głównym organizatorem najsilniejszego w kraju, dolnośląskiego podziemia a potem – twórcą najprężniejszej konspiracji – Solidarności Walczącej.

DZIECKO WARSZAWSKICH RUIN

Wśród przodków ma poległych w patriotycznych demonstracjach roku 1861 i powstańców od gen. Langiewicza. Wystarczy zajrzeć do indeksu którejkolwiek książki, poświęconej świętokrzyskiemu obwodowi Armii Krajowej by zobaczyć, jak wiele razy pojawia się tam jego nazwisko. W regionie, z którego pochodzą Morawieccy, spędził część dzieciństwa. Żołnierze oddziału „Jędrusiów”, bohaterowie słynnego odbicia więźniów w Jędrzejowie – to w sporej części jego wujkowie i kuzyni. Sam urodził się w okupowanej stolicy 3 maja 1941. Dorastał w mieście, przemienionym przez Niemców w cmentarną pustynię wypalonych ruin. Nawet kiedy miasto zaczęło się zaludniać i odbudowywać – on widział w nim przede wszystkim cierpiące ofiary wojny – ludzi bez nóg, bez rąk czy wycieńczonych mieszkańców szop skleconych z poczerniałych od ognia desek. Bo w takich „domach” przez długie lata mieszkali tysiące warszawian. Bardziej interesowały go dyscypliny ścisłe i filozofia, ale po maturze zdawał egzaminy na studia medyczne. Zawód lekarza uważał za najpotrzebniejszy i jako lekarz miał nadzieję nieść ukojenie otaczającym go zewsząd cierpieniom. Brak jednego punktu przesądził jednak o innym biegu życia.

CENNY NABYTEK DOLNEGO ŚLĄSKA

Okazało się, że w tym samym roku można było zdawać na fizykę we Wrocławiu. W mieście i jego okolicach mieszkali już krewni i znajomi. Wraz z pejzażem dolnośląskiej stolicy, złożonym głównie z ruin takich samych, jak warszawskie sprawiało to, że zostając studentem Uniwersytetu Wrocławskiego w nowym miejscu czuł się jak u siebie w domu. Szybko odnalazł się też w środowiskach analogicznych do tych, w które zanurzył się już w Warszawie – formujących się, pomimo przeszkód stawianych przez władze, duszpasterstwach akademickich. Jak wspominał – powojenna świadomość kruchości ludzkiego losu skłaniała go do tego by, wszystko, co w życiu ważne, zrobić jak najszybciej. Ożenił się już jako osiemnastoletni student drugiego roku. Mając 32 lata był ojcem czworga dzieci. Równocześnie zrobił doktorat i w oryginalny sposób zaczął rozwiązywać problemy mieszkaniowe. W 1968 włączył się w protesty, wcale nie ograniczające się do środowiska akademickiego. Większość represjonowanych na Dolnym Śląsku była robotnikami. Walcząc o ich uwolnienie po raz pierwszy sięgnął po oręż wydawniczy. Zanim nauczył się sitodruku – jego ulotkami były odbitki fotograficzne. Tą samą metodą protestował przeciw agresji na Czechosłowację i krwawemu tłumieniu wystąpień na Wybrzeżu.

PODWROCŁAWSKI INKUBATOR OPOZYCYJONISTÓW

Żyjąc w malutkim mieszkaniu, w którym oprócz czworga dzieci i teścia zmieścić się musiała też spora biblioteka i pianino, wpadł na pomysł zbudowania domu weekendowego. Pomógł w tym mieszkający w położonym 20 km od Wrocławia Wilczynie Leśnym wujek – weteran AK i WiN Roland Winciorek. Na kupiony za grosze kawałek pola pod Lasem Pęgowskim zaczął zwozić (głównie rowerem) belki stropowe z wyburzanych wrocławskich kamienic. Jeszcze nim powstał z nich drewniany dom miejsce to stało się mekką niezliczonych przyjaciół i znajomych. Nocowano głównie w namiotach a przy ognisku, często do późnej nocy, dyskutowano głównie o sprawach Polski i jej szansach na wolność. Tu narodził się pomysł, by w czasie pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II wielkiego Polaka witac w kolejnych miejscach transparentem „Wiara i Niepodległość”. W tym też miejscu zawiązało się wiele przyjaźni, które umożliwiły stworzenie prężnych ogniw antykomunistycznej opozycji. Zaczęło być ono znane jako „Kornelówka”. Na położonym obok niej wydzierżawionym hektarze ziemi jej twórca założył pasiekę, sad, pola obsiewał zbożem,

„BIULETYN” I POCZĄTEK „DRUKU NIEZNISZCZALNEGO”

W 1979 roku Jan Waszkiewicz przekazał Morawieckiemu „Biuletyn Dolnośląski” – wydawniczą inicjatywę drugiego obiegu, nieustannie nękaną przez SB. Kornel zmienia w niej wszystko. Wprowadza żelazne zasady konspiracji powodujące, że drukarze znikają z oczu swoich prześladowców i stają się nieuchwytni. Uważa, że nie jest najważniejszy sprzęt drukarski, lecz drukarskie umiejętności, umożliwiające zastępowanie uwięzionych, odtwarzanie punktów poligrafii i czynienie wolnego druku – „niezniszczalnym”. Ruszają więc tajne szkolenia, na których kolejne dziesiątki odważnych uczą się technik, które można stosować zależnie od środków, którymi się dysponuje. Naczelne miejsce wśród tych metod zajmuje sitodruk. Podziemny specjalista-sitodrukowiec swój warsztat potrafi stworzyć z powszechnie dostępnych materiałów a jakość i wydajność osiągać nie gorszą od uzyskiwanej za pomocą powielacza. Taka zasada przynosi rewolucyjne wręcz owoce: pojawia się mnóstwo nowych drukarzy drugiego obiegu, potrafiących powielać gazetki a nawet całe książki na łatwych do zrobienia ramkach z naciągniętą na nie szyfonową tkaniną. Przestaje być problemem farba, z powodzeniem zastępowana np. farbowanym kisiellem. Nie stanowi też problemu światłoczuła emulsja, którą wytwarzać można ze składników dostępnych w sklepach chemicznych. „Biuletyn Dolnośląski” pod kierownictwem Morawieckiego przez 11 lat wydawany był z regularnością szwajcarskiego zegarka. Wokół tej inicjatywy wyrastały wciąż nowe zastępy drukarzy. Nie ujawnili się oni w czasie szesnastu miesięcy legalnej działalności NSZZ Solidarność i okazali się bezcenni po wprowadzeniu stanu wojennego.

BARDZIEJ BUDOWA STRUKTUR, NIŻ „KARNAWAŁ SOLIDARNOŚCI”

Rok 1980 zaczął się dla Morawieckiego od ataku komunistycznych służb. Coraz częściej jest śledzony i zatrzymywany. Obok leśnego domu wyrastają ambony myśliwskie, z których SB kontroluje całą okolicę. Techniczne i kadrowe zaplecze „Biuletynu Dolnośląskiego” stale się jednak rozrasta. Kiedy w sierpniu na Wybrzeżu wybuchły strajki Kornel Morawiecki po raz pierwszy zaczyna się ukrywać, poszukuje go SB. Równocześnie młodzież, w tym jego dwunastoletni syn Mateusz, w autobusach, bramach, pociągach Dolnego Śląska rozkładała powielany w maksymalnych nakładach „Biuletyn” z wezwaniem do przyłączenia się do zainicjowanego w Trójmieście protestu. We Wrocławiu wybuchł on 26 sierpnia a jego centrum stała się wrocławska zajezdnia autobusowa przy ul. Grabiszyńskiej, na teren której swą aktywność przeniósł i Morawiecki. Władze proponowały zawarcie porozumienia ze strajkującymi na Dolnym Śląsku.

Niektórym ten pomysł się podoba, skutkiem czego prawdopodobnym było pojawienie się oprócz porozumień gdańskich, szczecińskich i jastrzębskich także – wrocławskiego. Szef „Biuletynu” jednoznacznie opowiadał się za jednym porozumieniem w imieniu całej Polski.

Po zwycięstwie sierpniowych strajków został członkiem komitetu, zakładającego NSZZ Solidarność na Dolnym Śląsku, następnie wszedł w skład Zarządu Regionu. Od początku uważał, że poszerzoną sferę wolności trzeba umacniać m.in. budową niezależnych mediów. Intencjom władz nie ufał – nie tylko nie ujawnił tajnej siatki swoich drukarń, ale nadal ją rozbudowywał. W czasie I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ Solidarność został członkiem komisji Związek Wobec Zagrożeń i zalecał przygotowania do działań w warunkach konfrontacji. W kolportowanym w gdańskiej „Oliwii” „Biuletynie Dolnośląskim” opublikował przywiezione przez Mikołaja Iwanowa z Moskwy „Pośłanie do Zjazdu Solidarności”, sygnowane przez obywateli ZSRS w konspiracji formujących własne wolne związki zawodowe. Prezydium Zjazdu odmówiło odczytania tego dokumentu, ale wzbudził on poruszenie delegatów, którzy zaczęli domagać się wysłania odpowiedzi na płynące ze wschodu słowa solidarności. Owocem było Pośłanie do Ludzi Pracy Europy Wschodniej. W przezwie między turami zjazdu Morawiecki został aresztowany pod zarzutem podważania sojuszy z ZSRS. Dowodem miała być wydana przez niego gazetka w języku rosyjskim i adresowana do stacjonujących w Polsce żołnierzy. Zawierała ona kluczowe informacje na temat wydarzeniach w naszym kraju zaznaczając, że nie są one wymierzone w żaden z narodów Związku Sowieckiego. Z aresztu Morawiecki wyszedł dzięki dolnośląskiej Solidarności, która zagroziła strajkiem całego regionu. Na procesie, który wytoczono, odpowiadał z wolnej stopy.

Bliski przyjaciel, niegdysiejszy mistrz świata w pływaniu na krótkim basenie Marek Petruszewicz, którego Morawiecki przekonał do dalszego pozostawania w bliskich relacjach z wysokimi oficerami Wojska Polskiego, jesienią 1981 zaczął przekazywać alarmujące informacje. W oparciu o nie Kornel zaapelował do szefów Solidarności o przygotowania do czynnych protestów, ukrywanie bazy poligraficznej, wypłacanie z banków pieniędzy związku, przygotowanie miejsc, w których ukrywać by się mogli poszukiwani. Wielu ludzi z jego kręgu w grudniu 1981 nocowało już poza domem.

DOLNOŚLĄSKIE CENTRUM PODZIEMIA

Na atak reżimu nikt nie był przygotowany tak, jak on i jego ludzie. W nocy z 13 na 14 grudnia błyskawicznie sformowana struktura wydawniczo-

kolportażowa Regionalnego Komitetu Strajkowego wydała pierwszy „wojenny” numer pisma „Z Dnia na Dzień”. Ukazywało się ono co dwa dni, w krótkim czasie drukowany w dziesiątkach lokalizacji nakład sięgał kilkudziesięciu tysięcy. Niemal od razu ruszyła też komórka kontrwywiadu, podsłuchująca wszystkie częstotliwości, wykorzystywane przez służby, wojsko i milicję. Uruchomiona została konspiracyjna sieć komunikacji, wykorzystująca nawet łącza sztucznego satelity Oscar-7. W styczniu podjęte zostały pierwsze próby nadawania własnych audycji radiowych. W łonie dolnośląskiego przywództwa związku narastały jednak różnice zdań na temat form dalszej walki. Morawiecki był zwolennikiem koordynacji działań w skali kraju przez jeden ośrodek przywódczy. Inicjatywa Eugeniusza Szumiejki, który powołał Ogólnopolski Komitet Oporu, zostaje jednak utracona przez Bujaka i Frasyniuka. Morawiecki uważał też, że uratowane 80 milionów z funduszy związkowych służyć powinno przede wszystkim jako zabezpieczenie bytu rodzin osób represjonowanych. Liczył na to, że świadomość materialnego bezpieczeństwa bliskich umocniłaby postawy oporu. Większość nie podzieliła jednak tego poglądu. Czarę goryczy przelał sprzeciw Frasyniuka wobec demonstracji w dniach 1 i 3 maja 1982. Kiedy wybuchły one w wielu miastach – Dolnoślązacy czuli się jak dezertjerzy. Po tym doświadczeniu kilkudziesięciu ludzi, skupionych wokół Morawieckiego podjęło decyzję o stworzeniu nowej organizacji.

SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA

Nowa formacja nie oznaczała zerwania ze związkiem – współpraca trwała, ale SW podejmowała też własne inicjatywy. Jasno określony został cel: pełna niepodległość i koniec z komunizmem. Siły, które miała do tego organizacja mogły wyglądać groteskowo, ale rosnące szeregi pojawiają się w dziesiątkach miast. Łącznie wydają 147 tytułów podziemnej prasy, Radio Solidarność Walcząca pojawia się ze swymi audycjami nawet na terenach wiejskich a we Wrocławiu stają się one niemal codziennością. Ogniwa SW pojawiają się też na Litwie, Ukrainie, Krymie, Gruzji, Mołdawii. Pod skrzydła organizacji Morawieckiego trafiają młodzi ludzie, rwący się do walki zbrojnej. Niektórzy z nich już konstruowali bomby i rozbrajali patrole. Dzięki zadaniom, otrzymywanym w SW – nie doszło do tragedii a organizacja ciągle rosła w siłę. Jedyna duża wyspa, kiedy to w 1984 roku przez areszty przeszło ponad stu działaczy, jedynie zahartowała najprężniejszą konspirę w kraju. Jej nieuchwytny przywódca stawał się coraz większą legendą. Po zakrojonej na ogromną skalę akcji

PRL-owskich służb dopadły one przywódcę Solidarności Walczącej dopiero po niemal sześciu latach poszukiwań – 9 listopada 1987.

„BYĆ MOŻE NAS POZABIJAJĄ...”

Kornel Morawiecki ukrywał się w pięćdziesięciu kolejnych mieszkaniach. Spotkał się w tym czasie z ponad tysiącem działaczy podziemia. Tak, jak dla ich wszystkich, pierwsze moje z nim spotkanie pozostanie w mojej pamięci na zawsze. Poprzedzone było nadzwyczajnymi środkami ostrożności. W czasie pierwszego uścisku dłoni zostałem przedstawiony zgodnie z moim pseudonimem: „To jest Miś”. „Poznaję” – odpowiedział. Byłem zdumiony, bo jak on mógł mnie poznać, jeśli widzieliśmy się pierwszy raz w życiu? Kornel jednak świetnie wiedział, z kim się spotykał. Opowiadano mu o ludziach, działających w jego organizacji. Nasze pierwsze spotkanie przypadło w momencie, gdy znów pojawiły się ofiary „nieznanych sprawców”. Pytał m. in. o to, jak naszym zdaniem powinniśmy zareagować w sytuacji, w której zaczęliby nas po kolei zabijać. Okazało się, że jesteśmy w gronie ludzi liczących się z taką ewentualnością. „Raczej nie przypuszczam, ale nie można wykluczyć, że zaczną to robić...” – odpowiedział na moje pytanie o jego opinię na ten temat.

Dla zaangażowanych w działalność podziemną ludzi mojego pokolenia Kornel Morawiecki był w tamtych latach często postacią najważniejszą – największą legendą i najpierwszym z autorytetów. Rozmiar jego zasług dla solidarnościowego podziemia jest po prostu kolosalny. Tym bardziej wstrząsający i wręcz niepojęty był proces jego całkowitej marginalizacji w Polsce po roku 1989. Nie tylko odzierano go z dorobku, ale i nie szczędzono obelg i szyderstw. Stąd godność Marszałka Seniora Sejmu RP, jaką pełni od roku 2015, przez wielu odebrana została jako doczekane po wielu latach małe zwycięstwo prawdy i sprawiedliwości.

„Obywatelska”, wrzesień 2019



WŁODZIMIERZ STRZEMIŃSKI 1951 – 2017

POLSKA MOŻE SZEROKO ROZWINĄĆ SKRZYDŁA

Włodek pochodził ze starej rodziny o wielkich tradycjach. Przez wieki jej rodowym gniazdem był majątek ziemski nieopodal wileńskiego Antokola.

Urodził się w 1951 roku w Łodzi, w 1976 na tamtejszym uniwersytecie ukończył studia prawnicze. Przez kolejnych kilkanaście lat związany był z Wrocławiem, gdzie pracował w Zakładzie Socjologii Nauki Politechniki a następnie w Centralnym Ośrodku Metodycznym Uniwersytetu. Wyróżniał się nadzwyczajnymi talentami menedżerskimi, był mistrzem organizacji badań naukowych, doskonale władał paroma obcymi językami. Dzięki temu odgrywał dużą rolę we współpracy uczelni wrocławskich z zachodnioeuropejskimi. Zadania takie powierzano mu także w latach, w których o paszport było trudno. Wyjazdy te zawsze łączył z organizowaniem wsparcia dla walczących z komunizmem.

W OPOZYCJI PRZEDSIERPNIOWEJ

Do przyjaciół, o których często opowiadał, należał Jerzy Filak – działacz wrocławskiego Studenckiego Komitetu Solidarności, niezmordowany drukarz i kolporter, pomimo dotkliwych represji zawsze gotowy do czynnego wspierania każdej inicjatywy, służącej sprawie wolności i niepodległości. Podobnie, jak Kornel Morawiecki uważał on, że zagraniczne delegacje Włodka są wartością zbyt cenną, by ryzykować ich utratę podejmowaniem jawnej działalności opozycyjnej. Swoje artykuły, pisane dla „Biuletynu Dolnośląskiego” i innych periodyków Włodek publikował więc pod pseudonimami a zajmując się kolportażem dbał o standardy konspiracji. Oczywiście dochowywał ich także zajmując się drukiem czy transportem sprzętu i materiałów dla poligrafii. Podróżując na Zachód przemycił wydawnictwa drugiego obiegu, któ-

re dostarczał redakcjom wydawnictw polskiej emigracji. Do Polski nielegalnie przewoził otrzymywane od nich książki. Skrytki w kolejowych wagonach, które wykorzystywał dla „patriotycznej kontrabandy”, okazywały się skuteczne przez szereg lat. Wielokrotnie spotykał się z Józefem Czapskim i Jerzym Giedroyciem. To od Włodka naczelny redaktor paryskiej „Kultury” dowiedział się o poglądach i działalności opozycyjnego kręgu Kornela Morawieckiego. W późniejszych latach Giedroyc udostępniał łamy swego miesięcznika dla myśli politycznej Solidarności Walczącej i uczestniczył w pozyskiwaniu funduszy na działalność tej organizacji.

ZA NASZĄ I WASZĄ WOLNOŚĆ

W Sierpniu 1980 kolportował wezwania do czynnego poparcia strajku robotników Wybrzeża. Nazajutrz po podpisaniu Porozumień Gdańskich zaangażował się w tworzenie niezależnego związku zawodowego na Politechnice Wrocławskiej. Szansę Polski widział w zespoleniu jej sił z dążeniami innych narodów, zniewolonych tą samą sowiecką opresją. Od dzieciństwa znał tatrzańskich górali, na przekór wszystkim służbom i przeszkodom kursującym na przemysłowych szlakach nie tylko na Słowację, ale i na Węgry. O skali ich możliwości świadczyło np. to, że przez długie lata przedmiotem przemytu były przeprowadzane do Polski aż z Węgier – konie. Tatrzańskich przyjaciół Włodek nie odstraszało nawet to, że jeden z nich zginął, ugodzony w kręgosłup kulą wystrzeloną przez żołnierza Wojsk Ochrony Pogranicza. Chętnie przystali więc oni i na to, żeby przenosić także wydawnictwa Solidarności. W czasie służbowych wyjazdów na zachód Europy Włodek nawiązał kontakt także z emigracją polityczną z innych krajów obozu socjalistycznego. Prowadząc rozmowy z Mirosławem Kupczyńskim, Tarasem Kuzio i innymi przedstawicielami wychodźstwa ukraińskiego starał się przekonać ich do współdziałania, dla którego niezbędne jest jednak uznanie prawdy o tragicznej przeszłości.

NA FRONCIE WOJNY POLSKO-JARUZELSKIEJ

Po wprowadzeniu stanu wojennego zaangażował się w działalność wydawniczo-kolportażowej siatki Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ Solidarność Dolny Śląsk, na czele której stał Kornel Morawiecki. Równocześnie, wraz z Andrzejem Janaszewskim, zaczął redagowanie i wydawanie ukazującego się w Łodzi pisma „Nasza Prawda”. W 1982 został członkiem Solidarności Walczącej, której oddawał duże usługi m.in. jako osoba nadal delegowana przez swego pracodawcę do wizyt w krajach Europy zachodniej. W cza-

sie jednego z takich wyjazdów, w roku 1983, wraz z Ewą Zając uruchamiał działalność przedstawicielstwa organizacji na terenie Szwajcarii. Utrzymywał łączność z Andrzejem Wirgą, przedstawicielem SW w RFN. W zachodnich Niemczech spotykał się m.in. ze zbiegłym z PRL-u byłym oficerem kontrwywiadu SB Wiesławem Jurkiewiczem, od którego uzyskiwał informacje o szczegółach technik pracy operacyjnej PRL-owskich służb specjalnych. Wiedza ta była następnie wykorzystywana przez Kontrwywiad Solidarności Walczącej. Owocem spotkań z obcokrajowcami, znającymi z autopsji realia wojny afgańskiej, był cykl artykułów na ten temat, opublikowanych na łamach prasy Solidarności Walczącej w 1986 roku. Prawdopodobnie nie poznamy już szczegółów, związanych z regularnym przemytem mikrofilmów z podziemnymi wydawnictwami oraz, w przeciwną stronę, materiałów i podzespołów, zamawianych dla potrzeb konspiracji. Zapewne Włodek polegał tu na współpracy z zaufanymi, nieznanymi nam kolegami.

Włodek dobrze znał świat, w tym wielu liderów zachodnioeuropejskiej nauki i biznesu. Wiele razy powtarzał, że my też moglibyśmy rozwijać swój kraj na miarę tych, które w świecie przodują. Wymieniał znanych mu polskich wynalazców, dzięki którym w Szwajcarii, Włoszech czy Niemczech rozkwitały nowe technologie. Uważał, że Polska też może szeroko rozwinąć swoje skrzydła.

WYKORZYSTAĆ HISTORYCZNĄ SZANSĘ POLSKI

Jego stosunek do kształtu przemian, zainicjowanego w końcówce lat osiemdziesiątych, był pełen sceptycyzmu. Uważał jednak, że Polska powinna wykorzystać wszystkie szanse jej gospodarczego rozwoju. W kilku przedsiębiorstwach z powodzeniem podjął się dużych zadań menedżerskich. Najwięcej satysfakcji dało mu wdrożenie zmian w kruszwickich Zakładach Przemysłu Tłuszczowego, gdzie udało się uratować liczne miejsca pracy i zapewnić stałą dochodowość przedsiębiorstwa. Był zdania, że Polska może rozwinąć branżę wysokich technologii. Stąd z ubolewaniem przyjmował wyprzedaż zakładów, które mogłyby stanowić podstawę przyszłościowych sektorów gospodarki. W roku 2006, wraz z Bronisławem Wildsteinem, dążył do gruntownych zmian w Telewizji Polskiej. Zwolniony po przegranych przez PiS wyborach z roku 2007 przez osiem lat nie mógł znaleźć stałej pracy. Zarabiając na życie różnymi zajęciami dorywczymi nadal był aktywny w działalności społecznej. Wraz z żoną, z którą miał troje dzieci, włączył się m.in. w aktywności na rzecz wyjaśnienia i upamiętnienia katastrofy smoleńskiej. W środowisku osób pielęgnujących

jących pamięć o narodowej tragedii z 10 kwietnia 2010 roku wielką rolę odgrywała właśnie jego żona. Doskonale mówiąca w kilku językach przez szereg lat wyjaśniała istotę tego wydarzenia obcokrajowcom, pojawiającym się przed warszawskim pałacem prezydenckim. W tym też czasie zapadła na nieuleczalną chorobę. Towarzyszką swojego życia Włodek opiekował się do końca jej dni.

Ostatni raz rozmawiałem z Włodkiem na Cmentarzu Powązkowskim, tuż po pogrzebie jego żony. Wcześniej wydawał się być przygotowanym na jej śmierć. Wiele razy od niego słyszałem: „Dbaj o swoją żonę. Moja jest umiarkująca...” Po wypowiedzeniu słów współczucia umówiliśmy się na spotkanie, które miało mieć miejsce w najbliższych dniach. Z tym większym wstrząsem kilka godzin później przyjąłem nie mieszczącą się w głowie wiadomość, że Włodek zmarł. Odszedł nagle, w dniu pogrzebu własnej żony.

Za wielką szansę Polski Włodek uważał Mateusza Morawieckiego jako uczestniczącego w rządzeniu krajem. Powtarzał, że każdy patriota i państwowiec powinien zrobić wszystko, by wspierać stojącego na czele resortów gospodarczych. Proponował uruchomienie wszelkiego rodzaju kontaktów prywatnych, które mogłyby stanowić zaplecze eksperckie, doradcze czy kapitałowe, mogące służyć realizacji śmiałych projektów. A kto takich nie ma – powinien każdego dnia stawać po stronie wicepremiera w swoich środowiskach, na łamach wszelkiego rodzaju forów internetowych czy w mediach społecznościowych. Sam pragnął pomagać ze wszystkich swoich sił. Jego pogrzeb wypadł jednak właśnie na grudniowy dzień roku 2017, w którym premier Mateusz Morawiecki wygłaszał w Sejmie przemówienie programowe swojego rządu.

„Obywatelska”, grudzień 2017



CEZARY SZARUGIEWICZ

W czasach szkolnych słynąłeś z zainteresowania Armią Krajową i działalność w harcerstwie.

Jedno łączyło się z drugim. W ZHP najbardziej interesował mnie ten jego nurt, wyznaczony przez tradycję niepodległościową. W całym polskim skautingu, aż do czasów jego zniszczenia przez komunistów, tych wszystkich bolszewickich wynaturzeń w rodzaju „czerwonego harcerstwa” i innych HSPS – ów, był on przecież jego istotą. Zawsze ogromne wrażenie robił na mnie wkład harcerzy w odzyskanie niepodległości, w jej obronę nie tylko w roku 1920, ale i w 1939. Bo harcerstwo czasu wojny to nie tylko Szare Szeregi, to okupiony wielką liczbą ofiar udział w obronie przed agresją niemiecką i sowiecką. Rozpoczynając w latach siedemdziesiątych działalność w harcerstwie spotkałem w nim dostatecznie dużo ludzi rozumiejących jego istotę tak samo, jak ja. Były w ZHP pewne przestrzenie możliwości formowania postaw właśnie niepodległościowych.

Uczestnictwo w ZHP było jednak postrzegane jako rodzaj kompromisu z panującym w Polsce porządkiem.

W dość dużej liczbie przypadków było wręcz odwrotnie. Ta masa książek o Armii Krajowej, która ci się zapewne wiele razy rzucała w oczy, to nie była scenografia. Te książki służyły do formowania młodych harcerzy właśnie w duchu Orląt Lwowskich, zastępów walczących w obronie Śląska, Pomorza czy Grodna, w oddziałach Powstania Warszawskiego. I może też było z tym tak, jak ze stosunkiem do służby wojskowej, będącej w latach osiemdziesiątych przedmiotem sporu. Ruch Wolność i Pokój uważał wtedy, że należy jej odmawiać. A przynajmniej ta część Niezależnego Zrzeszenia Studentów, z którą byłem związany uważała, że niepodległa Polska potrzebować będzie silnej armii a więc i wielu dobrze wyszkolonych żołnierzy. Oczywiście prawdą jest, że lwia część kadry tzw. Ludowego Wojska Polskiego oddana była nie polskim intere-

som. Wielkopolscy i śląscy powstańcy żołnierki nauczyli się w armii niemieckiej, którą potem pokonali. Oficer carskiej armii Romuald Traugutt został jednym z naszych największych narodowych bohaterów. Świadomi ludzie potrafią w odpowiednim momencie odwrócić lufy karabinów we właściwym kierunku. My takich ludzi formowaliśmy w naszej malutkiej harcerskiej, niepodległościowej enklawie. Poza tym współpracowaliśmy z Uczniowskim Komitetem Odnowy Społecznej, coś tam publikowałem w „Quo Vadis” i w „Ukosem”.

Stan wojenny takie możliwości przekreślił.

Jedną z inicjatyw, które próbowałem realizować w 1981 roku, było niezależne pismo harcerskie „Skaut”, które redagowałem wraz z Pawłem Oranowskim. Jego wydawanie, tak jak wszystkie dążenia do stworzenia na większą skalę tego ruchu harcerskiego, o który nam chodziło, zostało przerwane wprowadzeniem stanu wojennego. A to, co zrobiono z naszą harcówką, uświadomiło nam, że wcześniejszej przestrzeni wolności już nie będzie. W czasie rewizji skonfiskowano nam bowiem nie tylko sprzęt radiowy, ale nawet wszystkie saperki. W zasadzie powinniśmy sobie to poczytywać za komplement, bo argumentem za ich skonfiskowaniem miała być potencjalna możliwość zaostrenia ich krawędzi, celem wykorzystania jako broni białej, umożliwiającej zadawanie cięć i ciosów. Czyli – zakwalifikowali nas jako przeciwników, którzy mogą być niebezpieczni, mogących się zdobyć na zbrojną walkę. I sądząc po tym, czym się zajmowali niektórzy z naszej drużyny, trochę racji w tym było. Np. Wojtek Stando, zanim trafił do Solidarności Walczącej, zaczął konstruować bomby. I to na bazie prawdziwych, wojskowych materiałów wybuchowych, pozyskiwanych z min przeciwczołgowych i przeciwpiechotnych. Mnie już jednak przy tym nie było. Chwalić Boga, że Wojtek nie wyleciał przy tym w powietrze.

W momencie wybuchu stanu wojennego byłeś w klasie maturalnej. Mieszkałeś przy ul. Grabiszyńskiej...

Tak, przy ulicy będącej jedną z głównych wrocławskich aren grudniowych wydarzeń. Wzdłuż Grabiszyńskiej ciągnęły się mury zakładów, które rozpoczęły wtedy strajk: Fadromy, Hutmenu, FAT-u, Elwro. Gromadziły się pod nimi tłumy, atakowało je ZOMO. Oczywiście też tam byłem. W pewnym momencie uświadomiłem sobie, że najlepszym, co mógłbym zrobić, byłoby chyba zrobienie możliwie wielu fotografii tych wydarzeń. Bo działa się sporo a niko go z aparatem tam nie widziałem. W radiu, telewizji i w obwieszczeniach zresztą informowali, że robienie zdjęć jest zabronione, zagrożone jakimiś dość po-

ważnymi sankcjami. No ale podjąłem próby utrwalania tej historii, wystawiając obiektyw spomiędzy guzików kurtki. A mieszkalem prawie naprzeciwko Fadromy, pod którą działo się wyjątkowo dużo. Ten zakład był przez wojsko i milicję zdobywany aż trzy razy. Właśnie w czasie jednego z tych szturmów pomyślałem, że najlepiej będzie to sfotografować z okien korytarza jednego z dziesięciopiętrowych bloków, stojących po drugiej stronie ulicy. Właśnie utrwalalem całą serię bardzo znamiennych obrazów, kiedy zaskoczyli mnie zomowcy, którzy zeszli po schodach z góry, więc musieli wjechać windą. Chyba ktoś z ich dowódców zadbał o to, by takie „świadcstwa zomowskiej chwały” utrwalane nie były. Po chwili siedziałem we wnętrzu milicyjnej więźniarki. Marżłem w niej sam jeden ładnych parę godzin aż zaczęli do niej ładować robotników, aresztowanych w czasie tłumienia strajku w Fadromie. No i wyglądało to dość głupio – oni wszyscy się znali a ja nie wiadomo kto. Zawieźli nas na Świebodzką, której areszty chyba pękały w szwach, dłuższy czas marżliśmy pod gołym niebem, potem zaczęli nas upychać w przepełnionych celach. Kiedy po kilku godzinach prowadzili mnie chyba na przesłuchanie nagle, w korytarzu zobaczyłem jakąś znajomą twarz. Był to sąsiad z tego samego bloku, w którym parę pięter wyżej mieszkalem prawie od urodzenia. Nie wiedziałem o nim nic, poza tym, że to jeden z tych, którym „od zawsze” mówiło się „dzień dobry”, spotykając w windzie czy mijając w bramie. Nigdy nie zastanawiałem się, kim jest i gdzie pracuje i na jego pytania, z jakiej przyczyny wpadłem w ręce milicji odpowiadałem w krańcowym zdumieniu. Skończyło się jego stwierdzeniem, że jeśli chodzi tylko o fotografowanie to nie powinno być źle.

Było zakazane, coś za to groziło, no ale samo w sobie nie oznaczało żadnej działalności.

Chyba dzięki temu udało mu się przekonać swoich znajomych, bo następnego dnia mnie wypuścili bez jakiegokolwiek rozmowy i bez żadnych papierów. Nigdy się nie dowiedziałem, kim on w końcu jest, choć że jakimś funkcjonariuszem MSW raczej na pewno. Nie wiem, ile mu zawdzięczałem, ale bez jego pomocy jakieś kłopoty bym raczej miał. W stanie wojennym sporo ludzi skazywali za byle co i za byle co z wilczym biletem wyrzucali ze szkoły. Różnie mogło być. Z tym człowiekiem nigdy więcej o tym nie rozmawiałem, choć nadal mieszkaliśmy w tym samym bloku no i od tego czasu wiedziałem, że mieszka w nim ktoś taki.

A uważać na takich powinienes, bo szybko zacząłeś coś robić.

Znałem się bardzo dobrze z Rafałem Pestkowskim, który już na samym początku 1982 roku kolportował duże ilości prasy, wydawanej przez RKS NSZZ Solidarność Dolny Śląsk. Włączyłem się w ten kolportaż i on był takim sposobem na docieranie do ludzi, którzy chcieli robić coś więcej. Prasę rozpowszechniało się wśród ludzi, których się znało. Niektórzy chcieli jej więcej, rozprowadzali też tytuły płatne, więc było wiadomo, że sprzedają, że to raczej na pewno idzie tak, jak trzeba. O roli samego Rafała wtedy nie wiedziałem wiele poza tym, że ma dostęp do dużej ilości tej prasy, do kolejnych tytułów. Dopiero po latach dowiedziałem się, że jest to działalność na dużą skalę, że w strukturach odgrywał dużą rolę. Choć można się tego było domyślić wcześniej, bo kiedy zaczęliśmy tworzyć grupę, której nadaliśmy nazwę „Baszta”, on był w stanie załatwić nie jedno potrzebne do druku.

Czym była „Baszta”?

Tak pół – żartem to być może była to pierwsza podziemna firma usługowa. Ale może jednak nie do końca – żartem. Kiedy już siedziałem trochę w tym kolportażu to zacząłem myśleć, co by tu robić większego a zarazem rozsądnego, przystającego do potrzeb i oceny sytuacji. Moja ocena była taka, że ta sytuacja, jaka powstała po wprowadzeniu stanu wojennego, może potrwać jeszcze bardzo długi. Czyli wniosek pierwszy – trzeba zbudować coś trwałego. A jeśli coś ma działać przez dziesięciolecia to nie może bazować na entuzjazmie czy tylko ofiarnym zaangażowaniu i trzeba pomyśleć o jakichś mechanizmach, które by taką strukturę uczyniło zdolną do pracy permanentnej i bezterminowej. Równocześnie, jak i nikt z moich współpracowników, nie miałem ambicji tworzenia własnego programu politycznego. Jakiś swój pogląd oczywiście miałem, tymi sprawami się wtedy żyło. Zadowalało mnie jednak choćby samo wspieranie Solidarności Walczącej, której chodziło dokładnie o to samo, co mi. Po co więc mnożyć byty? Z kolei na pełne wtopienie się w strukturę organizacji Morawieckiego nie zdecydowaliśmy się, bo chcieliśmy zachować trochę swojej autonomii. Z dzisiejszej jednak perspektywy ta nasza organizacja da się zakwalifikować jako jeden z może nieco odleglejszych fraktali Solidarności Walczącej. Bo ta współpraca była bardzo wymierna. Dla SW drukowaliśmy nawet parę numerów „Biuletynu Dolnośląskiego”.

Brałeś też udział w tworzeniu Niezależnej Oficyny Studenckiej.

NOS był inicjatywą jeszcze ściślej związaną z Solidarnością Walczącą. W jej tworzeniu bezpośredni i duży udział brali członkowie tej organizacji – Da-

rek Olszewski, Krzysiek Zwierz. I pomoc SW była bardzo duża. To sam już wiesz – to do twojego domu trafił powielacz, użytkowany wcześniej przez Bohdana Błażewicza a po trzech latach, w obawie przed spodziewaną wtedy wizytą panów z SB, wziął go Tomek Białaszczyk. Czyli, że trafił wtedy do „Baszty”. Dla mnie NOS był też okazją wydawania nowego pisma, o jakim myślałem od dłuższego czasu. Takiego, które miało połączyć NZS-y Politechniki i Uniwersytetu. To był właśnie nasz „Goniec”, który niestety ukazywał się dość krótko.

Sądząc po aktywnościach, jakim dużą część życia poświęcasz od ponad trzydziestu lat, działalność w podziemiu była jakby rozpędem do następnych, dość analogicznych przedsięwzięć.

Jeśli się coś robi to musi mieć to jakąś przyczynę. Z jakiegoś powodu włączało się w działalność podziemną, dążyło do skruszenia totalitarnego systemu, do Polski niepodległej. Po 1989 roku sporo się zmieniło, ale więcej – pozostało do zmiany, do zrobienia. W konspirze nie miałem żadnych ambicji politycznych. Co innego bym wtedy robił, gdybym je miał. Potem ich też nie miałem, ale została mi wola pracy dla kraju. Może nie wielkiej, ale wymiernej...

Konkretnie, jak na inżyniera przystało. W Jagielnicy, w której masz drugi dom, stałeś się lokalnym liderem, animatorem wielu aktywności. Stworzyłeś grupę rekonstrukcji historycznych, budujesz kolekcję historycznych pojazdów wojskowych, broni i mundurów, publikujesz książki na ten temat. Nieustannie jeździsz za obecną wschodnią granicę z różnorodną pomocą.

Jak po studiach trochę stanęliśmy na nogach, przy okazji jednej z budów trafiła się okazja kupienia kawałka od dawna już nieużywanego wiejskiego gospodarstwa. Zajmuję się zawodowo budownictwem, więc powoli powstawał tam nasz drugi dom. I równocześnie zaprzyjaźniliśmy się z wieloma mieszkańcami tego zakątka Polski.

Ta przyjaźń w Twoim wydaniu to są harcerskie rajdy i obozy wiejskiej dzieciarni, jej uczestnictwo w zjazdach rekonstruktorów historycznych. Nawet gazetkę lokalną tam uruchomiłeś. A oprócz tego już od dziesięcioleci wozisz za wschodnią granicę nie tylko pomoc dla tamtejszych Polaków, ale też specjalne materiały budowlane, przeznaczone do ratowania tamtejszego dziedzictwa. Sam tam to robisz i tamtejszych ludzi tego uczysz. Wieloraka a ogromna, nieustająca praca a wykonywana bez rozgłosu. Jak kiedyś w podziemiu.

W podziemiu interesowały mnie rzeczywiste dokonania a rozgłos mógłby im tylko zaszkodzić. Dziś też nie jest mi potrzebny. A w gruncie rzeczy i wtedy i teraz chodzi o to samo. O Polskę, o jej przyszłość, ale i dziedzictwo, o które troska jest naszym obowiązkiem.



GRAŻYNA ŚLĘZAK-ADAMSKA

Dla wielu spore znaczenie ma rodzinna historia. Jak z tym jest u ciebie?

Moja mama pochodziła z Mąkoszyc, leżących na północ od Sykowa. Bardzo długo nie była skłonna do dzielenia się wspomnieniami. Za dużo było w nich chyba strasznych wydarzeń. O tragicznej śmierci jej siostr wiedziałam, ale dopiero po wielu latach zaczęła opowiadać o apokaliptycznych obrazach wojny, która przetoczyła się przez świat jej dzieciństwa. O przerażeniu, zniszczeniach, polach zasłanych trupami, fragmentach ciał wiszących na drzewach. O zamianie jednego okupanta na drugiego, który przez długi czas wcale nie był lepszy. O powojennej bezdomności, kiedy dach nad głową rodzina mamy, zresztą nie jedyna, zawdzięczała księdzu, który dał im dom we własnej plebanii. Dużo więcej dowiadywałam się o rodzinie mojego taty. Jego ojciec pochodził z Zamojszczyzny, wraz z dwojgiem braci w 1920 walczyli z bolszewikami, za co wszyscy trzej dostali po sporym kawałku ziemi w okolicach Lwowa. Mój dziadek poznał się tam z moją babcią i zamieszkał w Nagorzanach, z których do lwowskiego Rynku można było pieszo dojść w jedną godzinę. Działął w straży pożarnej i różnych stowarzyszeniach, zbudował Dom Ludowy.

Wspominał wojnę z bolszewikami?

Umarł niestety kiedy miałam trzy lata, ale całe mnóstwo tych opowieści przekazywał mi mój tato. Dziadek musiał opowiadać bardzo dużo, bo kiedy odwiedzał nas mieszkający w Krakowie brat ojca to przywoływali dziesiątki wspomnień. Byli ogromnie dumni ze swojego ojca i rzeczywiście miał mnóstwo niesamowitych frontowych przeżyć i bardzo się na tej wojnie zasłużył. A wojskowe doświadczenie przydało się, kiedy w czasie następnej wojny Nagorzanom zaczęły zagrażać bandy UPA. Uczestniczył w samoobronie, która się dobrze zorganizowała, uzbroiła, niemal ufortyfikowała, czuwała nad bezpieczeństwem, ileś razy odparła próby napaści.

Na Sybir rodziny ojca Sowietów nie wywieźli?

W pierwszej kolejności wywozili rodziny osadników wojskowych. A dziadek zamieszkał nie na tej ziemi, którą dostał, ale w wiosce babci. Do tego kiedy do pociągów pognali rodziny obydwu braci mojego dziadka to w bałaganie, jaki się tam wytworzył, rodzina brata mojego dziadka do tej wywózki zgłosiła się jakby dwa razy. Bolszewik nadzorujący tę deportację w swoich papierach odnotował, że do wagonu weszły trzy rodziny Ślęzaków a nie dwie. Do czerwca 1941 roku, kiedy okupanta sowieckiego zastąpił niemiecki, nikt z tych Ruskich w tym niedopatrzaniu się nie zorientował. A wywiezieni na Sybir trafili w miejsca fatalne. Większość krewnych stamtąd już nie wróciła.

Miałś w rodzinie żołnierzy Armii Krajowej i uczestników powojennego Powstania Antykomunistycznego.

Tak, jak mówiłam, dziadek pochodził z Zamojszczyzny. Mój ojciec miał tam mnóstwo wujków, kuzynów. Wielu trafiło do oddziałów AK, przynajmniej jeden zginął w walce z Niemcami. O innych było wiadomo, że walczyli jeszcze w 1946 – 47 roku. Do mojego ojca jakieś wiadomości o nich wtedy docierały, ale w tym czasie mieszkał już na drugim końcu Polski, w Konotopie niedaleko Zielonej Góry. O tym, jak i kiedy cioteczni bracia ojca ginęli w walce z komunistycznymi okupantami, od kilkunastu lat dowiadujemy się z publikacji IPN-u.

Kontakt z opozycją miałś dość wcześniej?

W 1977 roku, byłam wtedy uczennicą V LO, moim nauczycielem został Olek Gleichgewicht. Zanim został odsunięty od pracy w szkole stał się w niej dużą sensacją i zdążył z nami nie tylko porozmawiać na tematy w PRL-u zakazane, ale i zaprosić do wrocławskiej katedry na mszę świętą za właśnie zamordowanego Stanisława Pyjasa. Chyba właśnie wtedy zorientowałam się, że w niektórych kościołach, np. Najświętszej Marii Panny, odprawiane są msze w różnych patriotycznych intencjach, że skupiają one formujące się środowisko rzeczywistego sprzeciwu. Jeszcze większe wrażenie zrobiły na mnie wydawnictwa drugiego obiegu – „Podaj Dalej”, potem „Biuletyn Dolnośląski”. Oczywiście od dziecka otoczona byłam niemal wyłącznie ludźmi nie cierpiącymi narzuconej Polsce władzy. W mojej rodzinie wszyscy byli gorliwie praktykującymi katolikami. Z konkretną aktywnością, wymierzoną w reżim, spotkałam się jednak dopiero wtedy. I odkrywałam, że działacze opozycji to nie tylko jacyś dysydenci ze stolicy, którymi podniecała się Wolna Europa, ale że na coraz większą skalę takie rzeczy dzieją się w moim mieście. Wkrótce też przekonałam się, że działający we Wrocławiu są często kontynuatorami prawdziwej tradycji nie-

podległościowej a nie, jak to często było w Warszawie, członkami partyjnej nomenklatury, którzy popadli w niełaskę.

I że w ich sprzeciwie chodzić im może raczej o powrót do fruktów władzy?

Aż tak mądra to ja wtedy nie byłam. Jeśli jednak ktoś wywodził się z rodzin od pokoleń bez reszty oddanych wrogom Polski, w PRL-u doskonale urządzo-nych, z wujkami na świecznikach różnych organów, to elementarna logika podpowiadała mi przynajmniej odrobinę nieufności. Naprawdę mądrzy to byli ci, którzy te salonowe elity od początku nazywali farbowanymi lisami, Judaszami. Takie oceny słyszałam jeszcze przed Sierpnem. Powtarzali je często niespecjalnie wykształceni, ale życiowo mądrzy ludzie. Okazało się, że mieli rację.

Jakie wspomnienia wiążesz z początkiem stanu wojennego?

Mieszkałam tuż przy Fadromie, zakładzie który w grudniu 1981 był przez wojsko i milicję szturmowany trzykrotnie. Nawet, gdybym nie chciała, musiałam być świadkiem przynajmniej części wydarzeń pod fabrykami w tej części miasta. Te kolumny czołgów, łomot pozorowanych ataków w środku nocy, tłuczenie pałami kogo popadnie, włącznie z kobietami, które swym mężom, synom czy braciom niosły jedzenie do strajkujących zakładów to była niezła lekcja komunizmu. W następnych miesiącach właśnie ta dzielnica, w której się wychowałam, stała się areną większości demonstracji i zaciekłych starć. Tam nikt nie byłby w stanie się z tego wyłączyć, bo nawet jak wszystko ucihmło to ulice i podwórka okupowane były przez ZOMO a w bloku, w którym mieszkałam, gaz łzawiący utrzymywał się tygodniami.

Oprócz uczestnictwa w manifestacjach zaczęłaś też pomagać podziemiu...

Zaczęło się od przechowywania różnych rzeczy dla paru znajomych. Jednym z nich był student Politechniki Mirek Mikołajczyk, któremu potem pomagałam w drukowaniu w czymś malutkim mieszkanku przy placu, noszącym wówczas imię PKWN. Potem doszło do tego noszenie wydruku do Księgarni pod Arkadami i odbieranie stamtąd paczek, które trzeba było komuś przekazać. Pracujący tam prowadzili coś w rodzaju skrzynki kontaktowej. Pamiętam, że miła pani miała na imię Irena a z takim bardzo poważnym panem, o którym nawet nie wiem, czy tam pracował, ale często tam był, w jakichś konspiracyjnych sprawach jeszcze się spotykałam. Nie potrafię sobie już dziś przypomnieć jego imienia. Do mojego pokoju coraz częściej trafiały różne rzeczy, o których przechowanie prosili mnie ci nasi wspólni znajomi, dzięki któ-

rym w końcu poznałam się i z tobą. Pojęcia nie miałam, komu one służą. Najzabawniejsze jest to, że w tamtych latach codziennie słuchałam sobie Wolnej Europy, z której dowadywałam się m.in. o rewizji w mieszkaniu Dariusza Olszewskiego i jego amerykańskiej żony Donny Kersey. A błęego pojęcia nie miałam, że oni mieszkają po drugiej stronie ulicy Grabiszyńskiej a duża część rzeczy, które miałam w domu, są u mnie właśnie po to, żeby nie było ich u nich.

Z samymi Olszewskimi nie miałaś wtedy jednak kontaktu?

Absolutnie żadnego. Darka pierwszy raz spotkałam dopiero w 2007 roku w pociągu, którym jechaliśmy do Warszawy na obchody XXV rocznicy Solidarności Walczącej. W latach osiemdziesiątych ani nie próbowałam ani nie byłam w stanie się domyślić, komu służą rzeczy, które mam u siebie w pokoju czy w piwnicy. Te Darkowe stanowiły chyba zresztą tylko ich część.

Jakie rzeczy przechowywałaś?

Często nie wiedziałam co. Grzegorz czy Jurek Gruby przekazywali mi wyławiane czymś torby, walizy, plecaki. Kiedyś z jednego wystawały lampy, więc się domyśliłam, że sprzęt do sitodruku. Raz jeden z klamotów, wypełniających siatkę, przypominał pistolet. Ale było to urządzenie jakby do wstrzeliwania małych gwoździ. Zapewne służyło komuś do zszywania książek. Od pewnego momentu było tego tyle, że mi się to w moim pokoiku nie mieściło a rodziców na zawal serca też nie chciałam narażać. I wtedy mnie olśniło. Przypomniałam sobie, że mieliśmy taką „nadprogramową” piwnicę. Bo kiedy moi rodzice wprowadzali się do tego bloku to zauważyli, że chyba przez pomyłkę budowlańcy zrobili w nim o jedną piwniczną komórkę za dużo. Mój tato zamknął ją wtedy swoją kłódką i okazało się, że nikt nigdy do niej nie rościł sobie żadnego prawa, nikt się o niej nie dowiedział. Od pewnego momentu zaczęła ona mi służyć jako magazyn rzeczy podziemia. Luksusowy, bo nawet gdyby bezpieka zrobiła rewizję w mieszkaniu i piwnicy to przecież w tej „oficjalnej”. A o „nieoficjalnej” nie wiedziała nawet większość sąsiadów. Rola takiego „magazyniera” miała też taki plus, że w miarę na bieżąco byłam z podziemną literaturą. Na kupowanie książek pieniędzy za bardzo nie miałam a przez dłuższy czas trafiało do mnie mnóstwo wydawnictw, nie zawsze dokładnie zapakowanych.

Tę twoją piwnicę oczywiście znam świetnie, ale z tym jej konspiracyjnym luksusem to bym nie przesadzał. W połowie lat osiemdziesiątych trafiały do niej rzeczy z kilku źródeł. Nie tylko z Solidarności Walczącej, ale też z NZS-u, do tego prawie wszystko, czego w swej pracy potrzebowała i co

zdołała wydrukować Niezależna Oficyna Studencka. Wprawdzie wiedziało o niej grono bardzo wąskie, ale obawiałem się, że może jednak o parę osób za dużo.

Tak, ale to jednak było nie do uniknięcia. Przez jakieś sześć lat ciągle coś w niej było, często dużo. No i ci użytkownicy się zmieniali. W 1986 Darek Olszewski wyemigrował do Stanów, ale niemal równocześnie do jednej z najbliższych kamienic wprowadzili się Teresa i Krzysiek Zwierzowie, od których też się często coś przynosiło. No i ty zacząłeś regularne podróże do Gdyni.

W tych bardziej ryzykownych ty razem ze mną...

Niektóre pamiętam z zabawnych sytuacji. Któryś razem pani, u której spotykaliśmy się z takim jakby nieco narwanym Bolkiem, przeraziła się nie na żarty. Bo z tego, co on opowiadał rozumiała, że my jesteśmy terrorystami. I że być może udostępniła swoje mieszkanie do dystrybucji materiałów wybuchowych. Gryzłam wargi, żeby nie wybuchnąć śmiechem, kiedy ty ją uspokajałeś. Wyglądało to jak jakiś skecz w kabarecie, ale zanim udało się jej wytłumaczyć, że w naszych plecakach są tylko broszury, książki, gazetki ona była naprawdę przerażona. Spotkania z jakże miłym Edkiem Frankiewiczem wspominam jako niezwykle sympatyczne. I te jakże ciepłe przyjmowanie nas przez państwa Bi-bro! No ale te przygody z jednym z powielaczy, które woziliśmy z Gdańska do Wrocławia, trochę mi wtedy podniosły ciśnienie.

**Nieśliśmy do pociągu powielacz w wielkiej torbie od składanego roweru i na dworcu wiele zaczęło wskazywać na to, że jesteśmy śledzeni. No ale nie „pę-
kłaś”, do końca zachowywałaś się jak trzeba.**

Może i tak, ale tak, jak zawsze podróż pociągiem wykorzystuję do czytania książki, to wtedy mi to czytanie wyjątkowo nie szło. Pamiętam, że na peronie we Wrocławiu czekał na nas Krzysiek Zwierz. Powielacz miał zabrać swoim samochodem. Szepnęliśmy mu jednak o przypuszczeniu, że jesteśmy pod obserwacją, więc żeby nie ryzykować skonfiskowania tego niebieskiego fiata, będącego zresztą własnością Solidarności Walczącej, pojechaliśmy jedną a potem drugą taksówką. Szczęśliwie nasze obawy się nie potwierdziły, ale strachu się wtedy najadłam. W zasadzie to psychicznie przygotowywałam się już na aresztowanie. Jako duży plus przyjmowałam to, że w domu nie miałam nic bardzo obciążającego a do tej „nadmiarowej” piwnicy esbecy trafić nie powinni. Nawet gdyby zainteresowali się tymi kluczami, które były w domu, to tego od tej „konspiro – piwnicy” by nie znaleźli.

Jednak ten powielacz, z którym by nas złapali, dostatecznie by ich ucieszył. A nas wystarczająco obciążył. Obawiam się też, że wytrwale i różnymi sposobami staraliby się z nas wyciągnąć, dokąd i skąd go dźwigaliśmy. A u tej artystki z gdańskiej willi przy ul. Legnickiej na transport czekały wtedy kolejne dwa.

Bogu dzięki, dobrze się to skończyło.

To nie był jedyny raz, kiedy zaimponowałaś mi odwagą.

A kiedy jeszcze?

Wożeniem bibuły, sprzętu, materiałów poligraficznych zajmowałaś się także w czasie dużych fal aresztowań. Kto wtedy wiedział, po kogo jeszcze przyjdą i czy nie wejdzie się w jakiś kocioł. O demonstracjach, w czasie których różnie było, nawet nie mówię. Ale np. po tym wiecu na Placu Uniwersyteckim wiosną 1988 roku, na którym padło wezwanie, by natychmiast iść na Wydział Historii i od razu rozpocząć strajk okupacyjny, ty bez wahania od razu tam trafiłaś. Wiec był odpowiedzią na brutalną pacyfikację strajku hutników, było na nim parę tysięcy ludzi. A pamiętasz ilu zdobyło się wtedy na to, by od razu na ten strajk przyjść?

Jakieś trzydzieści osób...

Co najwyżej trzydzieści. Prawie sami znajomi. Większość nazwisk jeszcze dziś potrafiłbym wymienić. Szewską sunęły kolumny ZOMO. Gienio Wierciński od razu barykadował bramę, kilka osób głośno się zastanawiało, czy strajku nie należałoby zacząć dzień później. Jurek Żurko wskoczył na jakąś beczkę i przekonywał, że protest okupacyjny powinniśmy rozpocząć bez względu na to, ilu nas jest. Po jakiejś godzinie zwyciężył wariant rozpoczęcia strajku rankiem następnego dnia. I wtedy przyszło już o wiele więcej ludzi. Ale ty od początku zaliczałaś się do tego jednego procenta uczestników wiecu, którzy odważyli się zacząć strajk. A kiedy pojawił się pomysł, by licząc na lepszą frekwencję zacząć następnego dnia, ty strajk uważałaś za już rozpoczęty. I że należy go kontynuować. Mimo, że widziałaś tę kolumnę ZOMO na ulicy.

No to ci powiem, że tak, byłam za tym, by wtedy strajku nie przerywać. Ale bałam się nie mniej, niż w czasie tej historii z powielaczem.



JERZY TARGALSKI – PRZYJACIEL I POLEMISTA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Musiał robić wrażenie na tych, którzy go spotkali, bo często się o nim rozmawiało. A raczej o jego analizach, poglądach, prognozach. Pamiętam długą rozmowę o jego publicystyce, jaką toczyłem z jeszcze ukrywającym się Kornelem Morawieckim. Potem z Tomkiem Dangelem, Romkiem Lazarowiczem, Grześkiem Eberhardtem i wieloma innymi. Często słyszałem, że w tej części opozycji, z którą był związany, należał do ludzi mentalnie najbliższych Solidarności Walczącej, z którą współpracował i którą zawsze bardzo cenił.

Jego życiowa droga może wydawać się dość zawiła. W czasie studiów znalazł się w szeregach socjalistycznego związku młodzieży, powszechnie wtedy zwanego „przedszkolem partii”. Do niej też w końcu trafił, choć na niedługo a już będąc członkiem PZPR nie tylko współpracował z opozycją, ale nawet współtworzył wydawnictwa drugiego obiegu. Pamiętający go z tamtych czasów uważają, że zarówno do SZSP jak i komunistycznej partii wstępował w celach wręcz dywersyjnych, dążąc do siania w niej destrukcji i poszukiwania w jej szeregach sojuszników w takim właśnie dążeniu. Samo PZPR jego intencje oceniło podobnie, co zakończyło się usunięciem go z pracy na Uniwersytecie Warszawskim, na którym był asystentem, przygotowującym swoją pracę doktorską.

Zakończone utworzeniem NSZZ Solidarność wydarzenia sierpnia i września 1980 roku ocenił jako kolejną polską irredentę, mogącą przybliżyć nasz kraj do odzyskania niepodległości. Zaangażował się więc w ruch związkowy i podjął działania, mające na celu poszerzanie zdobytej sfery wolności. Po wprowadzeniu stanu wojennego był poszukiwany przez SB, ukrywał się i działał w podzie-

miu. Po aresztowaniu i pobycie w więzieniu zdecydował się na emigrację. Tam też jego los nie był łatwy. Szybko zorientował się bowiem, że część polskich środowisk politycznych, przebywających na Zachodzie, jest spenetrowana przez tajne służby PRL-u a w najsilniejszych ośrodkach polskiego wychodźstwa nie mało spotkał też ludzi oddanych interesom amerykańskim, które nie zawsze były zbieżne z polskimi. Obnażanie tych faktów doprowadziło m.in. do utraty bardzo wygodnej, dochodowej, zabezpieczającej przyszłość pracy w Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Targalski nie godził się na to, by RWE było tubą jednej tylko części polskiej opozycji – tej reprezentowanej przez Wałęsę, Gieremka, Kuronia i Michnika. Dostrzegał, że finansujące stację Stany Zjednoczone wcale nie były zainteresowane rzeczywistym rozkładem bloku sowieckiego, w którym upatrywały dla siebie ryzyko destabilizacji. Najważniejsze było dla nich odepchnięcie zagrożenia konfliktem nuklearnym. W związku z tym gotowe były się pogodzić z odebraniem Polsce perspektyw rozwojowych, czego wyrazem było popieranie symbolizowanego przez „okrągły stół” modelu ustrojowej transformacji a następnie Jaruzelskiego jako prezydenta postkomunistycznej Polski. Targalski domagał się, by na antenie Wolnej Europy mógł się pojawiać także głos przeciwników ugody z właścicielami Polski Ludowej i protestował przeciw obowiązującej w redakcji cenzurze. Dyrektor rozgłośni Marek Łatyński zwolnił go z pracy po tym, jak Targalski odczytał na antenie tekst z fragmentami, które przełożony kazał mu usunąć.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych znany był pod pseudonimem Józef Darski. Jego analizy publikowane były m.in. na łamach periodyku „Obóz”, poświęconego głównie sprawom krajów Europy środkowej i wschodniej. Później zaczął być znany jako pierwsze pióro pisma „Orientacja na Prawo”, na łamach którego prezentowany był polityczny i ekonomiczny program dla Polski. Oparty na zasadach konserwatyzmu, nie wykluczających wielu elementów solidaryzmu społecznego, był jaskrawo sprzeczny z modelem przyjętym w Polsce w roku 1989 (do tradycji „Orientacji na Prawo” nawiązywał miesięcznik „Opcja na Prawo”, wydawany w podwrocławskim Sadkowie od roku 2001). Targalski był też jedną z ważnych postaci Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość”, blisko współpracującej z Solidarnością Walczącą. Z publicystyki obydwu tych organizacji możemy dziś wyciągnąć wniosek, że najtrafniej przewidywały one skutki kompromisu części polskiej opozycji z komunistycznymi władcami Polski „ludowej”. Żadne inne środowiska nie miały też w swoich szeregach równie wielu ludzi zdolnych do przeprowadzenia rzeczywistej

i korzystnej dla Polski wielkiej gospodarczej przebudowy. Żadne też więc w pokrągłostołowej Polsce nie zostały równie bezwzględnie zepchnięte na margines. W przypadku Jerzego Targalskiego oznaczało to odcięcie od wszelkich mediów o większym zasięgu. Zamknięcie wszelkich możliwości nie tylko wypowiedzenia się, ale i zatrudnienia, skutkowało życiem w niedostatku.

Do Polski z emigracji wrócił w połowie lat dziewięćdziesiątych. Tu też przez bardzo wiele lat należał do osób spychanych na margines. A jeśli dziś poczytać jego prognozy, sporządzane przed dwudziestu czy trzydziestu laty to okaże się, że bardzo niewielu potrafiło bieg wydarzeń przewidywać równie trafnie, jak on. Pomimo zwalczania przez tzw. „główny nurt III RP”, skupiła się wokół niego grupa młodych partriótów-państwowców, z których wywodzi się dziś wielu najbardziej przenikliwych analityków. Jego książki, opisujące procesy, przeprowadzone w Polsce od lat osiemdziesiątych, pozostaną jednymi z najlepszych opisów istoty dokonanych w naszym kraju przemian – szumnych, lecz w wielkiej mierze fikcyjnych.

W roku 2007, krótko po opublikowaniu książki pt. „Kornel”, będącej zapisem rozmowy z przewodniczącym Solidarności Walczącej, Jerzy Targalski przysłał mi maila o treści: „Panie Arturze, gratuluje! Książka bardzo ciekawa, sam jestem zaskoczony tym, jak wiele się z niej dowiedziałem. Jednak w to, że Solidarności Walczącej w aż tak dużym stopniu udało się uchronić przed infiltracją komunistycznych służb, nie bardzo chce mi się wierzyć. Z serdecznościami Jerzy Targalski.” W mojej odpowiedzi napisałem m.in., że przyczyną, z której tak dalece Solidarność Walcząca układ okrągłostołowy zwalczała, wykluczała i marginalizowała było właśnie to, że w znaczącym stopniu organizacji Morawieckiego bezpiecze zinfiltrować się nie udało. I na to Targalski odpowiedział „a co do tego – pełna zgoda”.

Działający poza państwowymi instytucjami ośrodek analityczny, który stworzył, skupił grono bardzo zdolnych, pracowitych, pragnących służyć swojemu krajowi studentów i młodych absolwentów historii i politologii. Jednym z pierwszych zadań jakie Targalski rozdzielił swym młodym współpracownikom była nauka języków obcych. Powiedział im: „Będziemy analizować materiały z kilkunastu krajów naszego regionu. W związku z tym macie rok na nauczanie się języków poszczególnych krajów”. Po czym szybko zostało ustalone, kto uczy się estońskiego a kto litewskiego, fińskiego, łotewskiego, litewskiego, rumuńskiego czy bułgarskiego. I okazało się, że wszyscy tych języków się nauczyli.

Szansę mówienia do szerszego grona odbiorców Jerzy Targalski uzyskał dopiero kilka lat temu. Dorocie Kani jego postać posłużyła do skonstruowania postaci głównego bohatera jej powieści pt. „Gambit wschodni”. I rzeczywiście – był Targalski takim właśnie erudytą – intelektualistą, który swymi wyjątkowymi kompetencjami mógł służyć ojczyźnie jako bardzo potrzebny i bardzo skuteczny jej obrońca. Tym bardziej będzie go Polsce dotkliwie brakowało.

„Obywatelska” wrzesień 2021



O SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ NAJKRÓCEJ, JAK SIĘ DA

Organizacja Kornela Morawieckiego powstała pół roku po wprowadzeniu stanu wojennego. Latem roku 1982 było już jasne, że niestety nie potwierdziła się zapowiedź, od grudnia 1981 powszechnie wyrażana przez Polaków hasłem „zima wasza – wiosna nasza”. Wiosna nie tylko nie przyniosła Solidarności zwycięstwa, ale nawet, dla coraz szerszych kręgów, zapoczątkowała postępujący proces podupadania wiary w szanse odmiany losu Polski i Polaków. Wprawdzie latem 1982 roku przetoczyły się przez nasz kraj demonstracje, brutalnie rozbijane przez reżim Jaruzelskiego, lecz największe z nich, do których doszło w drugą rocznicę Porozumień Gdańskich, propaganda komunistycznych władz nazwała marszem pogrzebowym związku Solidarność. Krótco potem został on formalnie zdelegalizowany, tak jak wszystkie inne organizacje, narodzone dzięki przełomowi Sierpnia 1980 i stanowiące wielki ruch odzyskiwania podmiotowości przez polskie społeczeństwo.

Solidarność Walcząca formowała się w okresie podwójnie trudnym. Nie wtedy, kiedy Polaków uskrzydlała wielka nadzieja, duma i wiara w siebie. Solidarność Walcząca powstawała wtedy, gdy nadzieje podupadały a wiara w możliwość pozytywnych zmian była coraz słabsza. Stąd też wśród ludzi, wstępujących w szeregi tej organizacji, nie było osób liczących na szybką realizację programowych założeń. Spodziewających się ich rychłego osiągnięcia nie mogło być tym bardziej, że cele, jakie stawiała sobie Solidarność Walcząca, były tak dalekosiężne i ambitne że, przynajmniej to sobie dzisiaj szczerze, zdecydowana większość Polaków nie wierzyła wówczas w możliwość ich doczekania. Ludzie Solidarności Walczącej też nie zakładali, że ich zasadniczy cel, czyli pełna niepodległość Polski i likwidacja systemu komunistycznego, osiągnięty zostanie w krótkim czasie. Wszyscy ludzie, potocznie zwani „ludźmi od Kornela”, liczyli się z koniecznością prowadzenia swej walki przez całe dziesięciolecie. Wielu spodziewało się, że nie doczeka realizacji celu, jaki postawi-

ła sobie Solidarność Walcząca i że cel ten będzie musiało przekazać następnym pokoleniom. Wielu spodziewało się, że jedynym, co im ich walka przyniesie, będzie „krew, pot i łzy”. Pomimo tego tysiące działaczy podziemia weszły na drogę tej walki i pomimo wszystkich przeciwności przez szereg trudnych lat wypełniało nią swoje życie.

Solidarność Walcząca nie miała środków, w rodzaju odziedziczonych po przedgrudniowej Solidarności słynnych 80 milionów, nie docierała też do niej pomoc zagranicznych związkowców, dystrybuowana przez brukselskie biuro NSZZ Solidarność. Pomimo tego – determinacją, kreatywnością, ofiarnością swoich członków – stworzyła potężną sieć podziemnych wydawnictw, skutecznie opierających się bezpiece rozgłośni radiowych czy grup wykonawczych, wspierających demonstracje i organizujących spektakularne akcje w przestrzeni miejskiej. Fenomenem był Kontrwywiad Solidarności Walczącej, w wielkiej mierze przyczyniający się do chronienia ludzi i całych struktur organizacji przed inwigilacją i atakami ze strony służb komunistycznego reżimu.

Matecznikiem Solidarności Walczącej był Wrocław, ale swym zasięgiem organizacja objęła wszystkie większe miasta kraju. Bardzo silnym jej ośrodkiem był Górny Śląsk. W Poznaniu organizacja była mniej liczna, ale zaangażowanie, sprawność i kreatywność tamtejszych jej członków uczyniła ze stolicy Wielkopolski jeden z wiodących ośrodków Solidarności Walczącej. Obszarem działalności bardzo dynamicznej było Pomorze Gdańskie, gdzie podejmowane formy działalności były najodważniejsze i najbardziej radykalne. Nie było w nich nic z aktywności ekstremalnych czy choćby nieodpowiedzialnych. Ludzie Solidarności Walczącej z Gdyni potrafili jednak dać komunistycznemu reżimowi do zrozumienia, że zawarte w programie organizacji „niewykluczanie walki zbrojnej, jeśli by taka forma okazała się być celowa i uzasadniona” to nie są czcze słowa. Ważnym ośrodkiem Solidarności Walczącej okazał się być Kraków, w pobliżu którego jedna z doskonale skonstruowanych drukarni miała charakter podziemny w dosłownym sensie tego słowa. Małopolska okazała się też jednym z głównych rozsadników działalności Solidarności Walczącej poza granicami Polski, m.in. w postaci Wydziału Wschodniego tej organizacji. Ważnym jej bastionem stał się też Szczecin, nazewnictwem swych wydawnictw nawiązujący do tradycji Gryfa Pomorskiego z lat II wojny światowej. W przypadku rzeszowskiego oddziału Solidarności Walczącej nawiązania do poprzednich pokoleń, walczących o wolność ojczyzny, polegały często na kontynuacji przez

synów dzieła swych ojców – bohaterów Armii Krajowej i powojennego Powstania Antykomunistycznego. Nie zabrakło też Solidarności Walczącej w stolicy, w której blisko współdziałając m.in. z Międzyzakładowym Robotniczym Komitetem Solidarności stanowiła ona potężny ośrodek podziemnego druku, niezależnej radiofonii i bastion demonstracji ulicznych.

Nie sposób krótko opowiedzieć o wszystkich ogniwach struktury, liczącej tysiące członków i wspomaganej przez kilkakrotnie większe grono aktywnych sympatyków. O skali działalności organizacji może świadczyć to, że pod jej znakiem ukazywało się ok. 150 tytułów podziemnej prasy a parokrotnie więcej wydawanych było przez Solidarność Walczącą w ramach wspierania tajnych komisji zakładowych NSZZ Solidarność, organizacji chłopskich czy młodzieżowych. Z kolei radiofonia tej organizacji stanowiła swym rozmiarem wielokrotność wszystkich innych niezależnych inicjatyw radiowych. Organizacja Kornela Morawieckiego była jedyną formacją, przez komunistyczny reżim zdefiniowaną jako „konspiracja o charakterze ofensywnym” i jedyną, przeciwko której zarządził on „użycie wszystkich sił i środków”.

Determinacja działaczy tej organizacji sprawiała, że jej aktywność nie słabła aż do progu lat dziewięćdziesiątych. Cele, które sobie ona stawiała, musiały być więc przez komunistyczny reżim traktowane poważnie. Poprzeczkę swych żądań stawiała wysoko a jej członkowie byli gotowi na poniesienie ofiar w imię ich realizacji. Wraz z upływem lat widać coraz wyraźniej, że taka postawa organizacji Kornela Morawieckiego znacząco przybliżała Polskę do niepodległości i rozstania z totalitarnym ustrojem.



OD NIEJ ZACZĘŁA SIĘ SOLIDARNOŚĆ

Nie należała do Solidarności Walczącej, ale jakże bliska zawsze była wszystkim, którzy do niej należeli! Nie tylko sercem, duchem, życiową drogą i postawą. Ludzie Solidarności Walczącej spotykali ją na swoich drogach niezliczoną ilość razy. Na strajkach, głódówkach, mszach świętych i przy bardzo konkretnej działalności. W Gdyni dziesiątki razy prasę Solidarności Walczącej przywoziłem do domu państwa Bibro, u których Edek Frankiewicz wypełniał mi plecak tym, co miałem zawieźć do Wrocławia. Z panią Anną wszyscy oni znali się świetnie. Jak z siostrą, jak z matką, jak z najbliższym z przyjaciół. Kornel Morawiecki mówił o niej: „Kobieta, od której Solidarność się zaczęła”. Straszego ranka 10 kwietnia 2010 Mateusz Morawiecki był na jakiejś arcyważnej międzynarodowej konferencji, o ile mnie pamięć nie myli – gdzieś w Czechach. Musiał tam mieć ograniczony dostęp do najświeższych informacji, bo dostawałem od niego istny strumień esemesów z pytaniami o najnowsze wiadomości o katastrofie prezydenckiego samolotu. Pytanie, które pojawiało się najczęściej brzmiało: „Czy na pokładzie była Anna Walentynowicz?” Polskie media informację tę podały dopiero po dwóch godzinach. Kiedy ją przekazałem SMS – y z pytaniami od Mateusza przez dłuższą chwilę przestały przychodzić. Dwa dni później razem pisaliśmy treść nekrologu. Powiedział wtedy: „Matka Solidarności – w tym pożegnaniu muszą być użyte takie słowa”.

Anna Walentynowicz, jak niemal wszyscy najbardziej zasłużeni dla polskiej niepodległości, po roku 1989 została zepchnięta na margines. Za niezaprzeczalne i wyjątkowe zasługi Trzecia Rzeczpospolita odpłaciła jej przede wszystkim szyderstwami, oszczerstwami, dążeniem do ograbienia z historycznego dorobku i skazaniem na zapomnienie.

KRESOWE KORZENIE

Urodziła się w roku 1929 w wiosce Sienne, niedaleko Równego, na Kresach międzywojennej Polski. Jej przodkowie mieli złożoną tożsamość, w części ukraińską. Rodzice, chłopi utrzymujący się z własnego gospodarstwa, należeli do tzw. sztundystów, czyli związanych z niemieckimi osadnikami luteran, których praktyki religijne w dużej mierze polegały na studiowaniu Pisma Świętego. Miała dziesięcioro rodzeństwa. W wieku ośmiu lat utraciła matkę. Do wybuchu wojny ukończyła cztery klasy szkoły powszechnej. Sowiecka a następnie niemiecka okupacja były czasem nędzy i tragedii. Mając 12 lat musiała pracować w majątku Pustomyty. W grudniu 1943, w okresie przetaczających się przez Wołyń rzezi, dotarli do niej wiadomości o śmierci jej bliskich. Po ponad 50 latach dowiedziała się, że część siostr i braci ocalała. Mieszkających na Ukrainie zdążyła kilkakrotnie odwiedzić. Wówczas jednak, wraz z polskimi zarządcami majątku, wyjechała do także okupowanej przez Niemców Polski centralnej. W Rudnikach pod Warszawą pracowała w piekarni, potem w fabryce. Tam też doczekała wyparcia Niemców przez Armię Sowiecką i Ludowe Wojsko Polskie.

PRACOWITA I NIEPOKORNA

W roku 1950 zdobyła kwalifikacje spawacza i rozpoczęła pracę w Stoczni Gdańskiej. W profesji uchodzącej za męską szybko okazała się lepsza od większości kolegów. Jej solidność i przekraczanie i tak często wyśrubowanych norm zwróciło uwagę przełożonych i było nagłaśniane przez komunistyczną propagandę. Próbowano wykorzystać jej osobę, delegując ją na zjazdy przodowników pracy. Jej członkostwo w Związku Młodzieży Polskiej trwało jednak krótko, gdyż szybko znalazła się w konflikcie z władzami. Nie wahała się bowiem występować w obronie krzywdzonych robotników. Trudno było jednak zastosować wobec niej typowe w takich okolicznościach represje. Była przecież osobą, o której pisano w gazetach jako o wzorcowej pracownicy, osiągnącej 270 procent normy. Za nadzwyczajne wyniki pracy trzykrotnie odznaczana była też Krzyżami Zasługi (brązowym, srebrnym i złotym). Pomimo tego

stała się przedmiotem pilnego zainteresowania Urzędu Bezpieczeństwa. Jej nieprzejednana postawa, demonstrowana przy każdym zetknięciu się z niesprawiedliwością i ludzką krzywdą, zapewne skończyłaby się poważnymi konsekwencjami. Uratowały ją przed nimi wydarzenia roku 1956 i trwający przez jakiś czas okres tzw. „odwilży”. Równocześnie okazało się, że praca w charakterze spawacza, przy dramatycznym niedostatku wentylacji w różnych zakładach budowanych statków, doprowadziła jej zdrowie do ruiny. Komisja lekarska zdecydowała o przyznaniu świadczenia rentowego. Anna Walentynowicz postanowiła jednak inaczej – ukończyła kurs operatorów suwnicy i zdecydowała o kontynuowaniu pracy w takim charakterze. Na tym stanowisku też od razu zyskała markę świetnego fachowca. Nadal też słynęła jako osoba zawsze gotowa do służenia pomocą i nigdy nie wahająca się stawać w obronie krzywdzonych. W 1968 otwarcie domagała się wyjaśnienia sprawy zdefraudowania pieniędzy z zakładowego funduszu zapomogowego. Dyrekcja stoczni podjęła wtedy próbę zwolnienia jej z pracy. Natychmiast w jej obronie stanęła załoga całego wydziału. Przestraszone tym kierownictwo zakładu szybko wycofało się ze swych zamiarów.

NA DRODZE DO SOLIDARNOŚCI

W PRL-u nawet najlepszy fachowiec i wzór solidności, jeśli w stosunku do władz był niepokorny, postrzegany był przez nie jako wróg. Oznaczało to inwigilację przez Służbę Bezpieczeństwa, gromadzenie i preparowanie materiałów, mogących posłużyć do zastosowania któregoś z licznych wariantów represji. W grudniu 1970 od działań przeciw Annie Walentynowicz ważniejsze okazały się jednak masowe wystąpienia robotników Wybrzeża. W strajkującej Stoczni Gdańskiej (wówczas im. Lenina) niepokorna suwnicowa nie zamierzała występować w roli lidera protestu. Nigdy nie brakowało jej odwagi, ale obce jej było poszukiwanie stanowisk, splendorów czy rozgłosu. Konsekwentnie występowała przeciw niesprawiedliwości, lecz jej intencją było niesienie konkretnej pomocy i skuteczna obrona krzywdzonych. Kiedy więc w grudniu 1970 stoczniowcy zamknęli bramy zakładu i rozpoczęli strajk – ona pomyślała przede wszystkim o tym, by ci ludzie mieli co jeść. I zajęła się organizowaniem posiłków dla strajkujących, dniami i nocami własnoręcznie krojąc chleb, obierając ziemniaki, gotując potrawy z tego, co udało się zdobyć.

Gierkowskie obietnice Polski dostatniej i sprawiedliwej szybko okazały się kolejnym komunistycznym oszustwem. Krzywdzeni robotnicy nadal liczyć mogli jedynie na wsparcie osób takich, jak Anna Walentynowicz. Pamięć

o pomordowanych przez wojsko i milicję kultywowana mogła być tylko w konspiracji oraz kościołach, do których reżim wysyłał swoich szpicli. Anna Walentynowicz należała do organizatorów mszy świętych, odprowadzanych w intencji ofiar grudniowej masakry i ich rodzin. W 1978 jej działalność przyjęła formę zorganizowaną – została jednym z założycieli Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Organizacja przez reżim komunistyczny uważana była za nielegalną i stała się celem permanentnych wściekłych ataków. Anna Walentynowicz, która w swoim własnym mieszkaniu zorganizowała punkt kontaktowy dla zainteresowanych członkostwem w niezależnym od władz związku zawodowym, znalazła się pod nieustanną obserwacją. Nie było też tygodnia bez gróźb, rozmów ostrzegawczych, nękania rewizjami, zatrzymaniami na 48 godzin lub wezwaniami na SB. Informowanie o możliwości dyscyplinarnego zwolnienia z pracy było niemal codziennością. Anna Walentynowicz była jednak nadal wzorowym pracownikiem, doskonale wykonującym swoje zawodowe zadania i, o ile nie przeszkodziła jej w tym SB, zawsze punktualnym na swoim stanowisku pracy. Pretekstów do jej zwolnienia szukano długo. W końcu władze zdecydowały się na nie 8 sierpnia 1980. Niecałe pięć miesięcy przed terminem przejścia na emeryturę Annie Walentynowicz wręczono decyzję o dyscyplinarnym zwolnieniu z pracy.

OSOBA, KTÓRA URUCHOMIŁA LAWINĘ

Krzywdą, która spotkała Annę Walentynowicz, wywołała w stoczni wielkie wzburzenie. Pracowała w tym zakładzie od trzydziestu lat, słynęła z fachowości, rzetelności, uczciwości a przede wszystkim z tego, że każdy prześladowany zawsze mógł liczyć na jej aktywną solidarność. W pierwszym odruchu wielu zamierzało więc protestować natychmiast. Powstrzymali ich przed tym działacze Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Na wielu wydziałach przekonali stoczniowców, że na natychmiastowy strajk dyrekcja może być przygotowana i niezorganizowane, spontaniczne protesty może stłumić w zarodku. A poważny, rokujący szanse powodzenia strajk, powinien się zacząć po porozumieniu się z ludźmi w wszystkich wydziałów i równoczesnej akcji całej załogi – za parę dni. Zgodnie z tym planem – stocznia stanęła 14 sierpnia 1980. Postulatem, który zmobilizował do strajku tysiące stoczniowców, było żądanie przywrócenia do pracy Anny Walentynowicz.

Jak sama wspominała po latach – fatalnie ułożyła się sprawa przewodniczącego komitetu strajkowego. Organizatorzy z WZZ-u uważali, że powinien nim być robotnik ze stoczni. Joanna i Andrzej Gwiazdowie – byli inżyniera-

mi, zatrudnionymi poza stoczną. Bogdan Borusewicz – historykiem sztuki, do tego nigdzie dotąd nie pracującym. Z osobą Lecha Wałęsy wiązały się bardzo poważne podejrzenia, ale jako robotnik w idealnym wieku, ojciec wielodzietnej rodziny – teoretycznie do roli tej pasował najlepiej. Wałęsa pojawił się jednak w stoczni dopiero wtedy, kiedy od kilku godzin była ona już objęta strajkiem. Mimo tego, zgodnie z wcześniejszym ustaleniem, stanął na czele komitetu strajkowego. Następnego dnia do protestu dołączyły się dziesiątki innych zakładów, w tym porty i gdyńska Stocznia im. Komuny Paryskiej – protest zaczynał przybierać charakter zrywu ogólnonarodowego. Wałęsa ogłosił jednak decyzję zakończenia strajku w Stoczni im. Lenina natychmiast po zgodzie dyrekcji na podwyżkę płac i przywrócenie do pracy Anny Walentynowicz oraz siebie (sam został zwolniony w 1976 roku i od tamtego czasu był robotnikiem w zakładach ZREMB a następnie Elektromontaż Gdańsk). W tym momencie decyzja ta była spełnieniem marzeń komunistów. Stanowiła bardzo groźne „wystawienie do wiatru” wszystkich, którzy rozpoczęli strajk solidarnościowy. 10 tysięcy okupujących Stocznnię im. Komuny Paryskiej już od 15 sierpnia głosiło, że ich celem jest wsparcie postulatów ze Stoczni Gdańskiej, ale także zgoda władz na utworzenie niezależnych związków zawodowych. Zakończenie strajku bez oglądania się na inne protestujące załogi oznaczało rozbicie wzbierającej fali narodowego protestu. Przyłączający się do strajku zainicjowanego w Gdańsku musieli się poczuć zdradzeni i na pewno staliby się celem ataku ze strony komunistycznego reżimu. Anna Walentynowicz była jedną z pierwszych osób, które zorientowały się, jak tragiczne skutki musi przynieść decyzja Wałęsy. Wraz z kilkoma koleżankami zatrzymała tysiące zdezorientowanych robotników, zamierzających opuścić stocznnię. Jej głos zdecydował, że ruch strajkowy nie został rozbity. Natomiast kolejnych kilkanaście dni wypełniła walka o utrzymanie kluczowego, zwalczanego m.in. przez tzw. „doradców” postulatu, czyli prawa do legalnej działalności niezależnego od władz związku zawodowego. Determinacja Anny Walentynowicz, cieszącej się wśród stoczniovców ogromnym autorytetem, była jednym z najpierwszych czynników, które doprowadziły do powstania NSZZ Solidarność. Związku, który okazał się być najpoważniejszym z kroków w kierunku obalenia systemu komunistycznego.

WSZYSTKO DLA INNYCH, NIC DLA SIEBIE

Była osobą, bez której trudno wyobrazić sobie Sierpień i powstanie Solidarności. Po zwycięstwie strajku nie dbała jednak o pamięć o bezprzykładnie wielkiej roli, jaką odegrała. Tym bardziej nie zabiegała o jakiegokol-

wiek funkcje czy zaszczyty. Pomimo tego reżim, wraz ze swymi poplecznikami, robił wszystko, by Annę Walentynowicz nie tylko zmarginalizować, ale nawet wymazać z pamięci. Wałęsa osobiście skreślił ją z listy członków Solidarności, wyjeżdżających na spotkanie z papieżem. Na każde pytanie o nią reagował furią, nie przebierając w kalumniach i oszczerstwach. Równocześnie siepacze reżimu podejmowali próby zamordowania kobiety, od której zaczęła się Solidarność. Najsolidniej udokumentowana jest akcja funkcjonariuszy SB, którzy w 1981 roku, w czasie jej spotkania z robotnikami Radomia, usiłovali ją zabić za pomocą trucizny. Na wprowadzenie stanu wojennego zareagowała udając się do zakładu, w którym pracowała ponad 30 lat i w którym strajkowała w roku 1970 i 1980. Tak, jak wtedy, zajęła się głównie troską o byt protestujących robotników. Dla nich była ona jednak przede wszystkim jak duchowa opoka i moralny przykład. Wszyscy wiedzieli, że tam, gdzie jest Anna Walentynowicz, tam jest słuszna sprawa, walka o najwyższe racje, bezgraniczne oddanie innym i absolutne zero jakiegokolwiek prywaty. Ten niepojmowalny dla wszelkich kanalii potencjał przerażał kreatury służące totalitarne-
mu reżimowi, wywołując w nich zarazem strach i wolę zniszczenia. Ta fizycznie coraz słabsza, ciężko schorowana kobieta, niemal nie wygłaszająca przemówień, często zanurzona w modlitwie i której działalność polegała na służbie innym – postrzegana była jako jeden z najbardziej niebezpiecznych wrogów. Jej wiara, wierność sprawie, gotowość poniesienia ofiary – była wzorem dla bezliku innych. Po wdarciu się czołgów na teren stoczni uzbrojeni po zęby ubecy i zomowcy szukali więc przede wszystkim jej. Następne miesiące spędziła w aresztach i obozie internowania. Po uwolnieniu została skazana na półtora roku więzienia w zawieszeniu. Już kilka miesięcy później, po próbie upamiętnienia górników, pomordowanych w kopalni Wujek, została aresztowana ponownie. Po pięciu miesiącach oczekiwania w celi na kolejny proces jej zdrowie osiągnęło stan zagrażający życiu. Reżim Jaruzelskiego zdawał sobie sprawę z tego, że śmierć Anny Walentynowicz w więziennych murach mogłaby wywołać społeczny wybuch o nieobliczalnej skali. Pospieszenie zdecydowano o jej uwolnieniu. Ona jednak nie zamierzała siebie oszczędzać. Już w 1984 roku wzięła udział w głodówce, wyrażającej protest przeciw zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki. Ciągle była wśród ludzi walczących o prawa obywatelskie i o niepodległość Polski. Współpracowała z Solidarnością Walczącą i drukowanym przez SW pismem Andrzeja Gwiazdy „Poza Układem”. Krąg jej przyjaciół zwalczany był nie tylko przez służby komunistycznego reżimu, ale też przez oszczerstwa i intrygi części liderów Solidarności. Jak

się potem okazało – ci rzekomi opozycjoniści i udawani związkowcy byli agentami SB.

W TZW. TRZECIEJ RZECZPOSPOLITEJ

Wiele razy była świadkiem nikczemności, popełnianych pod szyldem najbardziej wzniosłych haseł. Spotykała szpiclów, podających się za przyjaciół, doświadczyła działań zdrajców i załganych przywódców oddanych prywatnie. Już w połowie lat osiemdziesiątych obserwowała parcie części liderów Solidarności do zawarcia przymierza z reżimem. Okrągły Stół był więc dla niej jedynie spektaklem, którego istotą miało być dokooptowanie do władzy polski Ludowej pochodzącego z Solidarności grona, które zbrodniarzom zapewni bezkarność, zalegalizuje ich dotychczasowe grabieże i otworzy drogę do następnych. Żyła w niedostatku, ale odmówiła przyjęcia materialnego wsparcia i splendorów z rąk postkomunistów – nie zgodziła się być honorowym obywatelem Gdańska ani przyjąć emerytury specjalnej z rąk premiera Marka Belki. Przyjęła natomiast Krzyż Polonia Restituta z rąk prezydenta Kaczorowskiego, Order Orła Białego z rąk prezydenta Kaczyńskiego, Honorowym Krzyżem Solidarności Walczącej odznaczył ją Kornel Morawiecki. Przyjęła też Nagrodę im. Pawła Włodkowica od rzecznika praw obywatelskich Janusza Kochanowskiego i wiele innych wyróżnień od niezależnych, rzeczywistych stowarzyszeń patriotycznych. Natomiast dla beneficjentów transformacji ustrojowej była skazanym na zapomnienie wyrzutem sumienia. Aparat propagandy III RP z historycznych relacji wymazywał jej osobę, w opowieściach o Sierpniu i Solidarności zastępując jej postać uparcie lansowaną Henryką Krzywonos. W jednym z najbardziej zakłamanych filmów w dziejach polskiej kinematografii, kuriozalnym bzdacie o Lechu Wałęsie Andrzej Wajda niemal całkowicie wyeliminował jej postać z historii Wolnych Związków Zawodowych i wydarzeń Sierpnia 1980.

Z dokumentów, znajdujących się w zasobach IPN wynika, że była inwigilowana przez ponad stu funkcjonariuszy i agentów SB. A potem była odzierana z dorobku, skazywana na zapomnienie, krzywdzona za życia i po śmierci, która spotkała ją 10 kwietnia 2010, w drodze na rocznicowe uroczystości w Katyniu. Jeśli dopuścimy do pokrycia jej postaci niepamięcią – sami ograbimy siebie i następne pokolenia ze świadomości posiadania w polskiej historii postaci tak szlachetnej i niezwykłej. Życie Anny Walentynowicz musi stać się tematem książek i filmów, które choć w części mogłyby inspirować tak, jak ona formowała tych, których w swym życiu spotykała.

Prof. Andrzej Nowak pisał o niej: „Anna Walentynowicz najlepiej symbolizuje ten aspekt historycznej wielkości, którą znamionuje solidarność z przegranymi, zapomnianymi, odepchniętymi, prześladowanymi. Może właśnie to jej bezinteresowne poświęcenie było tą istotą Solidarności, którą najbardziej warto przypominać”.

„Obywatelska”, kwiecień 2020



ROLAND WINCIOREK 1920 – 2001

Nawet obszerna opowieść o człowieku, którego znaczna część życia polegała na konspiracji, siłą rzeczy musi być niepełna. A coś dopiero, gdy za pisanie niedługiej wypowiedzi bierze się ktoś, kto zna tylko fragmenty biografii. Mam jednak potrzebę utrwalenia ich, ocalenia przed zapomnieniem wątków, którymi zostałem kiedyś obdarzony, wydarzeń, o które się otarłem. Nie potrafię pozwolić na to, by o Rolandzie Winciorku zapomniano – więc piszę. Zaznaczam, że o wielu sprawach nie wiem. Nawet prawdziwe jego imię brzmiało „Romuald”. Prawie zawsze był jednak nazywany mianem legendarnego, frankońskiego rycerza. Roland – to chyba pseudonim z AK, ale wcale nie jestem tego pewien. To jedna ze spraw, o które nie zdążyłem zapytać. Niestety – nie wykorzystałem czasu, w którym o wiele pytać już było można.

Dość niezwykle jest już samo osadzenie przodków Rolanda w narodowych dziejach. Najbarwniejsza z jego rodzinnych opowieści wiąże się z powołaniem jednego z nich do carskiej gwardii. Na dworze w Petersburgu służył, mając kontakt z rodziną jednego z ostatnich Romanowych. „Przypadł do serca” którejś z księżniczek tak dalece, że zaczęło to stanowić powód troski żony wielkiego imperatora. Kara żadna na niego nie spadła, gdyż jego wina ograniczała się tylko do tego, że wyróżniał się urodą. Czy carewiczówna poznała jakieś inne zalety Rolandowego dziadka? Na dworze przyjęto, że nie. Skończyło się na przeniesieniu wywodzącego się z Polski „obiekty westchnień” – z Petersburga na drugi koniec Rosji. Sprawa stała się jednak na tyle sensacyjna, że i w najodleglejszym garnizonie plotkowano o gwardziście z Polski, który zdobył serce córki cara. Szczęśliwym tego efektem było

przedterminowe zwolnienie ze służby i powrót do rodzinnych stron nieopodal Skierniewic.

Rodzice Winciorka żyli tam, gdzie na stare lata osiadł Władysław Reymont. Matka Rolanda przez wiele lat była gospodynią autora „Chłopów”. Stała się wręcz powiernicą noblisty, który wielokrotnie opowiadał jej o przeróżnych wydarzeniach swojego życia. Często też powtarzał, by kształciła dzieci, i obdarowywał je książkami. Roland urodził się w 1920 roku. Miał parę miesięcy, gdy jego ojciec dołączył do walczących z bolszewicką nawałą. Po bitwie nad Wieprzem znalazł się wśród wyzwalających m.in. Białystok i Wyszaków, gdzie zainstalować się już zdążył „rząd Polskiej Republiki Radzieckiej”.

Przed wojną starszy brat Rolanda kształcił się w szkole wojskowej, specjalizującej się w siłach pancernych. We wrześniu 1939 wyróżnił się, walcząc z Sowietami, m.in. w bitwie pod Grodnem. Roland nie został zmobilizowany. Miał dopiero 19 lat, ale za sobą długą już służbę w ochotniczych drużynach obrony przeciwlotniczej. Zgłosił się do swojego pododdziału natychmiast po wybuchu wojny. Wypadki potoczyły się w taki sposób, że wojnę obronną aż do października przeżył de facto jako żołnierz. Klęska zastała go na terenach okupowanych przez Sowietów.

– Ależ to była tragedia, panie Arturze... – opowiadał – Ludzie odbierali sobie życie! Powszechna rozpacz. Niektórzy pokładali nadzieję we Francji. Ten nowy rozbiór Polski został jednak dokonany w sposób tak bezwzględny i niehumaniczny, że można było zwątpić we wszystko. Niektórzy oficerowie strzelali sobie ostatnim nabojem w głowę. Nasz powtarzał, że trzeba trwać. Trwać koniecznie i jak najdłużej. I działać – jak najmądrzej i jak najskuteczniej. Śmierć i tak przyjdzie sama. I oby przyszła jak najpóźniej. Najgorsze – to poddać się. Jak się sami przed własną słabością poddamy, to dopiero będzie zwycięstwo naszych wrogów!

Jego dowódca – młody porucznik, o którym Roland zawsze wyrażał się ciepło i z podziwem – postanowił przeprowadzić swoich ludzi na ziemie okupowane przez Niemców. Wszyscy bowiem mieli swoje rodziny w zachodniej połowie kraju. Przeprawę przez Bug strzegł brodaty młodzieniec z pejsami, czerwoną opaską na ramieniu i karabinem na sznurku. Zagroził im drogę, wymierzając w nich lufę broni. Nie dość, że nie chciał przepuścić ludzi ratujących się przed bolszewikami, to zapowiedział, że będą kolejnymi, których tego dnia odstawi Rosjanom do niewoli. Porucznik zaczął z nim zręczne negocjacje, proponując oddanie mu pistoletu vis za pozwolenie przejścia przez rzekę. Zaintere-

sowany taką ofertą strażnik-ochotnik w pierwszym momencie nieuwagi został powalony i, jak wspominał Winciorek „wdeptany w ziemię”. Porucznik uniknął Katynia, a jego żołnierze, po kolejnych dniach wędrówki, wrócili do swoich domów. Często spalonych i pozbawionych tych, którzy zginęli w nierównej walce z armiami Hitlera i Stalina.

Do domu udało się też wrócić bratu Rolanda. Szybko nawiązali kontakt z powstającym podziemiem. Jakiś czas później byli już żołnierzami Związku Walki Zbrojnej. Nie było łatwo rozwijać działalność konspiracyjną w tej części Ziemi Skierniewickiej. W pobliżu Lipiec Reymontowskich od XIX w. istniały wioski-kolonie założone przez osadników niemieckich. Wywodzili się z nich dywersanci „piątej kolumny”, która się bardzo dała we znaki obrońcom Polski w 1939 roku, oraz gestapowcy. Jednakowoż – nie tylko. Roland Winciorek zawsze podkreślał, że „nie wszyscy Niemcy byli za Hitlerem”. Wśród okolicznych Niemców byli i tacy, którzy sprzyjali Polakom, wyraźnie im było wstyd za zbrodniczy, zbiorowy obłęd swojego narodu. Jeden z nich nawet przypadkiem dowiedział się o działalności ZWZ. Po prostu któregoś dnia stał się świadkiem tego, jak Roland przewoził broń. Zapewnił jednak, że nie powie o tym nikomu, i słowa dotrzymał.

W czasie okupacji Winciorek często bywał w Warszawie. Miało to związek z przynależnością do oddziału dyspozycyjnego AK oraz współpracą z „Żegotą” – strukturą mającą na celu pomoc Żydom. Roland przynajmniej kilkakrotnie był w getcie, zwykle wraz z bratem. Najczęściej dostawał się do niego wyskakując w odpowiednim momencie z tramwaju, którego motorniczy, jak i część pasażerów, współuczestniczył w takich „przerzutach”. Według relacji, których wysłuchałem wielokrotnie, getto było straszliwie przeludnione. Życie względnie normalne sąsiadowało ze skrajną nędzą. Śmierć głodowa na ulicy była codziennością. Zbieranie zwłok wychudzonych ludzi nie powodowało niczyjego zdziwienia. Winciorek był łącznikiem z żydowskim podziemiem. Co jakiś czas brał też udział w akcjach wyprowadzania z getta ludzi, których ukrywano po „aryjskiej” stronie. Bardzo przeżywał pewne zdarzenie, które mi relacjonował. Któryś razem, przy okazji spotkania z żydowskimi konspiratorami, poznał dwie młode mieszkanki getta. Stwierdził, że mają tak mało semicki wygląd, że wręcz na pewno uda się je ukryć w jakichś polskich rodzinach. Niestety – takie kryterium siłą rzeczy miało w czasie okupacji znaczenie. Każdy, kto dawał schronienie Żydom, ryzykował życiem całej swojej rodziny. Najtrudniej było więc ukrywać mężczyzn. Szybki niemiecki „test aryjsko-

ści” oznaczał wyrok śmierci często dla wszystkich mieszkańców domu. Nieco łatwiej było z kobietami, o ile nie miały jednoznacznie się kojarzących rysów twarzy. Największe szanse ratunku miały te, które po prostu nie przypominały Żydówek. Tym „Żegota” wyrabiała świetnie podrobione papiery i znajdowała chętnych do udzielenia dachu nad głową, przypisania do swej rodziny. Brutalne reguły narzucone przez okupanta określały stopień ryzyka – czasem, niestety, uzależniony od tego, jaką kto miał twarz... W jednych wypadkach było to ryzyko niemal „stuprocentowe”, innym razem – dwakroć mniejsze. I tak pewnego dnia Roland wraz z towarzyszem spotkali w jednym z konspiracyjnych mieszkań dziewczyny, które byli gotowi wyprowadzić wręcz tego samego dnia. Powiedzieli o tym swojemu żydowskiemu rozmówcy. Kiedy odszedł, by omówić tę propozycję z tymi, od których decyzja zależała (bodaj „starszymi” Rady Żydowskiej), Winciorek z przyjacielem ustalili, w jaki sposób je wyprowadzą, a potem ukryją. Pierwszą noc miałyby spędzić u zaufanej kobiety tuż za murem getta. Potem, już z podrobionymi dokumentami, trafiłyby do jednej z wiosek pod Skierniewicami. Przy odrobinie szczęścia – wojnę przeżyłyby przy jednej z trudniących się rolnictwem rodzin. Roland oczekiwał na decyzję żydowskich towarzyszy broni. Podał godzinę, o której musi wracać na drugą stronę muru. Niecierpliwił się bardzo, bo ten czas mijał, a według regulaminów AK, oznaczało to sytuację niemal alarmową. Jego dowódcy brak powrotu o ustalonej porze powinni zrozumieć jako wpadkę. Terminy były częścią rozkazu. Wreszcie żydowski przyjaciel pojawił się, lecz – z całkiem innymi kobietami! Powiedział:

– Nasi postanowili, że z getta wyjdą te.

Były kwintesencją fizjonomicznych cech eksponowanych przez hitlerowców na swych rasistowskich plakatach. Winciorek podobno złapał się za głowę i krzyknął:

– Na litość boską! Nie mam możliwości ukrycia kogoś, kto tak wygląda! A poza tym wiecie przecież, że mam rozkazy, zgodnie z którymi powinienem się zameldować u swego dowódcy prawie godzinę temu!

– Tak czy owak – postanowiono, że z getta wyjdą te albo żadne.

Roland wspominał tę sytuację wielokrotnie. Ponad pół wieku po tym zdarzeniu ciążyło mu, że tak blisko był ocalenia dwóch istot, które w wyniku czyichś niepojętych decyzji najprawdopodobniej zginęły.

W 1943 roku Winciorek był jednym z tych, którzy do getta przerzucali broń. Razem z bratem przetransportował m.in. ręczny karabin maszynowy.

O tym jedynym erkaemie, jaki mieli żydowscy powstańcy, czytałem w co najmniej kilku książkach. Wspominał o nim i Marek Edelman i Martin Grey, Noemi Szatz – Wounkranz i Kazimierz Moczarowski, uwięziony przez UB w jednej celi z katem getta Jurgenem Stroopem. Sławny, zasłużony, najgroźniejszy egzemplarz broni powstańców, którzy zapewne bez niego walczyliby krócej i z mniejszym skutkiem. A zawiózł go im Roland Winciorek wraz ze swoim bratem! Zawsze robiło to na mnie kolosalne wrażenie.

W 1944 r. Roland znalazł się w oddziałach wspierających operację ostrobramską AK. Z urywków wspomnień wnoszę, że walczył w oddziałach okręgu wileńskiego. Udało mu się uniknąć losu żołnierzy wziętych przez Sowietów do niewoli i wywożonych na Wschód. Już w 1945 r. dopadły go represje w rodzinnych stronach, gdzie cały społeczny margines, zdegenerowani alkoholicy, kryminaliści, kolaboranci i wszelkiego rodzaju męty występujące się hitlerowcom – jak jeden mąż oddały się teraz na usługi UB. Postanowił szukać schronienia na Ziemiach Odzyskanych. Na Dolny Śląsk jechał już mając kontakty z organizacją „NIE” Emila Fieldorfa i znając adres żołnierza AK, który w Świebodzicach zaczął organizować „Wolność i Niezawisłość”. Wkrótce Wałbrzych, Wrocław, Legnica – zaczęły zapęłniać się ludźmi szukającymi schronienia przed UB. Jak za okupacji hitlerowskiej – akowscy fachowcy od dokumentów wystawiali fałszywe dowody osobiste. Mnóstwo ludzi ratowało życie, na długie lata zmieniając nazwiska i zaszywając się w zupełnie nowych środowiskach. Nie miał tego szczęścia brat Rolanda, człowiek co najmniej równie zasłużony. Został bestialsko zamordowany przez bandytów z UB. Oprawcy byli znani, lecz pomimo starań Rolanda nigdy nie dosięgła ich ręka sprawiedliwości. Jako komunistyczni funkcjonariusze dożyli w luksusie późnych lat, ciesząc się sutymi emeryturami jeszcze długo po 1989 roku.

Wielkim sukcesem WiN – u było opanowanie struktur Urzędów Repatriacyjnych. Według Winciorka, szefami niektórych byli WiN-owcy. Trafiający do nich ludzie z AK czy NSZ mogli liczyć na pomoc w rozpoczęciu nowego życia, możliwie z dala od ubeckich siepaczy. Dolnośląski WiN był strukturą potężną, jego zasługą jest ocalenie wielu ludzi, którzy w przeciwnym razie zginęliby w komunistycznych katowniach. Przez dość długi czas miał nawet swoje „wtyczki” w UB. Jedną z telefonistek komendy wojewódzkiej przez parę lat była bezcennym źródłem informacji o planowanych represjach. Niestety, w czasie kolejnej fali aresztowań przyszła kolej i na nią. Razem z tysiącami innych w tym czasie otarła się o śmierć, straciła zdrowie i młode lata w więzieniach.

Pod koniec lat czterdziestych Roland założył rodzinę i zamieszkał w Wilczynie Leśnym, parę kilometrów od Obornik Śląskich. Nigdy nie stracił wiary, że doczeka Polski niepodległej. I nie czekał na nią z założonymi rękami. Na jego pomoc mogli liczyć zawsze wszyscy, którzy zmagali się z reżimem. A także wszyscy, którzy z jakichkolwiek przyczyn potrzebowali pomocy. Pod koniec lat sześćdziesiątych przez wiele miesięcy zamieszkiwali u niego ci, których UB nękała w ramach „zwalczania fermentu Marca 1968”. Przez jego dom przewinęli się też „marcowi emigranci”.

Paradoksalnie – najbardziej fragmentaryczna jest moja wiedza o działalności Winciorka w kręgu Kornela Morawieckiego i „Solidarności Walczącej”. Choć to może nie wynik paradoksu, lecz zasad konspiracji. W latach siedemdziesiątych jeden z synów Rolanda studiował na Politechnice Wrocławskiej. W tym czasie i w tym samym miejscu Kornel zaczął wydawać „Biuletyn Dolnośląski”. Mało tego – swój słynny letni dom, wzniesiony z rozbiórkowych belek, zwożonych rowerem z Wrocławia – wzniosł z drugiej strony Wilczyńskiego Lasu. Jakies trzy kilometry od domu Rolanda. W stanie wojennym wyjątkowo liczna ekipa esbeków przetrząsała gospodarstwo w poszukiwaniu aparatury radiowej, która szczęśliwie została ukryta w lesie dzień wcześniej. Potem u Winciorka ukrywali się ludzie ścigani przez SB. Pamiętam, że miał znaleźć u niego schronienie dezterter z sowieckiej armii. Ukrywanie zbiegłych ze służby radzieckich żołnierzy to wspaniały wątek działalności „SW”. Nasza organizacja zawsze była orędownikiem udzielania im pomocy i, jak tylko mogła – służyła nią. O tym też trzeba pamiętać! Oczywiście, u Winciorka też drukowano. Jakoś w połowie lat osiemdziesiątych odbierałem część jakiegoś wyjątkowo obfitego wydruku i słuchałem opowieści biorącego w nim udział kolegi, który twierdził, że „ten człowiek z Wilczyna preferuje spartańskie warunki i drukuje tytanicznie – niemal bez zmrużenia oka powiela dniami i nocami”.

„Okrągły stół” Roland przyjął jako duże rozczarowanie. Ubolewał też nad tym, jak rozpija się wiejska młodzież: – Naród nam marnieje, panie Arturze... – mawiał.

Na początku lat dziewięćdziesiątych razem organizowaliśmy obornickie spotkania – z Kornelem Morawieckim, Wojciechem Ziemińskim, Antonim Lenkiewiczem, Mirosławem Jasińskim czy ludźmi Ruchu Trzeciej Rzeczypospolitej. Pracowałem wtedy na pół etatu w domu kultury, w którym razem udało nam się stworzyć „Klub Dyskusyjny Czytelników Prasy” i „Klub Filmu Historycznego”, w którym na telebimie wyświetlaliśmy m.in. materiały przygo-

towane przez Zbigniewa Lemańskiego. Na te spotkania początkowo przychodziło po kilka osób, potem co najmniej kilkanaście. Okazywało się, że wcale nie mała grupa myśli podobnie, jak my. Ujawniali się ci, co wołą „Gazetę Polską” od „Wyborczej” i „Spotkania” zamiast „Polityki”. Sceptyczni wobec Unii Demokratycznej, sympatycy Partii Wolności. Emeryci i uczniowie dyskutowali o Polsce. Roland Winciorek miał 44 lata więcej niż ja, ale nie było to specjalnie istotne. Na nasze spotkania przychodzili starsi od niego i znacznie młodszy ode mnie. W wyborach, w których startował Kornel Morawiecki, lub inni członkowie „SW” – zawsze na wyjątkowo duże poparcie można było liczyć w naszej „Małej Ojczyźnie”.

Roland zaznał krzywd ze strony Niemców, widział zbrodnie Rosjan. Zawsze jednak podkreślał, że byli i są wśród nich także przyjaciele. Mówił:

– Rosną kolejne pokolenia. Trzeba, by rosły w przyjaźni.

Opowiadał o tym, jak krył się w lesie przed Litwinami. Przyczynę ich postawy interpretował jako strach przed rozmiarami Polski. Bardzo liczył na wzajemne zrozumienie. Świetnie wiedział, co wyprawiało UPA, ale wielkie nadzieje wiązał z odrodzeniem wolnej Ukrainy. Był oburzony na postawę niektórych Żydów. Znacznie częściej wielu z nich wspominał jednak bardzo ciepło. Opowiadał, jak niewyobrażalną zbrodnią był holocaust i wracał do okoliczności, w których nie udało mu się uratować jeszcze choć paru ludzkich istnień.

Zabiegani sprawami dnia codziennego, wybiegający myślami w przyszłość, a nie skupieni na tym, co za nami – odkładaliśmy z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc konkretne udokumentowanie życia, które w ogromnej mierze upływało na służbie dla Polski. I, jak to niestety bywa, niepostrzeżenie i nieubłagane nadszedł dzień, od którego kolejnej pięknej postaci nie ma już wśród żywych. Znowu przychodzi odtwarzać wspaniałą biografię z okrucichów. Możliwe, że kalecząc ją nawet i nieścisłe podając fakty. Z braku wiedzy – pomijając jakieś znacznie istotniejsze... Ale jakoś jestem o to jednak spokojny. Ty, Rolandzie, jesteś już w niebie, a tam wszystko się przecież wybacz, prawda? A poza tym na pewno nie jestem jedynym, który Cię wspomina. Jeśli więc coś istotnego pominąłem, nieścisłości się dopuściłem – to ktoś dopisze, poprawi. Bo pewien jestem, że mieszkasz w pamięci wielu – wielu z nas.

Opublikowane na www.sw.org.pl w styczniu 2002



ANTONI WÓJTOWICZ 1954 – 2020

NIEZMORDOWANY WYDAWCA I DOBRY CZŁOWIEK

16 listopada 2020 umarł Antoni Wójtowicz – człowiek nadzwyczaj przyjazny i sympatyczny a zarazem ogromnie zasłużony w walce o wolność słowa i upowszechnianie prawdy o polskiej historii. W czasach konspiracyjnego wydawstwa niezależny, ale mający całe mnóstwo przyjaciół wśród ludzi Solidarności Walczącej, z którą związany był nie tylko więziami różnorodnej współpracy, lecz także wspólnotą serc, dusz i umysłów.

Urodził się w 1954 roku w Namysłowie. Po maturze ubiegał się o przyjęcie na Uniwersytet Wrocławski, na którym został studentem historii. Od 1977 współpracował ze Studenckim Komitetem Solidarności, którego gazetki najpierw kolportował a potem brał udział w ich druku. Po ukończeniu studiów historycznych rozpoczął studia w Instytucie Nauk Politycznych. Kierunek ten nie cieszył się wówczas najlepszą opinią wśród opozycyjnie nastawionych studentów. Niezbyt słuszenie politologia bywała wówczas postrzegana jako kuźnia kadr dla aparatu partii. Kres takim wyobrażeniom swoją działalnością położył Antek, który zaraz po sierpniu 1980 włączył się w tworzenie na Uniwersytecie Wrocławskim Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Instytut politologii był mały, dysponował zaledwie dwoma małymi salkami, lecz za to zlokalizowany był w miejscu, obok którego studenci wielu wydziałów przemieszczali się wyjątkowo licznie. A za sprawą Antka szybko zyskało ono renomę kolportażowego centrum, w którym zawsze zaopatrzyć się można było w wiele tytułów świeżej niezależnej prasy. Sam od 1980 roku redagował głośne studenckie pismo „Woda na młyn”. W 1981 roku wszedł w skład Zarządu Uczelnianego NZS i zainicjował utworzenie wydawnictwa „Universitas”. Stając na jego czele rozpoczął druk książek, zakazanych przez komunistyczną cenzurę. Postacią legendarną stał się Antek w czasie strajków w lutym, kiedy to studenci domagali się rejestracji NZS-u i jesienią, gdy solidaryzowali się z kolegami z radomskiej Wyższej Szkoły Inżynierskiej. Wójtowicz był członkiem komite-

tów strajkowych, odpowiadającym zarazem za wydarzenia w jego instytucie. A miejsce to słynęło wtedy jako jedna z głównych powielarni, mająca zarazem do zaoferowania jedzenie, pozyskiwane od jakichś zaprzyjaźnionych darczyńców. Stąd wśród strajkujących często powtarzane było hasło: „na wyżerkę i po strawę duchową – najlepiej do Antka”.

13 grudnia 1981 Antoni Wójtowicz znalazł się wśród tych, którym udało się dostać do gmachu głównego Uniwersytetu Wrocławskiego, by rozpocząć w nim protest przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. Dwa dni później strajk został rozbity przez ZOMO. Po kilkunastu dniach uwięzienia w celi zakładu karnego przy ul. Kleczkowskiej przewieziony został do ośrodka internowania na terenie więzienia w Grodkowie. Tutaj, mimowolnie, wziął udział w wydarzeniach, znanych jako „zabicie ubeka”. Śmierć wysokiego oficera Służby Bezpieczeństwa była wtedy faktem, ale udział internowanych w tym wydarzeniu był co najwyżej pośredni. Zaczęło się od drobnego aktu niesubordynacji uwięzionych. Wg wersji najczęściej powtarzanej – zaprotestować mieli w związku z zakazem obejrzenia jakiegoś programu telewizji. Nadgorliwy komendant więzienia poczuł się zobowiązany powiadomić o tym przełożonych z Warszawy. Generał Kiszczak zrozumiał tę informację jako alarm o jakimś groźnym buncie internowanych. W związku z tym wysłał do Grodkowa helikopter z jednym ze swoich wysokich oficerów. W rejonie Grodkowa hulała wtedy jednak burza śnieżna, w związku z czym śmigłowiec wylądował we Wrocławiu. Ważny ubek dalszą drogę odbyć miał samochodem. Szczęście mu jednak nie sprzyjało, gdyż będąc już blisko więzienia, na oblodzonej drodze auto wpadło w poślizg. W następstwie utraty panowania nad samochodem wysoki oficer SB, nie realizując rozkazu Kiszczaka, poniósł śmierć w wypadku.

Z internowania Antek został zwolniony 25 czerwca 1982. Włączył się w działalność podziemia, uczestniczył w ulicznych demonstracjach. W listopadzie znów, na parę tygodni, został internowany. Przebywał wtedy w więzieniu w Strzelinie. Powrót na studia politologiczne okazał się niemożliwy, w Instytucie Historii pracował jednak nad swoją pracą doktorską. A życie wypełniła mu przede wszystkim podziemna działalność wydawnicza. Od 1983 pracował w Zakładzie Produkcji Uszczelnień Technicznych, gdzie niemal od razu zaangażował się Tajny Komitet Zakładowy NSZZ Solidarność, dla którego redagował i drukował gazetkę zakładową „Jednością Silni”. Współpracował z Solidarnością Walczącą, kolportował wiele tytułów pism podziemnych. Uważał jednak, że bardziej od gazetek potrzebne są zakazane przez cenzurę książki.

W 1984 roku stworzył więc podziemne wydawnictwo „Profil”. Współpracował z wieloma autorami, drukarzami, kolporterami. Gros wydawniczej roboty wykonywał jednak sam. Umiejętnie organizując swoją podziemną pracę do roku 1989 zdołał w znaczących nakładach wydać ponad 20 tytułów obszernych książek.

W III RP postanowił kontynuować działalność wydawniczą. Nie było to łatwe w realiach rynku szybko zdominowanego przez potentatów dysponujących kapitałem obcym lub nomenklaturowym. Niemal wszystkie inne wydawnictwa o rodowodzie podziemnym szybko przestały istnieć. Antek zadowalał się jednak dochodem pozwalającym na bardzo skromne życie a na wydawniczym rynku znalazł sobie tematyczną niszę, dla której miał ogromnie dużo serca i w której nie było silnej konkurencji. Niszą tą były książki poświęcone zapomnianym wątkom zmagania z bolszewizmem oraz zmarłym działaczom podziemia. To dzięki nim ocalona została pamięć o postaciach wspaniałych, nadzwyczaj ofiarnych, które pomimo wielkich zasług w pookrągłostołowej Polsce skazane były na zamilczenie. W ostatnich dziesięcioleciach swej działalności blisko współpracował z m.in. dolnośląską Solidarnością, Helenką i Romkiem Łazarowiczami, Stowarzyszeniem Solidarność Walcząca.

W swojej wydawniczej aktywności Antek borykał się z mnóstwem problemów. Przez wiele lat walczył też z chorobą nowotworową powodującą, że co jakiś czas przerywał pracę, lądując w szpitalu. Zawsze jednak był znany jako człowiek nadzwyczaj pogodny, przyjacielski, pełen optymizmu, zawsze skłonny do żartów. Mówienie o sprawach bolesnych zdawało się nie leżeć w jego naturze. Uważał chyba, że życie nie jest po to, żeby narzekać, ale po to, by cieszyć się nim, póki jest. I póki się żyje – robić coś, co cieszy, jest potrzebne i jest dobre.

Wraz z jego odejściem straciliśmy postać niesłychanie ciepłą, życzliwą, serdeczną. A zarazem człowieka, któremu wszyscy bardzo wiele zawdzięczamy.



EDWARD WÓLTAŃSKI

Urodził się w 1953 r. w Kraśniku Fabrycznym. Będąc małym dzieckiem zajmował się pielęgnowaniem ukrytych w lesie grobów żołnierzy podziemia antykomunistycznego. W 1973 ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Lublinie.

Od 1974 mieszkał w Polkowicach a następnie w Lubinie, w związku z zatrudnieniem jako plastyk w Zakładach Górniczych Rudna, należących do KGHM Lubin. Od 1978 zajmował się kolportażem wydawnictw drugiego obiegu, głównie „Bratniaka”, „Robotnika”, „Gospodarza” i „Biuletynu Dolnośląskiego”. We wrześniu 1980 został członkiem Komitetu Zakładowego NSZZ Solidarność w ZG Rudna. W ramach tej działalności już wczesną jesienią 1980 stworzył Radio Solidarność ZG Rudna.

Na przełomie listopada i grudnia 1981 uczestniczył w akcji wypłacenia z rachunku NSZZ Solidarność 80 mln złotych, zagrożonych konfiskatą w wypadku spodziewanego wprowadzenia stanu wojennego. Jego uczestnictwo polegało na myleniu tropów Służby Bezpieczeństwa. W związku z tym został bardzo ciężko pobity.

Od 14 grudnia 1981 był członkiem Komitetu Strajkowego w ZG Rudna a od 15 do 17 grudnia 1981 Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego Zagłębia Miedziowego. Od rozbicia strajku ukrywał się. Aresztowany został 28 grudnia 1982, 24 lutego 1982 został skazany na 1,5 roku więzienia w zawieszeniu na 3 lata. Z kilkudziesięciu dni, spędzonych w rękach bezpieki, wiele było dniami prawdziwego piekła. Najpierw esbecy zarzucali Wóltańskiemu udział w wypłaceniu i ukryciu osiemdziesięciu milionów złotych z rachunku dolnośląskiej Solidarności. Co zresztą było zgodne z prawdą. A w związku z tym, że nie udawało im się nic z aresztowanego wydobyć, dawali upust swej wściekłości. Nie wystarczało im, że powybijali zęby – tłukli dalej. Kiedy po paru tygodniach dali spokój z wypytywaniem o osiemdziesiąt milionów – zdarzył się esbekom inny powód

do bicia. Wółtański trzymał się zasady odpowiadania tylko na pytania o dane personalne. Czyli: imię, nazwisko, imiona rodziców i datę urodzenia. I ciosy zaczęły spadać na niego przy okazji właśnie wymieniania daty urodzenia. Zgodnie z prawdą mówił, że urodził się trzynastego grudnia. Tak miał zresztą wpisane w dowodzie osobistym. Oprawcy rozumieli to jednak jako rodzaj aluzji do dnia wprowadzenia stanu wojennego. I reagowali na agresję.

Natychmiast po wyjściu na wolność rozpoczął działalność konspiracyjną, polegającą głównie na druku i kolportażu. Równocześnie organizował pomoc dla represjonowanych, zbierając informacje o prześladowaniach i doręczając rodzinom uwięzionych pomoc materialną, otrzymywaną w Arcybisupim Komitecie Charytatywnym, działającym we Wrocławiu. W związku ze zwolnieniem z pracy utrzymywał się z własnej działalności, polegającej na malowaniu i sprzedaży obrazów. W czerwcu 1982 został członkiem Solidarności Walczącej. Jako jeden z głównych organizatorów struktur tej organizacji w Zagłębiu Miedziowym przygotowywał protesty uliczne w drugą rocznicę Porozumień Sierpniowych. Drukował ulotki i przeprowadzał akcje ulotkowe. 31 sierpnia 1982 uczestniczył w demonstracjach, które też dokumentował fotograficznie. 6 września 1982 został internowany. Do 14 grudnia 1982 przebywał w ośrodkach odosobnienia na terenie zakładów karnych w Grodkowie i Nysie. Po wyjściu wykonał tysiące odbitek fotograficznych, stanowiących dowody Zbrodni Lubińskiej.

Na przełomie 1982 i 1983 stworzył w Lublinie dużą i stale się rozwijającą podziemną bibliotekę książek zakazanych przez cenzurę. Miała ona bardzo dużą, stale się powiększającą liczbę czytelników. W tym samym czasie stworzył świetnie zamaskowaną, dużą drukarnię, której miejscem była przestrzeń, znajdująca się między sufitem jego mieszkania a dachem bloku. Wejście do niej prowadziło przez szafę i zamaskowaną kłapę. Duża powierzchnia pomieszczenia i jego doskonałe wyciszenie umożliwiły równoczesną pracę paru powielaczy. Drukarnia nigdy nie została wykryta, pomimo wielu rewizji, przeprowadzanych przez SB. 24 kwietnia 1983 został aresztowany pod zarzutem prowadzenia nielegalnej działalności. Zwolniony został 27 czerwca 1983 w związku z brakiem dowodów.

Do roku 1990 zajmował się podziemnym drukiem. Jego tajna powielarnia wydrukowała wiele tysięcy niezależnych gazetek, ulotek, książek, plakatów. Część nakładów sam woził do współpracowników z odległych miast Polski. Równocześnie był aktywny w duszpasterstwach ludzi pracy. Był m.in. au-

torem wielu rocznicowych wystaw, mających miejsce w kościołach. W 1989 był współorganizatorem Porozumienia na Rzecz Demokratycznych Wyborów w NSZZ Solidarność. Opowiadał się przeciw porozumieniom Okrągłego Stołu.

Po 1989 prowadził działalność gospodarczą (m.in. prowadził księgarnię), nadal działał społecznie. W wyniku bankructwa (do którego przyczynił się niezawiniony przez niego wypadek samochodowy) utracił mieszkanie. Nie zajęło wielkiej części życia, poświęconej działalności, ani też utraconego zdrowia. Zawiódł się jednak na ludziach, budujących nowy ład we współpracy z liderami komunistycznego reżimu.



SIEJMY A COŚ WYROŚNIE

WYSTĄPIENIE NA KOLARSKIM MEMORIALE KORNELA MORAWIECKIEGO, WYGŁOSZONE 15 SIERPNIA 2020 W BAGNIE.

Kornel o sprawach wielkich i ważnych zawsze potrafił powiedzieć krótko. A jak opowiedzieć krótko o Kornelu? Choć może raz mi się to udało, tyle że na dnie smutku, chwilę po tym, jak dowiedziałem się o jego śmierci. Odebrałem wtedy telefon od którejś z telewizji, które informując mnie o wejściu na antenę bezceremonialnie poprosiła mnie o krótki komentarz. Nie zbierając myśli powiedziałem wtedy coś, co nadal uważam za bardzo trafne: „Polska utraciła właśnie swojego największego narodowego bohatera naszych czasów”.

Kornel Morawiecki był bohaterem nie tylko Polski. Za walkę o wolność innych narodów wysokimi odznaczeniami wyróżniły go Republika Czeska, Węgry a także Tatarzy Krymscy. Bo i o ich wolność w najtrudniejszych czasach czynnie się upominał. Tytuł honorowego obywatela przyznały mu m.in. Województwo Dolnośląskie, miasto Wrocław i Trzebnica. Jego życie wypełnione było wielką służbą innym ludziom, tytaniczną pracą na rzecz Polski. A w największym stopniu związany był z czterema miejscami naszego kraju. Pierwszym była Warszawa, w której urodził się 3 maja 1941 roku. W stolicy spędził pierwszych siedemnaście lat życia i większość z czterech ostatnich, w czasie których pełnił godność marszałka seniora Sejmu RP. Tamtejszy Cmentarz Powązkowski stał się też miejscem jego spoczynku. Drugie miejsce, z którym był najbardziej związany, to Ziemia Świętokrzyska, z której pochodzili jego przodkowie i gdzie, wśród licznych krewnych, spędził dużą część swoich młodych lat. Wystarczy zajrzeć do indeksu którejkolwiek książki, poświęconej Świętokrzyskiemu Obwodowi Armii Krajowej, by zobaczyć, jak wielu wymieniają one Morawieckich. Wszystko to są wujkowie, kuzynowie Kornela, wiele spośród nich to postacie legendarne, wsławione udziałem w najbardziej bohater-skich akcjach podziemia, takich jak np. uwolnienie więźniów gestapowskiej katorni w Jędrzejowie. Wśród tych ludzi Kornel spędził dużą część dzieciństwa.

W czasie kolejnych wakacji chłonał opowieści o konspiracji, działalności dywersyjnej, walce leśnych oddziałów. Trzecim miejscem w jego ojczyźnie był Wrocław, do którego trafił, by w nim studiować, w którym pracował, założył rodzinę i który był początkiem jego historycznych dokonań. Czwartą z tych części Polski, z którymi związany był najbardziej, są północne powiaty Dolnego Śląska, Góry Kocie, Ziemia Trzebnicka a w szczególności gmina Oborniki. We Wrocławiu w 1958 r. znalazł się m. in. dlatego, że w niedalekim Wilczynie Leśnym miał krewnych – rodzinę Rolanda Winciorka, człowieka w części wychowanego na kolanach Władysława Reymonta (matka była jego gospodynią), zasłużonego walką z najeźdźcami niemieckimi i sowieckimi oraz w oddziale AK, potem w organizacji WiN. To tutaj z Wojtkiem Winciorkiem podjął pierwsze wielkie działania przeciw komunistycznemu reżimowi, tu założył swoją pierwszą drukarnię. W jego letnim domu, zwanym Kornelówką, miało początek mnóstwo wolnościowych inicjatyw a pierwsi drukarze przedsierniowego drugiego obiegu wywodzili się m.in. z zaprzyjaźnionych mieszkańców Pęgowa. Bo w tutejszą społeczność bardzo aktywnie się zanurzył, pracował tu jako nauczyciel, owocem tej pracy było m.in. wielu zaangażowanych w podziemną radiofonię, poligrafię, w konspiracyjne redakcje. W latach, w których był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Polsce, ukrywał się także, jako rzekomy pacjent, w jednym z obornickich sanatoriów.

Jakiegolwiek miałyby się poglądy to każdy przyznać musi, że Kornel Morawiecki należał do najwybitniejszych postaci, związanych z tą ziemią w całych jej dziejach. Kiedy więc kilka lat temu, wraz z Andrzejem Manasterskim, zaczęliśmy sugerować władzom miasta i gminy, by nadały Kornelowi tytuł honorowego obywatela – zaskoczeniem, zdumieniem i bólem był dla nas obojętny a nawet negatywny stosunek do tej idei. Potwierdzony kuriozalną sytuacją także na dzisiejszej uroczystości. Retoryczne pytanie się nasuwa – dla kogo byłby to większy zaszczyt: dla Kornela być honorowym obywatelem czy dla miasta i gminy mieć za honorowego obywatela postać tak niepowtarzalną. Dziś nie chodziło jednak o honorowe obywatelstwo, ale o zwykły akt pamięci. Przypuszczam, że jakąkolwiek tablicę pamiątkową odsłania się w Obornikach nie częściej, niż raz na dziesięć lat. Z natury rzeczy uroczystość ta ściągnęła posłów, senatorów, burmistrzów sąsiednich miast, przedstawicieli wielu urzędów, stowarzyszeń, oczywiście kapłanów a także kombatanów, strażaków, policjantów, kolejarzy, mieszkańców miasta i gminy. A nie było nikogo z jej władz. Panu radnemu Kucharskiemu, który złożył wiązanek kwiatów pod

tablicą składał wyrazy szacunku. Był jednym z dwojga radnych, ratujących dziś honor miasta i gminy.

Kornel oczywiście był ostatnim, który by zabiegał o własną chwałę. Autorka pracy doktorskiej na temat gatunku pisarskiego, zwanego wywiadem – rzeką zauważyła, że książkowa rozmowa z Kornelem Morawieckim wyróżnia się tym, że wypowiadający się mówi przede wszystkim o roli innych a nie o własnej. O zadaniach, jakie należy sobie stawiać, Kornel też mówił krótko. Trzydzieści lat temu, na koniec wspaniałego, poświęconego Solidarności Walczącej przedstawienia w Teatrze Polskim Kornel powtórzył tylko zdanie z finałowej pieśni tego niezapomnianego spektaklu: „Siejmy a coś wyrośnie”. Kornel w swoim życiu zasiał ogromnie dużo i zasiew ten przyniósł plony ogromne. Serce rośnie, gdy spotykamy dziś innych wspaniałych siewców. Jest nim na pewno Dominik Krupa, główny inicjator i organizator jakże wspaniałych uroczystości, w których uczestniczyliśmy i które będą dla nas niezapomniane. Są takimi siewcami ci wszyscy, którzy w tym dziele go wspomagali, by wymienić tylko gospodarzy tego miejsca, Wyższe Seminarium Duchowne Salwatoriaków w Bagnie. Powtórzę za Kornelem: „Siejmy! A na pewno dużo wyrośnie!”



ROMAN ZWIERCAN

NIEPODLEGŁOŚĆ BYŁA CELEM NAJWAŻNIEJSZYM

Rozmowa z Romanem Zwiercanem, współzałożycielem Solidarności Walczącej Oddział Trójmiasto

Artur Adamski: Walkę z reżimem komunistycznym podjąłeś w młodym wieku, w sposób bardzo śmiały i w czasach, w których tak zdecydowane postawy młodzieży były rzadkością. Jakie były źródła tak nadzwyczajnej aktywności?

Roman Zwiercan: Od wczesnego dzieciństwa wielką wartością była dla mnie ojczyzna. Wcześniej zacząłem zaczytywać się w książkach o Polakach walczących o wolność a im więcej czytałem, tym bardziej zacząłem też sobie dawać sprawę z tego, że Polska, w której dorastam, krajem wolności nie jest.

AA: Czy do podejmowania odważnych, nawet nieco szalonych decyzji, popychała Cię atmosfera rodzinnego domu?

RZ: Raczej nie. Moi rodzice nie należeli do kręgów w PRL-u szczególnie uprzywilejowanych czy znaczących, ale jednak do takich, o których mówiło się, że ustrojowi zawdzięczali jakiś społeczny awans. Mieli w pamięci te biedne wioski, z których pochodzili i doceniali to, co w „ludowej” Polsce udało im się osiągnąć. Choć nie były to osiągnięcia duże – ojciec był podoficerem wojsk lotniczych, mama po ukończeniu studiów pracowała w szkole, mieliśmy małe mieszkanie w centrum Gdyni. Mimo, że dalecy od postaw opozycyjnych, dość często moi rodzice słuchali Wolnej Europy.

AA: W Grudniu 1970 miałeś 8 lat...

RZ: I wydarzenia oglądałem głównie przez okno. Całe miasto huczało od wystrzałów i tonęło w chmurach gazu, ale wiele działo się też bezpośrednio pod naszym domem. Ulicą na przemian szły pochody i sunęły czoł-

gi, kawalkady pojazdów pancernych i wozów milicji. Najbardziej przerażające były tłumy ścigane kulami. Byłem dzieckiem, ale istoty tych przerażających wypadków trudno było nie rozumieć. Wszędzie wokół bandziory uzbrojone w czołgi, karabiny, helikoptery katowały i mordowały bezbronnych ludzi.

AA: A jak do tego, co się działo, ustosunkowywali się twoi rodzice?

RZ: Byli wstrząśnięci. Kiedy mój ojciec po tej tragedii pojawiał się na ulicy w wojskowym mundurze spotykał się z wrogością i bardzo to przeżywał. Nie było go wśród występujących przeciw Polakom, ale jednak był żołnierzem wojska służącego nie Polsce, lecz niewolącemu Polskę mocarstwu. Żołnierzem armii, która strzelała do Polaków walczących o wolność. Ten fakt był przyczyną konfliktu, narastającego między mną a moimi rodzicami.

AA: Jako nastolatek próbowałeś podjąć rzeczywistą działalność opozycyjną.

RZ: Zawsze uważałem, że walka o niepodległość, o uwolnienie Polski i świata z komunistycznego zniewolenia jest obowiązkiem. I od lat chłopięcych w walce tej chciałem czynnie brać udział. Trochę jednak śmiać mi się dzisiaj chce z moich pierwszych prób podjęcia tej walki. W latach siedemdziesiątych Wolna Europa bardzo dużo mówiła o Jacku Kuroniu. Dziś wiem, że było to lansowanie postaci, środowisk i opcji pasujących do czyichś zagranicznych interesów. Wtedy wnioskowałem, że jeśli Wolna Europa ciągle mówi o nim to musi on być dla komunizmu niebezpieczny. Chciałem się więc z nim spotkać, by zacząć mu jakoś pomagać. Nie pamiętam już skąd wzięło się moje błędne domniemanie, że Kuroń mieszka w Krakowie. W każdym razie pojechałem pociągiem do Krakowa i w tamtejszym biurze adresowym starałem się dowiedzieć, gdzie mieszka. Oczywiście wielkim wydarzeniem był dla mnie Sierpień 1980. Robiłem wszystko, co tylko było możliwe, by wspierać strajkujących. Wszystkie posiadane pieniądze przeznaczałem na żywność, którą przynosiłem robotnikom. Kolportowałem otrzymywane od nich gazetki, malowałem popierające ich napisy na murach. Byłem pełen wiary w to, że celem tej walki jest coś o wiele większego od realizacji postulatów socjalnych. Tworzący Solidarność byli dla mnie bohaterami i na tym tle doszło do jednej z większych kłótni z moim ojcem, po której wyprowadziłem się z domu, rzuciłem szkołę i wyjechałem na Śląsk, gdzie zatrudniłem się w kopalni. Górnicy też byli dla mnie wielkimi bohaterami. Mówiło się, że to ich przyłączenie się do strajku przesądziło o zwycięstwie Sierp-

nia. Parę miesiące pracy z nimi pogrążyło mnie jednak w głębokim rozczarowaniu. W rozmowach z nimi w ogóle nie było miejsca na sprawy takie, jak niepodległość czy obalanie komunizmu. Horyzontem ich marzeń okazały się być dobrze zaopatrzone sklepy, w których można by kupować bez stania godzinami w kolejkach, wyższe pensje, krótsze oczekiwanie na przydział mieszkania. A ja chciałem walczyć o niepodległość. Szukałem gotowych do otwartej walki z komunizmem. Walczono z nim w Afganistanie. Stąd prosty wniosek – trzeba się tam dostać. Postanowiłem przedrzeć się przez tych kilka granic, dzielących Polskę od Afganistanu. Początkowo szło nieźle. Przez góry przeszedłem do Czechosłowacji, w Pradze wsiadłem do międzynarodowego pociągu, w którego toalecie odkręciłem płytę sufitową i ukryłem się w przestrzeni oddzielającej sufit od dachu. Niestety, miejsce to strażnikom granicznym było znane, jako wykorzystywane przez przemytników. Przed kolejną granicą znalazłem się więc w rękach czechosłowackiej milicji.

AA: I w Czechosłowacji zastał cię stan wojenny?

RZ: Nie. Czesi przekazali mnie do Polski bezpośrednio przed wprowadzeniem stanu wojennego. Wylądowałem w areszcie na terenie krakowskiej jednostki wojskowej, ale stan wojenny „witałem” już w areszcie śledczym w Białymostku. W lutym 1982 rozpoczął się mój proces w Sądzie Garnizonowym. Zaskoczyło mnie pojawienie się mojego ojca, siedzącego na sali w polowym mundurze. Przypuszczam, że to jego obecności zawdzięczam wyrok w zawieszeniu. Ten wojskowy sąd chyba uznał, że surowe karanie syna wojskowego w czasach, w których reżim potrzebował tych wojskowych, jak powietrza, nie jest im do niczego potrzebne. Wlepili mi więc wyrok „w zawiasach”, po czym ojciec zabrał mnie samochodem do Gdyni.

AA: Mając wyrok w zawieszeniu każda działalność oznaczała spotęgowanie ryzyka.

RZ: Wiele sobie z tego nie robiłem. Musiałem podjąć pracę, gdzie od razu szukałem jakichś konspiracyjnych kontaktów. Nocami malowałem napisy na murach, po pracy ulotki – na przemian powieliałem lub rozrzucałem. I nie było demonstracji, w której bym nie uczestniczył. W czasie jednej z nich o mały włos by mnie zatrzymali. To znaczy zomowcy mnie złapali, ale udało mi się im wyrwać. W ich rękach została moja kurtka. Biegać musiałem nieźle, bo udało mi się uciec.

AA: A kontakty konspiracyjne wtedy, w 1982 roku, udało ci się nawiązać?

RZ: Owszem, nawet sporo ludzi wtedy konspirowało, ukazywało się dość dużo podziemnych gazetek. Jednak ani żaden ze znanych mi wtedy opozycjonistów ani którykolwiek z tytułów docierającej do mnie prasy drugiego obiegu nie wyrażał zainteresowania tym, co dla mnie było najważniejsze – niepodległością i obaleniem komunizmu. Powrót legalnej Solidarności nie był dla mnie żadnym celem. Jaki to miało sens w kraju rządzonym przez komunistów, którzy właśnie udowodnili, że każde społeczne umowy mogą zrywać, każde prawa łamać i że jeśli zgodzą się na namiastkę wolności to nie zawahają się potem stłumić jej czołgami. Zupełnie nie rozumiałem tych minimalistycznych celów, wskazywanych przez Solidarność. A apele do reżimu o porozumienie, deklarowanie gotowości do ustępstw było dla mnie oczywistą drogą do jakiegoś fikcyjnego układu społecznego, którego rzeczywistymi beneficjentami byłiby sługusi Moskwy. Wykastrowana Solidarność może by wtedy istniała, ale siedząc w kącie z podkulonym ogonem. W połowie 1982 przynębiająco zaczęły na mnie działać także demonstracje. Póki były liczne i zdecydowane – oceniałem je jako dotkliwe ciosy, zadawane reżimowi. Potem zaczęły się ograniczać do różnych rocznicowych mszy św. Kościelne uroczystości miały podniosły nastrój, nie po raz pierwszy w polskiej historii świątynie stawały się ostatnimi bastionami wolności. Większości uczestników tych wydarzeń wystarczało jednak pooddychanie patriotycznym nastrojem, poobcowanie z pokrzepiającym wolnym słowem. Poznałem mnóstwo ludzi obecnych na każdej mszy św. za ojczyznę, także aktywnych w duszpaSTERSTWACH akademickich, lecz nie znalazłem wśród nich nikogo skłonnego do robienia czegoś konkretnego na rzecz niepodległości, do podejmowania działań naprawdę kruszących komunizm.

AA: Bez twardej walki z komunizmem obalić by się nie dało?

RZ: Łagodny opór oceniałem jako przeciw skuteczny, hartujący tyranie. Ja z komunizmem chciałem walczyć, więc znów zapragnąłem dotrzeć do Afganistanu. Miałem kolegę, który uważał tak samo. Razem zatrudniliśmy się w porcie, poznaliśmy różne zakamarki statków i zasady ich funkcjonowania. W końcu pojawił się taki, który miał wyruszyć w rejs do Indii. Ukryliśmy się na nim zakładając, że ujawnimy swą obecność po przekroczeniu cieśnin duńskich. Nie wiedzieliśmy, że wyjście w morze przesunięte zostało o kilka dni. Do tego rejsu po Bałtyku odbywał się w żółtim tempie, bo było to korzystne dla płac załogi. Z naszych obliczeń wynikało, że powinniśmy być już na Morzu Północnym, tymczasem byliśmy przed wejściem do cieśnin duńskich, na wysoko-

ści Świnoujścia. Tam odkryto naszą obecność. W moim przypadku była to recydywa, co oznaczało sąd i więzienie. Wyszedłem po amnestii z lipca 1984.

AA: I wtedy trafiłeś do Solidarności Walczącej?

RZ: Od Wiesi Kwiatkowskiej dostałem gazetki z programem Solidarności Walczącej i zostałem członkiem tej organizacji, dzięki której zacząłem odzyskiwać nadzieję na prawdziwą walkę o niepodległość. Do tego podziemna Solidarność właśnie przygotowywała ogólnopolski strajk. Byłem wtedy zatrudniony w Stoczni im. Komuny Paryskiej, bardzo liczyłem na to, że ten protest przeobrazi się w coś wielkiego. W dniu, w którym mieliśmy zacząć należałem do tych, do których nie dotarła nagła decyzja Lecha Wałęsy o odwołaniu protestu. O ustalonej porze, wraz z kolegą, wyłącziliśmy maszyny. A że byliśmy w tym odosobnieni – za te w sumie 15 minut protestu natychmiast wyrzuciono nas z pracy. Postanowiliśmy żądać cofnięcia tej decyzji, rozpoczynając następnego dnia strajk głodowy w takim miejscu, z którego nie będzie nas można wynieść. Przed świtem udało nam się dostać na teren stoczni, wdrapaliśmy się na szczyt najwyższego komina, na którym wielkimi literami wymalowaliśmy, o co nam chodzi i że tam właśnie prowadzimy głodówkę. Zaczął się zbierać coraz większy tłum stoczniovców, więc zaczęto z nami negocjować. Zgodziliśmy się zejść po oświadczeniu dyrektora, że zostaniemy przywróceni do pracy. Zaproszono nas do biura dyrektora w którym mieliśmy poczekać na załatwienie formalności. To jednak był podstęp bo w gabinecie czekali esbecy, którzy po zakończeniu dziennej zmiany, gdy stocznia opustoszała przewieźli nas do aresztu gdzie spędziliśmy następne dwie doby. Spodziewali się, że jeśli nie zostaniemy wypuszczeni przed upływem 48 godzin – potrafimy im narobić kłopotów. Tym bardziej, że upominała się o nas część załogi stoczni. Dokładnie więc po upływie 47 godzin przewieźli nas do szpitala psychiatrycznego. Lekarze szybko się zorientowali, że nie ma powodu ani podstaw prawnych do trzymania nas wbrew woli, a ja żądałem uwolnienia, grożąc podjęciem w szpitalu protestu głodowego.

AA: W Związku Sowieckim szpitale psychiatryczne na masową skalę były wykorzystywane jako metoda trwałej izolacji opozycjonistów, ale w PRL-u większość lekarzy nigdy by się na to nie zgodziła.

RZ: Możliwe. Niestety ci pracujący wówczas w szpitalu na Srebrzysku w Gdańsku nie mieli odwagi nas zwolnić. Nie zmuszali wprawdzie do niczego, żadnych badań nam nie robiono, ale szpitalnego oddziału psychiatrycz-

nego, zabezpieczonego kratami opuścić nie mogłem. Po miesiącu zdecydowałem się na rozpoczęcie głodówki. Dopiero po kolejnych dwóch dniach wypisano mnie do domu. Wyszedłem, wsiałem do autobusu, miałem przesiadkę niemal pod oknami komisariatu milicji. Na przystanku, w okolicy którego nie było nikogo, nagle pojawiło się kilku drabów. Spuścili mi ciężki łomot, krew zalewała mi oczy, nie byłem w stanie stać na nogach. Do dziś wdzięczny jestem taksówkarzowi, który się zatrzymał, zawiózł mnie do szpitala i nie chciał zapłaty, mimo że pokrwawiłem mu fotele i tapicerkę. Wśród obrażeń które u mnie stwierdzono, było wyłamanie stawu kolanowego, stanowiące mój problem do dzisiaj. Nogę w gipsie miałem łącznie przez trzy miesiące. Kiedy, całego w opatrunkach, zobaczyła mnie Wiesia Kwiatkowska od razu powiedziała: Musimy nagłośnić tę sprawę, bo następnym razem zatłuką cię na śmierć. Zawiózła mnie do Lecha Wałęsy, który decydował, jakie informacje z Wybrzeża pojawiały się na antenie Wolnej Europy. Wałęsa rozpoznał we mnie jednak tego, który strajkował po tym, jak on strajk odwołał. Troska o los kogoś, kto mu się sprzeciwiał, nie leżała w jego zwyczaju. To była chyba nasza ostatnia rozmowa z Wałęsą.

AA: Bycie unieruchomionym dla kogoś tak rwącego się do działalności, musiało być trudnym przeżyciem.

RZ Ręce miałem sprawne, więc przez parę miesięcy dzień w dzień, od rana do nocy, drukowałem podziemne gazetki. Nie tylko Solidarności Walczącej, ale też „Poza Układem” Joanny i Andrzeja Gwiazdów, pisma zakładowych struktur Solidarności, różne ulotki itd. Kiedy wreszcie zdjęli mi gips rozpocząłem conocne akcje malowania na murach. Zaleźli się też inni chętni do tej roboty, więc działaliśmy w ośmioosobowym zespole pracując z ziemi. Nasi koledzy, Marek Czachor i byszek Mielewczyk robili to samo ale na wysokościach. Zrealizowali pomysł zjeżdżania na linach z dachów dziesięciopiętrowych bloków i malowania ogromnych haseł. Szło to bardzo sprawnie – każdy miał do namalowania jedną lub dwie litery, po czym błyskawicznie się zwijali. Efekt takiej pracy był bardzo spektakularny, bo pojedynczy napis był widoczny z bardzo dużej odległości. Nasze działania choć mniej widowiskowe robiły również wrażenie, ale poprzez skalę. Zachęceni sukcesem pojawialiśmy się nocami na kolejnych osiedlach i malowaliśmy napisy blok po bloku. W końcu SB i ZOMO wzmogły nocną obserwację wielkopłytowych osiedli i w czasie którejś akcji musieliśmy uciekać. Część z nas złapano i ktoś chyba zaczął sypać, bo zaczęły się rewizje u ludzi, u których bywałem, a potem wypuszczono za mną listy gończe.

AA: Zaczął się czas ukrywania...

RZ: Tak. Zmieniona tożsamość, fałszywe dokumenty, charakterystyka, nowe sposoby kontaktowania się. Był to też czas kolejnych, niewyjaśnionych śmierci ludzi związanych z podziemiem. Z Wrocławia przysły też wiadomości o porwaniu wówczas siedemnastoletniego Mateusza Morawieckiego, którego wywieźli do lasu i kazali mu kopać grób. W tym przypadku skończyło się na pobiciu, ale zaczęliśmy się liczyć z tym, że bezpieczeństwa zacznie nas zabijać. Nie zamierzaliśmy dać się zażynać jak barany. Przeciwnie – postanowiliśmy pokazać, że potrafimy się bronić. W oparciu o rysunki techniczne pistoletu maszynowego nasi ludzie ze Stoczni Komuny Paryskiej zaczęli wykonywać kolejne jego części. Po złożeniu i załadowaniu amunicją pistoletową próbne strzelania w lesie wypadły rewelacyjnie. Z produkcją kolejnych egzemplarzy się wstrzymaliśmy, ale wiedzieliśmy, że w razie potrzeby będziemy w stanie co tydzień wytwarzać dziesiątki sztuk tej broni. Przeprowadziłem też wiele prób z różnymi materiałami wybuchowymi. Rada i Komitet Wykonawczy Solidarności Walczącej długo analizowały celowość małego ostrzegawczego ataku bombowego. Akcja miała być wymierzona w jakiś obiekt, ściśle związany z reżimem i nie przynieść żadnych ofiar. To miało być ostrzeżenie: jeśli zaczniecie rozlewać krew to liczcie się z tym, że popłynie nie tylko nasza. Wybór padł na siedzibę komitetu PZPR w Gdyni. Po obserwacji budynku ustaliliśmy miejsce, w którym wybuch nie poraniłby także przebywającego w środku strażnika. Wrażenie, jakie zrobiła eksplozja, śledzieliśmy podsłuchując rozmowy radiowe SB, wojska i milicji. Byli skrajnie przerażeni i całkowicie bezradni.

AA. Jednak miesiąc później, w marcu 1987, zostałeś aresztowany.

RZ: Wpadłem w pułapkę, skutkiem której mogli mi przypisać posiadanie stu kilogramów podrzuconego mi trotylu. Nie miało to związku z rzeczywistymi, wytwarzanymi przez nas materiałami wybuchowymi. Niemniej jednak spodziewałem się najpoważniejszych nawet konsekwencji. I zdziwiony byłem, że śledztwo, jak na kaliber stawianych mi zarzutów, toczyło się stosunkowo łagodnie. Nie odpowiadałem na żadne pytania, ale starający się skłonić mnie do mówienia oficerowie SB mówili sporo. I wtedy nie raz miałem wrażenie, że unikają stosowania wobec mnie przemocy z obawy, że Solidarność Walcząca naprawdę może na nich dokonać odwetu.

AA: Uwolnili cię w październiku 1988.

RZ: Blisko rok wcześniej zauważyłem jakąś zmianę w toczącym się śledztwie. Nagle jakby przestali się interesować jego wynikami a wcześniej ciągle mówili o gromadzeniu dowodów do głośnego procesu, jaki mieli mi szykować. Dziś jestem niemal pewien, że w 1987 reżim wszedł już na ostatni etap, mający na celu porozumienie z częścią opozycji. Gospodarka zmierzała ku ostatecznemu załamaniu a to musiało oznaczać społeczny wybuch o skali, jakiego komunizm jeszcze nie widział. Jedyne ratunku komuniści upatrywali w uzyskaniu gwarancji bezkarności, udzielonej im przez tych opozycjonistów, z którymi podzielić się władzą. Operacji tej nie dałoby się przeprowadzić, gdyby polityczni siedzieli w więzieniach. Nie do końca jednak nad tym panowali. Już trzy miesiące po zwolnieniu z więzienia, w grudniu 1988 wystawili za mną ponownie listy gończe i poszukiwany byłem aż do kwietnia 1991 roku, kiedy to, dopiero za czasów rządów drugiego postsolidarnościowego premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego listy gończe zostały uchylone.

AA: W III Rzeczpospolitej Solidarność Walcząca, gigant drugiego obiegu wydawniczego i wielka potęga konspiracji lat osiemdziesiątych, została całkowicie zmarginalizowana.

RZ: Byliśmy zapomniani przez całe dziesięciolecie. W Solidarności Walczącej nikt niczego nie robił jednak dla sławy. To była organizacja, złożona z tysięcy bezimiennych, gotowych na każde poświęcenie i nie oczekujących żadnej nagrody. Ład, formujący się po okrągłym stole, był daleki od naszych marzeń. Była to jednak Polska z szansami na przyszłość, więc o niebo lepsza od beznadziei PRL-u.



KRZYSZTOF ZWIERZ

W 1978 roku zdałeś maturę i dostałeś się na studia.

Na Akademię Ekonomiczną. I nawet nieźle mi szło, chociaż jak przyszło mi zdawać z języka, którego nie cierpiałem, czyli z rosyjskiego, to z tym było gorzej. Komisja egzaminacyjna chciała sobie ze mną pokonwersować w tym języku, ale zaczęła tracić cierpliwość, kiedy w języku Puszkina miałem powiedzieć „Malarz maluje obraz”. W mojej wersji rosyjskiego brzmiało to mniej więcej: „Malar maluje obraz”.

Ależ musiałeś ich rozbawić! Bo to powinno brzmieć jakoś „chudożnik rysujej kartinu”.

Te smutasy z komisji egzaminacyjnej rzeczywiście trochę się wtedy rozbawiły. Może nawet tak bardzo, że wyraziły zainteresowanie kimś, kto rozweselałby ich uczelnię. Tym bardziej, że egzaminy ze wszystkich innych przedmiotów pozdawałem co najmniej dobrze. Zostałem więc studentem i przez kilka miesięcy było mi na tej uczelni bardzo fajnie. Jednak ten język rosyjski był dla mnie nie do przejścia. Tak bardzo mnie zmęczył, że aż postanowiłem przerwać studia. Przerwać i odpocząć, potem zobaczyć czy może w późniejszym czasie już tego języka wśród obowiązkowych nie będzie. Wtedy wiązało się to z dość szybkim „powołaniem w kamasze”, ale na szczęście wada wzroku umożliwiła mi na komisjach wojskowych udawanie niemal ślepego. I dzięki temu nie chciała mnie widzieć na swoich lektoratach nie tylko pani od rosyjskiego. Nie chciało mnie mieć u siebie także wojsko. Zatrudniłem się na ambulanсах pocztowych, czyli w takich wagonach kolejowych stanowiących część pociągu, które woziły listy i paczki. Zajęcie o tyle fajne, że się po kraju jeździło a ja zawsze lubiłem się włóczyć. I tak tym wagonem pocztowym 16 grudnia 1981 dojechałem do Gdańska, w którym właśnie zaczynała się ogromna demonstracja. Mój pociąg miał odjeżdżać dopiero następnego dnia nad ranem, więc cały dzień i kawał nocy spędziłem ganiając się po ulicach z zomowcami. A demonsttran-

tów była taka masa, że to przede wszystkim oni uciekali. Tam się oczywiście działy też straszne rzeczy, część ludzi strasznie oberwała, kogoś zabili, ale ja jakoś trafiałem przede wszystkim tam, gdzie triumfowaliśmy. Z tej perspektywy ten początek stanu wojennego wyglądał nawet dość optymistycznie. Skutkiem naszego natarcia na ZOMO gdzieś w okolicach dworca znalazłem się w gronie zdobywców skrzynek z ich amunicją. Dzieliliśmy się tym łupem sprawiedliwie, po czym musiałem wracać do mojego pocztowego wagonu. Wieźliśmy nimi do Wrocławia gaz łzawiący w dwóch postaciach – rozpylonej, bo jedna z chmur gazowych wlała i do naszego ambulansu oraz w gotowych do odpalenia kartonowych granatach. Kiedy już byliśmy we Wrocławiu optymizm, którym namiętnieśmy nas wydarzenia w Gdańsku, szybko stopniał. Bo jak nasz pociąg przejeżdżał nad ulicami Strzegomską, Robotniczą, Grabiszyńską zobaczyliśmy, że są one wypełnione kolumnami czołgów, transporterów opancerzonych, wojskowych ciężarówek. No i masą zomowców z pałami. Największe zakłady pracy Wrocławia otoczone ogromną masą uzbrojonego po zęby wojska! Wyglądało to upiornie. Wydawało się niemal pewnym, że poleje się krew, dużo krwi. A ja w tych strajkujących zakładach miałem różnych kuzynów, kolegów, przyjaciół. Wtedy pomyślałem, że mamy prawdziwą wojnę, na której oni mają tysiące czołgów i karabinów maszynowych a my mamy rację i – gołe ręce.

No i jaki z tego wyciągnąłeś wniosek?

Taki, że trzeba się tym bandytom sprzeciwić. Wymalowałem wielki transparent i wraz z kolegami próbowałem go jakoś zarzucić na druty linii wysokiego napięcia, przebiegające nad drogą łączącą Leśnicę z Wrocławiem. W dzień tam jeżdżą autobusy, tramwaje, sznury samochodów a w nocy nikogo tam nie było. No to zarzuciliśmy, ale jakoś tak niezbyt dobrze. To znaczy on zawisł na linach uczepionych drutów, ale tak niewysoko nad ziemią. Próbowaliśmy jakoś to poprawić, ale jakieś iskry zaczęły się pojawiać i coś jakby chwilami buczało, co nieco nas zaskoczyło i daliśmy spokój. Kiedy potem opowiadaliśmy o tym Tośkowi Ferencowi to on się za głowę złapał i zaczął krzyczeć na nas, że jakiś łuk mógłby się tam wytworzyć i nas pozabijać. A ci, którzy musieli to potem ścierać, też zapewne mieli z tym niezły pasztet.

No to dobrze, że ten elektryczny łuk was nie odstrzelił. Mam nadzieję, że dalszy ciąg Twojej walki z reżimem był nieco bardziej rozsądny.

Miałem bardzo dobry kontakt, bo moimi bliskimi przyjaciółmi ze szkoły, z liceum byli studenci Kornela Morawieckiego, od których chyba już przez

dwa lata regularnie dostawałem do kolportażu „Biuletyny Dolnośląskie”. Już w grudniu 1981 spotkałem się z Jasią i Maćkiem Dziubańskimi, którzy chyba już w pierwszym tygodniu stanu wojennego byli w podziemiu na pełnych obrotach. Od razu więc miałem robotę przy rozprowadzaniu „Z Dnia na Dzień”, potem innych pism. Znałem też trochę porządných ludzi w różnych zakładach pracy a także np. w ruchu oazowym, z którym przez ładnych parę lat miałem sporo do czynienia, jeździłem na rajdy, na obozy w Pieniny. I trochę fajnych ludzi do rozrastającej się podziemnej sieci kolportażu dołączyłem. Poza tym chodziłem do katedry na comiesięczne msze święte za ojczyznę. ZOMO atakowało tłum wychodzący ze świątyni i w rezultacie dochodziło do rozruchów. W porównaniu jednak z tym, co przeżyłem w Gdańsku, miały one małą skalę. A wtedy ta ogromna demonstracja, te rejerady oddziałów ZOMO przed napierającym tłumem dawały takie poczucie, że zwycięstwo nad komunistami jest możliwe. No może jeszcze nie w tej chwili, ale że nadejdzie taki dzień, w którym te całe tałatajstwo zwiezione do Polski i udające polską władzę wreszcie, raz na zawsze, z naszej ojczyzny zostanie przepędzone. Jestem pewien, że taki wniosek wyciągnęły też te dziesiątki tysięcy gdańszczan, uczestniczących w tej manifestacji. Nie mogłem więc pojąć, jak to było możliwe, że Frasyniuk tego we Wrocławiu nie chciał. A na początku maja 1982, kiedy dolnośląski RKS nie zorganizował demonstracji, które były wtedy w całej Polsce, byłem po prostu wściekły. Ta frustracja była zresztą wtedy powszechna. Nie jedni całkiem serio się zastanawiali, co za ubek temu RKS-owi szepce do ucha. Od Maćka Dziubańskiego się wtedy dowiadywałem, że całą rzeczywistą robotę wykonuje w nim, wraz ze swoimi ludźmi, Morawiecki a hamuje wszystko Frasyniuk, który poza upieraniem się przy różnych głupotach nigdy nie ma nic mądrego do zaproponowania. O tym, że zakończy się to odejściem z RKS-u wszystkich sensownych ludzi, którzy utworzą nową organizację, wiedziałem już jakiś czas przed tym, zanim to nastąpiło. Doczekać się tego nie mogłem! Kiedy więc w pierwszych dniach czerwca 1982 dostałem do kolportażu pierwszy numer „Solidarności Walczącej” to od razu wiedziałem, że to jest to! Że wreszcie mamy prawdziwą niepodległościową, antykomunistyczną organizację. Od razu zaczęła ona od konkretnego – 13 czerwca ruszyła ulicami Wrocławia taka demonstracja, że od razu poczułem się tak, jak pół roku temu. Mieliśmy Gdańsk we Wrocławiu! Wreszcie na ulicach i placach mojego miasta zobaczyłem nie zomowców butnych, pastwiących się nad ludźmi, ale uciekających przed Polakami. To była całkowicie nowa jakość. Wraz z powstaniem Solidarności Walczącej zaistniała nowa energia, odżyła nadzieja. A wkrótce pojawił

się i program. Taki, jakiego oczekiwałem: walczymy aż do ostatecznego obalenia komunizmu, do odzyskania pełnej niepodległości. Bez względu na to, jak długo ta walka będzie miała trwać i pomimo ceny, jaką przyjdzie nam za to zapłacić. Od razu wiedziałem, że to jest coś dla mnie. Chciałem w tym być.

Zgodnie z poglądem Kornela Morawieckiego każdy działacz Solidarności Walczącej powinien umieć drukować. I dość szybko tym się zająć.

Tak. Najpierw z matryc białkowych na ramce. Potem kurs sitodruku. Dostałem jednak do dyspozycji duży, angielski, elektryczny powielacz. I na nim drukowałem chyba najdłużej. Miałem trochę smykałki technicznej, więc szybko rozgryzłem istotę działania tych urządzeń, więc je naprawiałem, konserwowałem.

W związku z tą „smykałką techniczną” w pewnym momencie dostałeś do dyspozycji samochód należący do organizacji. Stary, „zajechany jak cygańskie skrzypce”, ale ty potrafiłeś go utrzymywać w doskonałej sprawności.

Maciek przekazał mi wiadomość, że jest taka propozycja, żebym kupił na siebie jakiś stary samochód. Formalnie zarejestrowany miał być na mnie, ale w rzeczywistości byłby własnością Solidarności Walczącej. I to organizacja dawała na niego pieniądze, bo ja niby skąd miałem je mieć? Pracowałem, ale jak się miało troje dzieci to człowieka na hulajnogę ledwie było stać, bo na rower mogło już nie starczyć. A co dopiero na samochód. Nie pamiętam, ile wtedy na ten pojazd dostałem. Na pewno nie za dużo, bo dużych pieniędzy organizacja nigdy nie miała, ale chodziło też o to, żeby straty nie były nadto dotkliwe w przypadku, gdyby nam tę gablotę łobuzy z SB skonfiskowały. Na autach trochę się znałem, na giełdy samochodowe pochodziłem i wytargałem takiego blisko dwudziestoletniego fiata 125, więc starego, ale jeszcze z tych pierwszych serii, przy których te normy jakościowe włoscy licencjodawcy mocno jeszcze wyśrubowywali. I od tego czasu woziłem tym fiatem całą masę sprzętu, bibuły i Bóg wie co jeszcze. Oczywiście także ludzi, w tym tych zmierzających na konspiracyjne zebrania, na które musieli dotrzeć całą sztafetą zmieniających się pojazdów, żeby z pomocą nasłuchu radiowego można było ustalić, czy nie wloką za sobą jakiegoś esbeckiego „ogona”.

Nie było sensacją w Twoim środowisku, że samochód masz? To były przecież czasy PRL-owskiej biedy a przypomnieć trzeba, w jakich warunkach Ty wtedy mieszkałeś. Przez całe lata w pokoiku w hotelu pracowniczym. Razem z żoną i trojgiem dzieci!

Troszkę zaskoczenia było, ale wszyscy dali wiarę wersji, wg której zrobiłem jakąś nadzwyczajną fuchę, po której kupiłem zwłoki samochodu, które potrafiłem wyrychtować. I to się w zasadzie zgadzało – pojazd rzeczywiście był stary, ale kiedy powymieniałem mu wszystko, co trzeba, chodził jak szwajcarski zegarek.

Nie sposób nie wspomnieć w tym momencie o Twojej żonie. Teresa to jedna z tych kobiet – żon konspiratorów, bez których wielka część podziemia by nie funkcjonowała. Przez tak duży czas warunki życiowe mieliście straszne. Kiedy kładliście dzieci spać to mogliście tam jedynie sobie słuchawki założyć i w półmroku muzyki słuchać. Ty przynosiłeś jeszcze podziemne rzeczy do domu, działalności czas poświęcałeś. A Teresa to rozumiała, uważała że tak trzeba.

Na początku stanu wojennego Teresa zaopiekowała się dziećmi znajomych, których bezpieka zamknęła w więzieniu. Chciała je w ten sposób uchronić przed umieszczeniem w domu dziecka. I starała się wtedy im stworzyć namiastkę normalnego domu, na jakiś czas zastąpić rodziców. Na pewno nie raz też myślała o tym, że może to spotkać i nasze dzieci. W tym pokoju w hotelu robotniczym codziennie przynosiłem jakieś plecaki pełne bibuły, często też częściami do offsetów, powielaczy, farbę drukarską i inne tego rodzaju rzeczy. Wystarczyłoby, żeby kiedyś przyszli i nas naszym dzieciom zabrali.

Po latach starań dostaliście przydział dość dziwnego lokalu.

W końcu dostaliśmy kawałek normalnego mieszkania. Dosłownie kawałek, bo były to dwa pokoje w mieszkaniu, w którym żyły trzy rodziny. A licząc oddzielnie pewną starszą panią to przez jakiś czas nawet cztery, ze wspólną dla wszystkich kuchnią i łazienką. Lokalizacja za to była fajna, bo ta stara kamienica z lokalami komunalnymi stoi do dziś przy Placu Pereca, czyli legendarnym Gazplatzu, centrum największych wrocławskich demonstracji. Mieszkaliśmy więc z mnóstwem obcych ludzi w kawałku tej komunałki i co jakiś czas trzeba było coś wydrukować. Nie było innej możliwości, jak tylko nocą. Kładliśmy dzieci spać i ruszał druk. Kończyliśmy nad ranem i cały drukarski urobek wynosiliśmy rano, wraz z dziećmi. Bo wychodziliśmy do pracy wcześniej, więc do przedszkola często nieśliśmy je jeszcze śpiące, pod pachami.

Pamiętam, bo najczęściej to do was przyjeżdżałem, często tuż przed północą, z plecakami i torbami bibuły, wiezionej z Gdyni. Teresa miała więc na karku nie tylko dzieci, Ciebie z całą Twoją działalnością, ale jeszcze mnie. Ni-

gdy nie zapomnę tego, że zawsze mnie po tych przyjazdach karmiła. Często nawet prała moje rzeczy, w czasie tych podróży kilka razy prze pocone i ubierała mnie w Twoje. A przecież do was docierali też kurierzy z Katowic. I Bóg raczy wiedzieć, kto jeszcze. Wielu się u Was widywało. Wasze mieszkanie to był całkiem znaczący węzeł podziemnej działalności!

Tak. I przewijało się przez nie sporo fajnych ludzi, których już nie ma. Wśród nich np. niezapomniany Tosiek Ferenc. Starszy od nas, zarazem twardej nie do złamania i niesłuchanie ciepły człowiek. Był sporo od nas starszy i występował w roli takiego jakby naszego mentora. Trochę sobie z niego dworowaliśmy, ale przecież wiadomo było, że go bardzo szanowaliśmy, wręcz kochaliśmy go.

Tośka każdy będzie pamiętał do końca swoich dni. Wyrzucony z pracy za strajk, jaki zorganizował w grudniu 1981 odrobinę materialnej stabilności odzyskał dopiero trzydzieści lat później. Po przejściu na emeryturę, którą cieszył się ledwie parę miesięcy. Ciężkie miał życie, w dużej mierze złożone z represji, esbeckich zatrzymań, rewizji, obserwacji. Nabijaliście się z niego, że miał od tego manię prześladowczą, że ciągle czuł się śledzony.

Świetnie wiedział, że to tylko żarciki. Przecież byśmy zwariowali bez odrobiny dystansu. Tosiek zarazem miał oczy dookoła głowy i żartował z tego. Tym bardziej, że po swoich doświadczeniach nie bał się już niczego.

W sporządzonych przez SB wiosną 1990 raportach z zawieszenia Sprawy Operacyjnego Rozpracowania „Ośmiornica” bezpieczeństwa zaliczyła Ciebie do figurantów, czyli ludzi przez nich rozpracowywanych, nadając Ci kryptonim „Kierowca”. Dowiedzieli się więc, co w Solidarności Walczącej robiłeś.

Jakoś na przełomie 1987 i 1988 zorientowałem się, że jestem obserwowany. Potem zaczęły się zatrzymania. W czasie przesłuchań z tego, co mówili wywnioskowałem, że zaobserwowali mnie w czasie, kiedy wiozłem samochodem jakąś osobę w opozycji ważną. Po prostu ją śledzili. A w związku z tym, że ktoś ważny jechał razem ze mną doszli do wniosku, że ja też jestem w podziemiu jakąś grubą rybą. I zaczęli mi składać bardzo atrakcyjne propozycje. Szybko doszedłem do wniosku, że za dużo nie wiedzą, że blefują, że przeceniają moje znaczenie. Ciekawe było to, że esbek, który namawiał mnie do współpracy, był młodym facetem jakby zaprojektowanym jako ktoś, z kim według ich wyobrażeń powinienem się dogadać. Młody, w dżinsach, nawet muzyki w tym gabinecie, do którego mnie przyprowadzali, słuchał takiej, jak ja.

Długo nie chciał się odczepić a mówił zastanawiające rzeczy. Takie na przykład, że wkrótce w Polsce będą takie zmiany, w których te nasze gazetki będzie można sprzedawać w kiosku. A do okrągłego stołu to wtedy chyba jeszcze z półtora roku było.

Ktoś by spytał: „Prorok jaki, czy co”?

Wtedy też się dziwiłem. Potem było już jasne, że jeśli oni próbują się dogadać z ludźmi z Solidarności Walczącej to z innymi wtedy dawno już byli dogadani. Było to widać po tym, jak szybko już w 1989 zaczęli robić biznesy razem z tymi, których niby wcześniej prześladowali. Esbecy wspólnie z niektórymi sławnymi opozycjonistami.

Czyli z komunizmem wygraliśmy, ale nie z komunistami.

To jest oczywiste – beneficjentami okrągłostołowych przemian są byli właściciele PRL-u oraz ci, którzy zapewnili im bezkarność oraz uwłaszczenie się na narodowym majątku. Powtórzę jednak za Kornelem Morawieckim, który wiedział o tym doskonale, ale doceniał to, że nasz podziemny trud uczynił świat choć trochę lepszym.



MARIANNA ŻABIŃSKA 1939 – 2021

Marianna Żabińska należała do tych osób, bez których funkcjonowanie podziemia nie byłoby możliwe.

Urodziła się w 1939 roku w Konopiskach pod Częstochową. Po wojnie jej rodzina zamieszkała w dolnośląskich Kowarach. Po maturze pracowała w biurze tamtejszej Kopalni Rud Uranowych, następnie w Urzędzie Miasta. Potem studiowała na Wydziale Przemysłowym wrocławskiej Wyższej Szkoły Ekonomicznej (dzisiejszy Uniwersytet Ekonomiczny). Po ich ukończeniu od 1962 roku pracowała w kilku przedsiębiorstwach głównie branży budowlanej. Zaraz po sierpniu 1980 weszła w skład Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność w Przedsiębiorstwie Robót Izolacyjnych.

CICHA BOHATERKA PODZIEMIA

Po wprowadzeniu stanu wojennego natychmiast włączyła się w działalność konspiracji. Jej mieszkanie w centrum Wrocławia stało się ważną skrzynką kontaktową, obsługującą kolportaż pism Regionalnego Komitetu Strajkowego a następnie Solidarności Walczącej. Pomimo intensywnej działalności zarówno lokal, jak i jego właścicielka nigdy nie zostały zdekonspirowane. Dzięki temu Marianna Żabińska mogła odgrywać istotną rolę, wspomagając działalność ukrywającego się Kornela Morawieckiego. Szczególnie ważne okazało się to na przełomie 1983 i 1984 roku, kiedy organizacja przeżywała największą falę represji. Przez areszty przeszło wówczas ponad sto osób związanych z podziemiem a 34 oczekiwali w celach na proces. W tym właśnie czasie, po zaprzysiężeniu jako działaczki Solidarności Walczącej, została jedną z łączniczek przewodniczącego organizacji. Przez długi czas ukrywał się on w bliskim sąsiedztwie, więc mieszkanie Marianny Żabińskiej stało się jednym z miejsc ważnych konspiracyjnych spotkań. Pomimo tego, że obradowała u niej Rada a także Komitet Wykonawczy, na podstawie szczegółowych analiz nasłuchu radiowego Kontrwywiad Solidarności Walczącej oceniał, że okolice jej mieszkania nie były

poddawane żadnej obserwacji. Bez wątpienia duża była w tym zasługa samej Marianny Żabińskiej, osoby nadzwyczaj opanowanej, pogodnej, doskonale praktykującej zasady konspiracji. Swoją działalność prowadziła bowiem w sposób nie budzący jakichkolwiek podejrzeń bliższych i dalszych sąsiadów.

MOC POGODY DUCHA

Kornel Morawiecki, wiele razy podkreślający, że najwięcej świetnych konspiratorów było wśród kobiet, bez wątpienia miał na myśli także Mariannę Żabińską. Wiary w celowość prowadzonej działalności, opanowania, poczucia humoru nie traciła nawet w okresach najtrudniejszych i momentach najbardziej niebezpiecznych. Nigdy też nie traciła inwencji, polegającej m.in. na ciągłym wprowadzaniu do organizacji bardzo wartościowych działaczy. Doskonale знаła się na ludziach, więc polecane przez nią osoby wspaniale nadawały się do pracy podziemnej i nigdy nie zawodziły. Teoretycznie bazę lokalową do konspirowania miała słabą, dysponowała jedynie małym jednopokojowym mieszkankiem w bloku. Uważała jednak, że ta okoliczność wręcz sprzyja konspiracji. Bo kto by przypuszczał, że w takich warunkach mogły się odbywać ważne narady przywódców podziemia? A to właśnie u niej Kornel Morawiecki spotykał się z Andrzejem Kołodziejem czy Ewą Kubasiewicz. Żartobliwe nazywanie w konspiracyjnej grypsersze jej mieszkania jako „u sekretarza” w istocie oddawało rangę tego miejsca na „podziemnej mapie Polski”. A współdziałało ono ze znajdującymi się w pobliżu innymi mieszkaniami, ważnymi dla konspiracji, m.in. tym należącym do Władysławy Konstantynowicz.

JEDYNE TAKIE SPOTKANIE

Właśnie u Marianny Żabińskiej doszło do spotkania, którego okoliczności zostały szczegółowo utrwalone w dokumentach przejętych przez IPN i stanowią przykład konspiracyjnego kunsztu Solidarności Walczącej. Relację tę sporządził podający się za działacza podziemia agent SB, któremu udało się dotrzeć do Kornela Morawieckiego. Wszystkie poprzednie próby komunistycznych służb, mające na celu przeniknięcie aż do przewodniczącego organizacji, zostały udaremnione dzięki Kontrwywiadowi Solidarności Walczącej, prowadzącemu obserwację i nasłuch radiowy. Po tych niepowodzeniach SB wysłała więc swojego agenta, doskonale zalegendowanego w rzeszowskiej opozycji. Do Kornela Morawieckiego dotrzeć mu się udało nie tylko dzięki rekomendacjom zaprzyjaźnionych struktur podziemia, ale skutkiem tego, że agent ten działał zupełnie sam, nie wspierany w czasie swojej akcji jakimkolwiek współ-

udziałem służb. Kontrwywiad SW ustalił więc, że człowiek ten nie tylko przemieszcza się w pojedynkę, bez kontaktu z kimkolwiek, ale też nie jest przez nikogo śledzony. Skutkiem tego działacze Solidarności Walczącej przyprowadzili go na spotkanie z Kornelem Morawieckim, które dokładnie opisał on potem w raporcie dla swoich przełożonych z SB. Szczegółowa relacja nie zawierała jednak żadnych wartościowych informacji a wszystkie przypuszczenia, wyrażone przez agenta, były całkowicie błędne. Informował on, że na dworcu głównym, dzięki ustalonym sygnałom i hasłom, spotkał się z nieznanymi mu wrocławskimi konspiratorami. Następnie odbył z nimi długą podróż po nieznanym mu mieście, w czasie której kilkakrotnie przesiadał się do kolejnych samochodów. W końcu na miejsce spotkania prowadzony był od strony podwórka a ten ostatni etap drogi charakteryzował się i tym, że nigdzie nie było możliwości odczytania nazwy ulicy czy dzielnicy. Wszelkiego rodzaju informujących o tym tabliczek nigdzie tam nie było. Jak przypuszczał – zostały celowo pozdejmovane przez ludzi odpowiedzialnych za bezpieczeństwo spotkań przewodniczącego Solidarności Walczącej. W żaden więc sposób nie był w stanie określić części miasta, w której się znajdował. Był jednak niemal pewien, że mieszkanie, w którym spotkał się z Morawieckim, zlokalizowane było gdzieś bardzo daleko od dworca głównego. W jedną i drugą stronę był bowiem wieziony bardzo długo, przez cały szereg ulic i placów miasta. W rzeczywistości z Kornelem Morawieckim spotkał się w mieszkaniu Marianny Żabińskiej przy ul. Komandorskiej, czyli o przystawieniu rzut beretem od wrocławskiego dworca.

Jako łączniczka i doskonała organizatorka spotkań przewodniczącego Solidarności Walczącej w czwartym roku jego ukrywania się potrafiła doprowadzić też do tego, że mógł on się w końcu zobaczyć z niektórymi członkami swojej rodziny. Doszło do tego w bezpiecznym miejscu, w domu jej krewnych w Kowarach. Duża odległość od Wrocławia odgrywała pozytywną rolę – bliscy Kornela Morawieckiego byli pod częstą, czasem wręcz nieustanną obserwacją. Pokonywanie długiej trasy sprzyjało wymknięciu się spod tej inwigilacji.

W 1989 roku zaangażowała się w odbudowę wychodzącego z podziemia związku Solidarność, włączając się w prace Komitetu Założycielskiego, działającego we wrocławskim ZETO. Od początku obawiała się, że w pookrągłostołowej Polsce związek, z którym wiązały się polskie nadzieje, może już nie być tym samym. Zaangażowana więc ciągle była w spychaną na margines Solidarnością Walczącą. Jej wytrwałość i pracowitość w połączeniu z poczuciem

humoru i tym, że zawsze budziła sympatię, owocowało rekordowymi ilościami głosów poparcia, jakie zbierała dla Kornela Morawieckiego i innych kandydatów – rzeczników niepodległej Polski.

W sprawę pokonania totalitaryzmu i lepszej przyszłości ojczyzny Marianna Żabińska wniosła ogromnie dużo. Wszyscy bardzo wiele jej zawdzięczamy a dla każdego, kto ją spotkał, na pewno będzie postacią niezapomnianą.



HENRYK ŻELAŚKIEWICZ 1955 – 2021

W dobrych ludziach budził sympatię a w złych agresję. To, że bardzo go lubił Kornel Morawiecki, znany przecież z nadzwyczaj braterskiego stosunku do bliźnich, nie było niczym szczególnym. Przewodniczący Solidarności Walczącej cenił jednak oryginalność i wyróżnianie się z tłumu. Pod tym względem funkcjonariusze ZOMO sytuowali się na przeciwległym biegunie. Takich, jak Heniek, potrafili spałować za sam wygląd. A że w przeciwieństwie do tzw. przeciętnych łatwo im było ich zapamiętać – dostrzegając w czasie kolejnej demonstracji „polowali” przede wszystkim na nich. Bo „jeśli ostatnio tak oberwał a znowu przyszedł to trzeba mu przyłożyć jeszcze bardziej”.

Należał do tych, o których się mówi, że „chodzą swoimi ścieżkami”. W jego przypadku ścieżki te często i ściśle zbiegały się z szlakami walczących o niepodległość. Nie było w tym nic dziwnego – był synem żołnierza Armii Krajowej Obwodu Świętokrzyskiego. Urodził się w 1955 roku we Wrocławiu, od najmłodszych lat sporo czytał, rozwijał naprawdę niemały talent artystyczny, marzył o studiowaniu na wydziale malarstwa. W 1968 wstrząsnął nim widok wojskowych kolumn wyruszających, by stłumić wolność Czechosłowacji. Kiedy był nastolatkiem bliski mu był ruch hipisów. Oczywiście w realiach PRL-u był on czymś zasadniczo innym od buntu rozpieszczonej luksusem młodzieży Zachodu, wykolejanej obfitością konsumpcji i brakiem prawdziwych problemów. W Polsce ruch ten skupiał przeciwników totalitaryzmu i rekrutowała się z niego spora część działaczy antykomunistycznej opozycji. Heniek pierwsze swoje ulotki powiełał zabawkową drukarką, umożliwiającą odbijanie krótkich haseł. Karteczki przypominające o agresji sowieckiej, zbrodni katyńskiej, wyrażające protest przeciw komunistycznemu zniewoleniu rozklejał w budkach telefonicznych, windach, bramach. W sierpniu 1980 wzywał nimi do poparcia strajków zainicjowanych na Wybrzeżu. Po wybuchu stanu wojennego kolportował pismo „Z dnia na dzień” a już latem 1982 „Solidarność Walcząca”.

Patrolujący miasto zomowcy najczęściej przyczepiali się do takich, jak on – wyróżniających się wyglądem i samą mową ciała okazujących swój stosunek do siepaczy komunistycznego reżimu. Kiedy go zatrzymywali otwarcie mówił, co o nich myśli. Kończyło się to odwiezieniem na komisariat, na którym po jakimś czasie uznawano go za dziwaka, którego trzeba wypuścić. Zanim to jednak nastąpiło obrywał pałkami. Podobnie bywało w czasie demonstracji – przed atakującymi szpalerami nie uciekał, co kończyło się dotkliwym pobiciem.

Sądząc po wyglądzie wielu oceniało go jako zagubionego oryginała. W rzeczywistości kierował się bardzo spójnym światopoglądem, uformowanym głęboką wiarą w Boga i aktywnym uczestnictwem w życiu Kościoła. Fikcję okrągłostołowych przeobrażeń musiał więc odrzucać jako jaskrawo sprzeczną z wszystkimi zasadami elementarnej etyki. Nadzieje na świt prawdziwej polskiej niepodległości wiązał dopiero z wyborczym przełomem roku 2015. Niektórzy wspólni znajomi pozwalali sobie na odrobinę żartów czy uszczypliwości z Heńka, który ich zdaniem był „odrobinę zbzikowany”. Ja natomiast zauważyłem kiedyś, że tak z poglądów, jak i wyglądu przypominał on Michaela Huelbecqua. Zarówno Żelaśkiewicz, jak i znakomity francuski pisarz i myśliciel to przecież długowłosi abnegaci o dość podobnych fizjonomiach. Obydwa też tak samo oceniający kondycję naszej cywilizacji i podobnie zatroskani o jej przyszłość. Heniek wyrażający swe poglądy malarstwem, autor „Cząstek elementarnych”, jakże zbieżne, literaturą. W przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia na Cmentarzu Osobowickim żegnaliśmy więc postać nie tylko barwną, lecz naprawdę twórczą i nietuzinkową.

„Obywatelska” grudzień 2021



Z OBOWIĄZKU SŁUŻENIA OJCZYŹNIE NA EMERYTURĘ NIE PRZECHODZI SIĘ NIGDY

WSPOMNIENIE O KAWALERZE ORDERU ORŁA BIAŁEGO, LIDERZE WIELU HISTORYCZNYCH INICJATYW, ZAŁOŻYCIELU „GAZETY OBYWATELSKIEJ”

3 maja mija osiemdziesiąta rocznica urodzin Kornela Morawieckiego. Z im większego dystansu przychodzi nam patrzeć na jego dokonania tym jako coraz bardziej oczywista rysuje się historyczna rola przewodniczącego Solidarności Walczącej jako jednego z ojców współczesnej polskiej niepodległości. Zarazem jego dokonania w dziele, mówiąc słowami organizacyjnej przysięgi, „wyzwolenia z komunizmu ludzi i narodów” oceniać należy jako jednoznacznie pierwszoplanowe.

W swoim nadzwyczaj aktywnym życiu nigdy nie zwalniał tempa. Uważał, że ojczyźnie, potrzebującym pomocy czy sprawie lepszej przyszłości świata – dać z siebie trzeba absolutnie wszystko. Od pracy ponad siły trudno było go powstrzymać nawet wtedy, gdy śmiertelna choroba przykuła go do szpitalnego łóżka. Poprzypinany do kabli medycznej aparatury i przewodów kroplówki myślał głównie o tym, co jeszcze może zrobić, jaką sprawę może zdołać do przodu popchnąć, jaką myślą powinien się jeszcze podzielić. Co chciałby nam dziś powiedzieć nasz przyjaciel, który w ostatnim półwieczu dla naszej Polski zrobił tak wiele, jak bardzo mało kto?

Próba odpowiedzi uchodzić może za grubą uzurpację. Zapewne jednak Kornel by chciał naszego czerpania z jego przemyśleń, doświadczeń, niepokojów czy wskazań. Zostawił ich ogromnie wiele, lecz w wypowiedzi gazetowych rozmiarów skazani jesteśmy na bardzo wąski ich wybór.

Bez wątpienia za najważniejszy z celów, stojących przed ludzkością, uważałby niedopuszczenie do wybuchu wojny. Zawsze z niepokojem obserwował konflikty, przetaczające się przez różne zakątki globu. Przeżywał cierpienia ludzi, których one dotykały i miał nadzieję, że nie będą one zarzewiami konfrontacji o skali globalnej. Z racji swych naukowych kompetencji wyjątkowo dobrze rozumiał ryzyko, drżące w zgromadzonych środkach zniszczenia.

Opinia Kornela Morawieckiego o modelu ustrojowej transformacji, przyjętym w Polsce przed ponad trzydziestu laty, zawsze była krytyczna. Forsowaną od roku 1989 metodę przebudowy społecznej i gospodarczej uważał za coś w rodzaju konstruowania wielkiej pułapki. Zapewne zalecałby nam dziś dalsze dokładanie starań w celu wyrwania się z potrzasku licznych rozwojowych barier. Kluczowe dla jego myślenia o dążeniu Polski do zajęcia należnego jej miejsca wydaje mi się zdanie, które wypowiedział w jednej z dyskusji: „Może nie powinniśmy tylko ścigać krajów przodujących, ale w poszczególnych dziedzinach – próbować je przeskoczyć?” Zawsze był przekonany, że Polska w rozwój światowej nauki, technologii, kultury wnieść może swój wkład własny, bardzo oryginalny i wartościowy. Ubolewał nad likwidacją całej masy wszelkiego rodzaju laboratoriów czy biur konstrukcyjnych, których historia skończyła się wraz z błyskawicznym wyprzedawaniem polskich przedsiębiorstw. Uważał, że wraz z kresem ustrojowych czy imperialnych ograniczeń zaczynał się czas, o którym marzyły pokolenia, w którym polska myśl z zakresu czy to elektroniki czy farmacji mogła wreszcie znaleźć możliwość rozkwitu. Nie tracił nadziei, że nowatorskie polskie projekty wdrażane będą być mogły chociaż w tych szczytach przemysłu, które pozostały w polskich rękach. Jeśli bowiem nawet na niektórych obszarach trudno obejść się bez „modernizacji przez kserokopiarkę” to przynajmniej w niektórych dziedzinach Polska powinna stanąć do rywalizacji czy to wdrażając owoce technologicznej rewolucji z zakresu tworzyw sztucznych czy kolei próżniowych.

W latach dziewięćdziesiątych wielu krytykowało poglądy Kornela na temat społecznego ładu, jaki powinien być w Polsce budowany. Na przekór forsowanym przez postkomunistycznych reformatorów wariantom kapitalizmu z powieści Reymonta czy Dickensa Kornel upierał się przy zasadach społecznego solidaryzmu, podmiotowości pracownika, upowszechnianiu własności środków produkcji. Przekonujemy się dzisiaj, że i w tych kwestiach to Kornel miał rację. Akcjonariat pracowniczy staje się dziś przecież normą właśnie w najbardziej przodujących firmach świata. Równocześnie zatrważająca

skala koncentracji własności w rękach bardzo wąskiej grupy jest dziś źródłem strasznych patologii i należy do największych zagrożeń dla pokojowej przyszłości świata. W świetle tych coraz jaskrawiej rysujących się tendencji znów przypomnieć trzeba wypowiedzi Kornela o oryginalnym polskim wkładzie w budowę sprawiedliwego społeczeństwa, złożonego z obywateli cieszących się pełnią wolności, podmiotowości, z nieograniczonych perspektyw wszelakiego rozwoju. W okresie międzywojennym Polacy nie ograniczali się przecież do teoretycznej myśli społecznej, formułowanej przez takich nowatorskich myślicieli i państwowców, jak Feliks Młynarski, swoje ustrojowe koncepcje nazywający właśnie – solidaryzmem. Nasi ojcowie śmiało projekty organizacyjne, własnościowe, technologiczne urzeczywistniali tworząc przedsiębiorstwa tak dynamiczne, jak lwowska Gazolina SA czy inne firmy, oparte na zasadzie pracowniczej własności.

W swoim wystąpieniu, otwierającym Sejm RP VIII kadencji jako marszałek senior Kornel Morawiecki stwierdził, że „jesteśmy dumnym wielkim narodem” i nakreślił skalę stojących przed Polską zadań. Rozmiar krzywd i niesprawiedliwości jest dziś w Polsce dalece mniejszy od stanu, odziedziczonego po dekadach panowania zapatrzonych w siebie samozwańczych elit Republiki Okrągłego Stołu. Wśród zadań oczekujących na realizację jest ustrój i konstytucja na miarę narodu, mającego w swym dorobku jedną z najświetniejszych tradycji państwowych. Przewodniczący Solidarności Walczącej zawsze też uważał, że Polska ma do odegrania rolę bardzo doniosłą. Tak, jak i organizacja, na czele której stanął w 1982 roku, tak ojczyzna nasza służyć powinna sprawom jeszcze większym od polskiego terytorium i polskich obywateli. Polska musi więc stawać się państwem jak najbardziej prężnym, zasobnym, zawsze mocno opartym na fundamencie własnego dziedzictwa a zarazem bardzo nowoczesnym. O wadze, przywiązywanej do tych zadań, świadczą słowa listu Kornela Morawieckiego, napisanego do grupy często sędziwych już weteranów niepodległościowego podziemia, odznaczanych Krzyżami Wolności i Solidarności:

„Drodzy przyjaciele, przyznane odznaczenia oczywiście się Wam należą. Wszyscy w pełni na nie zasłużyliście, ale zapewne wszyscy też dobrze wiecie, że póki żyjemy – nigdy nikt i nic nie zwolni nas z naszych najważniejszych obowiązków. Nadal stoi ich przed nami bardzo wiele. Patriotą – państwowiec na emeryturę od obowiązków wobec ojczyzny nie przechodzi przecież nigdy”.

„Obywatelska”, kwiecień 2021



NIE BYLI UBEKAMI, WIĘC SIĘ NIE NADAJĄ, CZYLI LUDZIE SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ W ZMAGANIACH Z UBEKISTANEM

Premier Mateusz Morawiecki spotkał się z zarzutami, dotyczącymi osób zatrudnionych na różnych stanowiskach państwowych. Do „informacji” przepełnionych nieścisłościami i ewidentnymi fałszami się nie odniósł, bo i nie było do czego. Motywowane jednoznacznie złą wolą, pełne chorych wymysłów listy jego współpracowników, działających w strukturach różnych ministerstw czy reprezentujących rząd w spółkach skarbu państwa są hucpą, na którą tylko hucpiarze powinni odpowiadać.

Każdy, kto posiada elementarną orientację dostrzec musi jednak natychmiast, że w czasach poprzednich rządów lista osób związanych z liderami rządzących partii była kilkakrotnie dłuższa a różnica wyników, osiąganych przez firmy z udziałem skarbu państwa wtedy i wówczas jest taka, jak między katastrofą a rozkwitem. Za rządów poprzednich premierów większość spółek skarbu państwa przynosiła przecież straty. Kondycja wielu robiła wrażenie dołowania ku masie upadłościowej, co przypominało czasy Balcerowicza, w których ogromna część polskiej gospodarki osiągała stan, jakiego następstwem była likwidacja lub sprzedaż za przysłowiowe grosze. Dziś wszystkie spółki skarbu państwa przynoszą dochód, co wraz z ukróceniem grabieży budżetu spowodowało, że jest w nim teraz pieniędzy znacznie więcej, niż jeszcze kilka lat temu. Przyczyny tej ogromnej zmiany są dwie – zatrzymanie złodziejstwa oraz niewspółmiernie wyższa jakość zarządów i rad nadzorczych firm przynoszących Polsce coraz większe dochody.

Kto jest na listach, kolportowanych przez organy postkomunistycznej propagandy? Wszyscy ci ludzie ukończyli solidne, dobre uczelnie. Wielu – parę kie-

runków, często też za granicą. Bardzo wielu już w latach dziewięćdziesiątych otrzymało dyplomy MBA. Całe mnóstwo legitymuje się wielkimi osiągnięciami w nauce i biznesie. Wymienia się np. Wojciecha Myśleckiego, ale nie podaje się, że jest on profesorem nauk technicznych, jednym z najznakomitszych w Europie specjalistów od energetyki. Z ogromnym powodzeniem kierował on największymi przedsiębiorstwami tej branży, jest członkiem międzynarodowych gremiów, skupiających specjalistów – praktyków tej dziedziny. Autorzy listy nie lubią wymieniać tytułów naukowych a ma ich na niej bardzo wielu. I to nie z dziedzin artystycznych czy humanistycznych, ale ścisłych. Andrzej Kisielewicz od dawna jest np. profesorem zwyczajnym matematyki, światowym autorytetem w zakresie geometrii fraktalnej. Z jego kompetencji korzystały najlepsze uczelnie i korporacje USA.

Co stanowi główny zarzut, pojawiający się w tej liście? Otóż jest nim członkostwo w Solidarności Walczącej. Zasadniczą część tej organizacji stanowiła kadra naukowa wrocławskiej Politechniki i innych uczelni technicznych. Solidarność Walcząca to organizacja, w której samych inżynierów było może i tysiąc. Dziesiątki mają dziś tytuły doktorskie, kilkunastu profesorskie. Dziesiątki – przez całe dekady kierowało firmami. Najczęściej – prywatnymi, więc nie były to „państwowe posadki”. I nie były jakimiś, bo często z sektora zaawansowanych technologii. Wielu w latach osiemdziesiątych rzeczywiście narażało się walcząc o niepodległość swojej ojczyzny. Można dodać, że wielu było skazywanych przez sądy i spędzało lata w więzieniach.

Autorom listy sporządzonej przez postkomunistycznych propagandystów przeszkadza to, że Polsce służą dziś polscy patrioci i państwowcy. Boli ich to, że dla Polski pracują ci, którzy nie tylko są najbardziej kompetentni, co dobitnie widać nie tylko w ich jednostkowych osiągnięciach, ale i w rozkwicie przedsiębiorstw, które ich poprzednicy doprowadzali do nieuchronnej katastrofy. Najcięższy zarzut, jakim miotają, dotyczy ich bezinteresownej, często okupionej ogromnymi ofiarami, walki o wolną Polskę. Kiedy przez dziesięciolecia wśród ich poprzedników roiło się od miernot z karierami zbudowanymi na przynależności do PZPR – stan taki autorzy tych publikacji uważali za w najwyższym stopniu pożądany. Nikt z nich nie stawiał wtedy zarzutu, że na bezliku stanowisk rozsiadały się wtedy indywidua rodem z KPP, KPZU czy PPR dla Polski „zasłużone” agenturalną działalnością lub wprost zatrudnieniem w UB i SB.

I taka jest logika tej listy, ułożonej przez ludzi pragnących budować UBekistan a nie podmiotową Polskę.

Solidaryzm, listopad 2019



ZASZCZYT, NA KTÓRY MUSZĘ ZASŁUGIWAĆ

Śmierć Kornela Morawieckiego jest dla mnie oczywiście przede wszystkim wielkim bólem. Zarazem jednak winien jestem Bogu wielką wdzięczność za to, że dane mi było nie tylko z tym wielkim człowiekiem się zetknąć, zostać trybikiem w wielkiej maszynie konspiracyjnej, której on był twórcą lecz nawet, przez długie dziesięciolecia, być obdarowanym jego przyjaźnią.

Obok tego, że dane mi było urodzić się jako Polak, przyjaźń Kornela Morawieckiego uważam za największy zaszczyt, jaki spotkał mnie w moim życiu.

Najpierw Kornel był dla mnie legendą. Herosem ze spisu, który na przekór cenzurze i siepaczom totalitarnego reżimu, potrafił wydawać „Biuletyn Dolnośląski” – pierwsze niezależne pismo drugiego obiegu, jeszcze przed Sierpniem 1980 trafiające do moich rąk. Nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie robiło, bo nie dowierzałem temu, co widziałem. Miałem ledwie szesnaście lat, gdy w głowie tętniły mi pytania: „Coś takiego się w naszej zniewolonej Polsce ukazuje? Jest to więc możliwe? Kim są ci niezwykli ludzie, potrafiący się odważyć i dokonywać czegoś takiego?” Potem o Kornelu słyszałem jako o głównym inspiratorze wrocławskiego i dolnośląskiego Sierpnia – czasu, którego też nie zapomnę do końca życia. Jeszcze trochę później okazało się, że Kornel Morawiecki drukuje gazetki rosyjskim alfabetem – dla sowieckich żołnierzy, stacjonujących w naszym kraju. Gazetki pojednania – mówiące o „waszej i naszej wolności”, o wspólnocie losu narodów zniewolonych tą samą komunistyczną opresją. O perspektywie wspólnej wolności. Za zredagowanie i wydrukowanie tych gazetek pojednania (nie nazywały się tak, ale każdy, kto choćby zaczął je czytać tak by je nazwał) jesienią 1981 Kornel Morawiecki został aresztowany. Powodem być miało „podważanie sojuszy z ZSRR”. Uwolniony dzięki solidarnej postawie dolnośląskich związkowców odpowiadał z wolnej

stopy. Jego proces ruszył bardzo szybko i był relacjonowany na łamach pisma „Z dnia na dzień”. Pisma, które to on uratował 13 grudnia 1981, natychmiast uruchamiając nową redakcję i sieć doskonale zakonspirowanych drukarni. Od pierwszego dnia stanu wojennego to pismo było znakiem nadziei. Dowodem na to, że Solidarność żyje. Nawet wtedy, gdy mury zakładów pracy, strajkujących w obronie Solidarności, były już stratowane gąsienicami czołgów. To przede wszystkim dzięki Kornelowi „Z dnia na dzień” ukazywało się wtedy co dwa dni, jego nakład sięgał kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, trafiających często do najmniejszych nawet miejscowości Dolnego Śląska.

W tamtym czasie sam też włączyłem się w działalność podziemia. Aktywności naszej młodzieżowej organizacji zrazu były nieporadne a nasz podziw dla Kornela Morawieckiego i jego organizacji – z miesiąca na miesiąc coraz większa. Bo z miesiąca na miesiąc stawało się coraz bardziej oczywistym, kto w solidarnościowym podziemiu jest postacią największego formatu.

Dniem wielkiego zaszczytu był dla nas pierwszy dzień szkolenia drukarskiego, zorganizowany dla młodzieżowych konspiratorów przez działaczy Solidarności Walczącej. Wiosna 1983 – „Ludzie od Kornela” mieli nas uczyć druku! I nauczyli. A potem przygarnęli część z nas, kiedy nasza pierwsza organizacja poszła w rozsypkę po serii aresztowań, spowodowanych donosami ojca jednego z członków naszej uczniowskiej konspiracy. Tak to pewien legendarny wówczas jawny opozycjonista okazał się zwykłym zawodowym zdrajcą. A dowodem zdrady, szerzącej się w innych kręgach, była seria aresztowań kolejnych liderów Regionalnego Komitetu Strajkowego. My mieliśmy wtedy po kilkanaście lat. Takie doświadczenie – mogło złamać kręgosłup. Mogło zabrać wiarę w sens zmagania się z totalitarną opresją. Ale była organizacja, stworzona bez uratowanych osiemdziesięciu milionów. I był jej przywódca – działający z niesłychaną efektywnością, ciągle mnożący formy konspiracyjnej walki, niezłomny i – nieuchwytny. Jego Solidarność Walcząca była dowodem na to, że ta walka ma sens. Każdy dzień działalności najbardziej zwalczanej organizacji – był dowodem jej zwycięstwa. Na szczytach wieżowców Wrocławia bezpieka zamontowała olbrzymie, kosztowne, obrotowe maszty radiopelengacyjne. A my co parę dni słuchaliśmy, grającego tym masztom na nosie, Radia Solidarność Walcząca! A w jego audycjach – głosu Kornela Morawieckiego!

„Nasza Wizytówka”, wydana przez Solidarność Walczącą w początkowym okresie jej działania, składała się między innymi z pytań i odpowiedzi. Jedno z pytań brzmiało: „Ilu nas jest?” I odpowiedź: „Dziś kilkuset. Jutro –

i Ty wśród nas”. Ta odpowiedź wręcz mną wstrząsnęła. Niemal krzyknąłem: „Ja też w Solidarności Walczącej”? Jakież musiały być wtedy te nasze młodzieżowe emocje, jeśli na tak sformułowaną odpowiedź poczułem się tak, jakby ktoś mocno wskazał na mnie palcem mówiąc gromkim głosem: „Ty też wśród nas!” I wcale nie trzeba było tak długo czekać, gdy w moim przypadku to stwierdzenie – wskazanie sprawiło, że w sposób jak najbardziej rzeczywisty stałem się członkiem Solidarności Walczącej.

Mijały lata, wypełnione plecakami bibuły, wożonej na trasie Wrocław – Trójmiasto, na powielaniu gazetek, na zmaganiach z własną słabością i zwątpieniem. To były lata mozołu, ale dzielonego z najwspanialszymi ludźmi, jakich spotkałem w swoim życiu. Byli wśród nich studenci Kornela. Zazdrościłem im tej znajomości. Maćka Dziubańskiego zapytałem kiedyś: „Jaki jest ten Kornel?” Maciek spojrzał wtedy jakoś tak uważnie na mnie i powiedział: „Wiesz, on jest trochę taki, jak ty”. W odpowiedzi ryknąłem śmiechem, uważając to za świetny żart – ostatnią odpowiedź, jakiej bym się spodziewał. Kiedy po wielu latach, w czasie spisywania wraz z Kornelem naszego wywiadu – rzeki opowiedziałem mu o tamtej sprzed lat rozmowie z Maćkiem – Kornel uśmiechnął się od ucha do ucha i powiedział ze śmiechem: „A to dobre jest! Napisz o tym w swojej książce!” Potraktowałem to wtedy znów jako dobry żart i niezasłużony komplement. Skoro o żartach mowa dodam, że Kornel lubił moje żarty. Któryś razem, kiedy zastał mnie przy notowaniu czegoś w kajecie zapytał, co robię, na co odpowiedziałem: „Piszę nową książkę: „Solidarność Walcząca – historia prawdziwa, czyli Artur i jego ludzie”. Kornel znów zareagował śmiechem i słowami: „A to musi coś dobrego być! Z przyjemnością bym coś takiego poczytał!” Mój żart miał jednak prawdziwie gorzki posmak. Kornel przecież nie mniej, niż ja, zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo przez jakże wiele lat odzierany był ze swojego solidarnościowego, konspiracyjnego, życiowego dorobku. Świetnie wiedzieliśmy, do czego aluzją jest tytuł książki z mojego żartu.

Dwadzieścia lat przed tym czasem, w którym zacząłem spisywać wywiad – rzekę z Kornelem, ciągle był on dla mnie osobą legendarną. Mitycznym, niewidzialnym wodzem organizacji, w której byłem jednym z małych trybików. Przewodniczącym był on – człowiek, którego nigdy nie widziałem. W końcu nadszedł jednak taki dzień, w którym na zebranie, zorganizowane z wyjątkową troską o jego tajemnicę, przyszedł szczupły człowiek ze słuchaweczką w uchu. Wchodząc odłączył ją od wyjmowanego z kieszeni urządzenia nasłuchowego,

które po przestawieniu na tryb głośny postawił na środku stołu, przy którym siedzieliśmy. Z głośnika dały się słyszeć odległe, urywane rozmowy radiowe jakichś służb. W tym czasie niespodziewany przybysz podawał rękę każdemu z nas. Kiedy witał się ze mną Zbyszek, przewodnik Kornela sadowiący się właśnie w kącie na podłodze, powiedział: „To jest Miś”. „Poznaję” – odpowiedział patrząc mi w oczy przewodniczący Solidarności Walczącej. „Miś” – to był mój konspiracyjny pseudonim. Błyskawicznie zatętniły mi w głowie pytania: „On mnie poznaje?? Jakim sposobem, przecież widzi mnie pierwszy raz w życiu!” Okazało się, że Kornel, mimo że nie spotyka się z większością członków swojej organizacji, dużo o tych ludziach wie. Aleksander Macedoński znał podobno imię każdego z żołnierzy swojej armii. Antyczny wódz jednak tych ludzi codziennie widywał. Walczył z nimi w jednym szeregu, obozował z nimi i przemierzał wraz z nimi tysiące mil. A „armia Kornela” skrywała się w mrokach konspiracy! A jednak tak wiele potrafił wiedzieć o swoich ludziach.

Każdy, kto wie, czym była Solidarność Walcząca, musi mieć dla niej podziw, szacunek i musi doceniać wielką rolę, jaką odegrała. Każdy też, kto miał szczęście znać Kornela Morawieckiego wie, że w pierwszej kolejności jemu zawdzięczać trzeba stworzenie tej organizacji, uczynienie jej tak odporną na zwalczanie przez komunistyczną potęgę, używającą „przeciw niej wszystkich sił i środków” (to cytata z gen. Kiszczaka, żądającego za wszelką cenę zniszczenia SW). Zasługą Kornela było też zachowanie spójności tej nadzwyczajnej formacji, będącej istnym rojowiskiem silnych osobowości i „rogatych” indywidualistów. Osiągnąć coś takiego – potrafiłby tylko Kornel.

Zwykło się mówić, że nie ma ludzi niezastąpionych. Kiedy jednak pomyślę o tym, jaką stratą jest odejście Kornela to z najgłębszym przekonaniem stwierdzam, że niniejszy obiegowy pogląd – to nieprawda. Z drugiej jednak strony, wspominając liczne długie rozmowy, których miałem honor odbyć z Kornelem bardzo wiele, przywołać muszę jedną z myśli, która w tych dyskusjach się pojawiała. Wiele razy mówiliśmy bowiem o naszej narodowej historii, w której tyle razy Polacy byli dziesiątkowani. O straszliwych doświadczeniach naszej zbiorowości, polegających na istnych dekapitacjach narodu. Dekapitacjach, czyli – utracie najwspanialszych, na wielokrotnym wytracaniu najlepszych członków naszego narodu. Na ich śmierci w powstaniach, egzekucjach, katowniach, w śniegach Sybiru. Kiedyś rozmawialiśmy o zbrodni katyńskiej, rozumianej nie przez pryzmat suchych liczb czy pojedynczych postaci, ale z perspektywy faktu, że równocześnie z tą zbrodnią wiele polskich stowarzy-

szeń naukowych traciła połowę swych członków a czasem nawet większość. W tym samym czasie, w ramach niemieckiej akcji AB, mordowano pozostałą część tych samych związków i towarzystw naukowych czy kulturalnych. Prawdziwi geniusze, twórcy, organizatorzy narodowej świadomości, najprawdziwsi narodowi liderzy, największe umysły – czy jesteśmy w stanie ich zastąpić? Czy próba ich zastępowanie – nie byłaby po prostu bezczelną uzurpacją? Odpowiedź na to pytanie może być jednak tylko jedna. Nawet, jeśli współcześni mieliby nie dorastać do pięt swoim poprzednikom, to stoją jednak przez obowiązkiem ich zastąpienia. Nie dorównamy im, nie dorośniemy do ich poziomu, nie będziemy takimi znakomitościami, jakimi byli oni. Ale – fakt ten nie zwalnia nas z obowiązku, by się o to starać. Nie zwalnia nas z zadania kontynuacji ich trudu, ich dzieła, ich myśli. A jeśli wyzwanie to rzeczywiście i ostatecznie okaże się dla nas zbyt wielkie i naprawdę nieosiągalne – rolą naszą jest skarb tegoż dziedzictwa w jak najlepszym stanie zachować. Ocalić i – przekazać możliwie bez uszczerbku w ręce tych, którzy przyjdą po nas. Naszych dzieci, naszych następców. Może, jeśli my zadaniu nie sprostamy, to oni będą lepsi od nas?

„Niosę ciebie, Polsko” – w swym pamiętnym otwarciu Sejmu RP mówił Kornel. On ten swój kawałek niesionej przez niego Polski – oddał już w nasze ręce. To wielki zaszczyt – otrzymać dar z takich rąk. Pierwsza myśl jest w takim momencie oczywista: „Ja na tak wielki dar nie zasługuję. Dar z takich rąk – to zbyt wielki zaszczyt”. Zamiast jednak uchylać się od przyjęcia takiego daru – ze wszystkich sił dążyć należy do sprostania tak wielkiemu, tak „wyśrubowanemu” zadaniu. Zaszczycieś mnie, Kornelu swoją przyjaźnią. Czuję się dziś zobowiązany do zasługiwania na ten wielki zaszczyt.

„Niedziela”, październik 2019



LISTA WAŻNIEJSZYCH DOKONAŃ FUNDACJI POMORSKA INICJATYWA HISTORYCZNA

Wśród celów statutowych naszej fundacji oprócz dokumentowania historii najnowszej, przywracania należnego miejsca działaniom dla odzyskania niepodległości i godności ludziom, którzy mieli odwagę przeciwstawić się totalitarnemu systemowi komunistycznemu są także działania edukacyjne wśród młodzieży oraz pomoc ludziom, bohaterom walki o niepodległą Polskę a znajdującym się dziś w trudnej sytuacji materialnej. Różnorodność podejmowanych przez naszą fundację działań przybliży lista ważniejszych dokonań FPIH w ostatnich 8 latach działalności:



- Przygotowanie i cykliczne prowadzenie uroczystości rocznicowych strajku sierpniowego 1980 r. we współpracy i pod patronatem Prezydenta Gdyni – zebranie pierwszej listy uczestników strajków 1980 r. w zakładach Gdy-

- ni – dla przyznania honorowej odznaki „Bohaterom Sierpnia ’80 Gdynia”. Pierwsza edycja odbyła się w 2013 roku, w ramach obchodów 33 rocznicy strajków 1980 r. w Sali konferencyjnej Zarządu Portu Gdynia. Podczas niej Honorowe Odznaczenie otrzymało 120 uczestnikom strajków. Zaprezentowaliśmy również II tom albumu „Ludzie Sierpnia ’80 w Gdyni”. Do 2020 roku odznaczenie przyznano i wręczono 851 osobom;
- Wystawy plenerowe oraz wystawy rotacyjne w szkołach ponadpodstawowych, przedstawiające etapy walki o wolność na Wybrzeżu od Grudnia ’70, poprzez opozycję demokratyczną lat siedemdziesiątych, Sierpień ’80 i Solidarność aż do odzyskania niepodległości (kilkaset ekspozycji w ciągu 8 lat);
 - Spotkania z żyjącymi świadkami historii i prelekcje w szkołach powiązane z pokazami multimedialnymi;
 - Pozyskiwanie i opracowywanie materiałów historycznych dokumentujących poszczególne etapy walki o odzyskanie niepodległości w celu utworzenia stałej ekspozycji i systematycznych publikacji archiwaliów;
 - Tematyczne pokazy filmów dokumentalnych z komentarzem uczestników wydarzeń z lat 1970, 1980 i stanu wojennego;
 - Opracowanie i wydanie książki przedstawiającej działania niepodległościowe na wybrzeżu w latach 80 XX wieku. A. Kołodziej i R. Zwiercan „... o godność i wolność. Po prostu...” – dwa wydania.
 - Przygotowanie i realizacja Inscenizacji wydarzeń z Grudnia 1970 roku w Gdyni z udziałem kilkuset aktorów i statystów;



- Sporządzanie dokładnej uporządkowanej dokumentacji w/w wydarzeń w formie filmowej oraz w formie nagranych i spisanych relacji. Notacje służą do opracowania publikacji książkowych oraz mają być źródłem do tworzenia filmów dokumentalnych. Duża część uczestników spotkań i konferencji to depozytariusze unikatowych świadectw przeszłości, nigdy dotąd nieutrwalonych a bezcennych dla narodowej świadomości historycznej i ogromnie ważnych dla badań historycznych;
- Pomoc znajdującym się w niedostatku działaczom opozycyjnym z czasów zmagania o wolną Polskę. Ludziom zasłużonym w walce o wolność, którzy w wyniku swego zaangażowania tracili zdrowie, środki utrzymania i do dziś nie doczekali się rzeczywistej rekompensaty. Pozyskanie środków na wsparcie materialne kilkudziesięciu uczestników tamtych wydarzeń.
- Opracowanie i prezentacja wystawy „Polegli w służbie Ojczyzny. Smoleńsk 2010”;
- Opracowanie i budowa stałej wystawy „Gdyńskie drogi do Niepodległości” przy przystanku SKM Gdynia Stocznia;



- Organizacja Ogólnopolskiej Konferencji Wydawnictw Niezależnych „Wydawnictwa Solidarności Walczącej na tle innych wydawnictw podziemnych w latach 80-tych” w Muzeum Miasta Gdyni;
- Realizacja wystawy „Grudzień ,70 w Gdańsku i w Gdyni”. Czasowa ekspozycja w Gdańsku, ul. Doki 1, historyczna Sala BHP Stoczni Gdańskiej.
- Opracowanie i prezentacja wystawy plenerowej „Dwa Grudnie”.



- Zorganizowanie szeregu Sympozjów m.in. „Polskie Grudnie”, „Grudzień 70 Uniwersytet Robotniczy” oraz „Grudzień 81 – Wojna z narodem – lekcja patriotyzmu” w Muzeum Miasta Gdyni, a także „Polskie Grudnie” – Spotkanie z młodzieżą.
- Przygotowanie i udział w uroczystościach 30 rocznicy powstania Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego – w ramach którego odbył się koncert zespołów rockowych w Klubie Parlament w Gdańsku, prezentacja spektaklu „SOR” w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, spotkanie z młodzieżą na scenie Letniej Teatru Wybrzeże w Sopocie oraz przygotowanie i prezentacja wystaw poświęconych RSA – w gmachu Uniwersytetu Gdańskiego oraz wersja plenerowa w Gdyni – Leszczynkach;
- Wydanie pierwszej monografii p.t. „Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża” autorstwa Andrzeja Kołodzieja.
- Cykliczne wydawanie od 2012 roku, kolejnych tomów albumu „Ludzie Sierpnia ,80 w Gdyni”. Do tej pory ukazało się 8 tomów.



- Uroczysty Koncert w 32 rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych i 30 rocznicę utworzenia – „Solidarności Walczącej”;
- III publikacja książki „Solidarność Walcząca oddział Trójmiasto” autorstwa Andrzeja Kołodzieja i Romana Zwiercana;
- Publikacja książki „Antologia Prasy Solidarności Walczącej w Trójmieście” autorstwa Romana Zwiercana;
- Organizacja Obchodów 32 rocznicy podpisania Porozumień Sierpniowych i 30 rocznicy powstania „Solidarności Walczącej” – Sala Konferencyjna Zarządu Portu Gdynia przy ul. Rotterdamskiej 9, w Gdyni. dwudniowa Konferencja Organizacji Opozycyjnych i Podziemnych „Drogi do Niepodległości”, z udziałem 1200 osób z całej Polski;
- Prowadzenie cyklicznego projektu „Warsztaty Historyczne” – dla młodzieży gdyńskich szkół.

WARSZTATY HISTORYCZNE DLA MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ I PONADGIMNAZJALNEJ

projekt realizuje

Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna

W GDYNI



- Bohaterska obrona Gdyni we wrześniu 1939 roku
- szczególna rola Harcerzy Polskich
- Eksterminacja Polaków z Pomorza po wkroczeniu wojsk hitlerowskich

- Mord w Piaśnicy, Przymusowe Wysiedlenia Polaków

- Druga konspiracja na Pomorzu w latach 1945 – 1948

- Konspiracja antykomunistyczna na Pomorzu w czasach stalinowskiego terroru – 1948 -1956

- Masowe protesty przeciw komunistycznej dyktaturze na Pomorzu – Grudzień 1970



- Przyczyny i przebieg strajków w sierpniu 1980 roku

- Organizacje opozycyjne i konspiracyjne oporu antykomunistycznego na Pomorzu w latach 80. XX wieku

kontakt:

Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna Gdynia ul. Morska 9a
www.fundacja-pih.pl email: fpih@wp.pl Andrzej Kołodziej tel. 792 453 909

Realizacja



Fundacja
Pomorska Inicjatywa Historyczna

Współpraca



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

Projekt realizowany przy wsparciu finansowym



Bank Zachodni WBK

Grupa Santander

- Wystawa: „Pamięć Grudnia ,70 na ulicach Gdyni” w Urzędzie Miasta w Gdyni;
- Projekcja filmu „Czarny Czwartek” dla uczniów Gdynskich Liceów oraz spotkanie z reżyserem filmu panem Antonim Krauze i uczestnikami wydarzeń – Henrykiem Mierzejewskim i Jerzym Miotke w Multikinie w Gdyni;
- Zainicjowanie i zorganizowanie uroczystości uhonorowania Odznaczeniami Państwowymi za wybitne zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce blisko 150 działaczy organizacji niepodległościowych na Pomorzu przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej (w ciągu 7 lat);
- Uruchomienie i sukcesywna rozbudowa portalu internetowego pod adresem: www.gdynia-1980.pl – elektronicznego katalogu posiadanych zbiorów, dokumentujących dokonania mieszkańców Gdyni w latach przełomu 1980-1981;
- Stałe gromadzenie dokumentacji związanej z walką o wolność i niepodległość Polski, prowadzonej na terenie Gdyni i Pomorza w latach 1939-1989. Zbiory są bezpłatnie udostępniane w lokalu Fundacji.
- Organizacja w Gdyni uroczystości 100-nej rocznicy urodzin księdza prałata Hilarego Jastaka. Budowa pomnika w centrum miasta, renowacja grobu, zorganizowanie konferencji, przygotowanie wystawy plenerowej, przygotowanie publikacji;



- Prezentacja wystaw poświęconych Żołnierzom Wyklętym „V Wileńska Brygada AK” oraz „II Konspiracja” w Sopocie przed Urzędem Miasta – jako wkład Fundacji w obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych.
- Z okazji 35-lecia podpisania Porozumień Sierpniowych i 33 rocznicy utworzenia – „Solidarności Walczącej” opracowanie i ekspozycja miasteczka wystawowego w centrum Gdyni. Na miasteczko składał się cykl wystaw ustawionych w kompleks obrazujący „Drogę do Wolności” – („Kontynuacja walki zbrojnej po 1945 roku – „V Brygada Wileńska”, „II konspiracja na Pomorzu – procesy stalinowskie”, „Grudzień ’70”, „Solidarna Gdynia”, „Solidarny Gdańsk”, „Solidarność Walcząca”, „Organizacje opozycyjne lat ’80 – ROPCiO, KOR, WZZ, Krąg Instruktorów Harcerskich im. Andrzeja Małkowskiego, RMP, KPN, SW, OKOR, PPN, FMW, LDPN Niepodległość, NZS”;
- Cykl wykładów „Porozumienie czy zdrada elit” prezesa Fundacji – Andrzeja Kołodzieja, w USA – na zaproszenie Instytutu Polityki Światowej;
- Przygotowanie i przeprowadzenie konkursu dla młodzieży szkolnej z regionu pomorskiego pt: „Czym jest dla mnie Dzień Niepodległości”. W finale konkursu „Mój dzień Niepodległości” zaprezentowano ponad 70 prac plastycznych a na scenie wystąpiło prawie 40 wokalistów;
- Wystawa Kobiety Walczące, prezentująca kilkanaście działających w strukturach Solidarności Walczącej kobiet na Wybrzeżu;
- Wystawa Solidarność Walcząca, prezentująca działalność struktur Solidarności Walczącej na Wybrzeżu;



- Prowadzenie w Jastrzębiej Górze Ośrodka w którym Weterani działań na rzecz Niepodległego Bytu Państwa Polskiego mogą bezpłatnie spędzić kilkanaście dni w roku, odpoczywając w gronie podobnych im ludzi. Poza noclegiem i wyżywieniem beneficjenci mają zapewnioną opiekę koordynatora, który organizuje czas oraz aktywizuje seniorów. W programie każdego turnusu są wyjazdy do okolicznych miejsc Pamięci – między innymi do Piaśnicy w której Niemcy zamordowali kilkanaście tysięcy Polaków oraz do Muzeum Emigracji w Gdyni. Jedyną formą partycypacji uczestników w programie jest podzielenie się wspomnieniami, które archiwizujemy w formie filmowych notacji. Budujemy w ten sposób bazę wspomnień, która jest i będzie bogatym materiałem źródłowym dla obecnych i przyszłych badaczy historii. W 2015 roku przyjęliśmy 140 osób, w 2016 r. udało się zapewnić odpoczynek 248 weteranom. W 2017, 2018 i 2019 r. liczba ta została potrojona. W 2020 mimo późniejszego startu programu w związku z ograniczeniami spowodowanymi pandemią ilość weteranów korzystających z tej formy wsparcia nie uległa zmniejszeniu. Baza nagrań na dzisiaj to około 600 notacji, od nagrań kilkunastominutowych do ponad dziesięciogodzinnych.

- Z okazji 35 rocznicy powstania Oddziału Solidarności Walczącej w Trójmieście zorganizowanie dwudniowych obchodów;



- Inscenizacja konspiracyjnej drukarni Solidarności Walczącej w Gdyni, ukrytej za zamaskowanym wejściem w przedzielonym garażu. Drukarnia działała w latach 80, w wynajmowanym przez Małgorzatę Zwiercan domu w Kacku, na tzw. „Psiej górcie”;
- Konferencja pt. „Odpowiedzialność dowódców LWP za masakrę w grudniu 1970 roku na Wybrzeżu” ;
- Wystawa Plenerowa „Trzech Komandorów” prezentująca kulisy zbrodni sądowej popełnionej przez komunistyczne władze na dowódcach Marynarki Wojennej w grudniu 1952 roku;
- Sesja naukowa pt. „Zaślubiny Polski z morzem. Traktat Wersalski” i towarzysząca jej wystawa;
- Wystawa plenerowa „Powrót Polski nad morze”;



Zaproszenie

Fundacja Wizja Rozwoju oraz Fundacja Pomorska Inicjatywa Historyczna
zapraszają na sesję naukową
pt. **„Zaślubiny Polski z morzem. Traktat wersalski”**,
która odbędzie się 11 lutego 2020 r. o godzinie 17:00,
w sali konferencyjnej Domu Rzemiosła w Gdyni, ul. 10 lutego 33
W dyskusji udział wezmą:

- Moderator **Aleksander Gosk** – Wicedyrektor Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni
- prof. dr hab. **Tadeusz Stegner** – Instytut Historii UG.
- dr **Tomasz Rembalski** - Instytut Historii UG., Sekretarz Instytutu Kaszubskiego
- dr **Michał Graban** – doktor nauk politycznych, samorządowiec i publicysta
- dr **Jan Tymiński** – Muzeum Marynarki Wojennej w Gdyni

Po konferencji muzyczny występ **Andrzeja Kołakowskiego**



Fundacja
Pomorska Inicjatywa Historyczna

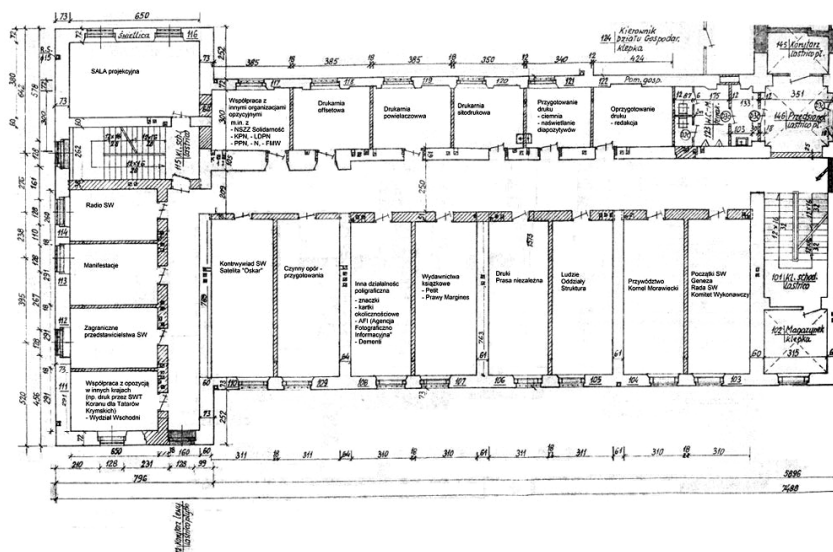


- Wystawa plenerowa „Niezlomni, Niepokorni”;
- Wystawa plenerowa „100 lat niepodległości na Pomorzu”;
- Wystawa plenerowa „Gdyński Sierpień”;
- Konferencja „Geneza protestów robotniczych na Wybrzeżu. Strajk w gdyńskich zakładach pracy w sierpniu 1980 roku”;
- Współorganizacja obchodów 40 rocznicy Sierpnia '80 w Gdyni;
- Koncert dla „Zwykłego Bohatera” – muzyczne podziękowanie uczestnikom protestów z 1980 roku.





- Konferencja „Od konfrontacji do współpracy w drodze do Niepodległości”
- Konferencja „Grudzień 1970 – komunistyczna zbrodnia w Gdyni”
- Konferencja „II Konspiracja na Wybrzeżu w latach 1944-1956”
- Wystawa stała „Muzeum Solidarności Walczącej” w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL w dawnym areszcie w Warszawie przy ul. Rakowieckiej 37. Projekt zrealizowany został przez zespół pod kierunkiem wiceprezesa FPIH Romana Zwiercana w 19 salach na powierzchni ponad 400 m².



- Wirtualny spacer po Muzeum Solidarności Walczącej
- Ścieżka edukacyjna Trzciano – Straszewo – Pułkowice upamiętniająca zwycięstwo wojsk polskich nad wojskami szwedzkimi w bitwie pod Trzciąną 27 czerwca 1629 roku w ramach projektu wykonane zostały:
 - 3 kioski multimedialne, z własnym zasilaniem, monitorem, mikrokomputerem oraz wyposażeniem w Trzciąnie, Straszewie i Pułkowicach,

- 3 totemy z Godłem Polski z 1620 roku,
- 3 pulpity z opisem bitwy,
- 3 maszty z flagą polską,
- 3 zestawione łącza internetowe do obsługi kamer. W każdym kiosku zostały zainstalowane dwie kamery przesyłające i archiwizujące „niepożądane zdarzenia” które stanowią element zabezpieczenia całej instalacji,
- 3 prezentacje. Filmy edukacyjne o długości ok. 5,5 minuty każdy. Do każdego filmu przygotowany został scenariusz oraz tekst dla lektora,
- Medal pamiątkowy „Tropiciel historii”,
- Przypinka „Śladami oręża polskiego”,
- Komiks „Bitwa Polaków ze Szwedami pod Trzcianą w 1629 roku”
- Zakładka do strony internetowej www.trzciano.fundacja-pih.info wraz z formularzem akceptującym i zliczającym rejestrujące się za pomocą QR kodów osoby





- Kolejny, IX już tom publikacji „Ludzie Sierpnia 80 w Gdyni”
- Obchody 41 rocznicy powstania NSZZ „Solidarność” w Gdyni
W ramach projektu zrealizowane zostały
 - Konferencja 28 sierpnia 2021. Tematy: „Wpływ myśli narodowej i działaczy niepodległościowych na przebieg strajków, postulaty i powstanie NSZZ Solidarność” oraz „Rola NSZZ Solidarność w procesie obalania komunizmu. Poślanie do ludzi pracy Europy Wschodniej”.
 - Konferencja 30 sierpnia 2021. Temat „Walka o pamięć – dorobek i spuścizna NSZZ Solidarność”
 - Uroczyste złożenie kwiatów pod pomnikiem Ofiar Grudnia ,70 r
 - Uroczystość wręczenia odznaczeń „Bohaterom Sierpnia ,80”.
- W programie m.in. prezentacja IX tomu albumu „Ludzie Sierpnia ,80 w Gdyni” autorstwa Małgorzaty Sokołowskiej oraz Roberta Chrzanowskiego.
- Strajkowa biesiada i przekazanie uczestnikom IX tomu albumu „Ludzie Sierpnia ,80 w Gdyni” autorstwa Małgorzaty Sokołowskiej oraz Roberta Chrzanowskiego.
- „Polskie etosy” – solowy koncert lidera zespołu CONTRA MUNDUM Norberta „Smoły” Smolińskiego.